

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

PHOEBE LOCKE

CZŁOWIEK Z LASU

NIE TY GO ODNAJDZIESZ,
ON ODNAJDZIE CIEBIE

PHOEBE LOCKE

**CZŁOWIEK
Z LASU**

Przełożyła Aleksandra Wolnicka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Dla Mamy, Taty i Dana z miłością

Fragment artykułu Federiki Sosy *Z planu zdjęciowego: trudna droga do prawdy*, opublikowanego w „Vanity Fair” w lipcu 2019 roku:

Podchodziłam do tego projektu z ogromną ostrożnością. Wprawdzie mój poprzedni film dokumentalny zdobył spore uznanie krytyki, jednak przez dłuższy czas szukałam tematu, który w równym stopniu by mnie wciągnął, zafrapował.

Na historię rodziny Bannerów zwróciłam uwagę podczas pobytu w Londynie. W mediach było wówczas głośno o tej sprawie, czemu trudno się dziwić, zważywszy na bliski termin procesu. Nagłówki zmroziły mi krew w żyłach: bezsensowny mord, rodzina prześladowana przez demony z przeszłości, legenda, której ofiarą padło niewinne dziecko, życie zamienione w piekło. Od razu poczułam, że chcę o tym opowiedzieć.

Na tamtym wczesnym etapie, gdy rodziła się wstępna koncepcja filmu, nigdy bym nie przypuszczała, z jakimi trudnościami przyjdzie się zmierzyć mojej ekipie. Szybko zaczęło się nam wymykać to, co z początku wydawało się prostą, choć tragiczną historią. Za jedną rozwikłaną zagadką kryła się kolejna; okazało się, że życie rodziny Bannerów składa się z samych sekretów. Stenogramy wywiadów szły w setki stron; analizowaliśmy wydarzenia pod różnym kątem, starając się dotrzeć do sedna. A przez cały czas niby cień towarzyszyło nam mroczne wcielenie powtarzanej ku przestrodze podwórkowej opowieści: postać Człowieka z Lasu.

Podstawowym problemem okazał się dostęp do źródeł. Niewiele osób, których ta sprawa dotyczyła, nadal żyło i mogło nam przekazać swoją wersję wydarzeń. Często musieliśmy polegać na archiwalnych świadectwach, na relacjach z drugiej ręki. Choć nierzadko wynika z nich więcej niż z rozmów przed kamerą, to dla filmowca nie ma nic bardziej frustrującego niż brak punktu zaczepienia – jakiejś celnej myśli, charakterystycznego sformułowania albo konkretnego czynu – który prowokowałby do

postawienia pytań: „Dlaczego?” i „Czy naprawdę tak właśnie było?”.

Wiele przedstawionych przez nas faktów jest obecnie znanych opinii publicznej, a to za sprawą nagłośnionego przez media procesu, co nastąpiło w reakcji na powszechne zainteresowanie sprawą rodziny Bannerów. Staliśmy się społeczeństwem opętanym przez ich demony, zafascynowanym ich mrocznymi występkami, Człowiekiem z Lasu i władzą, jaką posiadał nad tymi ludźmi. Ja również postanowiłam na bieżąco relacjonować proces. Chciałam wyjść poza nagłówki i mrozące krew w żyłach pogłoski, aby odkryć prawdę o tym morderstwie. To, co usłyszałam z ust samych zainteresowanych, rzuciło nowe światło na wcześniejsze wydarzenia. Nie chciałam szokować ani epatować widzów drastycznymi szczegółami – od tego są brukowce. To historia żałoby, poczucia winy i przerażających tajemnic skrywanych latami nie przez jedną, ale dwie rodziny. Skrywa również pokłosie makabrycznej legendy, a sama opowieść zaczyna się i kończy w głębi ciemnego lasu.

Do dziś nie potrafię się od niej uwolnić.

Wszystko zaczęło się pod koniec lata, gdy dni były długie i gorące, a perspektywa powrotu do szkoły wydawała się tak odległa, że i lęk przed pierwszym dzwonkiem był zgoła nierealny. Sadie i Helen wędrowały brzegiem rzeki, prowadząc rowery. Rozglądały się za miejscem, gdzie mogłyby usiąść i zjeść zabrane z domu słodycze – toffi dla Sadie, owocowe landrynki dla Helen, jak zawsze. Kiedy przejeżdżały przez las, Sadie natrafiła kołem na korzeń. Żeby nie spaść z roweru, odruchowo oparła się o pień drzewa i zdarła sobie skórę z dłoni. Teraz ponownie obejrzała zadrapanie i wbite w ciało drobinki kory.

– Popatrz, to Marie – odezwała się Helen z ustami pełnymi rozgryzionych landrynek.

Jej starsza siostra siedziała na obłazącej z farby ławce, jednej z tych, które ustawiono nad rzeką; obok rozsiadły się dwie przyjaciółki. Sadie oderwała wzrok od skaleczonej ręki.

Marie skończyła niedawno dwanaście lat i tak samo niedawno zaczęła nosić bawełniany stanik. Sadie widziała go na własne oczy, jak suszył się na sznurze przed domem Helen, a wraz z nim reszta prania; miał nieduże miękkie miseczki i cienkie, atlasowe ramiączka. Teraz spojrzała na Marie, czubkami trampek wzbijającą obłoczki kurzu z ziemi, ciekawa, czy w tej chwili ona też ma go na sobie. Poczowała, jak oblewa ją fala gorąca.

Marie uniosła głowę i zauważyła dziewczynki. Kąciki jej warg lekko drgnęły. Powoli rozciągnęła usta w uśmiechu. Trącając łokciem swoje przyjaciółki, przywołała do siebie Sadie i Helen. Kiedy podchodziły, koła rowerów postukiwały cichutko. Toffi w buzi Sadie nabrało nagle gorzkiego smaku.

– Cześć, dziewczyny – odezwała się jedna z przyjaciółek Marie, ciemnowłosa, z piegami na wąskim nosie. – Chcecie się z nami pobawić?

– To nie jest zabawa, Justine. – Z bliska w dziewczynie tej Sadie rozpoznała Ellie Travis, starszą siostrę swojego kolegi z klasy. Kosmyk jej

jasnoblond włosów utkwiał pomiędzy policzkiem a zauszniakiem okularów. – Mówiłam ci, co powiedział mój brat.

– Nie słuchajcie, co mówi James – rzuciła wesoło Helen; jej speszenie z wolna ustępowało. – Zawsze wygaduje bzdury.

– Nie chodzi o Jamesa – przewróciła oczami Marie – tylko Thomasa. Jest najstarszy i jego obowiązkiem było opowiedzieć Ellie o Człowieku z Lasu. A ponieważ ja też jestem najstarsza, moim obowiązkiem jest opowiedzieć tobie.

Sadie zauważyła, że Justine zmrużyła oczy w reakcji na te słowa; jej usta drgnęły, uśmiechnęła się ukradkiem. Wyjęła lizak z kieszeni, odwinęła go z papierka i zmierzyła Sadie baczny wzrokiem, od szortów, przez koszulkę, na twarzy kończąc. Kiedy ich oczy się spotkały, Justine nie uciekła spojrzeniem w bok.

– Co to za jeden, ten Człowiek z Lasu? – spytała Sadie.

– Jest bardzo wysoki – odparła Marie. Wychyliła się naprzód i zabrała Helen paczkę landrynek.

– Wszystko widzi – dodała Ellie, poprawiając zsunięte z nosa okulary.

– To morderca. – Justine z krzywym uśmiechem odchyliła się do tyłu. – Przyjdzie w nocy i cię zabierze.

– Pięć lat temu zabrał dziewczynkę z mojej ulicy – stwierdziła Ellie, skubiąc nerwowo połą koszuli. – Tak przynajmniej słyszałam.

– Nieprawda. – Helen wzięła Sadie pod rękę. – Chcecie nas tylko nastraszyć.

– A właśnie, że prawda! – Marie cisnęła w siostrę zwiniętym papierkiem po cukierku. – Ale nie martwcie się. Teraz, kiedy już o nim wiecie, nic wam nie grozi.

– Nie tylko, że nic nie grozi – dorzuciła Justine, gryząc lizak drobnymi, białymi zębami. – Możecie się wyróżnić, wystarczy, że go o to poprosicie. – Podniosła się z ławki i ostentacyjnie spojrzała na zegarek, Pop Swatch w fioletowe i żółte wzory, taki sam jak ten, który Sadie od wielu tygodni

podziwiała na wystawie sklepu jubilerskiego. – Muszę już lecieć. Niedługo będzie kolejna porcja opowieści o Człowieku z Lasu. Coś mi mówi, że mu się spodobacie.

Marie stłumiła parsknięcie, lecz Sadie spostrzegła, że Ellie wbija wzrok w ziemię. Wciąż skubała palcami brzeg luźnej koszuli.

– On naprawdę zabija dziewczynki? – spytała Helen z wytrzeszczonymi oczami. Ellie zerwała się z ławki.

– To mi się nie podoba – oświadczyła. – Nie chcę już się w to bawić.

Justine wzruszyła ramionami.

– To wracaj do domu. I tak nie jesteś nam do niczego potrzebna. – Uśmiechnęła się do Sadie i Helen, ignorując ostrzegawcze spojrzenie, które rzuciła jej Marie. Ellie odeszła, powłócząc nogami. Tylko Sadie odprowadziła ją wzrokiem.

– Pytałaś o coś, Helen – podjęła Justine, podnosząc z ziemi rower i przerzucając nad siodełkiem długą nogę; miała na sobie wystrzępione dżinsowe szorty z oderwaną kieszonką. – Owszem, zabija. Zamordował własną córkę. – Jak gdyby nigdy nic nacisnęła pedał i odjechała ścieżką nad brzegiem rzeki. – Nie chciała zrobić tego, czego od niej żądał! – zawołała przez ramię i już jej nie było.

1

1999

Niemal od początku czuł, że coś jest nie tak. Szli wabieni dźwiękami muzyki, ostre źdźbła trawy drapały ich po łydkach; chciał zawrócić.

– Wszystko w porządku? – spytała, biorąc go za rękę.

Miles spojrzał na nią. Tego dnia ubrała się inaczej: zamiast ulubionych ogrodniczek albo workowatych dzinsów i koszulki na cienkich ramiączkach miała na sobie letnią sukienkę w stokrotki, na którą narzuciła biały kardigan. Doceniał, że aż tak się postarała.

– Jasne – odparł. – Wszystko gra.

Mimo to było mu niedobrze. Być może udzieliły mu się jej mdłości – słyszał, że tak się zdarza. Wieczorami w łóżku Sadie czytała mu na głos różne książki – bez końca słyszał: „A wiesz, że...?”, „No nie uwierzysz...!” albo „Posłuchaj tylko tego!”. Wszystko było nowe, dziwne i niespójne. Zakrawało na czarną magię całe to porównywanie dziecka do owoców i sugerowanie, że słuchanie muzyki w życiu płodowym ma wpływ na inteligencję.

Przypomniawszy sobie drwiący uśmieszek matki, gdy przed godziną wspomniawszy jej o tym, żeby rozluźnić atmosferę. To, jak wyciągnęła rękę, żeby dolać herbaty Sadie, a potem jemu. „Tak, muzyka poważna z pewnością zwiększy szanse tego biednego gówniarza”. I to, jak ojciec nakrył dłoń żony swoją ręką, przygważdżając ją do poręczy fotela. „Frances, kochanie...”. Oraz westchnienie matki, gdy zamrugnęła powiekami raz i drugi, po czym podsunęła im talerz z herbatnikami. „Wybacz, Miles. Chodzi o to, że oboje jesteście jeszcze tacy młodzi...”.

– Przejdzie im – pocieszyła go Sadie. Ścisnęła Milesowi dłoń i cofnęła rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem; z przodu widać już było teren

festiwalu. Na środku pola stała scena, a po bokach ciągnęły się różne stoiska. W powietrzu unosiły się kłęby dymu. Woń przypalonego mięsa towarzyszyła im, odkąd opuścili prowizoryczny parking i ruszyli pod górę.

Kochał ją za to, że tak powiedziała, i był pewien, że jego rodzice rzeczywiście pogodzą się z tą sytuacją. Jak mogliby się nie pogodzić? Ich jedyny syn miał zostać ojcem, a oni po raz pierwszy w życiu dziadkami! Może on i Sadie faktycznie byli za młodzi, skończyli dopiero pierwszy rok studiów, ale przecież wszystko na tym świecie dzieje się z jakiegoś powodu, prawda? Czasami po prostu coś jest człowiekowi pisane i już.

Sadie zdjęła kardigan i przewiązała się nim w pasie.

– Przynajmniej mamy to już za sobą – stwierdziła i objęła go ramieniem.
– Cieszymy się lepiej popołudniem.

To, co połączyło go z Sadie, było mu pisane – tyle wiedział.

Ciekawe, co w tej chwili robią jego rodzice? Mógłby zgadywać: ojciec wyciągnął z barku butelkę dobrego dżinu i przyniósł ulubione kieliszki matki, ciężkie, kryształowe, a teraz oboje piją w milczeniu na tarasie. Później matka zacznie krzątać się w kuchni i szykować kolację, głośno wyrażając swoje niezadowolenie. A jeszcze później zapewne zadzwoni do syna.

– Teraz trzeba jeszcze powiedzieć twoim rodzicom – odezwał się i poczuł, że idąca obok Sadie sztywnieje.

– Lepiej nie – rzuciła, odwracając głowę na bok. – Nie byłiby zadowoleni.

– Mam rozumieć, że w przeciwieństwie do moich? – Nachylił się i pocałował ją w nagie ramię, lecz uświadomił sobie, że żart jest nieudany, zanim jeszcze przebrzmiały słowa. Niepotrzebnie przywołał wspomnienie zszokowanych min swoich rodziców.

Wiedział, że to będzie trudne. Doskonale pamiętał moment, gdy Sadie, siedząc na skraju wąskiego łóżka w akademiku, oznajmiła mu, że jest w ciąży. Poprzedniego wieczoru bałował – maraton po okolicznych pubach

w towarzystwie członków Kółka Socjologicznego. Słuchając jej, pocierał kciukiem wyblakłą pieczętkę klubu nocnego odbitą na swojej dłoni. Poprzednie dwa wieczory Sadie spędziła w pokoju, tłumacząc się zatruciem pokarmowym. Problemy żołądkowe okazały się jednak problemem całkiem innego rodzaju i w efekcie jej dotychczas płaski brzuch zaokrąglił się w ledwie dostrzegalny sposób. Przyczynę tego stanu rzeczy mieli zobaczyć na własne oczy już w przyszłym tygodniu, na czarno-białym monitorze podczas wizyty w szpitalnej poradni.

– Hej – odezwała się Sadie, zmuszając Milesa, by przystanął przed wejściem na teren festiwalu. Zajrzała mu głęboko w oczy. – Będzie dobrze – powiedziała i przesunęła rękami po jego bokach, gładząc wystające żebra. Od jej dotyku zjeżyły mu się włoski na przedramionach. Zaszło w ustach.

– Wiem – odparł i nachylił się, żeby ją pocałować. Z uśmiechem wbiła mu zęby w dolną wargę.

Ruszył za nią w kierunku gęstniejącego tłumu. Rąbek jej sukienki falował od lekkich podmuchów wiatru. Bał się, to jasne, że się bał. Z trudem wyobrażał sobie, że równo za rok będzie ich troje. Odtąd gdziekolwiek wylądują, już zawsze będzie ich troje. Na razie łatwiej mu było koncentrować się na nauce – nad tym miał przynajmniej jakąś kontrolę. Robił coś ważnego i praktycznego na rzecz ich wspólnej przyszłości, dla Sadie, dla dziecka. Kiedy o tym myślał, czuł w piersi dziwne ciepło.

Minęli pierwsze stoiska oferujące dzemy, ciasta i sery okolicznych wytwórców, drewniane ozdoby oraz świece w szklanych słojach. Ktoś z wydziału Sadie wspomniał jej o tym festiwalu, a Miles natychmiast dał cynk swojemu współlokatorowi Jamesowi i kilku innym osobom z zajęć. Teraz miał nadzieję, że jednak nie przyjechali; aż go skręcało w środku na widok atrakcji w sam raz dla drobnomieszczańskich pierników.

– Zespół, który będzie zaraz grał, jest podobno naprawdę dobry – powiedziała Sadie. Pociągnęła go za sobą, nie zaszczycając mijanych stoisk choćby jednym spojrzeniem, i nagle znów wszystko było w porządku.

Miles wiedział, że to banał – gdy pewnego razu ośmielił się powiedzieć coś takiego po pijaku w pubie, kumple zbiorowo go wyśmiali – ale nigdy nie czuł do żadnej dziewczyny tego, co czuł do Sadie. Była piękna, to prawda. Wszyscy to widzieli. Do tego zabawna, choć nie każdy znał ją od tej strony. Stwarzała dystans między sobą a otoczeniem, co zrażało niektóre osoby. Miles słyszał, jak Lila, najnowsza dziewczyna Jamesa, nazwała ją „zimną foką” (niewykluczone, że wolał się przesłyszeć; Lila mówiła szeptem, równie dobrze mogła to być „suka”). Jego dla odmiany fascynowały mechanizmy obronne Sadie w kontaktach z nowo poznanymi ludźmi. Sprawiały, że tym bardziej chciał się przedrzeć przez te bastiony.

Wyciągnął rękę i poprawił pasemko włosów zatknięte za ucho dziewczyny, lecz wiatr znów chciał je wyrwać na wolność.

– Świetnie sobie poradziłaś z moimi rodzicami. Dzięki.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, rozciągając kąciki ust w lekkim, ukradkowym uśmiechu, który tak uwielbiał.

– Od tej pory liczymy się tylko ty i ja – powiedziała. – Prawda?

Wiedział, że tak właśnie jest.

Dotarli w pobliże sceny. Miles przystanął i wspiął się na palce, żeby wypatrzeć w tłumie Jamesa i pozostałych.

– Chodź – ponagliła go Sadie i pociągnęła za sobą w gąszcz nastolatków. Zmierzała ku granicy pola. – Poszukamy przy głośnikach. Założę się, że właśnie tam stoją.

Znajomi Milesa traktowali ostatnio Sadie, jakby była zrobiona ze szkła albo z jakiegoś łatwo palnego materiału. Gorliwie podsuwali jej krzesło i rezerwowali najlepsze miejsce przed telewizorem. Kiedy dwa tygodnie wcześniej Miles przekazał im wielką nowinę, chcieli mu współczuć – poklepywali go po plecach i z powagą kiwali głowami. Zmienili śpiewkę, gdy dodał: „Bardzo się cieszę”. Wtedy zaczęli stawiać mu drinki. Wypytywali o termin pierwszego USG, o samopoczucie Sadie i o to, czy ona i Miles będą chcieli jak najszybciej poznać płęć dziecka. Rozmyślał o tym

wszystkim, leżąc samotnie w łóżku w te noce, gdy Sadie wracała do akademika, który – był tego aż nazbyt świadom – będzie zmuszona opuścić w momencie przerwania studiów. Z czego będą żyli? Jak można jednocześnie studiować i utrzymywać rodzinę? Raz po raz docierało do niego, że nigdy nie trzymał niemowlęcia na rękach; nie miał rodzeństwa, do tego był najmłodszy spośród swoich kuzynów. Jak to się właściwie robi? Obiło mu się o uszy, że koniecznie trzeba podtrzymywać główkę – z jakiegoś powodu było to bardzo ważne. Słyszał też coś o „odbijaniu się u niemowląt” i samo określenie zbiło go z tropu. Pewnie trzeba będzie kupić poradnik i spokojnie go przeczytać. A najlepiej od razu kilka.

Nigdzie ani śladu Jamesa; Miles nie dostrzegął wokół żadnych znajomych twarzy, co niespecjalnie go martwiło. Po krępującym, nieprzyjemnym porannym spotkaniu z rodzicami miał ochotę spędzić czas tylko z Sadie. Ich dwoje przeciwko całemu światu; na tę myśl zalała go fala ciepłych uczuć. Czuł się, jakby był zamknięty w przezroczystej bańce, i chciał w niej pozostać aż do końca tego dnia.

– Kupię nam coś do picia – oznajmił. – Pójdiesz ze mną?

– Zaczekam tutaj. – Sadie rozejrzała się. Mieli świetną miejscówkę, na obrzeżach tłumy, za to z dobrym widokiem na scenę. Z przodu rozciągała się szeroka połać trawy, przez którą biegły kable od generatora; na skraju pola rósł niewielki zagajnik. – Będę wypatrywała pozostałych – dodała.

Miles przepchnął się do najbliższego stoiska z napojami i kupił piwo dla siebie i colę dla Sadie. Ruszył z powrotem, rozważając, czy nie wziąć przy okazji hot doga, gdy z przodu mignęła znajoma koszulka: jaskrawozielona, z przykrótkimi rękawami. Spojrzał na tył głowy jej właściciela: zobaczył ciemne kręcone włosy i już wiedział: to James w swoim ulubionym (i bardzo wiekowym) T-shircie z rysunkiem Wojowniczych Żółwi Ninja. Zaczął przeciskać się przez tłum w ślad za kumplem, usiłując nie rozlać napojów. Na scenę wyszedł właśnie kolejny zespół, ludzie parli naprzód i Miles kilka razy tracił Jamesa z oczu; gdy udało mu się wreszcie znaleźć wyłom

w ścisku, od przyjaciela dzieliły go co najmniej dwa rzędy głów.

Wówczas chłopak w zielonej koszulce odwrócił się i Miles stwierdził, że to nie James, tylko facet o dwadzieścia lat od niego starszy, z siwiejącym zarostem i całkiem gładką koszulką, jeśli nie liczyć małego logo Adidasa na wysokości piersi. Zażenowany odwrócił wzrok.

Omiótł spojrzeniem tłum dokoła zdziwiony, jak bardzo oddalił się od Sadie. Dopiero po chwili ją dostrzegł: nadal znajdowała się na skraju pola, lecz stała teraz bliżej linii drzew, w cieniu. Wydało mu się dziwne, że wybrała miejsce tak oddalone od centrum wydarzeń; zauważył, że przechyla głowę w bok, jakby kogoś słuchała, i domyślił się, że spotkała znajomego, zapewne tego, który poinformował ją o festiwalu. Zrobił kilka kroków w jej kierunku, lecz wciąż nie widział, kto przed nią stoi; obie postacie spowijał gęsty cień, w dodatku tłum ciągle spychał Milesa w kierunku sceny.

Sadie powiedziała coś do niewidocznego rozmówcy i nagle Miles, z ukłuciem przerażenia, dostrzegł lęk w jej twarzy. Zobaczył, że Sadie wycofuje się z plamy cienia i w odruchu obrony przyciska rękę do brzucha. Krew odpłynęła jej z policzków, oczy miała wybałuszone jak przestraszone dziecko.

Miles przepychał się przez ścisk, rozchlapując na boki piwo z plastikowego kubka. Słońce wyszło zza rzadkich chmur i oślepiło go nagle; ktoś z boku wbił mu łokieć pod żebra, a potem z głośników zagrzmiały pierwsze akordy piosenki.

Znowu mignęła mu przerażona twarz Sadie. Dziewczyna zatoczyła się i szeroko otworzyła usta, a wtedy wokalista zbliżył się do mikrofonu, publiczność ruszyła naprzód i Miles znów stracił ją z oczu.

Przecisnął się obok grupki dziewcząt, potknął o czyjaś torbę i w końcu wy dostał z gąszczu ciał na obrzeża tłumy. Spojrzał w lewo i zobaczył Sadie. Stała tyłem do niego, wciąż zapatrzona na drzewa. Dziеляcy ich dystans skracał się z każdą chwilą i Miles zauważył, że Sadie znowu jest sama. Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na jej ramieniu. Obróciła się na pięcie. Na

jego widok rysy jej twarzy złagodniały, choć w oczach ciągle krył się strach („Raczej przerażenie – poprawił głos w jego głowie – autentyczne skrajne przerażenie”). Wciąż przyciskała dłoń do brzucha, w którym rosło ich dziecko.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Co się stało?

Odwróciła głowę, rzuciwszy najpierw ukradkowe spojrzenie za siebie, na ciemną plamę lasu, co nie uszło uwagi Milesa.

– Nic takiego. Pijany koleś, wiesz, jacy oni są. Chodź, podejźmy bliżej sceny. – Chciał coś powiedzieć, lecz ruszyła przed siebie, wyjmując mu z ręki na wpół opróżnioną butelkę coli.

W sumie to nic dziwnego; Sadie jest piękną dziewczyną, pomyślał Miles, podążając za nią do bezpiecznego kręgu wokół sceny. Faceci często zaczepiali ją w barach albo na ulicy, próbowali zagadywać, dotykać jej w tłumie. Dlaczego więc teraz tak mocno bije mu serce? Ponownie obejrzał się za siebie, na drzewa, połyskujące złotem w ciepłych promieniach słońca. Nikogo nie zauważył.

Zerknął na Sadie. Nie odrywała wzroku od zespołu na scenie, kiwając lekko głową do rytmu. Pociągnęła łyk coli, lecz drugą ręką nadal obejmowała się za brzuch.

Miles uświadomił sobie, co go zaniepokoiło. Sadie bała się, w jej twarzy widział – no, niech już będzie – przerażenie. Niewykluczone, że wstrząsnęła nim tak otwarcie okazywana panika, lecz było coś jeszcze: wyraz twarzy Sadie mówił co innego. Miles pojął to dopiero, gdy zespół zaczął grać drugą piosenkę, a on zauważył, że Sadie znowu zerka w stronę zagajnika: to był przebłysk świadomości. Jakby zobaczyła kogoś, kogo dobrze знаła. Coś ją przeraziło, owszem, lecz dla niej, w przeciwieństwie do Milesa, było to coś znajomego.

2

2018

Ekipa filmowa po raz pierwszy spotyka się z Amber Banner w jej pokoju hotelowym w zachodnim Los Angeles. Dziewczyna jest ubrana w miękki hotelowy szlafrok, włosy (w większości swoje) ma ściągnięte w koczek na czubku głowy. Zwinięta kołdra leży w nogach łóżka, odsłaniając prześcieradło, poduszka zwisa z krawędzi materaca tuż nad podłogą pokrytą ciemną wykładziną. Na środku łóżka stoi taca z niezjedzonym śniadaniem dostarczonym przez obsługę hotelową. Cukier puder rozpuszcza się na stercie naleśników, a sąsiadujące z nimi plastry melona puszczają różowy sok. W kącie widać dwa inne nieuprzątnięte talerze – syrop na nich stęzał, sztucze leżą niedbale skrzyżowane. Bije od nich dusząca woń zgnilizny.

Amber osuwa się na brzeg łóżka i wzdycha. Patrzy, jak wchodzi gęsiego do środka, omijając pozostawione na podłodze sukienki i plątaninę beztrosko porzuconych rajstop, w których wciąż tkwią brudne majtki, obscenicznie wywinięte krokiem do góry. Na niedużym stoliku piętrzą się papierowe torebki po prezentach, kosze oraz kwiaty, wykładzinę zaścielają okolicznościowe kartki i przejrzałe owoce. Amber się uśmiecha.

Jej mina sprawia, że Greta czuje się jak dziecko podchodzące do wybiegu tygrysa w zoo.

– Amber, mam na imię Greta. Rozmawialiśmy wiele razy przez telefon.

Amber przygląda się jej, z głową lekko przekrzywioną w bok. W palcach zwija pasek szlafroka.

– Młoda jesteś – mówi wreszcie. Pobudzona kofeiną łypie na boki, omiatając rozbieganym spojrzeniem pozostałych dwóch członków ekipy, mikrofon w futrzanej osłonie i złożone statywy reflektorów. Ruchem ręki daje im znak, żeby usiedli. Greta przyciąga sobie blad różową pufę przed

biurka i siada na niej skrzepowana. Spod pachy wyjmując plik papierów, kładzie go na kolanach, wygładza kartki.

– Chcielibyśmy nakręcić, jak się ubierasz – mówi. – Wiem, że jesteś dziś bardzo zajęta. – Samochód prawdopodobnie już czeka, zniecierpliwiony szofer zerka na wyświetlacz komórki, podczas gdy studio, w którym Amber będzie wkrótce udzielać wywiadu, powoli zaczyna budzić się do życia: na scenę kierowane są światła reflektorów, obsługa ustawia fotele, podekscytowana publiczność posłusznie czeka w kolejce na zewnątrz, a na chodnik padają pierwsze promienie słońca. Telewizja śniadaniowa – największy koszmar Greta. Kiedyś w Londynie załapała się na staż w codziennym programie telewizyjnym, a po miesiącu udało jej się dostać stały płatny angaż. Pamięta, że od razu zadzwoniła do rodziców w Michigan, żeby się tym pochwalić – dwudziestodwulatka pół roku po studiach i już o krok bliżej wymarzonej kariery, o której fantazjowała przed wyjazdem. Wiedziała, że nie mają jej za złe, że przy pierwszej nadarzającej się okazji zamieniła Dearborn na Anglię, w dodatku mogła z czystym sumieniem powiedzieć: „Tak, było warto. Wszystko idzie zgodnie z planem”. Co z tego, że w rozmowie pominęła kilka szczegółów związanych z pracą (nieustanne przestawianie mebli oraz gości, wysłuchiwanie wrzasków, że znów robi coś nie tak). Przecież ostatecznie wszystko szło zgodnie z planem i oto dziś, po dziewięciu latach, kiedy to miała się najróżniejszych zajęć, Greta może to wreszcie udowodnić, siedząc naprzeciwko samej Amber Banner.

W torebce dzwoni komórka; Greta usiłuje ją odnaleźć wśród pendrive'ów, kwitków parkingowych, zgniecionych papierowych serwetek i lepkich tubek z kremem do opalania. Amber przygląda jej się z kocią obojętnością.

Greta odczytuje wiadomość od Federiki. „Jak ona się czuje? Przepróż ją w moim imieniu. Nie ma szans, żeby złapać pieprzony samolot”. W Londynie jest w tej chwili druga po południu; Greta wyobraża sobie, jak Federica parzy kolejne dwie kawy, po czym wsuwa palce jednej ręki we

włosy swojej dziewczyny, u nasady karku, a drugą ręką stawia kubek obok laptopa. Wychodzi na balkon, pełna obaw o pierwszy tydzień zdjęciowy – choć nie do tego stopnia, żeby faktycznie spróbować złapać któryś z samolotów startujących z londyńskich lotnisk w najbliższych dniach. Woli robić im wymówki. To Greta będzie musiała zadbać o wszystko, zbudować dobre relacje. To ona musi skruszyć, kawałek po kawałku, zbudowany przez Amber Banner na potrzeby brytyjskich mediów wizerunek „księżniczki z lodu” – zburzyć ten jej chłodny spokój, który przerażał tak wielu ludzi – i znaleźć ukrytą głębię, nieodkrytą dotąd prawdę, wokół której powstanie ich film.

Amber siedzi spokojnie, podczas gdy Tom nachyla się, aby sprawdzić natężenie światła; jego piegowata dłoń zawisa na moment obok policzka dziewczyny. Jej rzęsy skleja wczorajszy tusz, lecz skórę ma czystą i gładką, jeśli nie liczyć niedużej blizny na lewym policzku. W wypełniającym pokój świetle wczesnego poranka, z przekrzywioną na bok głową, wygląda jak modelka podczas sesji zdjęciowej. Greta przypomina sobie zdjęcia Amber, przyklejone taśmą do ściany nad biurkiem Federiki w Londynie. Skopiowana z gazety na arkusz A3 fotografia przez ostatnich kilka miesięcy była obecna we wszystkich kanałach telewizyjnych i przedrukowywana na pierwszych stronach gazet. Widać na niej Amber siedzącą na schodach przed gmachem sądu, z włosami ściągniętymi w grzeczny kucyk, w świeżo uprasowanej białej koszuli bez kołnierza zapiętej aż pod smukłą szyję. Brzegi zdjęcia rozmywają się w błyskach fleszy, w stronę dziewczyny wyciągają się dłonie uzbrojone w mikrofony. Zaciśnięte wargi Amber są rozciągnięte w delikatnym uśmiechu. Dziewczyna patrzy prosto w obiektyw, hardo, wyzywająco. Oto zakończenie historii, którą żyły wszystkie brukowce – i zarazem początek nowej.

– Za pół godziny muszę być w studiu NBC – odzywa się Amber i ziewa tak szeroko, że Greta widzi szarawy nalot u nasady języka i krwistoczerwony łuk podniebienia. – Ale nie ma sprawy, możecie kręcić.

Mam to gdzieś. Możecie mnie filmować, kiedy chcecie.

Greta wyczuwa, że Luca i Tom siadają z tyłu; wyraźnie daje się odczuć brak Julii, nowej asystentki kierownika produkcji. Julia to kolejna obietnica złożona i niedotrzymana przez Federicę – jeszcze jeden telefon, którego zapomniała wykonać. Kiedy w końcu Greta sama zadzwoniła, okazało się, że Julia przyjęła już inną propozycję pracy. Dzień później lecieli do Los Angeles. W rezultacie Tom, Luca i Greta musieli radzić sobie we trójkę; najbliższe pięć dni spędzą, tyrając w pocie czoła, taszcząc ciężki sprzęt z jednego miejsca na drugie i usiłując nadążyć za nieustannie ewoluującą wizją Federiki.

Greta stara się nie przeszkadzać Luce, który próbuje tak umieścić tyczkę mikrofonu, żeby jej cień nie znalazł się w kadrze.

– A więc, Amber – zaczyna, usiłując jednocześnie wyplątać klapek z ramiączka biustonosza, o które zaczepiła, przechodząc przez pokój. – Odpowiada ci harmonogram, o którym rozmawialiśmy? Zgadasz się porozmawiać z nami na te tematy? Wiem, że nie jest ci łatwo mówić o tym, co się stało.

Nie może się powstrzymać, żeby nie zadać tego pytania, chociaż zdaje sobie sprawę, że Federica by się wkurzyła. W świetle prawa Amber jest osobą dorosłą – o tyle, o ile – poza tym podpisała kontrakt. Greta, Federica i stacja o wszystko się zatroszczyły. Mimo to nie potrafiła ugryźć się w język. Coś kazało jej dać Amber ostatnią szansę na wycofanie się, ale wyraźnie widać, że dziewczyna nie jest tym zainteresowana.

– Nadal myślicie, żeby zrobić z tego dziesięć odcinków? – Amber nachyla się i dotyka plastra melona, jakby chciała go podnieść do ust, lecz jej palce zastygają w powietrzu. Spojrzeniem przewierca Gretę.

– Zależy, ile materiału nakręcimy. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to owszem.

Cofa rękę i wyciera ubrudzone różowym sokiem palce o szlafrok.

– Tata dalej nie chce z wami gadać?

Dzwoni komórka Greta – dobra wymówka, żeby zignorować pytanie o Milesa. Greta wymyka się na korytarz i odbiera, zanim włączy się poczta głosowa.

– I jak wam idzie? – pyta Federica. – Dziewczyna daje radę?

– Dopiero dotarliśmy na miejsce. Sprawia wrażenie zadowolonej, więc chyba wszystko w porządku.

– Kręcicie, jak się ubiera, tak jak mówiłam?

– Tak.

– Świetnie. Znakomicie. To mi się podoba: obserwowanie, jak wkłada tę swoją oficjalną maskę. Założę się, że bez makijażu wygląda znacznie młodziej, co?

– Tak jakby. – Greta wcale nie jest tego pewna. Tak się przyzwyczaiła do widoku Amber Banner na fotografiach, do czytania protokołów, reportaży i felietonów na temat tego, co ta dziewczyna zrobiła, że często zapomina, iż mają do czynienia z osiemnastolatką. Osiemnastolatką, którą sfilmowano roześmianą i żartującą ze swoim prawnikiem przed salą rozpraw. Osiemnastolatką, która wedle doniesień prasy w niespełna czterdzieści osiem godzin po zwolnieniu z policyjnego aresztu podpisała kontrakt z agentem literackim. Dziewczyną, którą świat po raz pierwszy zobaczył na zamazanym zdjęciu pstrykniętym komórką, w zbryzganej krwią jasnej koszulce, z ciemną plamą zaschniętą przy ustach.

– Posłuchaj – mówi Federica – wiem, że ustaliliśmy z nią pewien harmonogram i w tej kwestii nic się nie zmienia, ale byłoby dobrze, gdybyś, no wiesz, spróbowała pogrzebać głębiej. Zadaj parę podchwytliwych pytań, postaraj się podejść ją z zaskoczenia. Aha, i jeszcze jedno: znajdź chwilę, żeby pogadać sam na sam z Tomem. Przypomnij mu, żeby od czasu do czasu po zakończeniu zdjęć zostawił włączoną kamerę. Nagramy, jak spędzacie z nią czas, gawędzicie i takie tam.

Greta zagryza wargę.

– Mamy ją filmować bez jej wiedzy?

– Gdy tak to ujmujesz, brzmi fatalnie. Nie namawiam was, żebyście zamontowali w jej pokoju ukrytą kamerę, nic z tych rzeczy. Ale wiesz, jak jest. Zwykle ludzie mówią najciekawsze rzeczy dopiero, jak pada komenda „cięcie”. Więc... może czasem byłoby sensownie dać jej do zrozumienia, że skończyliście kręcić.

Greta milczy, przyciska do ucha rozgrzany aparat. Hotelowy korytarz, ze ścianami pokrytymi wytłaczaną tapetą i pasiastą wykładziną podłogową, zdaje się ciągnąć w nieskończoność.

– Słuchaj, Greto, chodzi o to, że... Tutejsze brukowce znowu piszą, że podpisała umowę z wydawnictwem. Podobno zaoferowano jej siedmiocyfrową sumę, chociaż nie wiem, czy to prawda. Ale zdecydowanie coś jest na rzeczy. I bardzo dobrze – biografia to nie film. Książka przedstawi wersję Amber, jej punkt widzenia, prawdę ocenioną przez nią. My musimy dotrzeć głębiej. Jestem przekonana, że nie powiedziała nam wszystkiego. Jeżeli ten film ma się udać, musimy wycisnąć z niej jak najwięcej.

– Dobrze... Postaram się.

– Słuchaj, naprawdę mi przykro, że mnie z wami nie ma. Wiem, że to kiepski moment, żeby tłumaczyć się sprawami osobistymi, ale naprawdę musiałam zostać. Wyjaśnię ci wszystko, kiedy się zobaczymy. Wierzę w ciebie, Greto. Wiem, że dasz radę. Ten film to twoja wielka szansa, pamiętaj.

– W porządku. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko gra. – Greta rumieni się zażenowana. Zza drzwi dobiega śmiech Amber. – Chyba powinnam wracać.

Wchodzi do pokoju i widzi, że Amber nakłada makijaż przed lustrem, a Tom ją filmuje. Luca znalazł odpowiednie miejsce obok nocnego stolika, na którym leży sterta amerykańskich gazet z ostatnich kilku dni oraz przywiezione z kraju brukowce. Przyjazd Amber do Ameryki wzbudził duże zainteresowanie tutejszej prasy, która z upodobaniem od nowa relacjonuje

całą sprawę. Media w Wielkiej Brytanii nie zawsze były dla dziewczyny życzliwe; Greta dobrze pamięta artykuł w „Daily Mail” o tym, że Amber Banner reprezentuje sobą wszystko, co najgorsze w „dzisiejszej młodzieży”. Amerykanów, do których „gorączka Amber” dotarła znacznie później, najwyraźniej ujęła bohaterka tej makabrycznej historii i jej trudne życie, a zwłaszcza jego dramatyczne początki. W czasopiśmie leżącym na wierzchu sterty zamieszczono fotkę wykonaną zaraz po przylocie Amber do Los Angeles: dziewczyna ze spuszczoną głową i w ciemnych okularach gwiazdy filmowej opuszcza lotnisko. „Amber Banner przybywa do Hollywood!”. Luca zerka na Gretę i wywraca oczami.

W reakcji Greta pozwala sobie na błądy uśmiech i odsuwa się od niego.

– A więc, Amber, cieszysz się na dzisiejszy występ?

Dziewczyna wzrusza ramionami, szoruje pędzelkiem po paletce cieni do powiek i zaczyna się malować. Nie strząsnęła nadmiaru cienia, więc na jej policzku osiada szary pył.

– Nieszczęśliwie. Ale fajnie jest móc wreszcie o tym mówić. Teraz, kiedy proces się skończył.

– Chcesz opowiedzieć ludziom, co naprawdę się wydarzyło? – Greta nie cierpi tonu, który przybrała, świadoma, że będzie ją słyszeć w filmie. Brzmi zupełnie, jakby czytała z kartki, choć przecież improwizuje, usiłując odgadnąć, o co chodzi Federice po drugiej stronie oceanu.

Amber uśmiecha się do swojego odbicia w lustrze. Greta wie, że Tomowi bardzo podoba się to ujęcie. Operator przysuwa się i zastyga, Amber zaś też nieruchomieje na moment, jakby odgadła jego pragnienia. A potem mówi:

– Właśnie.

3

2000

Miles zbudził się z uczuciem lęku, jak zwykle zresztą. Dziwne, pomyślał rozespany, uznawać coś za standard, choć trwa nie dłużej niż tydzień. Bo tylko tyle to trwało. Szybko policzył w myślach: od dnia narodzin Amber upłynęło dziesięć dni. Trzy, odkąd Sadie stwierdziła, że na ich córce ciąży klątwa.

Ostatnio często miał wrażenie, że jego życie toczy się w przyśpieszonym tempie. Wydawało mu się, że Sadie dopiero oznajmiła mu, że jest w ciąży; ledwie zdążył mrugnąć, ich dziecko było już na świecie. Przeprowadzili się z akademika do ciasnego mieszkanca na osiedlu parę kroków od uczelni. Wszystko układało się jak najlepiej, wszystko było nowe i ekscytujące: brzuch Sadie rósł z miesiąca na miesiąc, na lodówce pojawił się przytwierdzony magnesem jeden, potem drugi wydruk z badania USG, a honorowe miejsce na telewizorze zajęło zdjęcie ich obojga w urzędzie stanu cywilnego. Poduszki ze sklepu z używanymi rzeczami ożywiły gładką brązową kanapę, w obskurnej sypialni piętrzyły się sterty białych ubranek. Miles świetnie sobie radził na studiach. Przywykł wstawać codziennie skoro świt, żeby się uczyć; obok na parapecie okiennym stał jego ulubiony kubek z kawą, w łóżku zaś spała Sadie, zwinięta w kłębek, ramieniem obejmując odciśnięty w materacu kształt jego ciała.

A potem urodziła się Amber i wszystko się zmieniło.

Przez pierwsze kilka dni Miles był kompletnie rozbity. Gdy tylko wziął małą na ręce, poczuł, że zaraz straci Sadie: jej blada twarz miała barwę wosku, na podłodze rozlewała się kałuża krwi. Po wykonanym w trybie pilnym cesarskim cięciu równie pilna była transfuzja i Miles z dzieckiem w ramionach został odsunięty na bok, żeby nie zawadzał. Drastyczne

wydarzenia, których był świadkiem, wstrząsnęły nim, a ich wspomnienie prześladowało go przez wiele dni. Każdego ranka w szpitalnej łazience zaskakiwało go odbicie własnej zmartwionej, wymizerowanej twarzy w lustrze. Jednak Amber zdrowo jadła i zdrowo spała, jej miękką główkę pokrywała czuprynka jasnych włosów i w końcu uczucie balansowania nad przepaścią z wolna zaczęło go opuszczać.

Nie na długo. Już pierwszego poranka po powrocie ze szpitala Sadie powiedziała to na głos. Gdy na wpół przytomny Miles po omacku szukał drogi do toalety, ona, wsparta na uniesionej poduszce, żeby łatwiej jej było karmić, spojrzała na córeczkę i rzekła:

– Przepraszam.

Nie zwrócił na to uwagi, ale kiedy wrócił do łóżka, Amber leżała z boku, marudna, bliska płaczu, zaś siedząca obok niej Sadie wpatrywała się w kąt pokoju. Miles rozejrzał się, lecz wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wcześniej – stary fotel został przesunięty, żeby zrobić miejsce na przewijak, na nim leżały złożone ubranka. Ponownie zerknął na Sadie – biustonosz i koszulkę wciąż miała zsunięte z ramienia, wzrok wbity w fotel. Zawodzenie Amber przybrało na sile.

Z bijącym sercem wypowiedział wówczas imię Sadie. Przedwczesna okazała się ulga, którą poczuł, gdy jej spojrzenie spoczęło na nim.

– Przyjdą po nią – oznajmiła ze spokojem w głosie. – Jest przeklęta tak samo jak ja.

Popatrzyła na ich nowo narodzoną córeczkę i znów przeniosła wzrok na Milesa.

– Przepraszam – powtórzyła. Wstała z łóżka i przy akompaniamencie głośnego lamentu Amber wyszła z pokoju. Miles uspokoił małą, nasłuchując dobiegającego z kuchni brzęku zmywanych garnków. Potem Sadie zawołała, że wychodzi po mleko, i zanim zdążył jej odpowiedzieć, drzwi wejściowe się zamknęły. Miles podszedł do telefonu i zadzwonił do matki.

– To trudny okres – poinformowała (a raczej zbyła) go Frances. – Nawet

sobie nie wyobrażasz. Przejdzie jej.

Jednak nie przeszło. Albo raczej nie mogło przejść. Bo choć temat klątwy już nie powrócił, Miles niejednokrotnie widział, jak Sadie obserwuje dziecko, sprawdza okna, rygluje drzwi nawet w środku dnia.

Najgorsze było szeptanie. Co prawda zdarzyło się tak tylko raz („Bo o innych przypadkach nie wiesz” – dodawał złośliwy głos w jego głowie), niemniej jednak Miles nie potrafił przestać o tym myśleć. Pewnego wieczoru, nieprzytomny z niewyspania, wrócił późno z wykładów i przekręcając klucz w zamku, usłyszał, że Amber znowu płacze. Znalazłszy córeczkę w poplamionym mlekiem bujaku – także ze sklepu z używanymi rzeczami – wziął ją na ręce. Jej wycie w ciągu kilku minut niemal doprowadziło go do obłądu. Przez otwarte drzwi wpadł jak burza do sypialni. Spodziewał się zastać Sadie pogrążoną we śnie; był wściekły na siebie za to, że się wścieka, a zresztą gniew prawie mu przeszedł, gdy Amber nagle ucichła i mokrymi usteczkami zaczęła skubać jego ramię.

Sadie nie było w łóżku. Stała zwrócona plecami do niego, z dłonią opartą o ścianę. Lekko przygarbiona pochylała się nad starym fotelem – i szeptała.

Wydawało mu się, że słyszy: „Tylko nie ona”, choć później doszedł do wniosku, że wyobraźnia spłatała mu figła. Podobnie jak wówczas, gdy przez ułamek sekundy miał wrażenie, że dostrzega cień nie jednej, ale dwóch sylwetek na brudnej, pokrytej zaciekami ścianie.

Na pewno jednak nie wyobraził sobie furii, którą ujrzał w oczach Sadie, gdy się odwróciła i zobaczyła go stojącego w progu. Na pewno też nie wyobraził sobie, że zatrasnęła mu drzwi sypialni przed nosem, choć już pięć minut później, gdy w kuchni usiłował nakarmić Amber butelką z nieporadnie przygotowaną mieszanką, było tak, jakby nic złego się nie wydarzyło: Sadie weszła i zaczęła siekać cebulę oraz marchew na zapiekankę, o której rozmawiali rano.

Nic więc dziwnego, że po tym wszystkim zaczął budzić się w nocy zdjęty nagłym lękiem. Strach stał się jego wiernym towarzyszem, uczuciem tak

dobrze znanym, że niemal przynosiło ulgę. Dlatego tego konkretnego poranka niewiele brakowało, żeby Miles znowu zamknął oczy i poddał się lękowi.

Lecz przekręcił się na bok i dłonią dotknął chłodnego prześcieradła po stronie Sadie. Do sypialni wsączało się słabe, szare światło. Słysząc było, że Amber zaczyna się kręcić w swoim wiklinowym koszyku, lecz jej matka znikła, a róg kołdry był równo odwinięty.

Miles wstał, czując narastający lęk. Amber zaczęła pojękiwać przez sen, ale zostawił ją w koszyku i wyszedł na klatkę schodową, mrugając powiekami, żeby pozbyć się resztek snu. Lęk urósł do rozmiaru paniki.

Jak później powiedział Miles, od razu się domyślił, co się stało. Wiedział to i czuł, a jednak wykonał kolejno wszystkie zbędne czynności – obszedł mieszkanie przy akompaniamencie coraz głośniejszego płaczu najpierw niezadowolonego, potem zaniepokojonego niemowlęcia. Nie potrzebował wiele czasu, aby się zorientować, że wokół panuje cisza i bezruch. Ani śladu Sadie. Wyparowała. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na zamek – swój klucz zostawiła na stole.

Natychmiast zrozumiał, że naprawdę odeszła.

4

2018

Podczas lunchu Amber zaciska palce na rozchwianym piętrowym hamburgerze; bułka ustępuje pod naciskiem, krwawy sos wycieka obficie. Dziewczyna wbija zęby w kanapkę, plasterki korniszona chrupią jej w ustach. Spojrzenie napotyka wzrok Grety. Nie przestając poruszać szczękami, Amber odkłada hamburgera i razem przyglądają się, jak przypominające krater wgłębienie w bułce powoli znów się wypiętrza. Pasemko rozpuszczonego sera, które przykleiło się do brzegu talerza, spada na lakierowany blat stolika. Wydaje się, że Amber w ogóle nie jest speszona obecnością kamery – można pomyśleć, że o niej zapomniała, gdyby nie to, że w pewnym momencie odwraca się i częstuje Toma frytką.

– Jak twoim zdaniem poszło? – pyta Greta i odsuwa od siebie sałatkę.

Amber wzrusza ramionami, pociąga solidny łyk napoju gazowanego.

– Wszyscy byli bardzo mili – mówi po przełknięciu.

– Trudno ci opowiadać o tym wszystkim publicznie? Stale to rozgrzebywać?

Dziewczyna znów bierze oburącz hamburgera i przygląda mu się. Z boku kanapki wycieka kolejna strużka stopionego sera i rozpoczyna nieuniknioną wędrówkę w kierunku blatu. Krwawy sos kapie na talerz; towarzyszą temu regularne ciche pacnięcia.

– Nie – odpowiada w końcu, spoglądając na Gretę. – Dobrze, że mogę wreszcie o tym mówić. – Znowu wzrusza ramionami, bierze kęs kanapki. – To fantastyczne uczucie.

Greta rozgląda się po barze. Lokal jest prawie pusty; ruch zacznie się dopiero za jakąś godzinę. Wokół nie ma żadnych fotoreporterów, co bardzo ją cieszy. Ale chyba tylko ją: Tomowi zależy na ujęciach z udziałem

paparazzich. Greta wyobraża sobie gotowy, zmontowany film: czarno-białe kadry, najprawdopodobniej z dogranym komentarzem Federiki. Może puszczać to w zwolnionym tempie: błyski fleszy eksplodujące na przyciemnianej szybie auta, usta fotoreporterów wykrzykujących imię Amber, podczas gdy dziewczyna odwraca od nich głowę. Może nawet wykorzystają ten materiał pod napisy początkowe.

Amber obserwuje ją z uśmiechem igrającym w kącikach warg. Ona wie, domyśla się Greta. Wie, że Greta nie ma pojęcia, co robić. Obie zostały pozostawione same sobie, lecz tylko jedna jest zdezorientowana. Amber opada na oparcie siedzenia w boksie i ziewa. Greta chrząka.

– Nigdy cię to nie męczy? – pyta. – To, że jesteś rozpoznawana. Że zaczepiają cię na ulicy. Czy to nie dziwne, że nieznajomi wiedzą więcej o twoim wczesnym dzieciństwie niż ty sama? Ludzie piszą o tobie prace naukowe. – Przesadza; chodzi o jedną osobę, która z przejęciem komentuje każdy internetowy artykuł na temat rodziny Bannerów, a także założyła własną stronę poświęconą ich historii. W sieci takich stron jest kilka, lecz tylko z tej jednej można ściągnąć pełną treść pracy magisterskiej. Ostatnio, przeszukując zasoby internetu, Greta odkryła niepokojący świat twórczości fanów Amber oraz Sadie Banner – fora, opowiadania, wręcz całe powieści zamieszczane online, których bohaterkami są nieszczęśliwa matka, obarczona klątwą córka oraz Człowiek z Lasu.

Amber śmieje się, a Grecie serce zaczyna bić mocniej. Federice spodoba się ten śmiech, urywany i pełen goryczy. Prawdopodobnie wykorzysta to ujęcie zaraz po którymś z zarejestrowanych dziś rano wywiadów udzielonych gospodarzom popularnych talk-show – najlepiej po takim, w którym Amber wypadła słodko i po brytyjsku, dyskretnie, estetycznie roniąc łzy. Pewnie po tym, podczas którego sama prowadząca musiała sięgnąć po jednorazową chusteczkę, a w przerwie reklamowej, gdy Amber zeszła za kulisy, na scenę wpadła wezwana w trybie alarmowym makijażystka. Tak, Federice to się spodoba, zwłaszcza w kontraście z ciszą,

jaka zapada, gdy Amber wpatruje się w okno. Oblicze na użytek publiczny i oblicze prywatne; myśli kłębiące się za fasadą najbardziej niesławnej w ostatnich dniach twarzy w Wielkiej Brytanii.

Twarzy najpopularniejszej brytyjskiej morderczynie.

Odstawiają Amber do hotelu, gdzie ma zarezerwowaną serię zabiegów w spa. Po drodze gwiazda chwytą Gretę za rękę na tylnym siedzeniu.

– Myślisz, że powinnam przefarbować włosy? Myślałam o jasnym blondzie. Wiesz, takim, który jest prawie jak siwy. Albo jak biel w odcieniu bladego fioleto.

Greta, której odrosty od dawna proszą się o farbę i sięgają już poniżej uszu, mruży coś niezobowiązująco.

– To modny kolor. Ale chyba dość kłopotliwy w utrzymaniu.

Amber krzywi się i odwraca wzrok. Puszczą rękę Grety; dłoń dziennikarki opada na siedzenie. Kiedy zatrzymują się przed hotelem, Amber wysiada i na pożegnanie strzela balonem z gumy do żucia.

– Widzimy się rano?

– Tak. Do jutra – odpowiada Greta i gryzie się w język, żeby nie powiedzieć, iż nowa fryzura Amber spowoduje spore zamieszanie. Federica się wkurzy, że ich bohaterka zmieniła kolor włosów w trakcie zdjęć. Czemu jednak nie miałyby się przefarbować? – myśli. Czemu nie wkurzyć Federiki? Amber to jedyny element produkcji, nad którym nie mają żadnej kontroli, i Greta zdaje sobie sprawę, że świadomość tego stanu rzeczy zaczyna frustrować przesławną Federicę Sosę. Ostatnio widziała to na własne oczy w Londynie: Amber kilka razy zignorowała telefony od Federiki, a zaplanowane z nią spotkanie dwukrotnie przełożyła, po czym całkowicie je odwołała. Pomysł uroczystej kolacji z udziałem reżyserki i bohaterki filmu spalił na panewce po tym, jak Amber wypięła duszkiem cztery koktajle i oznajmiła, że woli pójść potańczyć, zamiast nudzić się w elitarnym klubie, jak tego chciała Federica. Nic więc dziwnego, że „sprawy osobiste”, które zatrzymały Federicę w Londynie, okazały się na tyle istotne, by na tym

etapie realizacji projektu przekazać pałeczkę Grecie. Grecie, która potrzebuje tego filmu, żeby zaistnieć, i która zdaniem szefowej doskonale sprawdza się w kierowaniu („Manipulowaniu” – podpowiada Grecie cichy głosik) trudnymi osobami pokroju Amber („Tamci w niczym nie przypominali Amber” – argumentuje głosik i Greta jest zmuszona go zbagatelizować).

Po powrocie do taniego motelu Greta sprawdza e-maile, usiłując ignorować walenie zagłówkiem łóżka o ścianę w pokoju obok i wyjące kilka przecznic dalej syreny. W skrzynce pocztowej nie ma nic nowego, co samo w sobie jest nowością; ale w Londynie jest teraz wieczór i Federica zapewne właśnie nalewa sobie pierwszą albo drugą wódkę z tonikiem. Greta ponownie czyta wiadomość od swojej współlokatorki Hetty, wysłaną wczoraj i odebraną w środku nieprzespanej nocy. Hetty jak zwykle przechodzi prosto do rzeczy – proponuje zorganizować w przyszłym tygodniu kolację urodzinową dla ich drugiej współlokatorki, Lisette. Greta szybko odpisuje, że się zgadza; w przyszłym tygodniu będzie z powrotem w Londynie, choć już teraz wie, że czeka ją harówka po dziewiętnaście godzin dziennie: zbieranie dodatkowych materiałów, przeglądanie nagrań, pomaganie Federice w odnalezieniu tajemniczego „czegoś”, co pozwoli im rzucić nowe światło na sprawę Bannerów, o towarzyszeniu Amber podczas kręcenia zdjęć nie wspominając. Wmawia sobie jednak, że mimo wszystko da radę wziąć udział w tej kolacji. Dopiero od pół roku mieszka pod jednym dachem z Hetty oraz Lisette, które spędziły tam wcześniej razem trzy lata, ale miło jest robić coś wspólnie. To ważne, napomina się w myślach. Ważne, by mieć w życiu coś poza pracą. Kiedyś popełniła już ten błąd.

Wysławszy wiadomość, otwiera nową zakładkę i wchodzi na dysk ekipy. W rogu ekranu zauważa ikonkę Toma – pewnie przegląda materiał z całego dnia. Federica tymczasem dodała do folderu nowe wskazówki w typowym dla siebie niekonsekwentnym zapisie stenograficznym, wreszcie – trochę to niepokojące – zrozumiałym dla Greta.

Na razie jednak Greta nie potrafi się zmusić, żeby je przeczytać. Czekając, aż Tom wrzuci na dysk dzisiejsze nagrania, przegląda wcześniejsze materiały, zebrane jeszcze w Londynie na etapie gromadzenia dokumentacji. Całe foldery pełne notatek i opracowań przygotowanych przez nią oraz Federicę, stenogramy i wywiady sprzed lat, zdjęcia z policyjnego dochodzenia. Kładzie się na brzuchu na trzeszczącym łóżku i odtwarza plik wideo z jedną z przeprowadzonych przez Federicę rozmów, choć raz poprawnie opisany: „Garrett 23/02/18 FS”.

David Garrett wygląda na śliskiego typu; zapowiadał to już zresztą jego głos, gdy Greta zadzwoniła, żeby umówić się na spotkanie. Wierci się na plastikowym kawiarnianym krzeselku, ostre, białe światło reflektora odbija się od tłustej skóry na jego nosie i czole, pod pachami koszuli ciemniejszą plamą potu.

– Proszę powiedzieć, jaką funkcję pełnił pan w chwili zaginięcia Sadie Banner – odzywa się zza kadru Federica; niewątpliwie jest już po dwóch kawach, bo również wierci się niespokojnie.

Garrett chrząka.

– Byłem posterunkowym. Przydzielono mnie do tej sprawy po tym, jak funkcjonariusze, którzy przyjęli zgłoszenie, uznali, że okoliczności zaginięcia są podejrzane.

– Może pan powiedzieć coś więcej o waszych wstępnych ustaleniach?

– Nie stwierdziliśmy nic nadzwyczajnego. Żadnych śladów walki ani nic z tych rzeczy. Mąż położył się spać, a gdy się obudził, żony już nie było. Stara śpiewka.

– Założył pan, że go zostawiła?

– Owszem, na początku taka była powszechna opinia. Zabrała ze sobą torbę i trochę ubrań.

– Co sprawiło, że zaczął pan podejrzewać, że stało się coś poważniejszego?

Garrett znowu się wierci i w tym samym momencie w rogu ekranu

wyskakuje okienko z powiadomieniem. Greta wzdyga się, przebiega wzrokiem widoczny na podglądzie tekst: „Re: twoje ostatnie zamówienie w JustEat”. Zamyka okienko i z powrotem skupia uwagę na nagraniu.

– Po pierwsze, dziecko miało zaledwie dziesięć dni. Dlatego początkowo obawialiśmy się, że Sadie może cierpieć na depresję albo psychozę poporodową, więc może jej grozić niebezpieczeństwo.

– Ale ta hipoteza nie utrzymała się długo?

Znowu rozlega się nerwowy śmiech – to się doskonale nada, najprawdopodobniej zrobią zbliżenie twarzy policjanta.

– No cóż, nigdy całkowicie jej nie odrzuciliśmy – mówi mężczyzna, bawiąc się saszetką z cukrem. – Jednak po pierwszych konsultacjach z opieką społeczną, położną środowiskową i lekarzem rodzinnym okazało się, że Sadie Banner nie była w grupie ryzyka. A przynajmniej nie zaobserwowano u niej żadnych typowych objawów. Tymczasem... zaniepokoiło nas co innego.

– Opowie mi pan o tym? – prosi Federica. Greta wstaje i przechodzi do łazienki, żeby opłukać twarz; z pokoju dobiegają ją metaliczne dźwięki nagrania.

– No cóż, jej mąż znalazł się... w kręgu naszego zainteresowania.

– Dlaczego?

– Szybko stało się jasne, że coś ukrywa. W kontaktach z nami przejawiał pewną... niechęć.

– Nie przyszło wam do głowy, że ma to związek ze stresem? Bądź co bądź musiał samotnie zajmować się dzieckiem.

– Może z początku. – Greta wraca do pokoju, wycierając twarz szorstkim ręcznikiem. David Garrett dziwnie wymawia niektóre słowa; zauważyła to już za pierwszym razem, kiedy oglądała nagranie. „Mosze z początku...”. – Będę z panią szczerzy. – Po tych słowach wysypuje wreszcie cukier z saszetki. – Byłem na sto procent przekonany, że to jego sprawka. Sęk w tym, że nie potrafiliśmy mu niczego udowodnić.

– Sądził pan, że Miles Banner zamordował swoją żonę?

– Tak, proszę pani. Postawiłbym na to wszystkie pieniądze.

Federica pozwala, by cisza wybrzmiała dłużej, niż Garrett zapewne by sobie życzył, potęgując w ten sposób jego dyskomfort. Greta wie, że to ujęcie w niezmienionej formie znajdzie się w ostatecznej wersji filmu. Trzeba dać widzom czas, żeby załapali dowcip. A napięcie niech rośnie... W końcu Federica przerywa milczenie.

– W takim razie to, co później nastąpiło, musiało być dla pana sporym zaskoczeniem?

Garrett udowadnia, że ma dystans do siebie, i się śmieje.

– Faktycznie – przyznaje. – Przez piętnaście lat żałowałem, że nie zdołałem mu udowodnić popełnienia tego morderstwa, aż tu pewnego dnia ofiara puka do drzwi swojego domu.

5

2016

Rankiem w dniu szesnastych urodzin swojej córki Sadie Banner ubrała się elegancko. Nie zanadto oficjalnie, ale ładnie. W sam raz na tę uroczystą okazję. Próbowwała nie myśleć o poprzednich urodzinach, które ją ominęły, o wszystkich niewysłanych kartkach z życzeniami i latach, gdy o tej dacie nie pamiętała (choć to akurat nieprawda; zawsze pamiętała). Starła się zapomnieć o urodzinach Amber, spędzanych w żałobie, w strachu i samotności (choć to też nieprawda; nigdy nie była sama). Usiłowała nie myśleć w ogóle o niczym – jak zwykle zresztą. Po prostu wzięła prysznic i ubrała się tak, jak tego od niej oczekiwano.

Zeszła na dół po schodach, zabrawszy dla Amber prezenty w błyszczącej papierowej torbie, o co prosił Miles. Nienawykłe do jej ciężaru schody trzeszczały zaniepokojone. Dom często okazywał jej otwarcie swoją wrogość. Słyszała to w każdym stuknięciu zacinających się drzwi, w każdym skrzypnięciu klepek podłogowych: „Intruz”. Nie mogła temu zaprzeczyć.

Z kuchni dobiegały odgłosy krzątającego się Milesa i skwierczenie ciasta na rozgrzanej patelni. No jasne, naleśniki; ulubione danie Amber, przypomniawszy sobie, ponieważ od pół roku na nowo poznawała swoją córkę – jej upodobania, nawyki, powiedzonka. Przypominało to ciągle wkuwanie do egzaminu; Sadie pamiętała, że ślęczała kiedyś nad egzemplarzem czasopisma „Smash Hits”, usiłując zapamiętać jak najwięcej faktów z życia ulubionej gwiazdy pop swojej córki. Odkryła przy tym, że nie może być pewna nawet tego, co już wiedziała – zbyt wiele rzeczy zmieniało się z dnia na dzień. Przez pewien czas, wkrótce po powrocie Sadie do domu, Amber uwielbiała naleśniki; teraz jednak musiały być małe i grube,

w amerykańskim stylu. Wszystko, co lubiła Amber, było teraz amerykańskie: ciuchy, które nosiła, muzyka, której słuchała, programy, które nieustannie oglądała w telewizji i na laptopie. Zaczęła nawet mówić z lekkim akcentem, bardziej nosowo; Sadie nie potrafiła stwierdzić, czy dziewczyna robi to umyślnie, czy też dzieje się tak za sprawą wielogodzinnych maratonów z bohaterami *Plotkary*, *Beverly Hills 90210* (a właściwie remake'u *Beverly Hills 90210*! Ależ staro się przez to poczuła!) albo *Słodkich kłamstewek*, bez których jej córka nie wyobrażała sobie życia.

Jej córka. Dziwnie było rościć sobie do niej prawa, choćby tylko w myślach.

Kleпки podłogi w holu skrzypiały, gdy szła do kuchni, gdzie Miles nucił do wtóru ze śpiewającym w radiu Frankiem Vallim. Sadie skręciła za róg i zobaczyła go, zwróconego tyłem; sprawnie przewrócił naleśnik na drugą stronę i kręcąc biodrami w rytm muzyki, zamieszał w misce resztę surowego ciasta. Był to pierwszy słoneczny dzień tej wiosny i światło wpadające przez okno kuchenne miało ciepły odcień rozpuszczonego masła. Miles odwrócił się, żeby zsunąć usmażone naleśniki na stertę obok, i zobaczył Sadie przed sobą. Był ubrany w spodnie od pizamy, szary T-shirt miał zachlapany ciastem, włosy zaś sterczały mu z boku głowy. Stanowił jedyny element jej życia, który ani trochę się nie zmienił. Po powrocie z początku wyprowadzało ją to z równowagi, teraz nadal trudno jej było się z tym pogodzić. Na ułamek sekundy wyobraziła sobie, że nastał ten poranek, gdy po raz pierwszy obudziła się w jego pokoju w akademiku i szukając go, zawędrowała do kuchni. Wprawdzie wówczas smażył – a raczej przypalał – bekon, a jego koszulka nosiła ślady piwa zmieszanego z cydrem, którym raczyli się poprzedniego wieczoru, jednak Sadie potrafiła sobie wyobrazić, że późniejsze wydarzenia w ogóle nie nastąpiły.

Lecz trwało to tylko chwilę.

Uśmiechnął się do niej; przychodziło mu to z coraz większą łatwością. Albo po prostu reagował szybciej – strach i nieufność, które dostrzegała

w jego twarzy, ilekroć na nią spoglądał, ulatniały się teraz błyskawicznie. Spróbowała odwzajemnić uśmiech, kiedy podszedł do niej ze szpatułką do ciasta w dłoni. Pocałował ją w kącik oka, jakby wahał się pomiędzy czołem a policzkiem i zbyt późno podjął decyzję.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odparła zaskoczona, że wystarczyło jej śmiałości, aby objąć ramieniem jego rozgrzane słońcem plecy i wciągnąć mączny zapach jego rozspanego ciała z delikatnymi nutami wody kolońskiej oraz potu. Miles odsunął się, odbierając od Sadie torbę z prezentami.

– Pamiętam stare dobre czasy – rzekł – gdy zarywałem noce, głowiąc się, jak zapakować trójkołowy rowerek z różowego plastiku albo konny powóz Barbie. – Zbyt późno uświadomił sobie, że ostatnia uwaga mogła zabrzmieć jak przytyk. Zauważyła to i znowu uśmiechnęła się uspokajająco. Postawił torbę na stole i niespiesznie ułożył w niej pojedyncze zawiniątka – paletkę do makijażu firmy MAC, płyty DVD, perfumy, których cenę Sadie uznała za astronomiczną – żeby kusząco z niej wystawały. Zadowolony z osiągniętego efektu wrócił do płyty kuchennej i wylał na patelnię kolejną porcję ciasta.

Jego słowa oczywiście ją zabolowały, ale wiedziała, że nie zamierzał jej zranić. Wspomnień nie należało unikać; przeciwnie, trzeba je było pielęgnować, przywoływać i celebrować, a nie odrzucać niczym śmieci znalezione na plaży. To nie jego wina, że te niewinne wspomnienia różowych trójkołowych rowerków i plastikowych koników są dla Sadie czymś obcym i napełniają ją przerażeniem. Nie jego wina, że porzuciła ich oboje. Nie jego wina, że teraz wróciła.

Podeszła do lodówki i zajrzała do środka, ponieważ najwyraźniej było to coś, co ludzie robią, będąc w kuchni. Gdy odeszła, rzadko troszczyła się o jedzenie – kupowała chleb i coś na wynos, kiedy jej się akurat przypomniało, a przez większość wieczorów zadowalała się zupą z puszki.

– Kupiłem borówki – odezwał się Miles. – Amber nadal je lubi, prawda?

– Chyba tak. – Sadie wzięła jeden owoc i położyła go na języku.

Rozgniotła na podniebieniu. Kwaśny. Własne odczucia znów ją zaskakiwały. Wszystkie te powierzchowne, codzienne drobiazgi, które tak niespodziewanie do niej powracały.

Przełożyła borówki do miski z malinami, które – pamiętała to jak przez mgłę – kupiła kilka dni wcześniej. Były tak dojrzałe, że pękały. Kiedy je przesypywała, na ściankach naczynia pozostawały miękkie resztki; kartonowe opakowanie przesiąkło krwawą posoką. Sadie zaniósła na stół miskę i pojemnik gęstego jogurtu greckiego – kolejne ulubione (na tę chwilę) jedzenie Amber. Sama już dawno przestała być dzieckiem, lecz ilekroć widziała córkę jedzącą jogurt, musiała gryźć się w język, żeby powstrzymać się od słów, którymi zawsze częstowała ją matka przy takiej okazji: „Lepiej tyle nie jedz, musisz uważać na figurę, nie zawsze będziesz tak wyglądała, teraz można kupić odtłuszczony jogurt”. Wiedziała, że Amber wyczuwa jej wysiłek, słyszy to, co niewypowiedziane. Nie była to żadna nowość; w ich domu często miało się wrażenie, że istnieje jeszcze jeden wymiar Tego-O-Czym-Się-Nie-Mówi, mroczna równoległa rzeczywistość, w której toczy się większość rodzinnego życia i w której jak w sejfie zamknęli minione szesnaście lat. Jak dotąd Amber okazywała niezwykłą biegłość w tej grze pozorów, lecz pod pozorem opanowania Sadie wyczuwała nieufność i narastającą wściekłość. Mieszkały pod jednym dachem.

– Dzień dobry.

Sadie odwróciła się i poczuła ucisk w sercu. W drzwiach stała jej córka, otulona puszystym szlafrokiem. Nogawki flanelowych spodni od piżamy wsunęła w modne futrzane botki. O poranku widok jej twarzy wywołał w Sadie podwójny wstrząs – tak rzadko oglądała ją bez makijażu, z rzadkimi jasnymi brwiami zamiast czarnych, grubych kresek, że często potrzebowała dłuższej chwili, aby się zorientować, iż Amber odwzajemnia jej spojrzenie. Patrzyła obojętnie, bez mrugania, do czego Sadie wciąż nie mogła się przyzwyczaić. Matka i córka były do siebie tak bardzo podobne, że gdy

owego wieczoru pół roku wcześniej po raz pierwszy stanęły twarzą w twarz, potrafiły tylko wpatrywać się w siebie w milczeniu. Świadomość tego podobieństwa napełniała serce Sadie lękiem.

Amber zebrała rozjaśnione włosy w krzywy koczek na czubku głowy. Ziewnęła szeroko, wachlując się dłonią w nieco demonstracyjny sposób.

– Sto lat, córeczko! – powiedział Miles. Wyminął Sadie i zamknął Amber w niedźwiedzim uścisku, podnosząc ją lekko do góry.

– Dzięki, tato. – Kiedy ją postawił, przewróciła oczami, z czułością, którą Sadie wreszcie nauczyła się rozpoznawać. – O, prezenty!

Uwagę ich córki przykuła stojąca na stole papierowa torba. Na podłogę posypały się opakowania w pastelowych barwach. Amber obejrzała wszystko pobieżnie, wyrażając radość sporadycznymi okrzykami. Na stole rosła sterta rozpakowanych przedmiotów. Każdy pochodził z listy, którą miesiąc wcześniej dostała Sadie. Amber nie lubiła niespodzianek; Sadie uznała, że nie powinna jej się dziwić.

Kiedy przegląd dobiegł końca, dziewczyna spojrzała z uśmiechem na rodziców.

– Dzięki – powiedziała i podeszła najpierw do zaskoczonej Sadie, aby mocno ją przytulić. Naprawdę przytulić – Sadie poczuła woń jej skóry i kwiatowy zapach włosów z lekką domieszką potu.

– Proszę bardzo – odparła. Ze wzruszenia zakręciło się jej w głowie. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – dodała.

Lecz Amber już się odsunęła, już wyciągnęła ręce, żeby chwycić ojca za szyję i pocałować go w zarośnięty policzek. Sadie cofnęła się; znowu poczuła się nieswojo. Zrobiło jej się ciepło. Kiedy Amber postanowiła choć na moment skierować na kogoś swoje światło, było ono wręcz oślepiające. Oszołomiona Sadie zachwiała się, jakby wprost ze słońca weszła do ciemnego pokoju i jej mózg potrzebował chwili, żeby się przystosować.

– A teraz śniadanie dla naszej jubilatki! – oznajmił Miles i bardzo z siebie dumny postawił z lekkim ukłonem na stole talerz naleśników.

– O, dzięki, tato! – Amber nałożyła sobie wielką porcję, obficie polewając wszystko syropem. – Pycha. – Na stojąco wepchnęła widelcem kawałek naleśnika do ust i ruszyła do drzwi. – Muszę się przygotować do lekcji.

– A ja myślałem... – zaczął, lecz Amber już nie było. Znikła z talerzem i wkrótce sufit nad ich głowami zadudnił od szybkich kroków. Po jej wyjściu w kuchni zapanował dziwny bezruch. Osamotniony Miles opadł na krzesło i bez przekonania zaczął nakładać sobie widelcem naleśniki na talerz.

– Kawy? – zaproponowała Sadie, na co odwrócił się do niej z uśmiechem. Zaląła ją fala ulgi, bo pojęła, że mąż cieszy się z jej obecności. Jest tutaj. Amber była jej córką, a Sadie nareszcie wróciła do domu.

Jej rodzice robili co w ich mocy, żeby godnie się prezentować na rozchwianych plastikowych krzeselkach. Tata pochylał się do przodu, jakby nie chciał nic uronić ze słów wypowiedzianych zza biurka przez panią Barclay. Matka zapomniała się przebrać po malowaniu i na ramieniu jej starej koszuli widniała plama białej farby. Oboje ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi wargami słuchali nauczycielki; z zewnątrz wyglądało, jakby to oni nabroili.

Sadie przyglądała im się przez porysowaną szybę okna, przesuając czubkiem buta po piszczącym linoleum. Na korytarzu było chłodno, cicho i jak dotąd pusto. Jednak pojedyncza żarówka na końcu właśnie zaczęła mrugać, uświadamiając jej, że powinna zachować czujność. Zerknęła za siebie, tam, gdzie korytarz łączył się z innym i gdzie światła były już pogaszone. Padające na podłogę cienie były nieruchome – na razie – więc ponownie skupiła uwagę na tym, co się działo w klasie.

Uchwyciła moment, w którym niepokój rodziców zastąpiła irytacja. Przyszli tutaj, spodziewając się usłyszeć o bójce albo złamanej kości, a tymczasem „incydent”, o którym mówiła urywanym głosem pani Barclay, okazał się czymś innym.

– Sadie...

Szept niósł się korytarzem za jej plecami. Zerknęła na migoczące światło, które ani myślało gasnąć. Walczyło dzielnie, trzymając cienie w szachu. Kiedy znów spojrzała w okno, zobaczyła zwrócone ku sobie twarze trojga dorosłych.

W drodze powrotnej matka wciąż szarpała pas bezpieczeństwa w samochodzie, żeby móc się odwrócić i spojrzeć na Sadie.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – zapytała raz, potem drugi i Sadie musiała się bardzo starać, żeby w odpowiedzi nie przewrócić oczami, tylko przytaknąć i grzecznie się uśmiechnąć.

Zaczekali z tym do kolacji, choć to akurat nie było nic niezwykłego. Anne

i Robert Frederickowie pozwalali problemom narastać w nadziei, że z czasem, z napływem kolejnych codziennych spraw, obrócą się w nicość. Albo staną się częścią tej tkanki, z której wyrasta każda rodzina.

Jednak tej sprawy nawet oni nie mogli zignorować. Dlatego przy spaghetti bolognese znowu popatrzyli na córkę. Koszulę ojca zdobiły pomarańczowe rozbryzgi, na krawędzi talerza Sadie rósł stos niechcianych kawałków marchewki. Pieczarki zjadła w pierwszej kolejności, unikając wzroku rodziców. W końcu Anne postanowiła coś powiedzieć. Odsunęła widelec z wymownym stukotem, na co Robert pośpiesznie wciągnął do ust nitki makaronu.

– Co zaszło dzisiaj w szkole? – spytała. – Chcielibyśmy usłyszeć twoją wersję.

Sadie starannie odłożyła sztucce i odsunęła krzesło od stołu.

– Nie pamiętam – odpowiedziała i poszła do siebie.

Naturalnie wszystko pamiętała. Pamiętała aż za dobrze, leżąc w łóżku przy włączonym górnym świetle i obu nocnych lampkach. Jedna z nich była nowa – typu „lawa”, kupiona w mieście, w pachnącym kadzidełkami sklepie, w którym kotary zrobione z koralików oddzielały od siebie poszczególne nieduże działki. Matka nie cierpiała tego miejsca, podobnie jak matki jej koleżanek, lecz zabrała tam Sadie, żeby ją pocieszyć po pierwszym w życiu borowaniu zęba (wbrew obawom córki ani razu nie wypomniała jej, że sama jest sobie winna; w drodze do dentysty kupiła jej nawet lody o smaku coca-coli, ale nie niebieskie – piekło prędzej by zamarzło, niż Anne Frederick pozwoliłaby swojemu dziecku zjeść coś w tak nienaturalnym kolorze – niemniej jednak było to swego rodzaju zwyczajstwo). Sadie pośpiesznie wybrała dla siebie lampę w obawie, że oferta nagle wygaśnie, a teraz godzinami się w nią wpatrywała, podziwiając plamy fioletu dryfujące w zawieszynie wściekłego rózu.

Druga lampka stała na nocnym stoliku, odkąd dziewczyna sięgała pamięcią – porcelanowy domek-muchomorek z wyciętymi okienkami

i uchylonymi drzwiczkami, tak żeby światło mogło się wydostać na zewnątrz, gdy lampka była włączona. Przez dłuższy czas leżała zapomniana pod łóżkiem, ostatnio jednak okazała się niezbędna, choć Sadie była już za duża, aby sypiać przy zapalonym świetle.

Leżała zatem z lampkami po obu stronach, a spod zakurzonego klosza u sufitu sączyło się niezawodne ciepło. Mimo to cienie i tak wpełzły do środka. Przeniknęły przez meble, wspięły się po ścianach. Szepty wdzierały się w przyspieszony oddech Sadie, która usiłowała sobie wmawiać, że niczego nie słyszy.

Skupiając myśli na niedokończonej kolacji i rodzicach, którzy najprawdopodobniej wciąż siedzieli w milczeniu przy stole, przekręciła się na bok.

W szkole czuła się bezpieczna. Inaczej, niż gdy wędrowała przez las, ściskając Helen za rękę, a Justine i Marie na zmianę opowiadały im historie o Człowieku z Lasu. Kiedy wiatr szeptał wśród drzew, wydawało im się, że wszystko może się zdarzyć. Jakby On mógł w każdej chwili wychynąć z mroku i zabrać którąś z nich ze sobą. Za to szkoła, z brudnymi oknami i równymi rzędami ławek, była normalnym miejscem. Nikt tam nie był wyjątkowy. Sadie całymi dniami rozglądała się po boisku, wybiegała spojrzeniem dalej, na chmury pędzące po szarym niebie. Zastanawiała się, czy zasłyszane historie mogą być prawdziwe; czy szmery, które czasami rozlegały się nocą w jej ciemnym pokoju, są rzeczywiste. Nie wiedziała, czy chce, aby tak było.

W tym semestrze uczyli się o epoce wiktoriańskiej, z czego Sadie była bardzo zadowolona. Lubiła oglądać stare czarno-białe fotografie kobiet w turniurach oraz mężczyzn w kapeluszach i wysokich kołnierzach. Wyobrazać sobie brukowane ulice z kałużami jasnego światła padającego z latarni i mgłą wypełzającą zza zaułków. Czasami śnił jej się wysoki gmach ze schodami wiodącymi do wejścia oraz twarz, która nie należała do niej, lecz spoglądała na nią z lustra w złotej ramie o wygiętych brzegach. Stukot

obcasów w zaułku i zapach – słodkawy, mdły.

Tego dnia Helen nie przyszła do szkoły. Sadie postanowiła zajrzeć do niej w drodze do domu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Helen często chorowała; zdawała się zewsząd przyciągać zarazki i krążące w okolicy wirusy. Mimo to Sadie nie potrafiła się opędzić od myśli, że może Helen też zaczęła słyszeć swoje imię szeptane przez złowróżbne cienie.

Był wtorek, to zaś oznaczało zajęcia z plastyki. Pani Barclay kazała im narysować fabryki i zakłady przemysłowe, o których się uczyli. Kredą i węglem mieli cieniować te miejsca, dokąd docierało albo nie docierało światło. Cała klasa lubiła plastykę i gdy wszyscy zajęli się pracą, zapanowała cisza jak makiem zasiał. Brudne palce zostawiały ślady na arkuszach brystolu, ich brzegi zawijały się, rysunki nabierały kształtu. Sadie siedziała i patrzyła, jak wokół niej rosną dymiące kominy, a w ścianach pojawiają się krzywe okna. Jej arkusz pokrywały wyłącznie dym i cienie, wirująca masa, która zdawała się poruszać, ilekroć dziewczynka na nią patrzyła.

Wyprostowała się i podniosła rękę.

– Pomyliłam się – powiedziała do nauczycielki. – Chcę zacząć od nowa.

– Więc idź po papier – cmoknęła ze zniecierpliwieniem pani Barclay. – Tylko się pośpiesz.

W głębi klasy znajdowały się drzwi prowadzące do długiego wąskiego składziku. Pod ścianami ciągnęły się tanie regały z płyty pilśniowej, obciążone przyborami plastycznymi, zeszytami do ćwiczeń i zapinanymi na suwak plastikowymi teczkami, w których uczniowie trzymali prace domowe. Stały tam też pudełka pełne ołówków i pędzli, a do ścian pomalowanych grubą warstwą farby kleiły się gęste pajęczyny.

Stanąwszy w otwartych drzwiach, Sadie zawahała się. Pod sufitem pojedyncza naga żarówka kołysała się lekko w ciągnącym od klasy przeciągu. Jej białe światło rozlewało się spokojnie i równo po betonowej posadzce. Kąty pomieszczenia i tylna ściana miały własne odcienie szarości;

światło było zbyt słabe, aby przegonić stamtąd cienie. Kiedy Sadie zrobiła krok w stronę regału z arkuszami brystolu, drzwi zamknęły się za nią z cichym skrzypnięciem, a mrok zgęstniał.

Znieruchomiała, lecz sterta papieru znajdowała się tak kusząco blisko, że niemal czuła, jak przenika ją dreszcz artystycznego uniesienia. Powtarzało się to już od jakiegoś czasu – potrzeba stworzenia czegoś albo napisania jakiejś historii była tak dojmująca, że Sadie czuła gniew, gdy nie mogła natychmiast dać upustu natchnieniu, mając do dyspozycji przybory i papier.

Zapomniała więc o gęstniejącej ciemności i zbliżyła się do półki. Wybrała arkusz nieco większy od pozostałych, wyobrażając sobie, jak pani Barclay w roztargnieniu raz za razem przesuwa po desce ostrze gilotyny do papieru, a u jej stóp rośnie sterta kartek. Nie myślała o nadciągającym mroku, dopóki żarówka nie zamrugała, raz, potem drugi. Sadie zsunęła dłoń z półki. Spojrzała w głąb składziku, gdzie pod ścianą stały krzesła i połamane sztalugi. Pas ciemności był tam długi i wąski. Żarówka zakołysała się gwałtownie i głęboki cień sztalug padł na posadzkę, po czym wpełzł z powrotem do kąta.

Ale to nie cień tam się czaił. Serce Sadie zamarło, gdy zobaczyła, jak ów cień stopniowo nabiera kształtów, prostuje długie, podkulone palce. Wysoko na ścianie pojawiły się zarysy nosa i podbródka ukazanych z profilu, po czym powoli zwróciły się w jej stronę.

Arkusz brystolu sfrunął na posadzkę.

– Posłuchaj – powiedział głos. Rozdygotana Sadie przesunęła dłonią po półce i natrafiła na pojemnik z nożyczkami o plastikowym uchwycie. Słuchała.

Poczuła oddech na karku; cień pochylał się ponad jej cieniem. Światło zamigotało, a potem, z nagłym błyskiem i suchym trzaskiem, zgasło.

– Sadie...

Stała nieruchomo – to ciemność poruszała się wokół niej. „Nie bój się – powtarzała sobie w myślach. – Przecież prosiłaś go, żeby przyszedł. Sama

tego chciałaś”. Lecz gdy zimny oddech znowu owionął jej skórę, zacisnęła powieki, choć i tak niczego nie widziała.

– Sadie – powtórzył głos i chłodne palce delikatnie musnęły jej policzek. Słyszała, jak kartki papieru szeleszczą na półkach, jak trzęsą się pojemniki.

– Mogę sprawić, że staniesz się wyjątkowa. Wystarczy poprosić.

Sadie nie była na to gotowa. Ze wszystkich sił starała się nie ruszać, lecz gdy na jej ramieniu zacisnęła się gładka zimna dłoń, nie zdołała powstrzymać okrzyku ani zapanować nad własną ręką – spoconą i zamkniętą na uchwycie nożyczek – i zadała nagły cios, głęboko ugodziła tego, który ją trzymał.

Krzyk, który się rozległ, nie wydobył się z jej ust. Sadie otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą otwarte drzwi składziku i zalane światłem pomieszczenie. Przed nią stała pani Barclay, a z jej otyłego ramienia sterczały nożyczki z zielonym uchwytem. Krew ściekała powoli grubymi kroplami ku palcom poplamionym kredą i węglem. Przerazona nauczycielka wpatrywała się w Sadie wytrzeszczonymi oczami.

A potem znowu została sama.

Zastanawiała się, czy nadal jest sama.

Ze wzrokiem wbitym w sufit nasłuchiwała ciszy wypełniającej dom. Wreszcie wyciągnęła rękę i powoli, jedno po drugim, zgasła światła.

6

2016

Teraz Sadie wszędzie przychodziła za wcześnie. Nie chciała się nigdzie spóźnić ani nikogo zawieść. Kiedy wyjechała, czas należał tylko do niej i rzadko o nim myślała; teraz ciężko jej było się dostosować do jego sztywnych reguł i niczym niepowstrzymanego upływu. Ale się starała. „Skoro chcesz do nas wrócić – powiedział jej Miles pierwszego poranka, z twarzą spopielałą od szoku, z oczami zapuchniętymi i podkrążonymi z niewyspania – musisz to potraktować poważnie i być dla niej matką”. Potraktowała to więc poważnie, jak nową pracę, w której chce się zaimponować przełożonym. Wiedziała, że nieprędko nastąpi koniec okresu próbnego.

Za siedemnaście dziesiąta wjechała na parking ośrodka rekreacji – o siedemnaście minut za wcześnie. W pierwszym odruchu nawet pochwaliła się za rozsądek; nie musiała długo czekać, przechyliła więc głowę na oparcie fotela i nasłuchiwała postukiwania stygnącego silnika. O tej porze nie było tu prawie żadnych samochodów, jodły przy parkingu ugiwały się i szamotały na wietrze. Sadie siedziała w aucie wsłuchana we własny oddech. Starła się nie patrzeć na drzewa.

Ugiwały się i szamotały. Ich długie cienie padały na asfalt w pomarańczowym świetle latarni. Rosły i wyciągały się ku niej. Ciemne sylwetki tańczyły i znikwały. Silnik cicho postukiwał, czas znowu był jak z gumy. Sadie zamknęła oczy. Na próżno

Zdziwiła się, że Amber przystała na propozycję Milesa, aby uczcić jej urodziny charytatywną dyskoteką. Impreza była przeznaczona dla nieletnich, co oznaczało zero alkoholu, i Sadie była przekonana, że Amber będzie kręcić nosem. Chociaż spodziewała się czego innego, nadal niełatwo było jej

rozgryźć własne dziecko. Ich fizyczne podobieństwo nie ulegało wątpliwości, mimo to Sadie ucieszyła się, gdy córka zaczęła przejawiać cechy charakterystyczne dla Milesa. Zauważyła też, jak życzliwie Amber traktuje ojca, godząc się nawet na pomysły, które z pewnością wydawały się jej obciachowe albo zwyczajnie nieciekawe. Sadie uznała to za dobry znak.

Ilekców w rysach córki dostrzegała samą siebie, udawała, że to tylko zwodnicza gra światła.

Otworzyła oczy i spojrzała na ośrodek rekreacji. Nie istniał, kiedy przed szesnastoma laty stąd odchodziła; wtedy zamiast parkingu rozciągało się tu żółte pole. Przez lata miasto rozrosło się w sposób, który wciąż ją zaskakiwał – osiedla identycznych domów z kolorowych cegieł wyrastały jak grzyby po deszczu w miejscach, które dawniej świeciły pustkami, z czego zdawała sobie sprawę dopiero, gdy mijala nowe zabudowania. Czy naprawdę spodziewała się, że po powrocie zostanie wszystko w niezmienionym stanie? Sama nie wiedziała.

Nadal niemal codziennie wracała myślami do tamtego wieczoru, gdy stanęła na progu ich domu.

Było już późno, później, niż planowała, i Sadie nie wiedziała, czy widok światła w salonie napawa ją ulgą. Niczego ze sobą nie przyniosła – uznała, że jest ważne, aby przysła z pustymi rękami. Rzecz jasna, była tu już wcześniej, żeby obejrzeć dom, choć nie przyznała się Milesowi do tego. Musiała się najpierw upewnić. Potwierdzić, że mieszkają w nim tylko we dwoje i że gdy zapuka do drzwi, nie będzie jej towarzyszył żaden nieproszony gość. Uznała, że w końcu nadszedł czas i może bezpiecznie do nich wrócić – jednak nauczona bolesnym doświadczeniem wiedziała, że musi mieć pewność. Cienie nabrały bowiem niefortunnego nawyku zaskakiwania jej w najmniej odpowiednim momencie.

Pokonując krótki podjazd, omiotła spojrzeniem samochód i łuszczącą się wyblakłą od słońca naklejkę z jednorożcem na szybie po stronie pasażera. Na podłodze pod prawym fotelem leżała teczka opisana nieznanym jej

zaokrąglonym pismem. Naklejka głosiła: „Zeszyt do techniki 0”. Pamiętała, jak stanęła przed drzwiami i nasłuchiwała. Dawna Sadie chciała iść dalej, podkraść się z boku do okna i zajrzeć do środka – żeby przekonać się na własne oczy, z bezpiecznej odległości. A jednak nacisnęła dzwonek.

Automatyczne drzwi ośrodka rekreacji stanęły otworem i na asfalt padł jasny blask. Na parking wjechał samochód, dwa snopy światła z reflektorów przecięły ciemność. Sadie odruchowo się wzdrygnęła i odwróciła twarz ku drzewom. Trudniej było porzucić starych przyjaciół, niż się spodziewała.

Grupa młodzieży, która wypadła przez otwarte drzwi, z wolna się przerzedziła i Sadie dostrzegła Amber idącą pod rękę z Micą. Ucieszyło ją, że zapamiętała imię Miki. Był też Alisdair, najstarszy i najbliższy przyjaciel Amber. Od przedszkola tworzyli nierozłączną trójkę, było więc ważne, żeby Sadie pamiętała ich imiona.

Często zastanawiała się, co o niej myślą – co myślą o powrocie matki marnotrawnej, wariatki z lasu. Zastanawiała się, ile wiedzą, choć w zasadzie nie miała pewności, ile wie sama Amber. W pierwszych dniach próbowała podpytać o to Milesa, dowiedzieć się, jak wyjaśnił córce zniknięcie matki – lecz ile on sam tak naprawdę wiedział? Słuchając, jak wspomina pierwszy tydzień po narodzinach Amber spędzony w ciasnym mieszkanku, po raz pierwszy zaczęła mu współczuć. To musiało być przerażające, zwłaszcza dla niego, tak pełnego pozytywnej energii charakterystycznej dla tych, którzy wiedzą szczęśliwe życie z dala od cieni. Z początku czuła się winna na myśl o tym, że odebrała mu ten optymizm. Jednak w miarę jak mówił, narastał w niej dobrze znany mrok, a cierpliwość topniała.

Usłyszała własny głos:

– Musiałam odejść. Zrobiłam to dla jej dobra. – Miles wtedy zamilkł i nic już nie powiedział.

Grupa młodzieży wciąż ociągała się przed ośrodkiem rekreacji. Kiedy powoli ruszyli w stronę samochodu, mogła lepiej przyjrzeć się Amber. Jej twarz wyglądała inaczej, niż kiedy dziewczyna wychodziła z domu.

Pojawiły się nowe szczegóły: ciemna, niemal fioletowa szminka na wargach, wyostrome różem kości policzkowe. Zdjęła też szorty, bo czarny T-shirt okazał się dostatecznie długi, żeby ujść za sukienkę – o ile ktoś za bardzo się nie przyglądał.

Obok szła wysoka dziewczyna, której Sadie nie znała. Ciemnowłosa, ze spuszczoną głową i rękami skrzyżowanymi na piersiach, z ożywieniem mówiła coś do Amber. Ubrana była w dżinsy w kolorze lila i prześwitującą białą koszulkę – Sadie wiedziała, że Amber za żadne skarby świata nie pokazałaby się w czymś równie dziewczęńskim. Obserwowała ją i zarazem córkę; od czasu do czasu Amber zerknęła na mówiącą albo kiwała głową na znak, że słucha, lub nachylała się do niej ze śmiechem, przekrzywiając głowę. Niezainteresowana, ale uprzejma. W końcu dziewczyna oderwała się od reszty i nieśmiało machając dłonią na pożegnanie, zajęła miejsce w samochodzie, który przed chwilą przyjechał i stał na parkingu z włączonymi światłami. Jego reflektory na moment oślepiły Sadie, po czym wóz wykręcił i odjechał.

Patrzyła, jak spojrzenie jej córki przesuwają się leniwie od jednego chłopca do drugiego, rywalizujących o jej uwagę. Pozowała z nimi do selfie; tu oparła się o czyjaś pierś, tam roześmiała z czyjegoś dowcipu. Lecz wszystko to było jakby wymuszone i Sadie doszła do wniosku, że Amber żadnym z nich nie jest naprawdę zainteresowana.

Zorientowała się również, że córka dostrzegła, że matka ją obserwuje.

Chłopcy znudzili się wreszcie i jeden po drugim pomknęli w kierunku miasta, aż na parkingu została tylko Amber i jej przybocznicy: Mica, Alisdair oraz chłopiec, którego Sadie nie znała. Poszedł za nimi, gdy tamci ruszyli do samochodu, ale ponieważ cała czwórka co chwila niknęła w cieniu między kręgami światła z ulicznych latarni, Sadie nie była w stanie dostrzec rysów jego twarzy. Kiedy podeszli bliżej, napotkała spojrzenie Amber, lecz dopiero dźwięk otwieranych z obu stron drzwi uświadomił jej, że tamci się rozdzielili. Stali teraz po bokach auta.

– Dobry wieczór, pani Banner – rzucił Alisdair, moszcząc się na fotelu obok.

Amber wsiadła jako ostatnia. Za jej plecami drzewa znowu zaczęły się skręcać w konwulsjach.

Kiedy oddalali się od ośrodka rekreacji, Sadie czuła, że córka przygląda jej się w lusterku wstecznym. Podniosła rękę i udała, że je poprawia. Udała też, że nie słyszy dobiegających z tylnego siedzenia ukradkowych szeptów i gwałtownego wybuchu śmiechu, który skojarzył jej się ze stadem wron podrywających się z korony drzewa.

– Bardzo dziękujemy za podwiezienie. – Alisdair rozsiadł się wygodnie, krzyżując długie nogi i władczym gestem opierając rękę na podłokietniku w drzwiach.

– Och. – Przebiegła dłońmi po zużytej skórzanej kierownicy, jakby w poszukiwaniu wytłoczonych tam słów. – Nie ma sprawy. – Kiedy po dłuższej chwili milczenie nabrało w jej ustach smaku rozmiękłego kartonu, zreflektowała się i zapytała: – Dobrze się bawiliście?

Alisdair odwrócił się ku niej i uśmiechnął – konspiracyjnie, zaciśniętymi wargami. Uśmiech zniknął tak szybko, że nie była pewna, czy go sobie nie wyobraziła.

– Tak, świetnie – odparł uprzejmie, tonem przeznaczonym do rozmów z dorosłymi. – Było naprawdę fajnie. Dziękujemy, że kupiła nam pani bilety.

To nie Sadie je kupiła. Na koncie oszczędnościowym miała żałośnie niską kwotę, zgromadzoną w sposób, o którym wołała obecnie nie myśleć, a każda próba, by się dołożyć do domowych wydatków, była przez Milesa odbierana niemal jak fizyczna zniewaga, ucinął je zresztą w zarodku. Nie chciała jednak, aby Alisdair albo Amber o tym wiedzieli.

– Bardzo proszę – odpowiedziała.

Patrzyła, jak światło reflektorów pada na jezdnię z przodu, wydobywając z mroku fragmenty samochodów i żywoplotów, które już po chwili niknęły w ciemnościach. Znowu usłyszała ściszone głosy na tylnym siedzeniu: Mica,

Amber i chłopak, którego imienia nie znała albo nie pamiętała. Poczwała, że od tych szeptów mrowi ją skóra, i zaczerwieniła się skrzepowana. Miała wrażenie, że znowu jest małą dziewczynką, którą przedstawiono Justine i Marie i która ze wszystkich sił stara się powiedzieć coś mądrego, spełnić oczekiwania. I tak jak wtedy nie wiedziała, co ma mówić ani jak, czy w ogóle powinna się odzywać. Czy matka Miki rozmawia z nimi w samochodzie, gdy czasem odwozi ich po lekcjach? Czy tata Alisdaira zagłada do salonu, kiedy we trójkę oglądają filmy u niego w domu? Czy gawędzi z nimi, zadaje im jakieś pytania? A może tamci rodzice byli widywani, lecz nie słyszani? Przemykali się zwinnie z pokoju do pokoju, roztaczając nad swoimi dziećmi opiekę w możliwie najbardziej dyskretny sposób? Sadie nie miała pojęcia. Nie wiedziała, jak się dopasować. Zawsze miała z tym problem.

– Mamo – odezwała się Amber znudzonym tonem, przeciągając samogłoski; „o” zostało zagłuszone przez kolejne, szybko stłumione parsknięcie. – Przegapiłaś skręt.

Palce na kierownicy zwilgotniały.

– Przepraszam – rzuciła Sadie, niezgrabnie wykonując manewr zawracania na trzy, a właściwie na pięć. Jechała powoli, światła reflektorów więcej skrywały, niż odsłaniały, cienie falowały i rosły. Pożałowała, że nie została w domu. Nie pamiętała, gdzie dokładnie mieszka Mica. Jezdnia była wąska, po obu stronach stały zaparkowane samochody.

– To tutaj – odezwała się dziewczyna, jakby wyczuwając jej dyskomfort.
– Dzięki, pani B. – Cmoknęła Amber w policzek i nachyliła się do siedzącego z przodu Alisdaira, roztaczając woń drogich perfum oraz słodki, kredowy zapach makijażu. Zaciśnięte na oparciu palce dziewczyny były zakończone paznokciami w kolorze krwi. Albo burgunda.

– Właściwie też mogę tutaj wysiąść – powiedział Alisdair. Sadie usiłowała protestować, lecz wydobywające się z jej ust dźwięki były ciche i ulotne, dłoń uniesiona w słabym proteście. – Proszę się nie martwić – dodał

chłopak – pójde tyłami, na skróty. – Otworzył drzwi i wystawił na chodnik długie nogi w obcisłych dżinsach.

Kiedy tych dwoje wysiadło, szepty na tylnym siedzeniu stały się cichsze, a chichoty bardziej przenikliwe. Nieznajomy chłopak wciąż zajmował środek siedzenia, nie przesunął się na miejsce zwolnione przez Micę. Kiedy Sadie wykonywała skręt, żeby wrócić na główną drogę, Amber wpadła na niego ze śmiechem, a jej gołe kolana gwałtownie przechyliły się w bok. Przekrzywiła głowę w jego stronę.

Sadie miała ochotę zatrzymać samochód. Chciała wysiąść, poczuć na skórze ukąszenia nocnego chłodu i ciepło bijące od ziemi po całym dniu.

Nie chciała myśleć o lesie, o wystrzępionych szortach Justine i grzechocie koralików nawleczonych przez Helen na szprychy kół jej roweru. Nie chciała myśleć o Człowieku z Lasu.

„Możecie się stać wyjątkowe, wystarczy, że go o to poprosicie”.

– Mamo. – Amber wydawała się zażenowana; już się nie śmiała. Sadie spojrzała na drogę; nie miała pojęcia, gdzie są.

– Przepraszam – jęknęła słabym głosem. – Mówiłaś coś?

– Znowu przegapiłaś skręt. – Amber mówiła teraz oschłym tonem. – Wieki temu.

– Przepraszam, bardzo was przepraszam. – Sadie zwolniła, zatrzymała samochód w zakurzonej zatoczce i ostrożnie zawróciła. Droga była pusta, ciemność oblepiała ich ze wszystkich stron. Sadie unikała spojrzenia córki w lusterko wsteczne. Amber odsunęła się od chłopaka na tylnym siedzeniu i wbiła wzrok w szybę.

Ten zaś odezwał się dopiero, kiedy zbliżali się do pierwszej przecznicy; ledwo rozkwitłe białe kwiaty na cienkich gałęziach głogów odbijały światło reflektorów niczym gwiazdy.

– Następna za tą – powiedział przeciągle, zdumiewająco głębokim głosem. – Przy tamtej latarni, widzi pani?

– Dobrze. – Starła się zachować spokojny, obojętny ton. Czuła, że za jej

plecami Amber kipi z gniewu. Skręciła na szutrową drogę – światła reflektorów zakołysały się, gdy samochód podskoczył na wybojach – i ruszyła między polami rzepaku, zostawiając rozjarzone miasteczko po lewej stronie.

Niski dom był przykryty płaskim dachem, od frontu paliła się pojedyncza żarówka. Zabudowania gospodarcze przycupnęły w mroku, na wyschniętej trawie stała samotna krzywa huśtawka z przerdzewiałą ramą, z której odłaziła farba.

– Dzięki za podwózkę – rzucił chłopak, otwierając drzwi (czytaj: dając nogę), zanim jednak zdołał wysiąść, Amber złapała w garść kraj jego koszulki, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Nie był to długi pocałunek, ale głęboki i pełen determinacji, a gdy się cofnęła, jej spojrzenie padło na lusterko wsteczne, napotykając wzrok Sadie.

Gdy wróciły na główną drogę, Sadie zauważyła: – Jesteś pijana.

Amber po prostu wzruszyła ramionami, osamotniona na pustym siedzeniu z tyłu. Żadna z nich nie wpadła na to, żeby zaproponować przesiadkę na przedni fotel.

Sadie spróbowała ponownie, stąpając niepewnie po grząskim gruncie:

– Za młoda jesteś, żeby pić, Amber.

Tym razem doczekała się parsknięcia – krótkiego, pełnego goryczy. Córnka odwróciła się bokiem i Sadie odpuściła. Jechały dalej.

– O nie...

Amber przewróciła się na wznak i naciągnęła kołdrę na twarz. Słońce wlewało się przez okno; przed snem zapomniała zaciągnąć żaluzje. Uniosła głowę i zajrzała pod chłodny biały namiot z pościeli, który okrywał jej ciało. Zapomniała też się przebrać oraz – lekki obrót głowy i rzut oka na poduszkę – zmyć makijaż.

Położyła się i dokonała szybkiego podsumowania. W ustach odór starego kaptia i lekki posmak whisky. Poza tym czuła się w zasadzie nieźle, zważywszy na okoliczności. Była prawie pewna, że kac to zwykła bujda.

Kolejna rzecz, która istniała wyłącznie w głowie jej matki.

Zamknęła oczy i spróbowała ponownie zasnąć. Rozmyślała o wczorajszej nocy, odtwarzała w głowie kolejne sceny. Dobrze się bawiła. Wszyscy dobrze się bawili. A może nie?

Mica i Alisdair spędzili razem dużo czasu. Wyglądało na to, że ostatnio są nierozłączni. Do tego dochodziła rzucona mimochodem przez Alisdaira uwaga o jakimś koncercie, na którym byli razem – Amber nie pamiętała, aby którekolwiek ją zapraszało.

Doskonale wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Od powrotu Sadie dwoje jej najbliższych przyjaciół zaczęło traktować ją inaczej. Zupełnie jakby czegoś od niej oczekiwali, jakby spodziewali się, że opowie im, jak się z tym wszystkim czuje. Amber nie miała najmniejszego zamiaru dzielić się swoimi odczuciami. To były jej osobiste sprawy. Jej własność. Jeżeli Mica albo Alisdair sądzili, że się przed nimi otworzy i zacznie się zwierzać, opowiadać, jak to jest źle być porzuconym dzieckiem i jak dziwnie ni z tego, ni z owego mówić „mamo” do całkiem obcej osoby, to najwyraźniej wcale nie znali Amber. Ona zaś nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że być może to wszystko zwyczajnie ich przerosło (kto by im się zresztą dziwił?) i dlatego tak bardzo się zmienili. Albo – co byłoby znacznie gorsze – zwyczajnie się nad nią litowali. Tego Amber by nie zniosła.

Zarazem Alisdair podebrał ojcu whisky z barku specjalnie dla nich. A Mica kupiła jej ten krótki czarny top, który Amber od tygodni podziwiała w internecie.

Sięgnęła pod poduszkę i odnalazła komórkę. Miesiąc wcześniej upuściła ją na imprezie i teraz wyświetlacz pokrywała pajęczyna drobnych pęknięć. Przez środek jej zdjęcia z Micą, które ustawiła jako tapetę, biegła teraz rysa. Odblokowała telefon: jedno nieodebrane połączenie sprzed paru godzin od Alisdaira – pewnie akurat szedł na poranną zmianę w piekarni. Amber nieco się odprężyła. Wciąż była najważniejsza.

Dostała też wiadomość od Jake’a – co za niespodzianka, zwłaszcza po

tym cyrku, jaki ta wariatka Sadie odstawiła w samochodzie w drodze do domu. Życzenia słodkich snów plus przesyłająca całusa buźka. Amber przewróciła oczami. Ależ on jest przewidywalny. Skasowała esemesa.

Rozległo się pukanie do drzwi, więc szybko ściągnęła kołdrę z twarzy.

– Tak?

Miles wsunął głowę do pokoju.

– Dzień dobry, córeczko. Skusisz się na bekon?

– Zawsze!

– Tak też myślałem.

– Już schodzę – powiedziała, a gdy zamknął drzwi, wstała i prędko rzuciła wczorajsze ciuchy. Z szuflady wyjęła czystą piżamę, przetarła twarz nawilżaną chusteczką i zebrała włosy w schludny kucyk. Przejrzała się w lustrze nad toaletką: teraz wyglądała znacznie lepiej. Wiedziała, że Miles nie lubi myśleć o tym, że córka dojrzewa; często zastanawiała się, czy chodzi o jej podobieństwo do Sadie. Może obawiał się, że ona też go zostawi?

Ojciec zdążył otworzyć oba okna w kuchni i ostry zapach świeżo skoszonej trawy mieszał się z aromatem tłuszczu rozgrzanego na patelni. Gdzieś u wylotu ulicy warczała kosiarka. Amber odsunęła krzesło od stołu i patrzyła, jak Miles, ubrany w odwieczny wytarty szlafrok z plamami po wybielaczu, kończy smażyć bekon. Włosy miał mokre po porannym prysznicu i zaczesane gładko do tyłu. Gwizdał w takt lecącej w radiu starej piosenki, która brzmiała znajomo.

– Dla jaśnie pani. – Podał jej kanapkę przygotowaną dokładnie tak, jak lubiła: grube kromki białego chleba świeżo odkrojone z bochenka i suto polane keczupem.

– Dzięki, tatusiu.

Usiadł na krześle naprzeciwko i zabrał się za swoją kanapkę (ciemna bułka, sos barbecue). Obok leżała otwarta gazeta. Jej rogi co pewien czas unosiły się, poruszane lekkim wiatrem, i opadały na blat, ilekroć podmuch

słabł.

– Gdzie mama? – W jej ustach to słowo brzmiało obco. Dziwne; przecież to nie tak, że w ogóle o niej nie rozmawiali. Jednak teraz, gdy się odnalazła – żywa osoba w miejsce mglistej idei – wydawało się to wręcz niestosowne. Tym bardziej że wszystko na pozór wróciło do normy, w przeciwieństwie do tamtych pierwszych dni, gdy Miles zachowywał się tak, jakby na ich kanapie siedział jednorożec i byle gwałtowniejszy ruch mógł go spłoszyć.

– Nie najlepiej się czuje. – Miles spojrział na nią i mrugnął porozumiewawczo. – Ale sama jest sobie winna.

Amber spojrzała na kuchenny blat: do rzędu pustych butelek po winie dołączyła następna. Czekwały, żeby tata wyniósł je na zewnątrz wraz z innymi odpadami do recyklingu. Ostatnio w ich domu ciągle poniewierały się puste butelki. Kojarzyły się z dziecięcą piosenką, nie mogła się od niej uwolnić: „Dziesięć zielonych butelek na ścianie wisiało...”. Zwykle słyszała ją w wykonaniu mamy, chociaż wiedziała, że to niemożliwe, aby pamiętała śpiewającą Sadie. „A gdyby jednej z nich spaść się zachciało...”.

Miles podniósł wzrok znad talerza.

– O wilku mowa. Uszy cię pieką, skarbie?

Amber zerknęła na Sadie i zaraz wbiła wzrok w kanapkę. Była ciekawa, czy matka gniewa się na nią za wczoraj – byłby to szczyt hipokryzji, zważywszy na rząd butelek trzymających wartę na kuchennym blacie. Wiatr wzmógł się; gazeta zatrzepotała, okno, skrzypiąc, przymknęło się i znów otworzyło. Sadie podeszła i zamknęła je z trzaskiem, po czym zrobiła to samo z drugim. Zapadła cisza, która zdawała się naładowana elektrycznością; ostatnimi czasy była powszechnym zjawiskiem w ich domu, więc Amber spokojnie jadła dalej.

Teraz dla odmiany zaskrzypiały drzwi lodówki, szarpnięte, otwarte na oścież przez Sadie, która wsparłszy się na nich, badała zawartość półek. Spojrzenia Amber i Milesa skrzyżowały się nad stołem; ojciec uśmiechnął się, jakby to oni dwoje byli rodzicami, rozsądnymi dorosłymi ludźmi,

a Sadie ich nastoletnim dzieckiem. I jakby to nie było całkiem oczywiste, że to Miles i Sadie tworzą teraz parę, że zawsze ją tworzyli, Amber zaś jest tylko piątym kołem u wozu. Odłożyła kanapkę na talerz i przyciągnęła do siebie gazetę, ignorując spojrzenia Milesa.

Sadie zostawiła lodówkę w spokoju, nalała sobie kawy ze stojącej na blacie kawiarki i usiadła przy końcu stołu, pozostawiając dwa wolne miejsca między nimi a sobą. Dłońmi oplotła kubek, jakby chciała je rozgrzać, i nieśmiało spojrzała na pozostałą dwójkę, po czym odwróciła wzrok.

– Ale miło – odezwał się Miles, obdarzając obie promiennym uśmiechem.
– Śniadanie w sobotni poranek z moimi dziewczynami. Prawdziwa gratka.

Czasami okropnie ją wkurzał. Męczył ją jego optymizm, chociaż zarazem trudno było mu się oprzeć – był tak niezmordowany. Pamiętała, jak kiedyś, będąc dzieckiem, doprowadziła go do płaczu. Było to jedno z jej najżywszych wspomnień. Poszło o głupstwo – Amber znużył dzień spędzony na zabawie z koleżanką, a Miles upierał się, że powinna położyć się do łóżka. „Szkoda, że nie ma mojej mamy!” – krzyknęła wówczas. Równie dobrze mogła go spoliczkować – widziała, jak się wzdrygnął, jak w przypiływie rozpaczy opadła mu szczeka. Odwrócił głowę, żeby nie zobaczyła, że płacze, lecz wyraźnie słyszała łzy w jego głosie. Pamiętała, jakim tonem powiedział: „Idź spać, Amber”, a ona zrobiła, co jej kazano. Od tamtej pory już zawsze była mu posłuszna, ponieważ nadal miała w pamięci tamten obraz, wciąż pamiętała wstrząs wywołany miną Milesa, z którego w jednej przerażającej chwili opadła maska dzielnego człowieka, zawsze widzącego szklankę w połowie pełną. Nie potrafiła wyobrazić sobie niczego gorszego. Miles był wszystkim, co pięcioletnia Amber miała; obiecała sobie wówczas, że już nigdy nie doprowadzi go do podobnego stanu.

Z czasem nauczyła się cenić optymizm ojca, traktować go jak coś wyjątkowego. Miles wbrew wszystkiemu wierzył, że wciąż mogą stworzyć normalną rodzinę – więc może w końcu rzeczywiście im się to uda?

– Jak było wczoraj? – zagadnął ją teraz. – Dobrze się bawiłaś?

Skinęła głową.

– Tak. I dzięki za bilety. – Pamiętała, żeby popatrzeć w tym momencie również na Sadie, i poczuła dziwne ciepło w sercu na widok zaskoczenia i radości matki.

Miles upił łyk kawy.

– Ilu was w końcu było?

– Ja, Mica, Alis, Jenna, kilku kolegów z klasy. No i Billie, jest bardzo miła...

Sadie nabrała pewności siebie. Nachyliła się do przodu.

– Billie to ta dziewczyna z ciemnymi włosami? Byłam ciekawa, kto to.

Amber się to nie spodobało. Podglądaczka. Jednak zmusiła się do uśmiechu.

– Tak, to ona. Przeniosła się do nas na początku semestru. Chodzi do mojej klasy.

– Dobrze się składa – zauważył Miles. – Mieszkają tylko we dwie, prawda, Ams? Założę się, że jej mama też nikogo tutaj nie zna.

Amber aż się wzdrygnęła. Poczuła się tak, jakby ojciec próbował wyswatać Sadie jakiemuś przybłędzie.

– Chyba nie – odparła ze wzruszeniem ramion.

– Może powinnaś ją odwiedzić – Miles zwrócił się do Sadie, która wyglądała tak, jakby w ogóle go nie słuchała. – To byłby miły gest. Na pewno przydałaby jej się bratnia dusza.

– Mhm. – Sadie wzięła spory łyk kawy, nie odrywając oczu od kuchennego okna.

– A jak zamierzasz spędzić resztę weekendu, Ams? – Miles wyciągnął rękę i zanurzył ostatni kęs bułki w kałuży keczupu, który powoli zastygał na talerzu Amber. – Dużo masz zadane?

Raczej dużo; prawdę mówiąc, nie pamiętała. Nie wiedziała, dlaczego miałyby się nad tym zastanawiać teraz, gdy na odrobienie lekcji została jej jeszcze cała niedziela, nie licząc dziesięciu minut poprzedzających wyjście

do szkoły w poniedziałek.

– Alis i ja wyskoczymy gdzieś po południu, jak skończy pracę – oznajmiła. – Mogę?

– Jutro przyjeżdżają dziadkowie – wtrąciła Sadie, marszcząc brwi.

– Wiem, dlatego umówiliśmy się dzisiaj. – Z trudem się powstrzymała, żeby nie wydać warg z irytacją. To wszystko było takie oczywiste: Sadie usiłowała odnaleźć się w ich domu, pokazując Amber, gdzie jest jej miejsce. Do tego jeszcze Miles, niemal piejący ze szczęścia po drugiej stronie stołu. Sama też musiała się uśmiechnąć, żeby złagodzić sarkazm słów, które wciąż wisiały w powietrzu: – Jak wrócę, pomogę wam posprzątać. I może upiekę te ciasteczka, które lubi babcia.

– Świetny pomysł. – Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że Miles się uśmiecha; czuła na skórze ciepło tego uśmiechu. Wstał i wyciągnął rękę po jej talerz. – W takim razie bawcie się dobrze z Alisdaiem. Ja tymczasem zamknę się w gabinecie i sprawdzę wreszcie te zaległe prace.

– Dzięki, tato. – Kiedy wyszedł z kuchni, spojrzała na Sadie, która znowu gapiła się w okno. Do tej pory rzadko zostawały sam na sam, chociaż minęło już pół roku od tamtego poranka, gdy ojciec zbudził ją godzinę przed nastawioną pobudką. Ukląkł obok łóżka i siłą odgarnął kołdrę, którą próbowała naciągnąć sobie na głowę. „Amber, posłuchaj mnie...”. A potem na dole w kuchni skrzypnęło krzesło i już wiedziała; od razu wiedziała. Pewność niczym prąd elektryczny pulsowała w jej ciele, na dobre przeganiając sen. „Kto tam jest, tato? Kto jest na dole?”.

Odsunęła krzesło od stołu i wstała. Nalała sobie kawy do kubka – może trochę przedwcześnie odtrąbiła brak kaca – po czym zawahała się, z kawiarką w ręce, i zerknęła na tył głowy Sadie. Powinna zapytać, czy matka chce dolewkę – tak należałoby się zachować w tej sytuacji – ale jakoś nie potrafiła się do tego zmusić.

Naturalnie z początku była bardzo podekscytowana. Trudno się było nie cieszyć, widząc Milesa niemal podskakującego na łóżku z radości, tak jak

zwykł to robić w bożonarodzeniowe poranki, kiedy Amber była jeszcze dzieckiem. Jej mama – mama! – czekała na dole w kuchni, czekała na nią! Mama wróciła.

Tyle że wciąż dręczyło ją pytanie, dlaczego w ogóle odeszła.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 01:39 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Amber jest zaproszona na imprezę „Glamour” w czwartek – w załączeniu zmieniony plan zdjęć. Dziś nakręciliśmy sporo ciekawego materiału. W internecie można już obejrzeć jej występ w „Good Morning America” – nie jestem pewna, czy dostęp do witryny nie zostanie zablokowany, więc na wszelki wypadek przesyłam Ci link.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:13 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Jaka ona jest?

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:23 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Zazwyczaj ma się na baczności.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:25 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Wcale jej się nie dziwię. Powiedziała coś o matce?

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:28 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Trochę. Staram się za bardzo nie naciskać.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:31 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Też coś! Powinna do tego przywyknąć! Nie zapominaj, z kim mamy do czynienia. Nie trzeba obchodzić się z nią jak z jajkiem.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:32 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Cały czas myślę o tym, że ma dopiero osiemnaście lat. Musimy nawiązać z nią jakąś nić porozumienia, zdobyć jej zaufanie. Nie mogę tak po prostu zarzucić jej pytaniami, bo wtedy jeszcze bardziej się w sobie zamknie. Tak mi się wydaje.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:33 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Okej, ale za bardzo się z nią nie cackaj. Potrzebujemy czegoś mocniejszego.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:33 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

„Historia młodej ładnej morderczyni” brzmi nieźle, ale to już było. Tamte sprawy są znacznie ciekawsze.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:34 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

To nie ma być horror klasy B, tylko opowieść o długich cieniach z przeszłości. Rozumiesz to, prawda?

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:35 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Swoją drogą to świetny tekst. Przypomnij, żebym go użyła.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:38 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Jasne. Myślę jednak, że trzeba ją umiejętnie podejść, żeby powiedziała o Sadie albo Człowieku z Lasu coś, co uda się nam wykorzystać. Ilekroć była o to pytana w wywiadach, zawsze się najeżała. Jakby się bała za dużo powiedzieć.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:38 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Grety Mueller

Chyba zdaje sobie sprawę, że to wszystkich interesuje. Myślisz, że chodzi o książkę? Chce to opisać?

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:41 czasu pacyficznego

Od: Grety Mueller

Do: Federiki Sosy

Moim zdaniem boi się, że jeśli się przyzna do wiary w Człowieka z Lasu, uznają ją za wariatkę. Jeśli jednak powie, że w niego nie wierzy, prasa może przestać się nią interesować.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:43 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Grety Mueller

To ma sens. Kolejny powód, żeby znaleźć na nią jakiś sposób. Wymyśl

cokolwiek, byle nam zaufała i wreszcie się otworzyła. Oglądam wywiad, który mi przesłałaś. Jest w niej coś dziwnego, czego jeszcze nie potrafię nazwać. Wiem, że nie mówi nam wszystkiego.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:45 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Jakby wcale się nie cieszyła, że jej się upiekło.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:47 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Czy to takie dziwne? Ta sprawa na każdego wywarłaby niszczący wpływ. Nawet jeśli ona ostatecznie nie zasłużyła na więzienie.

Wtorek, 15 maja 2018, godz. 02:49 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Pewnie uznasz, że jestem cyniczna, ale nie dostrzegam w niej poczucia winy ani niezabliźnionych ran. Widzę całkowitą pustkę. Kompletny brak emocji. Aż dreszcz przechodzi, kiedy się na nią patrzy. To będzie znakomity materiał.

2016

Przetrwali jakoś niedzielę i odwiedziny rodziców Milesa. Od powrotu Sadie była to ich piąta wizyta, więc pewnie – relatywnie rzecz biorąc – wszystkim było trochę łatwiej. John i Frances Bannerowie nigdy szczególnie za nią nie przepadali – za dziewczyną, która w wieku dziewiętnastu lat zaszła w ciążę i usidliła biednego Milesa. A potem go porzuciła. Wściekłość, jaką wzbudziło to w teściowej, mogła przyćmić jedynie furia wywołana powrotem Sadie. W sumie kto by ją winił? Z pewnością nie Sadie. Nie miała pojęcia, co Miles im powiedział o całej sprawie, bo gdy próbowała go pytać, stosował najróżniejsze uniki. „Nie ma znaczenia, co oni myślą – powtarzał. – Tu chodzi o nas. O naszą trójkę”.

Biedny Miles, wieczny optymista. Dla niego znowu byli „trójką”.

Sadie nie wiedziała, co zastanie po swoim powrocie. Przez długi czas kalkulowała, sprawdzała, upewniała się. Była przekonana, że ze względu na wiek Amber nic już nie grozi, lecz w głębi serca cichy głosik podawał w wątpliwość to, czy swoim odejściem istotnie mogła ją ocalić. Zaś inna jej część (jeszcze cichsza i dobrze ukryta) zastanawiała się, czy niebezpieczeństwo w ogóle istniało. Czy ostrzeżenie, które otrzymała w pierwszym tygodniu życia córki, nie było kłamstwem.

„Przestań. Nie myśl o tamtej dziewczynce”.

O dziewczynce siedzącej w kącie pokoju na krześle. I niemowlęciu śpiącym w koszyku przy łóżku.

Sadie wstała. Nie wolno jej było myśleć o tamtym.

W poszukiwaniu wytchnienia weszła na górę i faktycznie tutaj wspomnienia były bardziej wytłumione. W korytarzu omiotła wzrokiem ściany wyłożone tapetą w drobne prążki i lustro ponad schodami

z odciskami palców na gładkiej tafli. Wisiały tam też fotografie – głównie Amber, ale też kilka przedstawiających Milesa. Sadie po raz kolejny je przestudiowała, usiłując pojąć wszystko, co wydarzyło się w życiu tych dwojga od czasu jej odejścia. Wpatrywała się w twarz córki, starając się dostrzec w niej coś znajomego...

„Dziewczynka powiedziała...”.

Dziewczynka skłamała, powtarzała sobie. One wszystkie kłamią.

Nic nie pomagało. Znowu przypomniła sobie noc, gdy opuszczała tamto mieszkanie. Amber miała zaledwie dziesięć dni. Miles chrapał obok Sadie, podczas gdy podłoga i ściany skrzypiały, a cienie podpełzały coraz bliżej. Ich dziecko wierzało nóżkami w wiklinowym koszyku; leżąc na boku Sadie przyglądała się mu znad krawędzi łóżka. Była taka malutka – aż zapierało dech w piersiach. I taka cichutka, gdy leżała z szeroko otwartymi oczkami, wpatrzona w Sadie, jakby ta była słońcem albo księżycem. Małe stópki z szelestem pocierały materacyk, paluszki rączki wyrzuconej beztróska w górę powoli zaciskały się w piąstkę.

Nagle z kąta pokoju dobiegł szelest.

I ledwie słyszalny śmiech.

Sadie usiadła. Dziewczynka znowu tam była, tak jak się spodziewała. Siedziała na krześle. Było dla niej za wysokie – stopy w przyciężkich staroświeckich trzewikach i skarpetkach wykończonych u góry koronką kołysały się nad podłogą. Włosy wysunęły się ze spinek ozdobionych plastikowymi stokrotkami. Loki opadały na twarz, skórę miała woskowoblada, na policzku zaschniętą smugę. Sukienkę pokrywały ciemne plamy. Sadie wiedziała, co zobaczy, kiedy dziewczynka się odwróci. Dlatego próbowała przygwoździć ją wzrokiem do krzesła, zaklinając w duchu: „Tylko się nie odwracaj”.

– Człowiek z Lasu zabiera córki – oznajmiła dziewczynka. Robiła to już podczas poprzednich odwiedzin, lecz tym razem spojrzała ze smutkiem na wiklinowy koszyk przy łóżku.

– Błagam – powiedziała Sadie i dziewczynka skupiła na niej uwagę. Z twarzy, która wyglądała na posiniaczoną, patrzyły wielkie wyblakłe oczy. Sadie dobiegł stłumiony odgłos skrobania, dochodzący gdzieś z głębi mieszkania.

– Człowiek z Lasu zabiera córki – powtórzyła dziewczynka. Sadie odruchowo odsunęła się od łóżka, byle dalej od Amber. – Ale czasami potrzebuje pomocy.

Jej słowa rozbrzmiewały teraz echem w uszach Sadie, gdy stała w korytarzu domu, który jej rodzina stworzyła bez niej, oglądając na zdjęciach sceny z życia toczącego się w czasie, gdy przepadła. Posłuchiwała ostrzeżenia dziewczynki, zostawiła Amber pod opieką Milesa, odciągnęła od niej Człowieka z Lasu wraz z jego cieniami. Więc dlaczego miała teraz wrażenie, że wypełniają ten dom, że z każdego zakamarka wpatrują się w nią jakieś oczy?

Gwałtownym ruchem – czasami wydawało jej się, że jeśli będzie się dostatecznie szybko poruszała, zaskoczy dom i zmusi go do posłuszeństwa, odeprze jego wrogość – wyciągnęła rękę i szarpnęła za uchwyt klapy prowadzącej na poddasze. Klapa opadła, drabinka wysunęła się zgrabnie.

Sadie zaczęła się wspinać, lecz w połowie zawróciła po latarkę znajdującą się w gabinecie Milesa. Na górze mogło być zainstalowane oświetlenie, lecz nie przyszło jej do głowy, aby o to zapytać, a wolała nie ryzykować. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby się znaleźć w ciemności.

Wgramoliła się na górę i przysiadła na moment na krawędzi otworu, żeby wzrok jej się przyzwyczaił. Z korytarza sączyło się dość światła, żeby wydobyć z mroku kształty: pod ścianami piętrzyły się stare i połamane meble, część z nich okrywały narzucone prześcieradła. Zapaliła latarkę i snop światła kilkoma skokami omiótł zakurzoną podłogę. Nie sięgał jednak kątów pomieszczenia, gdzie zgromadziły się nieprzeniknione cienie. Sadie miała uczucie, że są tuż obok, ukryte przed jej wzrokiem. Człowiek z Lasu i jego dziewczynki. Czekają, aby wyjść z ciemności na światło, jeśli im

pozwole. Szybko przesunęła latarkę w bok.

Pod przeciwległą ścianą w równych rzędach stały sterty pudeł. A w nich rzeczy, o których wcześniej nie myślała – podręczniki szkolne, ozdoby bożonarodzeniowe, kostiumy na bal przebierańców – wszystko pieczołowicie opisane i spakowane. Klocki, z których zbudowana była ich przeszłość. Wystarczyło je ułożyć, żeby zrozumieć. Było to onieśmielające wyzwanie, więc przez dłuższą chwilę po prostu siedziała i przyglądała im się, machając nogami opuszczonymi przez otwór w podłodze, bo nagle zabrakło im siły, żeby ją dalej ponieść.

Czy to możliwe, aby ktoś jeszcze poza nią oddychał w ciemności? Miała wrażenie, że słyszy stłumiony, chrapliwy oddech dziecka, równomierny i wilgotny. Czekwała na tupot małych nóżek po nagich deskach. Na krótki, dźwięczący śmiech – bo śmiech zawsze się powtarzał, przywoływał ją swoimi perlistymi nutkami.

Czekala. Nie odwracała głowy.

Skrzypnięcie deski za plecami, jeszcze jeden trzepotliwy oddech. Niedługo wyciągną się do niej drobne paluszki, zacisną się na jej ręce albo barku, chichot wleje się do ucha...

Wzdrygnęła się; światło latarki zatańczyło na belkach stropu.

Lecz otaczały ją tylko cisza i cienie, a te ostatnie nawet nie drgnęły.

Odwróciła się i ponownie przyjrzała naklejkom, którymi opatrzone były pudła. Szeptem odczytywała kolejno: „Papiery – Miles”; „Trofea – Amber”; „Domek dla lalek”; „Mebelki dla lalek”; „Ubrania – Sadie”. Przez moment wpatrywała się w ostatnie. Wewnątrz, spakowana i oklejona taśmą, tkwiła całkiem inna Sadie, która istniała tylko przez chwilę. Często rozpaczliwie za nią tęskniła, tak jakby tamta była domem, który zamieszkiwała, dopóki ktoś inny się o niego nie upomniał. Wiedziała, że w pudle znajdują się koszulki z wizerunkami rozmaitych zespołów, bluzki na ramiączka, koszule w kratę, dzinsowe spódnice i kilka par bojówek. Nabijany ćwiekami pasek, może nawet stare, zaschnięte opakowanie farby do włosów. Miała ochotę

poukładać te wszystkie rzeczy na podłodze i położyć się na nich, wdychać zapach zatechłej pralni i rozlanego piwa.

Tyle że teraz pachniałyby po prostu kartonem i kurzem. Porzuciła je, tak jak porzuciła Milesa i Amber, one zaś przesiąkły wonią zwykłego, codziennego życia.

A teraz wróciła.

Przeniosła wzrok na ramę roweru bez kół. Poniżej chwiał się mały, przykucnięty cień, więc Sadie odruchowo skierowała tam latarkę. Światło wydobyło z mroku kontur twarzy, ta zaś zwróciła się ku niej – wzrok spuszczonego, rozchylone usta...

Sadie wstrzymała oddech. Powoli odliczała w myślach, czekając, aż cień się poruszy i zrobi pierwszy krok w jej stronę. On jednak zlał się z otaczającą go ciemnością, a ona wypuściła powietrze z płuc, czując mrowienie włosów uniesionych na przedramionach.

Przesunęła snop światła latarki na pękate białe pudło. Zdjęcia.

Wstała i podeszła bliżej, ostrożnie stąpając po belkach. Pudło okazało się lżejsze, niż się spodziewała, usiadła więc z nim na granicy kręgu światła, zapominając o porzuconej u stóp latarce. Pragnienie obejrzenia zawartości kartonu było zwierzęce, nieodparte. Oddarła taśmę i zwiniętą w kulkę cisnęła ją na podłogę.

Zdjęcia były w większości przechowywane luzem, chociaż kilka wciąż tkwiło w jasnozielonych papierowych okładkach, a parę nawet w kopercie z logo starej drogerii. Wiele jednak się wysypało, tworząc na dnie pudła mozaikę różnych twarzy. Uporządkowanie ich zajęłoby sporo czasu.

Ciemność za plecami szeptała, lecz gdy Sadie się odwróciła, zobaczyła tylko domek dla lalek i drewnianą skrzynię z wyżłobionym napisem „Zabawki”. Część dalsza historii Amber, od której uciekła i której nigdy nie pozna. Uświadomiła sobie, że wszystko to do niej przemawia. Nie tylko cienie miały swoje tajemnice.

Na wierzchu pudła znajdował się album. Podniosła go ostrożnie i oparła

na kolanach. Biała płócienna okładka zżółkła ze starości. Na niej naszyty był wózek dziecięcy wycięty z kawałka bawełnianej tkaniny w różową kratkę oraz dwie kacuszki z żółtego sztruksu. Poniżej widniały słowa wyhaftowane luźnym ścięciem krzyżykowym: „Nasza mała dziewczynka”. Sadie zbliżyła album do twarzy, wciągnęła w nozdrza woń kurzu.

Skrzypnęła deska w podłodze, jakby ktoś przeniósł delikatnie ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Wiedziała, że budzi rzeczy, które powinny pozostać uśpione.

Uniosła okładkę, taniutką, z cienkiej tektury. Kupili ten album w kiosku, gdy była w czwartym albo piątym miesiącu ciąży, wkrótce po tym, jak rzuciła studia. Była wtedy krnąbrna. Wypierała rzeczywistość, przekonana, że to dla niej początek czegoś nowego, że zaczyna wszystko od zera. Miała być nową osobą: Sadie Banner, żoną i matką. Kimś, kto żyje w pełnym świetle. Naprawdę w to wówczas wierzyła, wierzyła, że da radę. Ignorowała lęk, który podkradał się do niej nocami, powracające sny, z których budziła się zdyszana i mokra od potu. Łatwiej było tłumić strach, kiedy otwierała oczy obok wtulonego w nią Milesa, czując w sobie ruchy ich dziecka.

Plastikowa osłonka pierwszej strony albumu była pomarszczona od gorąca lub ze starości – a może w ogóle nigdy nie leżała gładko? – a widoczne pod nią zdjęcie pokrywały odparzenia. Fotografia przedstawiała Sadie w zaawansowanej ciąży, siedzącą na łóżku. Pamiętała, że Miles leżał obok na materacu, z aparatem w rękach. Obiektyw został wycelowany w taki sposób, aby na pierwszym planie uwidocznił się jej monstualnych rozmiarów brzuch. Twarz Sadie była karykaturalnie spłaszczona. Taka młoda, taka młoda. Nie mogła się temu nadziwić, opuszkami palca raz za razem obrysowywała zaokrąglone policzki. Miała wtedy dwadzieścia lat, ale w rozciągniętym T-shircie, bez makijażu, wyglądała młodziej. Poniżej nagryzmołone jej charakterem pisma: „Tydzień po terminie!”, chociaż nie pamiętała, żeby wklejała fotografię czy ją opisywała. Zorientowała się, że wpatruje się w róg zdjęcia, a przecież wiedziała, że wtedy nic tam jeszcze się

nie kryło. Jej nadzieja wciąż była żywa, a ich mieszkanie przez kilka kolejnych bezcennych dni należało tylko do nich dwojga, do niej i do Milesa.

Przewróciła stronę i oddech uwiązał jej w gardle. Ta sama twarz – jej twarz – i ten sam uśmiech. Jednorazowa koszula, włosy schowane pod plastikowym czepkiem. Łóżko, tym razem szpitalne, wyciągnięte do obiektywu ręce z powbijanymi wenflonami, rurkami, oklejone plastrem. I uniesione do góry kciuki. Cesarka w trybie pilnym, po trzydziestu sześciu godzinach skurczy, a ona nadal uśmiechnięta!

– Ty idiotko – powiedziała do zdjęcia. – Nie wiesz, co cię czeka.

I oto na sąsiedniej stronie, jakby za sprawą czarów, pojawia się Amber, leżąca na wznak w szpitalnym łóżeczku, z rozkraczonymi nóżkami, jak mała żabka. Sadie pamiętała, że córeczka potrzebowała kilku godzin, żeby je rozprostować i zaakceptować, że nie przebywa już w brzuchu matki, lecz wydostała się na zewnątrz, jest wolna i może się swobodnie poruszać. Na zdjęciach twarzyczka Amber była czysta i różowa, oczka zamknięte, piąstki zaciśnięte przy uszach. Maleństwo miało na sobie bladożółte śpioszki; Sadie pamiętała, że sama je wybrała. W albumie brakowało zdjęć ich córki zrobionych tuż po narodzinach, artystycznych czarno-białych ujęć lekarza wyciągającego ją, zakrwawioną i wrzeszczącą, na świat. Żadnego zdjęcia Amber, fioletowej i pokrytej białym śluzem, spoczywającej na piersi Sadie. Tylko to jedno, przedstawiające ją maleńką i samotną w plastikowym łóżeczku.

„Człowiek z Lasu zabiera córki” – pomyślała. I zaraz: „Przestań”.

Spojrzała na fotkę na sąsiedniej stronie, wykonaną dzień albo dwa po powrocie ze szpitala: Miles i Sadie na łące nieopodal dawnego domu, za nimi brzeg rzeki. Amber w nosidełku na piersi matki, której dłoń troskliwie obejmuje maleńką główkę. Miles patrzy prosto w obiektyw; ręce złożył przed sobą i pozuje z tą swoją miną, którą czasami zdarzało mu się robić do zdjęcia – blady, zamyślony uśmiech, lekko uniesiony podbródek. Sadie dla

odmiany stoi odwrócona bokiem, ramieniem zasłania dziecko, twarz ma skierowaną do tyłu, jakby patrzyła przez ramię. Włosy rozwiane nagłym podmuchem wiatru odsłaniają kołnierz szarej bluzy z polaru i fragment spragnionej słońca skóry na szyi.

Zdjęcie zrobiła matka Milesa, a może ojciec; Sadie pamiętała, że zjawili się nieproszeni dosłownie chwilę po tym, gdy Miles zaparkował samochód przed blokiem. Patrząc na fotografię, niemal słyszała poirytowane polecenie: „Uśmiech!” i pogwizdywanie wiatru wokół głowy. Dziecko przy jej piersi było nieznośnie lekkie.

„Człowiek z Lasu zabiera córki”.

Dziewczynka szeptała w ciemności tuż obok. Ostrzegła ją.

Sadie przewróciła kolejną stronę w albumie, jeszcze jedną i następną. Oto Amber z nóżkami nareszcie sztywno wyprostowanymi do góry, z ciałkiem tonącym w powodzi pościeli. I znowu ona, tym razem podtrzymywana przez Milesa siedzącego na kanapie, oparta pleckami o jego klatkę piersiową; jego wielkie dłonie unoszą do góry rozpostarte rączki. I wreszcie – śliskie od potu palce Sadie odszukały właściwą stronę – Amber leżąca na brzuszku na tym ich okropnym, wytartym ze starości dywanie, oparta na dłoniach i wpatrzona w obiektyw szeroko otwartymi oczkami.

Wtedy już jej z nimi nie było. Odeszła, zabierając ze sobą cienie wraz z ich szeptami, tak jak to zawsze robiła, zostawiając Milesa, aby bez niej mógł robić te wszystkie zdjęcia i opiekować się – całkiem sam – tą tragicznie małą istotką. Jedyne zdjęcie wykonane już po jej odejściu, na którym był obecny, pochodziło z jakiegoś przyjęcia: Miles trzymał Amber przed sobą w nosidełku, schowana w cieniu twarz była boleśnie ściągnięta, w podkrążonych oczach kryła się panika. Sadie szybko przewróciła stronę, bojąc się zbyt długo patrzeć.

Ostatnia fotografia w albumie przedstawiała Amber w dniu jej pierwszych urodzin. Córeczka stała, zaciskając paluszki na krawędzi stolika do kawy, a przed nią było widać tort w kształcie jedyńki. Sadie dobrze

pamiętała ten dzień. Pamiętała, jak siedziała w wynajętym, cuchnącym pleśnią pokoju i z płaczem gasiła lampę, żeby cienie mogły po nią przyjść. Raz jeszcze spojrzała na zdjęcie córeczki, po czym zamknęła album, podciągnęła kolana pod brodę i przycisnęła czoło do chłodnej, pokrytej lnem okładki. Ponownie wciągnęła w nozdrza zakurzoną woń, jakby mogła w niej odnaleźć resztki samej siebie.

Cienie wokół niej znowu zaczęły szeptać.

2018

Greta poprawia się na niewygodnym krześle w swoim pokoju w motelu, ręką podtrzymuje laptop. Światła samochodów przejeżdżających autostradą padają na krzywe żaluzje, tańczą na ścianie pokoju, klimatyzacja mruczy irytująco. Jest za kwadrans czwarta nad ranem i na horyzoncie ciemnego nocnego nieba widać już pierwsze przebliski błękitu. W motelu panuje błoga cisza.

Greta otwiera kolejną stronę i ściąga następny wywiad z dysku. Bierze słuchawki i wkłada jedną z nich do ucha, wolną ręką sięga po piwo. „Jeszcze tylko jedno nagranie – obiecuje sobie. – Ostatnie, a potem kładę się spać”.

Jej ucho wypełnia cichy kobiecy głos, który od czasu do czasu zacina się na spółgłoskach. Chrypka palacza albo przeziębienie – a może tłumiony płacz? O dziwo, ten wstępny wywiad Federica przeprowadziła sama, co znaczy, że według niej materiał miał spore szanse, by trafić do ostatecznej wersji filmu. Niezbyt długi wstęp, później już tylko sam dźwięk, czyli kobieta nie chciała pokazywać twarzy przed kamerą. Niewykluczone, że Federica każe Grecie albo jakiejś innej dziewczynie ją zastąpić; sfilmuje ją od tyłu, w półcieniu i zmontuje dźwięk. Bardziej prawdopodobne, że dokręci ujęcie dłoni albo stóp rozmówczynie i zrobi zbliżenie na cały ekran, pozwoli, by opowiadały własną historię. Drobne ruchy, mimowolne napięcie mięśni mogą podkreślić wymowę jakiegoś zdania albo zadać mu kłam.

– To wtedy zaczęły cię nawiedzać te myśli? – pyta Federica; mówi ściszym głosem, z szacunkiem, chociaż znajduje się bliżej mikrofonu.

– Tak. – Dźwięk umyka, a potem słychać szuranie, jakby Federica zmieniała położenie mikrofonu. – Z początku łapałam się na tym, że rozmyślałam o złych rzeczach, które mogą się wydarzyć. Wie pani,

wyobrażałam sobie, że go upuszczam albo gdzieś zostawiam i o nim zapominam.

– Później to się nasiliło?

– Tak. Doszłam do wniosku, że lepiej mu będzie beze mnie. Byłam o tym przekonana. Przez cały czas słyszałam głosy, które namawiały mnie, żebym postąpiła jak trzeba i zostawiła ich obu.

Greta klika na zakładkę dysku wspólnego, przegląda zawartość otwartego folderu, listę plików wideo i audio opisanych imionami rozmówczyń. Tak wiele kobiet, tak wiele historii. Tyle początków, z których każdy ma takie samo zakończenie.

– Kiedy zdiagnozowano u ciebie psychozę poporodową? – pyta Federica i w tym samym momencie telefon Greta zaczyna wibrować; to żywa Federica domaga się kolejnego sprawozdania. W Londynie jest teraz jedenasta rano. Greta wyobraża ją sobie z drugim tego dnia kubkiem dużej kawy americano w ręce; szerokie, płaskie stopy oparte na blacie, buty niedbale porzucone pod biurkiem. Pięć godzin wcześniej wysłała wiadomość do Toma, Luki oraz Greta z informacją, że dziś też jednak nie przyleci. „Mam tu jeszcze parę spraw do załatwienia. Jestem całkowicie pewna, że nad wszystkim panujecie x”.

Greta takiej pewności nie ma. I Federica też chyba nie, sądząc po liczbie poleceń i pytań, którymi ich bombarduje. Rzuca telefon na niską szafkę nocną i podwija nogi pod siebie.

– Właśnie wtedy – mówi kobieta – zaraz po tym, jak partner namówił mnie, żebym zgłosiła się do szpitala. Od razu się zorientowali i zapewnili mi odpowiednią pomoc.

Greta zamyka plik i raz jeszcze przegląda niezmontowany materiał z poprzedniego dnia, który Tom udostępnił na dysku. To drwiące spojrzenie Amber, to znużenie, gdy dziewczyna mówi o porzuceniu jej przez matkę, o tym, jak Sadie ponownie zjawiła się w ich życiu i co później nastąpiło. Proste słowa i obojętny ton. „Wcale jej się nie dziwię” – napisała Federica

i Greta musi przyznać, że się z nią zgadza. Wyobraża sobie, że na miejscu Amber, dla której rzeczywistość okazała się zbyt trudna do przełknięcia, a poczucie winy i odpowiedzialność zbyt wielkie, aby się z nimi zmierzyć, też zbudowałyby wokół siebie mur. Dla Federiki obojętność dziewczyny jest czymś złowrogim, lecz Greta postrzega ją jako bardzo smutną istotę – oto nastolatka, która nie potrafi udźwignąć straszliwego brzemienia pozostawionego przez matkę, dźwigająca własny potworny i równie mroczny ciężar.

Greta od początku miała zastrzeżenia co do prób analizowania w filmie występów Sadie Banner, jej zdaniem to niebezpieczny kierunek. Z upływem dni Federicę coraz bardziej korci, żeby szukać nowych informacji o tej kobiecie. O tym, co Sadie rzekomo widywała, o miejscach, w których przebywała po tym, gdy porzuciła swoją rodzinę, i o tym, co ostatecznie skłoniło ją do powrotu. Greta zdaje sobie sprawę, że Federica robi to tylko dlatego, że brak im wystarczająco ciekawych materiałów z Amber w roli głównej; zamiast nieograniczonego dostępu do nieocenzurowanych wspomnień, który im obiecywano, mogą jedynie filmować, jak dziewczyna ubiera się rano, a potem jest wożona tam i z powrotem, ewentualnie od czasu do czasu ogląda nagrania swoich telewizyjnych występów. Amber zdaje się traktować ich film jak coś w rodzaju własnego reality show; najwyraźniej bawi ją świeżo zdobyta niesława, nie bawi za to zagłębianie się w historię, dzięki której się tutaj znalazła („A dlaczego miałyby ją bawić? – dopytuje drażniący głosik w głowie Greta. – Ciebie by bawiło?”). W ostatnich kilku rozmowach oraz e-mailach Federica postawiła sprawę jasno: ekipa ma mocniej przycisnąć Amber, skłonić ją, by bardziej się odsłoniła. Nie podpowiada jednak, jak Greta miałyby to zrobić.

Sobie przydzieliła wygodne zadanie wyszukiwania informacji o Sadie Banner w sieci i zasobach bibliotecznych – z dala od paparazzich, łowców autografów i natrętnych gospodarzy talk-show. Greta wierzy w jej instynkt

– nie ma innego wyjścia. Federica to wielokrotnie nagradzana reżyserka, kobieta słynąca z tego, że wynajduje tematy, które innym umykają. Jednak Greta nie potrafi się otrząsnąć z poczucia winy, ilekroć Amber częstuje ją frytką lub cukierkiem albo pyta, co sądzi o jakimś stroju czy kolorze lakieru do paznokci. Dziewczyna łądzi się, że jest w centrum ich zainteresowania, lecz po drugiej stronie Atlantyku reszta ekipy w tajemnicy przed nią grzebie w sprawach, których obiecywali nie dotykać.

Im bliżej poranka, tym trudniej jest Grecie powstrzymać się od przeglądania kserówek z zaznaczonymi przez Federicę wypowiedziami różnych osób na temat Sadie Banner i słyszanych przez nią „głosów”. Odsłuchuje więc historie innych kobiet, przegląda informacje o psychozie poporodowej uzyskane od lekarzy oraz psychoterapeutów i zadaje sobie pytanie: „Jak ktokolwiek mógł w ogóle przypuszczać, że o to chodzi?”.

– Przestań się mazać.

– Właśnie. – Zabolalo tym bardziej, że powiedziała to Helen. – Nie bądź takim cykorem.

Drzewa znów napierały w mroku, suche liście drżały na wietrze. W tym roku jesień przysłała wcześniej i dziewczynki zaczęły częściej chodzić do lasu. W zapadających ciemnościach Sadie rozejrzała się, zadając sobie pytanie, czy nie powinna wrócić do domu.

Często się nad tym zastanawiała, lecz nigdy tego nie robiła.

Wyglądało na to, że żądaniom Człowieka z Lasu nie ma końca. Marie słyszała, że lubi on dostawać prezenty, więc każdego popołudnia po szkole spotykały się na polanie wśród rzadko rosnących drzew, która według Justine była jednym z jego miejsc. Zakopywały tam drobne monety i słodycze, a Helen, która wyjątkowo się go bała, zakopała nawet swoją kasetę z przebojami Kylie Minogue.

Za każdym razem zasięgały opinii Justine, pytając, czy to wystarczy.

Justine zaś ziewała albo drapała się po łokciu, albo bawiła się włosami.

– Na dzisiaj tak – odpowiadała.

Jednak tego dnia pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Moim zdaniem to za mało. Myślę, że Człowiek z Lasu będzie niezadowolony.

Sadie zwróciła uwagę na spojrzenie, którym Marie obrzuciła Justine; jej nerwowy uśmiech zbladł.

– Chcę do domu – powiedziała, zerkając na mroczniejący las.

Justine popatrzyła jej prosto w oczy. Nachyliła się bliżej; jej ciepły oddech pachniał brzoskwiniami, lizak w ręce był wylizany do cna.

– Przestań się mazać – powtórzyła. – Nie chcesz być wyjątkowa?

Sadie zagryzła wargę i nie odpowiedziała. Nie wspomniała koleżankom o tym, co zaszło w składziku podczas lekcji plastyki, ani o głosie, który zaczął do niej przemawiać. Justine opowiadała im z dumą, jak to Człowiek

z Lasu odwiedził ją pewnej nocy. Słyszając to, Sadie poczuła ukłucie zazdrości. Do tej pory sądziła, że jest jedyna.

Helen przysiadła na krawędzi pniaka; jej oddech stał się świszczący. Z powodu paskudnego ataku astmy opuściła w tym tygodniu dwa dni lekcyjne. Matka pozwoliła jej z nimi wyjść dopiero, gdy Helen przekonała ją, że Marie będzie „miała na nią oko”.

*– Myślicie, że Człowiek z Lasu zabierze Yasmin Hunt, jeśli go poprosimy?
– zapytała. – Nie cierpię jej.*

– Młodszą siostrę Jenny Hunt? – Marie skrzywiła się. – A na co mu taka nudziara?

*– Czy nie tak to działa? – spytała Helen, krzyżując ramiona na piersiach.
– Człowiek z Lasu zabiera tylko te, które są beznadziejne, a fajne czyni wyjątkowymi?*

– Zabiera te, które są złe – wyjaśniła Marie. – Ale może też skrzywdzić tych, którzy krzywdzą wybrane przez niego osoby.

– Patrzcie. – Justine przykucnęła i otworzyła szkolny plecak. – Odkupiłam to od chłopaka z dziewiątej klasy. – Wyjęła zwinięte w rulon czasopismo z podartą tylną okładką. Gdy je rozprostowywała, mignęła ilustracja na okładce. Zbiegająca ze schodów kobieta w staroświeckiej bieliźnie oglądała się przez ramię na ciemny zarys sylwetki za plecami. – Jest sprzed kilku lat – dodała Justine, kartkując strony – ale to naprawdę coś niesamowitego. – Znalazła to, czego szukała, i podała czasopismo Marie; pozostałe dziewczynki skupiły się wokół niej.

Artykuł zajmował dwie pomarszczone ze starości kartki; róg jednej był naderwany. Tu także znajdowała się ilustracja, lecz przedstawiała dziewczynkę w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod samą szyję. W nogach łóżka majaczyła niewyraźna czarna postać, ostre niczym pazury palce wyciągały się po dziewczynkę. Nagłówek głosił: „Horror w mieście”. Helen przysunęła się bliżej, odpychając łokciem Sadie, która nie zdążyła przeczytać tekstu pod ilustracją, zamieszczonego drobnym drukiem.

– To było niedaleko stąd – wyjaśniła Justine, przyglądając się jej. – W latach siedemdziesiątych kilkoro dzieciaków zaczął nawiedzać ten sam koszmar. To znaczy dorośli myśleli, że to tylko koszmar. Nocami odwiedzał je Człowiek z Lasu i prosił, żeby z nim poszły. I wiecie co? Czasami, kiedy przychodził, przyprowadzał ze sobą dziewczynki. Piszę tutaj, że wyglądały dokładnie tak samo jak te, które naprawdę zaginęły.

– „Jedną z zaginionych była dwunastoletnia Pauline King” – przeczytała na głos Marie. – Kilkoro dzieci ze Stow-on-the-Wold twierdziło, że widziało ją w swoich snach, idącą za rękę z Człowiekiem z Lasu. Pauline zaginęła rok wcześniej, w czasie Świąt Bożego Narodzenia; po raz ostatni widziano ją, jak wychodziła ze szkoły w towarzystwie niezidentyfikowanego mężczyzny. Nigdy nie została odnaleziona”.

Sadie zadrżała. Dokąd on je zabierał – dokąd ją by zabrał? Czy w ogóle zasługiwała na to, żeby się stać wyjątkowa, żeby się znaleźć pod jego ochroną? Spojrzała na nierówny kopczyk usypany z ziemi oraz liści, pod którym umieściły swoje ostatnie dary, a potem na ilustrację w czasopiśmie, która przypominała obrazek z komiksu. Nagle ich prezenty dla Człowieka z Lasu wydały jej się drobne, głupie i zdecydowanie niewystarczające.

– To straszne. – Helen wytarła nos w rękaw. – Może niech on lepiej nie zabiera Yasmin Hunt. Nawet ona nie jest aż taka zła.

Justine wzruszyła ramionami.

– Znam masę ludzi, którzy są równie okropni jak ona. Mam całą listę tych, których chciałabym się dzięki niemu pozbyć.

Helen wyjęła pismo z rąk Marie, przysunęła je do twarzy i przebiegła wzrokiem linijki tekstu.

– Nie chcę, żeby on przychodził do mnie w snach – wyszeptała. – Co zrobić, żeby go tam nie wpuścić?

Odpowiadając jej, Justine znowu popatrzyła na Sadie.

– Przecież już go wpuściłaś.

2016

Sadie nie przypuszczała, że tak to się potoczy.

Córka traktowała ją obojętnie, a mąż z uporem udawał, że nic się nie stało. Tyle trzeba było nadrobić, lecz żadne z nich nie wiedziało kto, od czego i jak powinien zacząć – najwyraźniej wystarczało im, że Sadie z nimi jest i odgrywa swoją rolę. Czeka, aż pęknięcia i rysy stopniowo same się zablżnią. W czekaniu miała olbrzymią wprawę, musiała mieć. Jednak całkiem nieoczekiwanie okazało się, że jest jej z tym bardzo źle.

W ciągu kolejnych miesięcy po swoim odejściu wynajmowała domek na wybrzeżu. W sumie przez rok. Kaucja pochłonęła niemal całe skąpe oszczędności i Sadie musiała się zwrócić o pomoc do starego znajomego. Dom znajdował się na odludziu, dostatecznie daleko od Milesa i Amber, by mogła poczuć nieśmiałą ulgę. Z początku codziennie wędrowała do pobliskiego miasteczka i godzinami przesiadywała w bibliotece publicznej, szukając w prasie wzmianek o zaginionym dziecku. „Człowiek z Lasu zabiera córki”. Jednak mijał tydzień za tygodniem i z czasem jej obawy zaczęły przygasać.

Dopiero znacznie później, kiedy spojrzawszy w kalendarz, uświadomiła sobie, że zbliżają się dziesiąte urodziny Amber, zaczęła rozmyślać o tym, że Człowiek z Lasu może się do niej dostać na inne sposoby. Dotarło do niej, że wcale nie musi zabierać Amber; mógł ją po prostu uczynić wyjątkową. Może od początku chodziło o to, żeby urodziła swoją następczynię, a potem zostawiła ją samą, bez opieki?

Mimo to nie zdecydowała się na powrót. Nie mogła ryzykować, że ich do niej doprowadzi. Liczyła tylko, że Miles, dzięki całej dobroci, jaka w nim tkwiła, będzie dla Amber wystarczającą ochroną. Zdoła utrzymać cienie na

dystans. Pamiętała, jak równo dziesięć lat po odejściu siedziała w innym domku, tym razem na wyspie Skye, a przed nią tkwił włączony laptop. Pamiętała też kolejne lata i to, jak godzinami studiowała profil Amber, najpierw na portalu społecznościowym Bebo, później na Myspace, wreszcie – gdy była już niemal pewna, że wróci – na Facebooku, Twitterze oraz Instagramie. Wypatrywała jakiegoś znaku, szczególnego wyrazu twarzy córki, doboru słów na profilu, które potwierdziłyby, że to już nastąpiło, że on jednak ją odnalazł.

A teraz wróciła i mogła z bliska patrzeć, jak Amber rozmawia, śmieje się, śpi. Jednak trudno jej było uzyskać absolutną pewność, zwłaszcza że ta Amber, o której Sadie mogła z czystym sumieniem powiedzieć, że była nietknięta, została wydobyta z jej ciała za pomocą skalpela.

„Człowiek z Lasu zabiera córki – myślała często, będąc sama w domu – ale co zostawia w zamian?”.

Skręciła kierownicą i zaparkowała samochód na wolnym miejscu kawałek za szkołą. Kolejny miły gest ze strony Milesa: zawsze dobijał ją tą swoją życzliwością. Teraz ona codziennie jeździła, on zaś dreptał grzecznie na stację, by złapać pociąg do pracy, z torbą przewieszoną przez ramię jak u gazeciarza, z wielkim kubkiem termicznym w dłoni, parującym w mlecznobiałym świetle poranka.

Wysiadając z samochodu, nie mogła się powstrzymać, żeby nie wspomnieć swoich długich spacerów do biblioteki publicznej i niezgrabnych, przestarzałych komputerów, łączących się z internetem przez modem telefoniczny. Czuwała nad swoją rodziną, naprawdę – nawet jeśli nigdy nie mieli się o tym dowiedzieć.

Ulicą nie przejeżdżały żadne inne samochody. Przez gwar dobiegający od strony boiska przebił się pojedynczy krzyk. Sadie naciągnęła mankiety rękawów na dłonie i ruszyła w kierunku szkoły, jak zwykle nasłuchując drobnych kroczków za swoimi plecami.

Stała przy szkolnym ogrodzeniu, chwyciła palcami metalową siatkę

i patrzyła, jak oddalone od niej sylwetki kręcą się tam i z powrotem po boisku. Próbowwała wypatrzeć Amber, lecz jej uwagę wciąż przykuwali inni – dziewczęta z głowami odchylonymi do tyłu w nagłym ataku śmiechu, chłopcy z rękami w kieszeniach, kopiący od niechcenia murek.

– Są fascynujący, prawda? – odezwał się aksamitny głos tuż obok. Sadie odwróciła się, czując na ramionach gęsią skórkę.

Głos należał do kobiety; to było coś nowego. Niska i chuda, miała ciemne włosy obcięte w kant na wysokości żuchwy. Beżowe spodnie do połowy łydki i marynarska bluza w granatowo-białe pasy, stopy w sandałach ortopedycznych obsypane świeżo skoszoną trawą. Bransoletki na przegubie zadzwoniły, gdy nieznajoma zrobiła krok do tyłu i ponownie skierowała wzrok na boisko.

Sadie zamrugała powiekami.

– Ja...

– Która jest twoja? – Kobieta uśmiechnęła się do niej. „Człowiek z Lasu zabiera córki”.

Sadie rozejrzała się po boisku i w końcu wypatrzyła Amber na ławce, stukającą w wyświetlacz komórki; siedząca obok dziewczyna usiłowała zwrócić na siebie jej uwagę.

– Amber – odpowiedziała i pokazała ręką, chociaż nie była pewna, czy to potwierdzenie było potrzebne nieznajomej, czy raczej jej samej.

– O! A to ciekawe. – Tamta poprawiła włosy za uchem, podzwaniając znowu bransoletkami. Sadie czekała na to, co nieuniknione: na ostrzeżenie. „Teraz należy do mnie” albo „Przecież to nie dziewczynka, nie widzisz tego?”. Ale nie: kobieta wskazywała ręką sąsiadkę Amber.

– To Billie, moja córka. – Wysoka, ciemnowłosa dziewczyna z imprezy urodzinowej Amber. Sadie patrzyła, jak wstaje i podsuwa Amber opakowanie cukierków, ta zaś częstuje się, nie odrywając wzroku od ekranu telefonu. Kiedy znowu zerknęła w bok, zobaczyła wyciągniętą do siebie rękę z bransoletkami.

– Jestem Leanna – przedstawiła się kobieta.

– Sadie. – W chłodnym uścisku Leanny jej własna dłoń wydawała się rozpalona i wilgotna. – Miło cię poznać. – Powoli wracały do niej te wszystkie grzecznościowe formułki i gesty, język, który niegdyś znała, a który zardzewiał, nieużywany.

– Niedawno się sprowadziłyśmy – dodała Leanna, cofając rękę i krzyżując ramiona na szczupłej klatce piersiowej. – Martwię się o nią. To głupie. Czasami wolę się upewnić, że jest bezpieczna. Przysięgam, że nie mam nawyku podglądania zza płotu dzieci bawiących się na szkolnym boisku!

Sadie roześmiała się, czując, że powinna to zrobić; jej śmiech zabrzmiał chropowato na tle odległych pokrzykiwań i pobrzękiwania lśniących bransoletek.

– Amber zapomniała klucza – wyjaśniła zaskoczona, z jaką łatwością nadal przychodzi jej okłamywanie innych. – Podrzuciłam go do sekretariatu.

Rozległ się dzwonek i co pilniejsi uczniowie ruszyli ławą w kierunku szkoły, pozostali zaś wciąż kręcili się po boisku. Sadie cofnęła się niepewnie.

– Wiesz – rzuciła naraz Leanna – to dla mnie wielka ulga, że Billie znalazła sobie kogoś takiego jak Amber.

Sadie wolałaby, aby jej pierwszą myślą nie było: „Serio?”.

Zmilczała jednak i spytała tylko:

– Z daleka się sprowadziłyście?

Jakby na mocy milczącego porozumienia zaczęły wspólnie oddalać się od szkoły.

– Tak. Z północy – odpowiedziała Leanna. W jej głosie słychać było echa różnych akcentów, choć Sadie – która sama wielu używała – nie potrafiła żadnego zlokalizować. – Posłuchaj. – Leanna przystanęła, nagle czymś zafrasowana. – Może wyda ci się to dziwne, ale... czy nie chciałabyś wpaść do nas jutro wieczorem na kieliszek wina? Billie poprosiła Amber, żeby

u nas przenocowała – na pewno córka już ci o tym mówiła – a ja... no cóż, nie znam tu jeszcze nikogo. Byłabym ci wdzięczna za towarzystwo.

Sadie rozejrzała się, chociaż stały w pełnym świetle i nigdzie nie było ani skrawka cienia. Możliwe oczywiście, że Leanna słyszała plotki i chciała się zbliżyć do słynnej wariatki, żeby potem mieć o czym opowiadać. Jednak wyraz jej twarzy wydawał się szczery, wręcz malowało się na niej onieśmienie i Sadie pomyślała o tym, z jakim entuzjazmem Billie obskakiwała Amber po wyjściu z ośrodka rekreacji. Pomyślała też o delikatnej sugestii Milesa, rzuconej niedawno przy śniadaniu – może tej kobiecie naprawdę przydałaby się przyjaciółka. Przypomniała jej się własna samotność w tamtym zawilgoconym domku – jak bardzo łaknęła wtedy czyjejś bliskości! Przez pierwszych kilka lat, zmieniając kolejne adresy, bardzo się pilnowała. Nie pozwalała sobie na żadne nowe znajomości.

– Brzmi wspaniale – odparła teraz. – Z miłą chęcią.

10

2018

Amber się spóźnia, tak samo jak wczoraj. W dodatku oznajmiła, że dziś, w czwartym dniu zdjęć, nie życzy sobie, aby ją filmowano w pokoju, dlatego Greta, Tom i Luca czekają na nią w pozbawionym okien lobby hotelowym. Fotele pokrywa aksamit o wilgotnym połysku, tapeta lśni w stłumionym świetle wiszących pod sufitem lamp.

– Co za idiotyzm – mruczy Luca po trzydziestu minutach oczekiwania. – Idę na jeszcze jedną fajkę.

Greta z Tomem patrzą, jak wychodzi; przez uchylone drzwi frontowe wpada do środka promień jasnego światła i znika, gdy się zatraskują.

– Myślisz, że powinniśmy z nią pogadać o punktualności? – pyta Tom.

– Moglibyśmy poprosić Federicę, żeby z nią porozmawiała. Ale takie sztorcowanie pewnie tylko ją zrazi.

Tom wzrusza ramionami i szuka czegoś w jednej z kieszeni w torbie na kamerę.

– Mam wrażenie, że w ostatnich latach za rzadko ją opieprzano.

– Fakt.

– Poza tym jaki sens wciągać w to Federicę, która jest osiem tysięcy kilometrów stąd.

Greta krzywi się.

– No właśnie.

Upewniwszy się, że jednak niczego nie zapomniał, Tom prostuje się i rozsiada wygodnie na fotelu.

– Swoją drogą, to naprawdę paskudne, że tak cię z tym wszystkim zostawiła.

– W sumie powinnam wycisnąć z tego, ile się da. Potraktować to jak

szansę.

– Grunt, żeby na koniec ona doceniła twój wkład.

Greta uśmiecha się niewesoło – oboje wiedzą, jakie jest prawdopodobieństwo, że tak się stanie.

– Miejmy nadzieję, że dzisiejszy rozkład dnia pozwoli nam nagrać lepszy materiał. Ciężko się z nią rozmawia tuż po wyjściu ze studia telewizyjnego. Jej odpowiedzi brzmią wtedy jak wyuczone na pamięć.

– Mhm. – Tom drapie się po karku i Greta dostrzega wystający z rękawa jego koszulki fragment tatuażu, którego wcześniej nie zauważyła. – Rzeczywiście, to, co już nakręciliśmy, nie wypadło zbyt naturalnie.

Greta wzdycha.

– Będzie lepiej. Liczę na to. A z innej beczki: słuchałam tego zespołu, o którym mi wczoraj mówiłeś. Są świetni.

– Podobało ci się? Tak myślałem, że to twoje klimaty. Nieźli są, prawda?

– Fantastyczni. Rewelacyjne sample. A ten saksofon! Saksofonista jest po prostu genialny.

Tom uśmiecha się, w policzku tworzy mu się dołeczek.

– Pamiętam, jak mówiłaś, że lubisz jazz, i pomyślałem, że to coś w sam raz dla ciebie.

– Z pewnością był to miły podkład do moich poszukiwań dotyczących Człowieka z Lasu.

– Założę się, że koleś lubi dobry jazz. – Dołeczek znika, uśmiech Toma robi się szelmowski. – Podobno wymiata na saksofonie.

– Ja widzę go raczej jako kontrabasistę – stwierdza Greta; dobrze pozartować, chociaż wie, że to niewłaściwe. Przyjemnie słyszeć śmiech Toma w tym dusznym lobby o gładkiej, śliskiej posadzce.

– Będziesz musiała zapytać o to Amber – rzuca Tom i Grecie nagle odechciewa się śmiać. Zerka na zegarek. – Tym razem już naprawdę przegięła.

Greta w głębi ducha ma nadzieję, że Amber się nie pojawi. Tak jakby byli

w szkole i brak zastępstwa oznaczał, że wolno im będzie wyjść na dwór, na słońce. Widzi siebie w motelu, jak daje nurka do basenu ze zbyt mocno chlorowaną wodą, a potem zalega z książką na jednym z tandetnych plastikowych leżaków.

Zaraz jednak widzi siebie czytającą pierwszą recenzję ich filmu, wyobraża sobie, jak wpisuje go do CV i chwali się rodzicom, że kolejny projekt, przy którym pracowała, zdobył ważną nagrodę.

– Chyba powinnam po nią pójść – wzdycha.

Tom robi niezadowoloną minę.

– Poproś recepcjonistkę, żeby jeszcze raz do niej zadzwoniła. Jestem pewien, że potrafi sama się ubrać. – Jego komórka zaczyna wibrować na niskim stoliku i Tom zerka na wyświetlacz. – Powinienem odebrać. Przy okazji przejdę się po gazetę i może kupię jeszcze jedną kawę. Chcesz coś?

Greta zaprzecza ruchem głowy.

– Nie, dzięki.

– Rzucisz okiem na te manele?

– Jasne.

Przecinając lobby, Tom odbiera telefon; słowa powitania nikną w momencie, gdy popycha wahadłowe drzwi prowadzące do baru i restauracji. Drzwi zamykają się za nim cicho i Greta zostaje sama z recepcjonistką, której długie paznokcie stukają w klawiaturę.

Po raz piętnasty bierze do ręki komórkę i sprawdza pocztę. Na razie spokój. Wchodzi więc do internetu i przegląda strony zapamiętane podczas nocnych poszukiwań.

Pierwsze wzmianki o Człowieku z Lasu pojawiły się w latach siedemdziesiątych. Wśród uczniów angielskich szkół zaczęła krążyć legenda w kilku różnych wersjach. Najpopularniejsza mówiła o mężczyźnie, który zamordował swoje nieposłuszne córki. W tym wariacie mogły go przywołać „grzeczne” albo „wyjątkowe” dziewczęta – te, które złożyły mu ofiarę i były gotowe mu służyć, miały być przez niego w szczególności wynagrodzone. W niektórych wersjach legendy jest mowa o darach w postaci mocy nadprzyrodzonych, w innych dziewczęta otrzymują osobistych stróżów

nazywanych często „Posłańcami Cienia”.

Nic nowego; w ciągu ostatnich sześciu miesięcy Greta czytała wiele podobnych opisów. Klika na następny artykuł.

Pierwszy przypadek rozpowszechnienia legendy o Człowieku z Lasu został odnotowany w pewnej szkole podstawowej na północy Anglii w 1972 roku. Siedmioletnia Julie Young wspomina o nim w swojej pracy domowej na temat Świętego Mikołaja, opisując go jako „wysokiego mężczyznę, który przychodzi nocą, żeby dawać prezenty dobrym dzieciom i zabierać ze sobą złe”. Jej starszy brat Jonathan uznał to za bardzo zabawne i w tym samym roku na Gwiazdkę własnoręcznie stworzył komiks o Złym Mikołaju, którego nazwał „Człowiekiem z Lasu”. Egzemplarz komiksu krążył wśród jego kolegów, stał się też obiektem żartów w domu państwa Youngów – Jonathan i Julie mieli liczną rodzinę, a ich kuzyni z upodobaniem straszili młodsze rodzeństwo opowieściami o Człowieku z Lasu, który przyjdzie i ich porwie, jeśli nie będą posłuszni.

Nieraz czytała podobne relacje, chociaż żadna nie była aż tak szczegółowa. Greta ustawia w komórce kolejne przypomnienie – ma ich już mnóstwo – żeby przyjrzeć się bliżej Julie i Jonathanowi Youngom. Ciekawe, jakie są szanse, że uda jej się odnaleźć oryginalny, własnoręcznie narysowany komiks? Federica na pewno ją o niego zapyta, więc równie dobrze Greta może już zacząć szukać.

Na tej samej stronie znajduje się kilka odnośników i Greta sprawdza kolejno link po linku. Jeden z nich odsyła ją na forum, na którym internauci zamieszczają własne niezliczone wersje historii o Człowieku z Lasu.

mój bracki mówi że człowiek z lasu zabił 2 dziewczyny na naszej ulicy zanim się urodziłem. znaleźli je w domku na drzewie a jak się tam pójdzie w nocy to słyszeć jak płaczą

Słyszał ktoś o tej historii z Australii? Matka zabiła swoją córkę kiedy ta spała – to na pewno robota CzL.

moja siostra zaginęła kiedy miałam trzy latka. myślę że zabrał ją człowiek z lasu. chcę żeby wróciła.

Jeden mój kolega dziwnie się zachowuje. Skąd wiadomo że CzL kogoś odmienił?

Greta klika na kolejny link i trafia na opracowanie naukowe w czasopiśmie poświęconym psychologii dotyczące legendy Człowieka z Lasu i jej wpływu na grupę dziewczynek. We wstępie opisane jest Stow-on-the-Wold i przypadek z roku 1977, który Greta już dobrze zna. Grupę dzieci w miasteczku nawiedzał ten sam koszmar – widywały stojącą w nogach łóżka ciemną postać, czasami towarzyszyło jej jakieś dziecko. Czytała też artykuł, który nagłośnił całą sprawę: „Horror w mieście”, opublikowany przez pewien kultowy magazyn w 1989 roku.

Tygodniami usiłowała się skontaktować z jego autorką, Giną Slater, niegdyś również mieszkanką Stow-on-the-Wold, obecnie zaś dziennikarką szanowanego czasopisma poświęconego domom i ogrodom. Dziś rano Federica zapowiedziała, że raz jeszcze do niej zadzwoni – kolejna ważna rzecz do załatwienia w terenie, niewymagająca opuszczenia balkonu.

– Przepraszam za spóźnienie. – To chyba niemożliwe, żeby ktoś poruszał się bezszelestnie po wyłożonej płytkami posadzce na tak wysokich i cienkich obcasach? A jednak Amber za każdym razem udaje się podejść Gretę.

– Nie ma sprawy. Gotowa?

Włosy Amber są świeżo ułożone w okalające twarz szerokie fale w stylu lat siedemdziesiątych. Greta zauważa jednak, że wciąż mają odcień rozjaśnionego przez słońce blondu; najwyraźniej gwiazdka zrezygnowała z planów ich drastycznego utlenienia. Usta pociągnęła matową szminką w kolorze melona zmieszanego z brzoskwinią i włożyła ładną białą sukienkę z falbanami. Jedno ramiączko zsuwa się z barku. Dziewczyna roztacza wokół woń kwiatowych perfum, lecz Greta wyczuwa w tym zapachu także mdłą nutę przejrzałych owoców i zastanawia się, czy w kącie pokoju Amber wciąż piętrzą się tace z niedojedzonym śniadaniem.

– Coś ciekawego? – pyta Amber. Ruchem głowy wskazuje telefon zaciśnięty w dłoni Greta.

– Tylko e-maile. – Greta zerka ponad ramieniem dziewczyny w nadziei, że zobaczy wracającego Toma. Nic z tego. – Dobrze spałaś?

Wzruszenie ramionami.

– Ja nigdy dobrze nie śpię. – Amber patrzy na Gretę i wybucha śmiechem. – Nie w tym sensie. Nie dlatego, że... – Ponownie wzrusza ramionami i zerka na swoje odbicie w lustrzanej ścianie w głębi lobby, po czym znów skupia uwagę na Grecie. – Od dziecka cierpię na bezsenność. Prawie wcale nie śpiam. Chyba że się upiję.

– Och. Przykro mi. Musi ci być ciężko.

– Przyzwyczaiałam się. – Amber przesuwając paznokciem po krawędzi górnej wargi, ponownie zerka w lustro. Unosi palec i przygląda się zebranemu pod paznokciem nadmiarowi szminki. – No dobra, chodźmy już. Co mamy w planach na dzisiaj? Przysięgam, że sprawdzałam w harmonogramie, tylko...

– Najpierw wywiad dla „Rolling Stone” – odpowiada Greta. – Wcześniej chcieliśmy trochę się przejść, nakręcić parę ujęć na plaży. Dobrze byłoby mieć trochę materiału, gdzie po prostu robisz coś zwyczajnego – później będziemy mogli pod część takich zdjęć podłożyć twoje wypowiedzi, żeby nie było tak, że przez cały czas patrzysz w kamerę.

– Spoko. – Amber robi krok w stronę lustra, drapie paznokciem kącik warg. – Łatwizna.

– Witam. – W ukrytych w ścianie drzwiach prowadzących do baru staje Tom ze złożoną gazetą pod pachą. Podeszwy jego tramppek piszczą na wypolerowanej posadzce; recepcjonistka odrywa na moment wzrok od ekranu komputera.

– Cześć, Tom. – Amber odwraca się od swojego odbicia, jej włosy falują. – Dobrze spałaś?

– Tak, dzięki. A ty?

- Uhm. – Patrzy na Gretę, w kącikach jej ust drga uśmiech.
- To świetnie. – Tom też spogląda na Gretę. – Gotowe?
- Tak. Idziemy.

Kiedy wychodzą na słońce, Greta próbuje się skoncentrować na ujęciu – kącie ustawienia kamery, oświetleniu i tysiącach innych drobiazgów, o których Federica może w każdej chwili przypomnieć. Stara się pamiętać, że Amber jest osiemnastolatką, którą niedawno uniewinniono od zarzutu popełnienia morderstwa, zbijającą kapitał na niesławie, którą przyniósł jej kontrakt z wydawnictwem opiewający na siedmiocyfrową kwotę oraz medialna trasa po Stanach Zjednoczonych. Przypomina sobie, że dziewczyna otrzymuje sowite wynagrodzenie za to, iż pozwala im się filmować, i nie potrzebuje niczyjej opieki ani ochrony. To celebrytka udzielająca wywiadów, główna bohaterka ich filmu, gwiazda, a nie ktoś, kogo trzeba się bać.

Jednak jej myśli wciąż powracają do polany w lesie i domu pełnego cieni. Do zdjęcia pstrykniętego przez przypadkowego świadka i udostępnianego potem przez wszystkie media – Amber stoi w ubraniu czarnym od krwi, a policjant skuwa kajdankami jej wyciągnięte do przodu ręce. W tle między drzewami majaczy ciemna plama, światło odbite od kory usychającego drzewa wydobywa z mroku jakby krawędź czaszki wyszczerzonej w bezzębnym uśmiechu.

2016

Były już spóźnione – Amber po szkole zaległa na łóżku i łaskawie weszła pod prysznic na dziesięć minut przed planowanym wyjściem. Sadie siedziała na ostatnim stopniu schodów, gapiąc się na drzwi frontowe i słuchając hałasu suszarki dobiegającego z piętra. Dręczył ją niepokój – a może przecucie? Nie potrafiła tego nazwać. Dość podobnie czuła przed siedemnastu laty, gdy czekała, aż Miles zapuka do drzwi jej pokoju w akademiku.

Głupie, i to jak!

W końcu Amber zeszła, uśmiechnęła się do matki i zapytała:

– Gotowa?

Na co Sadie potulnie skinęła głową i wzięła kluczyki ze stolika. Wmawiała sobie, że taka ugodowość jest łatwiejsza od ciągłych sprzeczek i z pewnością nie świadczy o lęku odczuwanym przed nastolatką. W samochodzie ukradkiem zerknęła na Amber; jej świeżo umyte włosy lśniły na tle wyglądającej na kosztowną skórzanej kurtki. Sadie nie pamiętała, aby wcześniej widziała w niej córkę (co wcale nie znaczyło, że istotnie jej nie widziała).

– Dziwne, że też tam będziesz – odezwała się Amber, spoglądając na matkę. – O czym wy w ogóle będziecie rozmawiać?

– Nie wiem – odparła Sadie, uruchamiając samochód. – Pewnie o was dwóch – wysiliła się na żart.

Amber lakonicznie uniosła do góry brew i odwróciła twarz do bocznej szyby.

– Jaka ona jest? – zagadnęła ją Sadie. – Mam na myśli Leannę. Miałaś okazję spędzić z nią trochę czasu?

– Jest miła. – Amber spojrzała na ściskany w ręce telefon i zaczęła opętańczo walić w klawiaturę, stukając paznokciami w wyświetlacz komórki. Kiedy skończyła, wróciła do obserwowania mijanych domów. Asfalt szumiał pod kołami, stary samochód postękiwał przy każdej zmianie biegów i Sadie zaczęła się zastanawiać, czy nie włączyć radia. Była ciekawa, czy milczenie ciąży Amber tak samo jak jej.

– Co będziecie robiły? – spróbowała.

– Obejrzymy horror, który ściągnęła Jenna. Podobno jest strasznie krwawy. – Amber znów na nią zerknęła i uśmiechnęła się krzywo. – Tylko nic nie mów Leannie, dobrze? Proszę. Bo się wścieknie.

Sadie znowu poczuła znajomy dreszcz wyczekiwania. Dobrze pamiętała te podwórkowe sekrety, powierzane sobie podczas spacerów pod rękę, chichoty i szepty, gorące oddechy omiatające uszy odsłonięte przez rozwiane wiatrem włosy. Dotarło do niej, że uśmiecha się nerwowo i zaciska spocone dłonie na kierownicy. – Jasne – obiecała i zaraz dodała, pragnąc przedłużyć tę chwilę: – W młodości też uwielbiałam horrory.

– Nie to co tata. Okropny z niego mięczak.

Sadie roześmiała się, czując przyjemne łaskotanie w gardle.

– Tak, nigdy za nimi nie przepadał. – Aż drżała z podniecenia wywołanego tą wymianą zdań, tym, jak gładko się ze sobą łączyły. (Rozmowa! To była prawdziwa rozmowa!).

Zaraz jednak przypomniała sobie, dlaczego w wieku jedenastu lat przestała lubić horrory, i jej uśmiech zgasł. Stwierdziła, że boi się spojrzeć w lusterko wsteczne, ponieważ dokładnie w tym momencie, zdjęta nagłym, mrozącym krew w żyłach lękiem, wiedziała, czyją twarz w nim zobaczy.

– Teraz w lewo – powiedziała Amber. – A potem w prawo. – Błyskawicznie wystukała kolejną wiadomość i wrzuciła telefon do torebki.

Skreśliły w zastawiony samochodami ślepy zaułek i Sadie wcisnęła auto w jedyne wolne miejsce.

– Parkujesz też lepiej od taty – zauważyła Amber i wysiadła, zanim Sadie

zdążyła zarejestrować, że właśnie usłyszała komplement. Siedzenie, które przed ułamkiem sekundy zajmowała jej córka, owionął podmuch chłodnego wieczornego powietrza. Sadie zgasła silnik i podążyła za Amber krótką ścieżką wiodącą do ostatniego domku w szeregu; był pomalowany na ładny jasnożółty kolor, a pod oknem od frontu stała kamienna donica z białymi kameliami. Amber nacisnęła dzwonek i przez szybę we wzór w bąbelki razem obserwowały schodzącą ku nim po schodach nieostrą sylwetkę.

Sadie przypomniała sobie (choć ze wszystkich sił starała się odpędzać te wspomnienia; zdarzało jej się wbijać zaciśnięte pięści w oczodoły, jakby to mogło powstrzymać ich napływ), jak wstępowała po Helen i Marie, a potem we trzy jechały na rowerach po Justine. Stały na progu i czekały, aż zniecierpliwiona matka przywoła ich koleżankę, obrzuciwszy wcześniej krytycznym spojrzeniem ich welurowe bluzki, tasiemki na szyjach i poobijane rowery, oparte o frontowe schody. Przypomniała sobie, jak puszczała balony z gumy i patrzyła przed siebie wyzywająco. Nie dbała o to, co pomyślą o niej dorośli. Uważała, że jest wyjątkowa. Wszystkie uważały, że dzięki Niemu stały się wyjątkowe.

Leanna otworzyła im z rolką papieru do pieczenia w dłoni.

– Cześć! – Cofnęła się i nieomal ukloniła, wpuszczając je do środka. – Przepraszam, drobna awaria w kuchni.

Sadie weszła za Amber do holu i tak jak ona zrzuciła buty na posadzkę z ciemnoczerwonych płytek, czując wszechogarniający zapach pieczonego ciasta: chleba albo pizzy, z lekką domieszką czegoś słodkiego i jakby czekoladowego. Wnętrze domu było czyste, schludne i bardzo „dorosłe”, przez co jeszcze bardziej poczuła się jak jedenastolatka.

– Billie jest na górze z Jenną – zwróciła się Leanna do Amber, choć ta była już na trzecim schodku, cisnąwszy kurtkę na poręcz; Sadie patrzyła, jak powoli zsuwa się w kierunku podłogi.

– Pozwól, że wezmę twoje okrycie – odezwała się gospodyni, podchodząc do Sadie i zgarniając przy okazji kurtkę Amber z poręczy.

Sadie, której nagle zrobiło się gorąco, wyswobodziła się z dżinsowej kurtki i posłusznie oddała ją Leannie.

– Pięknie mieszkanie – powiedziała, patrząc, jak Leanna odwiesza rzeczy do wąskiej szafy. „Za wcześnie – zgañła się – zobaczyłaś dopiero schody i kawałek podłogi”. Ściany holu, pokryte białą tapetą z drobnymi wypukłościami, były kompletnie nijakie.

Leanna się rozpromieniła.

– Och, jeszcze tyle jest do zrobienia – odparła. – Zapraszam dalej.

W kuchni na tle białej ściany lśniły garnki o miedzianych dnach, a nad drewnianym stołem wisiał abstrakcyjny tryptyk. Stąpając w samych skarpetkach po posadzce z gładkich płytek, Sadie miała wrażenie, że ma wilgotne stopy. Przypomniała sobie o ściskanej w ręce smętnej, foliowej torebce.

– Przyniosłam wino.

Żałowała, że nie kupiła czegoś jeszcze – czekoladek albo oliwek, a przynajmniej wina w ładnym opakowaniu, które nie kleiłoby się do butelki tak jak plastikowa torebka ze zniekształconym logo stacji benzynowej.

– Jak miło – powiedziała Leanna, biorąc trunek i odwracając się tyłem do Sadie. – Zaraz ci naleję. Wolisz białe czy czerwone? A może prosecco? Albo dżin z tonikiem?

Wybór ją oszołomił i musiała się upomnieć w duchu, że miała być zdecydowana i odpowiadać bez wahania.

– Poproszę białe – odrzekła i poczuła, że jest z siebie zadowolona.

Przyglądała się, jak gospodyni odkorkowuje wyjętą z lodówki butelkę; przyniesione przez Sadie wino zostało wyłuskane z folii i wsunięte na miejsce tamtego. Czy takie zachowanie było grzeczne? Nie pamiętała. Przyjęła od Leanny kieliszek i zwilżyła suche wargi. Wydała przy tym ciche, zadowolone westchnienie i zaraz sobie przypomniała, że miała kontrolować tego rodzaju odruchy. Leanna tylko się uśmiechnęła i wzniosła kieliszek do toastu.

– Za piątek. – Uśmiechnęła się. Sadie zrobiła to samo.

Upiła trochę wina.

– Dawno się przeprowadziłyście? – zapytała, znów odczuwając zadowolenie na myśl, że przyszło jej do głowy właściwe pytanie. Po południu ćwiczyła się pod prysznicem w ich zadawaniu, usiłując sobie przypomnieć, o co Miles zagadywał nowo poznanych ludzi, lecz to nasunęło jej się spontanicznie, nawet nie musiała się zastanawiać. Dawała sobie radę.

– Och, kilka miesięcy temu – odparła Leanna i gestem wskazała stół oraz szeroką ławę z jasnego, prawie nieheblowanego drewna. – Siadaj, proszę.

Sadie zajęła miejsce i przyłapała się na tym, że myśli o lesie, o dotyku spoczonej rączki w swojej dłoni, źdźbłach trawy wplecionych we włosy, zaśmiewających się obok przyjaciółkach. Zamrugła powiekami, żeby uwolnić się od tego obrazu.

– Coś tu wspaniale pachnie – zauważyła, ponieważ jedynym sposobem na ucieszenie wspomnień było je zagadać.

– No tak. – Leanna poderwała się od stołu. Z kuchenną rękawicą w jednej ręce wyczarowała z jakiegoś zakamarka metalową podstawkę. Tego wieczoru była ubrana bardziej swobodnie, w legginsy, długą, jedwabistą koszulkę i przypominający kimono sweter, którego poły powiewały wokół smukłych nóg, gdy kręciła się żwawo po kuchni. Sadie dopiero teraz zwróciła uwagę na różnicę pomiędzy sylwetkami matki i córki. Porównanie Leanny do wysokiej, nieporadnej Billie przyniosło jej ukojenie. Może na świecie istniały różne stopnie oddalenia i bliskości; może każda relacja miała własny, niepowtarzalny kod DNA, wspólny dla obu osób. Ona i Amber były ze sobą tak wyraźnie, niezaprzeczalnie spokrewnione pod względem fizycznym, więc może jest tylko kwestią czasu, by także zaczęły się dogadywać?

Wino. To przez nie jej myśli kłębiły się i rozciągały, rozpanoszone i leniwe.

– I jak ci się tu podoba? – spytała, gdy Leanna wyciągała z piekarnika

jedną, nie, dwie pizze, i zaraz dodała: – O mój Boże, sama je upiekłaś?

Gospodyni zerknęła na nią przez ramię; kuchnię wypełniło ciepło buchające z otwartego piekarnika.

– Te tutaj? Hm, tak. Pomyślałam: po co dziewczynki mają cokolwiek zamawiać? Pizza nie jest najzdrowsza, ale domowa i tak będzie lepsza od tej na wynos, mam rację?

Odstawiła obie pizze do ostudzenia i wróciła na ławkę.

– A wracając do twojego pytania: może być. Nigdy nie jest łatwo, prawda? W nowym miejscu. – Upiła łyk wina i zreflektowała się. – Wybacz, nawet nie zapytałam: jesteście stąd?

Znowu to samo, jakby niespodziewanie podrzuciło ją na wybojach. Wróciło uczucie wybicia z rytmu, balansowania na krawędzi. Żal (ach, ten żal; nieodłączny towarzysz jej wspomnień, a zarazem wywołujący innego rodzaju ból – szczególny, delikatny).

– Nie – zaprzeczyła, szukając ulgi w kolejnym łyku wina; z trudem formułowała słowa. – Nie, Miles i ja mieszkaliśmy w Reading, kiedy się poznaliśmy. – Przemilczenie było lepsze niż wierutne kłamstwo. – Obawiam się, że nie ma tu zbyt wielu atrakcji.

Próbowała nie myśleć o ostatnich miesiącach ciąży, gdy spała krótko i niespokojnie, a Miles czuwał z nią albo razem z nią się budził i jeździli we dwoje samochodem aż do rana, fantazjując o tym, gdzie zamieszkają, kiedy on skończy studia. Może będzie ich stać na coś lepszego niż mieszkanie na osiedlu przy kampusie? Rodzice pożyczyli mu pieniądze na kupno obecnego domu, w którym zamieszkali, gdy Amber miała prawie dwa lata. Miles powiedział Sadie, że wybrał to miasteczko dlatego, że zawsze było numerem jeden na jej liście marzeń.

– Czy ja wiem? – Leanna obracała w palcach nóżkę swojego kieliszka. – Wydaje mi się, że sporo się tutaj dzieje. – Uśmiechnęła się ponad jego szklanym brzegiem i podniosła go do ust, dodając prędko: – Oczywiście wcześniej mieszkaliśmy na zupełnym odludziu.

Nad ich głowami zadudniły kroki i Leanna spojrzała na sufit, odpowiednio czujna i zrezygnowana zarazem. Wstała od stołu, porzucając niedopite wino w kieliszku.

– Wyglądają jak prosto z pizzerii – podjęła niemrawo Sadie, uświadomiwszy sobie, że całkiem zapomniała o obecności dziewczynek na piętrze. – Ja nie wiedziałabym nawet, jak się do tego zabrać.

Leanna zbyła komplement ruchem dłoni.

– Dam ci przepis. Upieczenie pizzy to naprawdę żadna sztuka. To jedno z tych niewymagających wysiłku dań, które zawsze robią wrażenie na gościach. – Wyjęła z szuflady małą metalową łopatkę i zsunęła pizzę na dwa ceramiczne półmiski; z krawędzi jednej z nich zwisał osmalony szparag. – Zaraz wracam. Dolać ci wina?

Sadie z chęcią by przytaknęła; zawartość kieliszka kojarzyła jej się z płytkim stawem, mętym i grząskim. Uśmiechnęła się jednak i pokręciła głową, bo tak wypadło, po czym odprowadziła wzrokiem znikającą w ciemnym holu Leannę. Echo jej kroków rozbrzmiewało przez chwilę na starych schodach. Sadie znowu została sama.

Jej spojrzenie obiegło kuchnię, uprzejmie prezentującą swoje oryginalne zasoby. Prymitywna figurka w kącie obok płyty indukcyjnej spoglądała w dół na maselniczkę. Na półce przy drzwiach delikatnie rzeźbione drewniane pałeczki prężyły się dumnie w stojakach z kości słoniowej. Tryptyk nad stołem epatował krwistą czerwienią z czarnymi rozbryzgami – miejscami warstwa farby była tak gruba, że Sadie korciło, aby wyciągnąć rękę i zdrapać ją jak strup. Zamiast tego przyjrzała się zgromadzonym na parapecie fotografiom w ramkach: przedstawiały matkę i córkę na różnych plażach, mostach, na skraju lasu. To nie było jej życie. Powróciła spojrzeniem do strupów zaschniętej farby, blizn pozostawionych przez pędzel.

Na schodach znowu zabrzmiało echo kroków; początkowo zsynchronizowane, w pewnym momencie rozdzieliło się i dwie pary stóp we

własnym rytmie przebiegły po posadzce z płytek. Pierwsza w drzwiach kuchni stanęła Billie w luźnych spodniach od piżamy, z włosami zaplecionymi w warkocz na plecach.

– Dobry wieczór, pani Banner!

– Cześć, Billie! Dobrze się bawicie tam na górze? – Nie cierpiała tego, że w rozmowie z nastolatkami brzmi jak stare próchno, jak obleśny wujek na weselu albo gospodarz telewizyjnego programu dla dzieci z lat siedemdziesiątych. Ilekroć otwierała usta, Amber krzywiła się, jakby słowom matki towarzyszył nieprzyjemny zapach.

Billie jednak uśmiechnęła się i odparła:

– Tak, dzięki! – w całkowicie naturalny sposób. Przesunęła przy tym palcami po blacie kuchennym i porwała pozostawiony tam kawałek szynki albo bekonu. Rozchyliła cienkie wargi i wrzuciła go do ust, po czym odwróciła się do Sadie, wycierając palce w piżamę. – Podoba się pani nasz nowy dom?

– Jest uroczy – odpowiedziała Sadie i napiła się wina, powstrzymując się, żeby od razu nie pociągnąć kolejnego łyka.

– Jest ładny, prawda? – Billie uśmiechnęła się do matki. – Mama uważa, że jest za ciasny i obskurny, mam rację?

Leanna wybuchnęła śmiechem. Łatwość, z jaką córka i matka wymieniły uśmiechy, wywołała u Sadie lodowate ukłucie zazdrości.

– Sama bym tego lepiej nie ujęła – stwierdziła Leanna. Podeszła do lodówki. – No dobrze, a teraz zrobię wam, dziewczynki, dzbanek mojito. – Zerknęła przez ramię na Sadie. – Naturalnie bezalkoholowego!

– Dobry Boże. – Uśmiech na wargach Sadie wydawał się przyklejony, sztuczny jak u klauna. – Amber nie wróci do domu. – Ledwie to powiedziała, pomyślała, że jej słowa zabrzmiały złowroźnie, wręcz makabrycznie. Dopiła wino, a Leanna, ustawiająca właśnie na tacy wypełniony liśćmi mięty dzbanek oraz szklanki z ozdobnym witrażowym szlaczkiem przy krawędzi, natychmiast to zauważyła. – Billie, napelnij

kieliszek Sadie, dobrze?

Billie zbliżyła się z butelką wina w wyciągniętej ręce i Sadie oczyma wyobraźni ujrzała alternatywną wersję swojego życia, w której malutka Amber podbiega do niej z plastikowym kubkiem-niekapkiem albo zabawkowym czajniczkiem. W której dziesięcio- albo jedenastoletnia córka mogłaby jej przynieść swój zeszyt, prosząc o pomoc przy odrabianiu lekcji. Wyobraziła sobie wszystko, co mogłoby się wydarzyć, wszystkie rzeczy, z których nieświadomie rezygnowała, ilekroć wchodziła wtedy do lasu.

Wino; to przez nie stawała się tak przerażająco refleksyjna. Często obawiała się, że bezpowrotnie zatonie w którymś z podobnych rozważań.

– Dziękuję – zwróciła się do Billie, która niewprawnie stuknęła szyjką butelki o krawędź kieliszka, po czym odstawiła wino do lodówki. Taca z napojami niepokojąco zabrzęczała, kiedy dziewczyna ruszyła z nią do wyjścia.

– Do zobaczenia! – zawołała przez ramię. – Dzięki, mamuś!

– Załatwione. – Leanna domknęła drzwi kuchenne, bo dobiegająca z góry muzyka przybrała na sile. – A ty jesteś głodna? Jadłaś coś? Mam pieczywo, ser i różne smakołyki.

Ku własnemu zaskoczeniu Sadie stwierdziła, że istotnie jest głodna. Od rana nie miała nic w ustach; nienawykła do dbania o siebie, często zapominała o jedzeniu. Z pewnym napięciem przyglądała się więc, jak Leanna wyjmuje z szafki talerze i wsuwa do piekarnika krążek camemberta. Smakowała jej kuchnia Milesa – przynajmniej kiedyś, zanim odeszła – lecz w jego przypadku gotowanie zawsze było swoistym spektaklem, wymagającym odpowiedniej oprawy. Nawet tak proste potrawy jak jajecznica wymagały przygotowania kilku misek i patelni; do tego obowiązkowo dochodziła zaaferowana mina i zmarszczone szerokie czoło perfekcjonisty. Dla odmiany Leanna poruszała się po kuchni lekko, niemal tanecznie, podnosząc i odstawiając w biegu różne przedmioty. Sadie wciąż gubiła wątek, zauroczona szybkimi ruchami jej dłoni. Patrzyła, jak jedzenie

samo pcha się jej w ręce: niepasujące do siebie ceramiczne talerze z krążkami sera i trójkącikami chleba na zakwasie, cząstkami jabłka oraz idealnymi tartinkami.

A potem Leanna usiadła przy stole i skupiła na Sadie niezmaconą uwagę; jej spojrzenie przygniatało Sadie jak głaz, orało niczym pług. Czuło się, że czeka na słowa gościa, więc Sadie zaczęła rozpaczliwie szukać tematu do rozmowy, omiatając pomieszczenie rozbieganym, spanikowanym wzrokiem.

– Masz tu tyle ciekawych przedmiotów – odezwała się (wróciła pewność siebie; Sadie nagrodziła się łykiem wina). – Chyba sporo podróżowałaś?

Leanna uśmiechnęła się; nóż zanurzył się w kawałku brie, nie napotykając żadnego oporu.

– Trochę. Głównie do Indii i na Daleki Wschód. Ale także do obu Ameryk.

– Razem z Billie? – Spojrzenie Sadie z uporem powracało do fotografii z błękitem nieba w tle. To nie twoje życie.

– Ostatnimi czasy tak. Ale zaczęłam jeszcze przed jej urodzeniem. – Pojawiała się butelka i oba kieliszki znów napełniły się winem. – Prawdę mówiąc, w młodości wciąż przed czymś uciekałam.

– Aha. – Zachęcona Sadie pociągnęła następny łyk wina. – Skądś to znam.

Leanna zerknęła na nią i zaraz odwróciła wzrok, bawiąc się delikatnie nóżką kieliszka. – Ile lat miałaś, kiedy urodziłaś Amber?

– Dwadzieścia. – Więcej wina dla kurażu; ukradkowy łyk wzmacniający działanie wcześniejszego, głębszego. – A ty?

Leanna nie dała się tak łatwo zbyć.

– Dwadzieścia lat to wcześnie, musiało ci być ciężko. Długo byliście razem z jej ojcem? Wybacz, właśnie sobie uświadomiłam, że nie wiem, jak mu na imię. Miles, tak? – Dociekliwe pytania gospodyni kłuły niczym pomalowany bezbarwnym lakierem paznokiec, wbijający się coraz głębiej w skórę, usiłujący dogrzebać się tego, co ukryte – a zarazem w pewnym

sensie przynosiły Sadie ulgę. W ciągu ostatniego roku tak bardzo przywykła do bycia wypytywaną, sondowaną i osądzaną, że udzielanie odpowiedzi wydało jej się nagle bardzo łatwe.

– Tak, Miles. Poznaliśmy się na studiach, więc krótko ze sobą byliśmy. Zaszłam w ciążę między pierwszym a drugim rokiem.

Leanna sięgnęła po tartinkę, lecz nie zjadła jej od razu, tylko ujęła elegancko kciukiem oraz palcem wskazującym i trzymała jak szczypczykami.

– O rety. Zostałaś na uczelni?

Sadie przywykła do takich pytań, tym łatwiej więc było odpowiadać. Przetrwiała nawet imprezę dobroczynną w pracy Milesa, podczas której jego koledzy z uniwersytetu pytali: „Czym się zajmujesz?”, po czym zdesperowani rozglądali się w poszukiwaniu bardziej interesującego rozmówcy. Zniosła rubinowe gody rodziców Milesa, jego kuzynów i ciotki dzierzących papierowe talerzyki pełne miniaturowych kanapeczek albo ściskających w garści tanie chipsy, którzy bez skrępowania gapili się na nią. „Dobrze wyglądasz. Pora wrócić do obowiązków matki i żony, co?”. Łatwo było jej teraz kiwać głową, wspominać tamte wczesne lata i tamtą decyzję.

– Nie – odparła. – Mogłam studiować dalej, ale zdecydowaliśmy, że lepiej będzie, jeśli zrezygnuję. Sądziłam, że wrócę na uczelnię, kiedy Amber podrośnie. Głównie chodziło o pieniądze. Poza tym chyba chciałam skupić się na niej przez pierwszych kilka lat jej życia. – W gardle coś ją dławilo, choć równie dobrze mógł to być okruch tartinki, którą rozgniotła na talerzu. Tak czy inaczej, popiła to resztką wina i Leanna naturalnie znów jej dołała.

– Wiesz, jestem pod wrażeniem – oznajmiła, kompletnie zaskakując Sadie i odkroiła cienki plasterek żółto-błękitnego sera pleśniowego. – Taki wybór nigdy nie jest łatwy. Zwłaszcza kiedy jest się młodym. – Nadgryzła ser równymi ząbkami i zlizwała z palca okruszek. – Postąpiłaś bardzo wielkodusznie. Jej życzliwość krępowiała Sadie. Wiedząc, co wydarzyło się później, nie mogła spoglądać w przeszłość przez różowe okulary. Odrzekła

więc niezobowiązująco:

– Chyba po prostu uznałam, że nic w życiu nie dzieje się bez powodu. – Wepchnęła do ust zgnieciony kawałek chleba na zakwasie, odsuwając od siebie myśli o tamtych pierwszych tygodniach. Wspomnienie testu ciążowego na podłodze ich malutkiej łazienki; długich rozmów toczonych we dwoje na jej pojedynczym łóżku, pod osłoną kołdry przesiąkniętej papierosowym dymem; tego, jak pewnego ranka się przebudziła, światło sączyło się przez zdeformowane żaluzje, a dłonie jej i Milesa były splecione palcami. Poczwała wówczas, że wie, co ma zrobić, choć każdy wcześniejszy dzień utwierdzał ją w przekonaniu, że zatrzymanie dziecka będzie błędem.

Wspomnienie dni i tygodni, zanim tamci znowu ją odnaleźli, żeby szeptać jej do ucha swoje ostrzeżenia.

– Tak czy inaczej, masz teraz wspaniałą córkę – zauważyła Leanna. – Amber jest taka słodka. I rozgarnięta.

Sadie po raz kolejny musiała się powstrzymać, żeby nie zareagować zdumionym: „Serio?”.

Jej druga myśl, kiedy Leanna dolewała wina, dotyczyła tego, że przecież miała wrócić do domu samochodem.

12

2018

Po bezpiecznym odstawieniu Amber do kawiarni w Santa Monica, gdzie czeka nad nią zniecierpliwiona dziennikarka „Rolling Stone” ze swoim smoothie, Greta dla zabicia czasu idzie na plażę. Zrzuca buty i wsuwa w nie wilgotne skarpetki, po czym sprawdza e-maile. Patrzy, jak mewy drepczą na płyciźnie, podczas gdy amatorzy joggingu, wbici w odblaskowe ciuchy, przebiegają obok, sapiąc niczym parowozy. Myśli o swoich rodzicach w Michigan, wyobraża ich sobie na werandzie, zapatrzonych na jezioro. Ojciec popija piwo, matka herbatę albo sączy wódkę z kieliszka. Do tego kawałek placka ze śliwkami na talerzu ze złożonym brzegiem; o krawędź talerza oparte dwa widelczyki. Greta miała nadzieję, że znajdzie trochę czasu, żeby polecieć do nich w odwiedzin, lecz ciągłe zmiany harmonogramu wprowadzane przez Federicę (oraz jej przedłużająca się nieobecność) sprawiają, że staje się to coraz mniej realne.

Dziś, w trzecim dniu zdjęciowym, Greta zastanawia się, na co właściwie liczyła. Nie pierwszy raz współpracuje z Federicą; w przeszłości innym reżyserom i producentom również zdarzało się zostawiać ją na lodzie. Angażując się w ten projekt, chciała mieć wpływ na ostateczny kształt filmu, odcisnąć na nim swoje piętno.

– Cześć. – Tom siada obok na piasku. W jednej ręce trzyma zatłuszczone opakowanie frytek, którymi ją częstuje. Greta bierze jedną, sflaczała, rozmiękłą i pokrytą warstewką kwaskowatego keczupu.

– Dzięki. Gdzie Luc?

– Łazi po sklepach i szuka czegoś dla Elke.

– No tak. – Greta zastanawia się przez moment, jak by to było mieć w domu kogoś, komu można przywozić upominki z podróży.

Tom przekłada przez głowę pasek torby z kamerą i rozsiada się wygodnie na piasku.

– Tamta dziennikarka nie wyglądała na szczęśliwą, co?

Greta parska śmiechem.

– Wyobraź to sobie: w jednym roku robisz wywiad z Madonną, a w następnym z pokręconą brytyjską nastolatką, którą bardziej niż twoje pytania interesują dodatki do naleśników.

– O Boże. Biedaczka.

– W zasadzie – Greta kieruje wzrok na ocean i zamglony horyzont w oddali – jeśli mam być szczerą, to żal mi Amber. Wywiad za wywiadem, w kółko te same pytania, stale pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń. A teraz jeszcze my łazimy za nią krok w krok z kamerą. Trudno jej nie współczuć.

Tom przygląda jej się przez krótką chwilę z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Nie jestem pewien, czy ona potrzebuje twojego współczucia.

– Pewnie nie. – Greta odwraca wzrok, urażona. Zamierzała rozwinąć myśl, lecz niespodziewanie brakuje jej słów. Kawalek dalej mecz siatkówki plażowej nabiera tempa, rozlega się zbiorowy jęk, kiedy piłka nie trafia w boisko.

– Szkoda, że nie zabrałem kąpielówek – odzywa się Tom. – Z chęcią wskoczyłbym do wody.

– Nigdy jeszcze nie odważyłam się pływać w oceanie. Za bardzo się boję rekinów, ośmiornic i tak dalej.

– Fakt, sam też wolę pływać w miejscach, gdzie sięgam stopami dna. Chociaż nie sądzę, żeby akurat w tej okolicy żyło dużo ośmiornic.

– Powiedział i przepadł bez śladu. Popilnuję ci ubrania, jeśli chcesz.

– Tak byłoby najrozsądniej. – Tom uśmiecha się do niej. – A ty nie chciałaś pójść na zakupy?

Greta wybucha śmiechem.

– Z punktu widzenia mojego banku nawet nie powinnam. Ostatni raz

kupiłam coś dla przyjemności chyba w dwa tysiące dziesiątym.

– A ja od tamtej pory nie wychodzę z długów.

– Nawet mi o tym nie mów! Kiedy ktoś przy mnie wspomina, że kupuje dom, od razu się zastanawiam, które organy zamierza wystawić na sprzedaż.

– Właśnie. – Tom zjada następną frytkę i milknie na moment. – Kiepska sprawa, co? Mam wrażenie, jakbym raptem tydzień temu skończył studia i poczuł, że wreszcie jestem dorosły. Wszyscy wokół mnie się żenią, mają dzieci, inwestują w nieruchomości, a ja się cieszę, kiedy nie zapominam na czas opłacić rachunku za elektryczność.

Greta śmieje się i słyszy, jak głucho brzmi jej własny śmiech. Tom znowu podsuwa jej frytki, więc tym razem bierze całą garść. On odgarnia włosy z czoła – jasne, podobnie jak piasek zbliżone odcieniem do złota – odchyła się do tyłu i opiera na dłoniach, wystawiając twarz do słońca. Greta zauważa, że na grzbiecie nosa i w okolicy obojczyka wyszły mu nowe piegi.

– Powinniśmy chyba niedługo wracać po Amber. – Greta wkłada frytki do ust, wszystkie naraz. Wspomnienie otrzymanych na ten dzień wytycznych Federiki – „Spróbuj ją wciągnąć w zwierzenia, zapytaj o wcześniejsze życie, o marzenia na przyszłość, sprawdź, czy się przy tym bardziej nie otworzy. Jeśli możesz, kup też jak najwięcej batoników Milky Way Midnights, czekoladowych z nadzieniem karmelowym – Millie je uwiebia, a tutaj nie można ich dostać” – psuje jej dobry nastrój.

Tom przytakuje, lecz jeszcze bardziej odchyła się do tyłu i zamyka oczy w ostrych promieniach słońca.

– Nie lubię jej – mówi. – Chyba można tak to ująć.

– A musimy ją lubić? – pyta Greta (z pełnymi ustami).

– Byłoby nam łatwiej.

Greta rozważa jego słowa, przyglądając się, jak jedna mewa z trzepotem skrzydeł atakuje drugą. Ulicą przejeżdża wolno samochód, przez otwarte okna dobiega słabe pulsowanie basów.

– Warto opowiedzieć tę historię. To, co się stało, jest potworne, ale ginie

pod warstwą taniej sensacji. – Dodaje, zaskakując sama siebie: – Federica powiedziała mi kiedyś, że nie trzeba lubić swoich bohaterów, żeby obiektywnie przedstawić ich losy.

Tom otwiera oczy i odwraca głowę w bok, żeby na nią spojrzeć. Są w Los Angeles krócej niż tydzień, a spod dekoltu jego koszulki widać już jaśniejszy pasek skóry. – Taaa... A gdzie właściwie podziewa się Federica?

– Jutro powinna tu być – odpowiada Greta, choć sama w to nie wierzy.

– Nieprawda. Po wyroku przestała się interesować tą sprawą. Myślała, że Amber zostanie skazana i zrobimy z nią wywiad w więzieniu. Taki był pierwotny plan i dobrze o tym wiesz. Każe nam uganiać się za duchami – dosłownie – podczas gdy sama na koszt stacji próbuje ratować swój popaprany związek.

Kolej na Gretę, żeby odchylić głowę do tyłu i wystawić twarz na rozkoszne ciepło w coraz silniejszych podmuchach wiatru. Stara się nie pokazać, jak wielki wyłom uczyniły jego słowa w jej dotychczasowej wierze w powodzenie projektu.

– Przecież Federica ma całkowite poparcie stacji. Amber to teraz gorący temat. Nie czytałeś wiadomości od Morrisa? Chcą wypuścić pilot serialu. Jeżeli uda nam się wycisnąć z niej coś nowego, może być z tego hit.

– Możliwe. – Tom bierze kolejną zwiotczałą frytkę, ogląda ją i rzuca mewom. Zlatują się tłumnie, dzioby szczękają jak miecze, przenikliwe skrzeczenie niesie się po plaży niczym zgiełk średniowiecznej potyczki. Następna frytka pozytywnie przechodzi inspekcję i ląduje w ustach Toma. – Ale i tak jej nie lubię.

Greta pozwala sobie na skinienie głowy.

– Fakt... Trochę działa na nerwy.

– Jest sztuczna. – Mija ich kolejny samochód i kolejna stłumiona fala elektronicznie generowanych dźwięków ginie w łagodnym pomruku fal. – I jest złym człowiekiem.

Greta patrzy na niego zszokowana.

– To jeszcze dziecko. Przeżyła coś, czego żadne z nas nie potrafi sobie nawet wyobrazić.

Tom zgniata dłonią opakowanie po frytkach.

– Jasne – mówi, podnosząc z piasku zmięty kartonik i rozglądając się dookoła. – Ale jest w niej coś takiego... Sam nie wiem. Całymi dniami przyglądam się jej przez wizjer kamery, prawda? I niczego nie dostrzegam. Ma pustą twarz, żadnych emocji, tylko martwe spojrzenie. – Pochyliła się do przodu, jakby zamierzała wstać, ale rezygnuje i znów zerka na Gretę. – Zupełnie jakby nie miała duszy.

– Według mnie jest po prostu zamknięta w sobie. – W uszach Greta rozbrzmiewają słowa e-maila od Federiki: „Wcale jej się nie dziwię”. – To całkiem naturalne. Komu ty byś zaufała po czymś takim, będąc na jej miejscu?

Tom prychnął z pogardą.

– Daj spokój, Greta. Nie mów mi, że jej wierzysz. To nie ofiara, tylko pieprzona morderczyni i bez względu na to, co jeszcze zaszło, zarabia teraz grube miliony na swojej łzawej bajeczce.

Gretę ogarnia irytacja.

– Można być jednocześnie sprawcą i ofiarą, wiesz? Nie wszystko jest czarno-białe. W przeciwnym razie jaki byłby sens robić o tym film?

Tom uśmiecha się i wzrusza obojętnie ramionami.

– Może i tak. Wydaje mi się, że czasami łatwo jest się pogubić, szukając tematu tam, gdzie go nie ma. Czasami ludzie okazują się po prostu źli. Czasami jakaś historia jest czarno-biała.

– Więc to dla ciebie zwykła bujda?

– A dla ciebie nie?

Greta nie odpowiada; patrzy na ocean. Po jakimś czasie Tom wstaje i podaje jej rękę, pomaga wstać.

– Nie daj się w to wciągnąć – mówi. – Wiesz, co będzie dalej. Federica zrobi coś, po czym ta mała już się nie podniesie. Zawsze wsadza bohaterów

na jakąś minę. Nieraz to przerabiałaś.

Greta puszcza jego rękę.

– Wcale nie musi tak być – odpowiada. Sygnał komórki obwieszcza nadejście kolejnego e-maila.

Tom wzrusza ramionami i oboje ruszają w kierunku samochodu.

– Cokolwiek by mówić – rzuca jeszcze Tom, uskakując z drogi dwóm rozpędzonym nastolatkom na rolkach – Amber nie jest niewinna. Pamiętaj o tym, Greto.

2016

Amber patrzyła, jak taksówka z Sadie w środku odjeżdża; głowa matki osunęła się na szybę. Dziewczyna zaciągnęła się papierosem i wychyliła głębiej za okno, na chłód nocy. Ciekawe, co Miles powie, kiedy zobaczy Sadie w tym stanie. Taki brak samokontroli jest po prostu żaloszny, pomyślała. Nie pojmowała tego – miała dopiero szesnaście lat, lecz już dawno nauczyła się samodyscypliny, pokazywania się innym wyłącznie z dobrej strony. Czerpała dumę z tego, że uchodzi za silną i opanowaną. Sadie nie potrafiła nawet spędzić jednego wieczoru w czyimś domu, żeby się nie skompromitować i nie wyjść na kompletną dziwaczkę. Od jej powrotu minęło raptem pół roku, Amber zaś znudziło się już patrzeć, jak matka brnie przez życie, potyka się i upada, pociągając ich oboje za sobą. Może należy jej żałować? Ale czy to nie Sadie powinna odczuwać żal? Czy to nie ona miała wrócić złamana poczuciem winy i nieustannie przeproszać za to, że porzuciła swoją bezradną, nowo narodzoną córeczkę?

Mimo to milczała. Zjawiła się w ich domu bez słowa; niewykluczone, że w głębi serca było jej przykro, ale to zdecydowanie za mało. To chyba jasne, że powinna wrócić i błagać Amber o wybaczenie! I Amber by jej wybaczyła. Wybaczyłyby jej, udowadniając tym samym, że nie jest już bezradnym dzieckiem – że wyrosła na dzielną, silną, opanowaną osobę, która opiekuje się ojcem w równym stopniu, w jakim on opiekował się nią. Ale nie: Sadie wróciła, Miles skakał do góry z radości, zaś od Amber oczekiwano, że pogodzi się z sytuacją i jakoś do niej dostosuje.

Więc owszem, była poirytowana (ale nie zraniona; nigdy by się do tego nie przyznała) – poirytowana, że przez lata obwiniała o wszystko nieobecną matkę, łudząc się, że życie byłoby idealne, gdyby wróciła. Tymczasem Sadie

okazała się co najmniej przeciętną osobą. W gruncie rzeczy – pogubioną.

(„A czego się spodziewałaś? – drążył krytyczny głos w jej głowie. – Zostawiła cię, bo myślała, że ciąży na tobie klątwa. Raczej trudno sobie wyobrazić, że piekłaby ci ciastka i rozczesywała włosy, co?”).

Rozsiewając wokół iskry, zgmiotła niedopałek o ceglany mur pod oknem, po czym cisnęła go w żywopłot sąsiadów i cofnęła się w głąb pokoju. Nie zamierzała więcej o tym myśleć. Dostatecznie długo rozmyślała o tamtym niedzielnym popołudniu, gdy siedziały z babką same w kuchni. Ojciec i dziadek jak zwykle w milczeniu popijali piwo na tarasie. Amber miała wtedy jedenaście lat. Babka była pijana, sączyła piąty z kolei dzin z tonikiem. „Moje kochanie – powiedziała, odsuwając Amber włosy z twarzy dłońmi mokrymi po zmywaniu naczyń – jak ona mogła w ogóle pomyśleć, że jesteś przeklęta?”.

Koniec z takimi myślami.

Odeszła od okna; powiew wiatru wydał zasłonę za jej plecami. Film trwał i z ekranu laptopa padało na ścianę migotliwe światło. Amber sięgnęła po kawałek zimnej pizzy, który ostał się na półmisku. Smaczna, to fakt, ale wolała tę kupowaną na wynos.

Rozejrzała się po pokoju Billie. Nawet ładnie, stwierdziła, chociaż trochę obciachowo z tym puszystym dywanem pod kolor miękkich poduszek i czymś jedwabistym udrapowanym w nogach łóżka. Ktoś za bardzo się starał, ale charakteru w tym nie było za grosz. To jej zresztą nie dziwiło. Zrobiła krok nad śpiwozem i podeszła do łóżka, na którym póležały Billie i Jenna, a między nimi stała miska prażonej kukurydzy. Chwyciła butelkę likieru Malibu, którą Jenna za jej namową ukradła z supermarketu, i dołała im obu, a następnie padła obok na łóżko.

Na szafce nocnej zawibrował jej telefon. Amber zerknęła na ekran blokady: Mica. „Wybacz kochana, nie mogę”. Wyciągnęła rękę, kliknęła i wyświetlacz znowu pociemniał. Mica potrzebowała aż dwóch godzin i trzynastu minut, żeby jej odpisać, więc sama też nie zamierzała śpieszyć się

z odpowiedzią, chociaż w głowie aż jej huczało od pytań: dlaczego Mica nie może spotkać się z nią w mieście? Co takiego robi? I z kim to robi?

Bądź co bądź nie mieli tu zbyt wiele atrakcji. Jeden obleśny pub przy głównej ulicy, dobry dla starych dziadów, gdzie zawsze mogły liczyć na to, że zostaną obsłużone (w przeciwieństwie do znacznie przyjemniejszego baru, gdzie bramkarzy nie można było tak łatwo zbajerować). Czasami przychodzili tam chłopcy z szóstej klasy i dziewczynom zwykle udawało się zająć lepsze miejsca, jeśli wchodziły razem z nimi, pozwalając im obejmować chudymi ramionami swoje nagie barki. W zasadzie ten obleśny pub był ich miejscem, jej i Miki; to z nim wiązały się ich mgliste wspomnienia i przerywane chichotem rozmowy, przeprowadzane nazajutrz przez telefon spod zmierzwionych kołder.

Amber skupiła uwagę na laptopie – w filmie zbliżała się kulminacyjna scena pościgu; jakaś pochlipująca biedaczka usiłowała zwać przed mordercą, biegnąc oczywiście w niewłaściwym kierunku.

– Przecież to wcale nie jest straszne – odezwała się poirytowana i łypnęła na Jennę. – A mówiłaś, że będzie.

Jenna spąsowiwała.

– Może początek był lepszy?

Amber podobało się to, że jedno jej spojrzenie wystarcza, aby każde zdanie Jenny brzmiało jak pytanie.

– Jeżeli takie rzeczy są dla ciebie straszne, Jen, to poważnie się o ciebie martwię. – Odwróciła głowę, ale najpierw posłała koleżance blady uśmiech, mówiący „Żartuję”. – Ty coś wybierz, Bill. Na pewno lepiej ci pójdzie.

Panika Billie była dziecinna i rozkoszna; wbiła w Amber spojrzenie szeroko otwartych oczu, rozpaczliwie próbując wydukać odpowiedź.

– Ojej... Ja... Hm, Jake zamieścił na Snapchacie coś o jakimś filmie z klaunem... – Na wspomnienie Jake’a jej policzki zapłonęły czerwienią. Amber przyjrzała się koleżance z zainteresowaniem. Wiedziała, że chłopak podoba się Billie. Widziała, jak patrzyła na niego na imprezie urodzinowej

– i jak mina jej zrzędała, gdy Amber zaproponowała mu podwózkę samochodem mamy (a przecież nie miała pojęcia o pocałunku, do którego doszło, kiedy Jake wysiadał).

– Napisz do niego i zapytaj, czy warto go obejrzyć – rzuciła od niechcienia i z satysfakcją odnotowała, że rumieniec Billie się pogłębił. – Jak chcesz, mogę napisać za ciebie.

– Nie trzeba – odparła cichutko Billie. Wzięła do ręki telefon i zaczęła wystukiwać wiadomość. Łatwizna. Amber przeszedł dreszcz, w brzuchu poczuła przyjemne trzepotanie motyli skrzydeł.

Jej komórka ponownie zawibrowała. Tym razem wiadomość od Leo: „Cześć, mała. Co robisz?”. Trzepot się wzmógł i Amber stłumiła uśmiech. Przez chwilę rozważała możliwości. Mogła od razu mu odpisać. Poprosić, żeby przyjechał po nią samochodem i zabrał ją jak najdalej stąd. Ale nie. To byłoby zbyt proste, a ona nie zamierzała mu niczego ułatwić. Zwodzenie go to większa frajda, zwłaszcza że, jak się okazało, bez trudu dawał sobą manipulować.

Ponownie zablokowała telefon. Odpisze później, znacznie później, żeby się zastanawiał, gdzie jest i z kim. Uwielbiała wynajdywać słabe strony innych, odkrywać, co budzi w ludziach zazdrość, smutek albo radość. Taka wiedza się przydawała, dzięki niej można było nimi kierować zgodnie z własnym widzimisię. Pomagała też lepiej ich rozumieć – a zrozumienie tego, jak ktoś funkcjonuje, gwarantowało, że niczym nas nie zaskoczy. Że można mieć nad nim kontrolę.

Dopiła drinka i naląła sobie jeszcze jednego, po czym przysunęła się i uśmiechnęła do Billie.

– Śmiało – zachęciła ją – opowiedz mi najbardziej przerażającą historię, jaką znasz.

Z dziennika Leanny Evans [fragment A]

Spałam zaskakująco dobrze i obudziłam się dopiero po ósmej, co bardzo rzadko mi się zdarza. Przeciągnęłam się ze wzrokiem wbitym w poźółkły sufit. Koniecznie trzeba go było odmalować. Aż się do tego paliłam, chociaż wiedziałam, że to tylko jedna z wielu pozycji na długiej liście rzeczy do zrobienia w nowym domu. I w nowym mieście. Lista zdaje się nie mieć końca, na szczęście wreszcie czuję, że robię jakieś postępy. Powoli zaczynam się w tym wszystkim odnajdywać.

Zasłony były odsunięte – nigdy ich tutaj nie zaciągam, lubię, kiedy budzi mnie światło – więc usiadłam i wyjrzałam przez okno. Jasne, niemal białe niebo wisiało nisko, ulicę spowijała lekka mgiełka. Było jeszcze wcześniej; potem pewnie się rozwieje, ale na razie wyglądało to niemal pięknie, niczym filtr nałożony na surową rzeczywistość. Popatrzyłam daleko ponad rzędami domów, na oślepiająco żółte pola rzepaku i rozwleczone po ziemi ciemne cienie drzew. Z początku raziała mnie ascetyczność tego miasteczka, ale powoli zaczynam się do niej przyzwyczajać.

Wstałam i wzięłam prysznic; szorowałam skórę, aż poróżnowiała. Gdyby nie to, że miałyśmy gościa, chętnie poćwiczyłabym jogę, jednak nie byłam panią swojego czasu. Wykapana i ubrana poszłam do kuchni i zaczęłam się uwijać między szafkami, niepewna, czy usmażyć omlet, czy naleśniki, a może raczej zrobić pełne angielskie śniadanie. Czułam się jak nastolatka, która ma nowego chłopaka – usiłowałam odgadnąć czyjeś upodobania. Domyślić się, co Amber jada rano. Może to dziwnie zabrzmie, ale chciałam dobrze wypaść.

Postanowiłam poczekać, aż dziewczynki się obudzą, i przyrządzić to, na co akurat będą miały ochotę – ot tak, jak perfekcyjna pani domu. Podjąwszy tę decyzję, poczułam ulgę; zaparzyłam sobie kawę, rozsunęłam przeszkłone drzwi i wyszłam na taras. Usiadłam i spojrzałam na wypalony słońcem

skrawek trawnika, suchy jak pieprz, chociaż to dopiero maj. Był już taki, kiedy kupowałyśmy dom, nawet zimą wyglądał na wyschnięty. Nie znam się za bardzo na ogrodnictwie i uprawie roślin. Nie mam pojęcia, jak ożywić to, co martwe.

Po wypiciu kawy wróciłam do środka po książkę. Naturalnie powinnam posprzątać (zawsze to robię!), ale nie chciałam robić zamieszania, dopóki nie zejda na dół. Chciałam, żeby czuły się całkowicie swobodnie, były nieskrępowane. Na tym polega cała sztuka – dobra gospodyni musi być świadoma tego, jak jej dom i zachowanie wpływają na samopoczucie oraz reakcje innych. Zawsze należy o tym pamiętać.

Książkę wypożyczyłam z miejskiej biblioteki – rozpisywały się o niej wszystkie niedzielne gazety. Wartka akcja nie była dla mnie najważniejsza, jednak zdołałam się w niej na jakiś czas zatracić, dopóki skrzywienie sufitu nad głową nie uprzedziło mnie, że dziewczynki się obudziły. Jak na standardy Billie było nadal wcześniej – parę minut po dziesiątej. Przyczesalam włosy i wróciłam do kuchni, żeby napełnić czajnik. Wyjęłam na stół porcelanową maselniczkę, a następnie imbryczek, który zaraz schowałam, ponieważ wydał mi się pretensjonalny i staroświecki – w sam raz dla babuni. Musisz zrozumieć, jak bardzo się denerwowałam, jak bardzo mi zależało, żeby wszystko było, jak należy. Przede wszystkim ze względu na Billie.

Zeszła na dół jako pierwsza, z potarganymi włosami i oczami zapuchniętymi z niewyspania. Miała na sobie szlafrok, za krótki i miejscami przetarty. Mimo to Billie go uwielbia i nie chce nosić nowego, który dostała ode mnie na Gwiazdkę dwa lata wcześniej. W nowym zeszła z kolei Amber, z lśniącymi włosami spiętymi w kucyk i świeżo umytą, nieumalowaną buzią wyglądała znacznie młodziej.

Staralam się zachować zimną krew i przywitać się z nią tak, jakby u Billie codziennie nocowały koleżanki. Powiedziałam „dzień dobry”, zaproponowałam herbatę, kawę albo sok. Amber poprosiła o herbatę

i przysunęła sobie krzesło ruchem tak naturalnym, jakby siadała do stołu we własnym domu. Wtedy chyba po raz pierwszy poczułam, że odniosłam sukces – że pasują do siebie z Billie i że dobrze zrobiłam, namawiając je, by się ze sobą zaprzyjaźniły. Billie nie chciała niczego do picia – wyglądała blado, więc uznałam, że się nie wyspała. Sama chciała spać z Amber w jednym łóżku, chociaż proponowałam, że ściągnę ze strychu nadmuchiwany materac. Szczerze mówiąc, spodobał mi się ten pomysł, jakby żywcem wyjęty z powieści Enid Blyton o szkole z internatem i tym szczególnym rodzaju dziewczęcych przyjaźni, której niestety nie dane mi było zakosztować. Cieszyłam się też, że wkrótce po północy Jenna zdecydowała się jednak wrócić do domu. Może wyjdę na snobkę, ale ta dziewczyna do nas nie pasuje.

Kiedy spytałam, co zjedzą na śniadanie, Amber grzecznie odparła, że cokolwiek. Najwyraźniej nie udzieliła jej się jeszcze bezpośrednio Billie: „Amber przepada za naleśnikami” – wypaliła natychmiast moja córka, chociaż sama wyglądała niewyraźnie, jakby coś jej zaszkodziło. Z pozoru wydaje się zdrowa, ale często niedomaga. Stale się tym zamartwiam.

Amber – trzeba jej przyznać – zarumieniła się i próbowała mnie przekonywać, żebym nie robiła sobie kłopotu. Szybko to ucięłam i zaczęłam przygotowywać ciasto. Billie tymczasem pobiegła do łazienki – byłam pewna, że znowu dopadł ją jakiś wirus i od razu zaczęłam obmyślać soki i dietetyczne zupki na popołudnie. Kiedy zostałyśmy we dwie, przyglądałam się, jak Amber pije herbatę. Pomyślałam, że musi lubić wrzątek, i ucieszyłam się, bo sama też taką pijam. Stwierdziłam, że miło mi było poznać jej mamę.

Pamiętam, że dziwnie na to zareagowała. Powiedziała: „Miło, że pani ją zaprosiła. Nie ma wielu przyjaciół”.

Starłam się ukryć zaskoczenie, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego: „Naprawdę?”. Amber skrzywiła się, nie odrywając oczu od kubka. „Nie jest taka jak inni” – odparła, a ja nie chciałam więcej na nią

naciskać. Wydało mi się, że byłoby to okrutne.

Na piętrze rozległ się odgłos spuszczonej wody i jęk rur. Wlałam na patelnię kroplę ciasta, żeby sprawdzić temperaturę tłuszczu. Zaskwierczało i prawie natychmiast się spaliło.

„Macie śliczny dom” – stwierdziła Amber. Dobrze to zapamiętałam.

Podziękowałam jej, zmniejszyłam moc palnika i wlałam na patelnię porcję ciasta. Tego ranka po raz pierwszy naprawdę czułam, że mój dom jest śliczny.

2016

Sadie przyjechała po Amber i pozostawiony u Leanny samochód chwilę po dwunastej w południe. Przez całą drogę do domu córka milczała; Sadie domyśliła się, że jest zmęczona. Ją samą bolała głowa, a ostre światło słoneczne podążało za nimi niemiłosiernie, gdy przeciskały się przez zatłoczone uliczki do głównej drogi.

– Dobrze się bawiłaś? – zagadnęła, wspominając krótkotrwałe poczucie wspólnoty, które ogarnęło ją poprzedniego wieczoru, gdy pokonywały tę samą trasę. Małe zwycięstwo, to prawda, ale chyba nawet takie się liczy?

– Tak. – Amber spojrzała na nią z ukosa. – A ty?

– Było bardzo miło. Przyjemnie nam się rozmawiało. – Sadie nie za bardzo wiedziała, czy wolno jej mówić, że coś jest miłe albo przyjemne. Podejrzewała, że nadal oczekuje się od niej, aby pokutowała za grzechy.

Postanowiła przemilczeć gniewną reakcję Milesa, gdy wróciła (a raczej wtoczyła się) do domu. I to, jak podtykał jej pod nos swój telefon ze słowami: „Nie zadzwoniłaś. Nie zadzwoniłaś”. Nie wspomniała, że do oczu napłynęły mu łzy i jedna z nich niepostrzeżenie się wymknęła, on zaś musiał się odwrócić, żeby ją otrzeć i przy tej okazji z piersi wyrwało mu się urywane, pełne frustracji łkanie. Ani o tym, że w nocy wymiotowała sfermentowanym serem i winem, oparta mokrą od potu klatką piersiową o sedes.

– Wychodzę dzisiaj – oznajmiła Amber, przesuając szybko kciukiem po wyświetlaczu komórki.

Sadie poczuła ukłucie lęku.

– Ale... dokąd?

Kłamstwo przyszło córce tak gładko i naturalnie, że Sadie (wytrawna kłamczucha) była pod sporym wrażeniem.

– Do Miki – rzuciła Amber od niechcienia. – Jej rodzice wychodzą, więc zaproponowałam, że pomogę jej zająć się Milo. – Milo był młodszym braciszkiem Miki; Sadie przypomniała sobie o tym z satysfakcją jak uczennica, która nie na darmo wkuwała przed klasówką.

– No więc? – ponagliła ją Amber zniecierpliwionym tonem, jakby szukała zwady. – Mogę iść czy nie?

– Może. – Zdenerwowana Sadie, z wypiekami na twarzy, usiłowała sformułować właściwą odpowiedź. – Będziesz musiała spytać tatę.

Amber opadła na siedzenie, wyraźnie zadowolona (to, że matka scedowała odpowiedzialność na ojca, potwierdzając tym samym swój brak decyzyjności, było z kolei jej małym sukcesem). Komórka zawibrowała na jej kolanach; odczytała wiadomość i zaśmiała się do siebie, po czym wystukała odpowiedź. Sadie zerknęła na nią, jak zawsze zastanawiając się, o czym myśli i pisze oraz co sądzi o niej osoba, z którą wymienia esemesy. Jej obraz Amber był tak wypaczony, że niezmiennie fascynowało ją, jak inni postrzegają jej córkę. Jaka jest w ich oczach? Dobra, życzliwa, przyjazna? Może to tylko pozory, a ten chłód, który Sadie czasami od niej wyczuwała, naprawdę z niej emanuje? Przerazało ją to, chociaż wiedziała, że nie powinna tak myśleć. Po swoim powrocie, który wywrócił ich życie do góry nogami, powinna była bardziej się starać, poświęcić Amber więcej uwagi. Planowała – wyobrażała sobie – że będzie mocno przytulać córkę, głaskać ją po głowie i raz za razem powtarzać, jak bardzo jej przykro. Potem jednak nastąpił ten moment w holu, gdy stały wpatrzone w siebie nawzajem. Nieważne, że wcześniej godzinami oglądała w internecie zdjęcia Amber – nic nie mogło jej przygotować na to, że córka jest do niej tak bardzo podobna. I na to, że ich podobieństwo zwyczajnie ją przeraziło.

W ciszy, która zapadła w samochodzie, Sadie pomyślała o Milesie, o tym, że czeka na nie w domu. Rano właściwie nie zamienili ani słowa, a nią na

przemian targały bunt i poczucie winy; było to nawet bardziej męczące niż kac. Przez szesnaście lat żyła swoim życiem – kim on był, żeby nagle stawiać jej żądania i dyktować warunki? A potem, równie niespodziewanie, uświadomiła sobie, że istotnie nie było jej prawie szesnaście lat i w tym czasie Miles zdołał samodzielnie wychować ich dziecko, a teraz nie może nawet polegać na niej w tak drobnej kwestii jak telefon z informacją, że jego żona trochę się spóźni. Nie stać jej było na tak prosty gest w momencie, gdy między nimi wszystko trwało w zawieszeniu: z jednej strony czuli się tak, jakby wciąż mieli po dwadzieścia lat i w każdej chwili gotowi byli zedrzeć z siebie nawzajem ubranie, z drugiej wspomnienie jej nieobecności oraz odtrącenia zdawało się ciążyć na każdej wspólnie spędzonej sekundzie. Miles nigdy nie zrozumie, że musiała to zrobić, że odeszła dla dobra ich wszystkich. To też im ciążyło, a teraz jeszcze Sadie dodatkowo pogorszyła sytuację.

Skręciła na podjazd. Miles stał z włączoną kosiarką na trawniku przed domem. Schylił się, żeby ją wyłączyć w tej samej chwili, gdy Sadie zgasiała silnik, i wyprostował się, kiedy wysiadały z samochodu.

– Cześć, córeczko – zwrócił się do Amber, wyciągając rękę i zagarniając ją w objęcia. – Dobrze się bawiłaś?

– Tak! Mama Billie upiekła pizzę. A rano usmażyła nam naleśniki.

Sadie zamknęła drzwi z ledwie słyszalnym stuknięciem, mimo to oboje się odwrócili i spojrzeli na nią. Intruz. Była intruzem.

– To miło – powiedział Miles i puścił Amber, ścisnąwszy najpierw delikatnie jej bark. – W kuchni czeka frittata, jeśli dasz radę jeszcze coś przełknąć.

– Pycha. – Amber ruszyła ku otwartym drzwiom, z komórką w ręku; odblokowany ekran znów całkowicie ją absorbował.

Miles przyjrzał się Sadie, a ona poczuła, jak kolejna fala mdłości podchodzi jej do gardła i opada.

– Nie lubię, kiedy się kłócimy – odezwał się cicho.

– Ja też nie – odparła, czując, jakby coś się w niej kuliło, rozsypywało w proch. – Przepraszam. – Stale za coś przepraszała. Ale naprawdę było jej przykro.

– Ja też przepraszam. – Przyciągnął ją do siebie. Jego ramiona objęły ją tak naturalnie, niemal odruchowo. Tylko Miles potrafił wymazać w ten sposób ostatnie szesnaście lat. – Chcę, żebyś znalazła przyjaciół. Przesadziłem. Po prostu się bałem.

Rzucając wyzwanie samej sobie, Sadie zadarła głowę do góry i pocałowała go, lecz wargi Milesa były suche i chłodne, a zapach świeżo ściętej trawy chwycił ją za gardło. U wylotu ulicy coś się kopciło i Sadie poczuła wzbierający strach; rozciągnięty na ziemi cień Milesa wchłonął jej własny.

– Powiedziałybyś mi – wyszeptał w jej włosy – gdybyś... Gdyby coś... Gdyby znowu cię niepokoił?

Spróbowała przełknąć ślinę; w ustach czuła gryzący smak dymu. Przytaknęła, szorując czołem po szorstkiej tkaninie jego koszulki.

– To dobrze – powiedział i objął dłonią potylicę Sadie, wciskając jej głowę pod swój podbródek. – Jest nas tylko troje, prawda?

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:04 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Dzięki za esemesa. Wydaje się, że wszystko gra, zaraz obejrzę nagranie.

Jak się dzisiaj sprawowała Amber?

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:05 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

W sumie to był dziwny dzień. Udzieliła wywiadu do francuskiego czasopisma – dziennikarz przyleciał specjalnie dla niej – i nawet gładko poszło. Ale potem, kiedy poszliśmy na lunch, zaczepił ją jakiś facet i powiedział, że Amber to diabeł wcielony. Coś okropnego.

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:07 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Nakręciliście to?

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:11 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Tak, Tom akurat ją filmował. Chcieliśmy nagrać, jak rozmawia przez telefon ze swoim agentem.

Koszmarna sprawa. Widać było, że zrobiło to na niej wrażenie, chociaż udawała, że nic się nie stało.

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:13 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Chyba jesteś przewrażliwiona. Na pewno zdążyła się przyzwyczaić – ostatecznie od dziecka słyszała, że ciąży na niej kłątwa! W końcu robi na tym karierę.

Serio, nie użalaj się tak nad nią. Pomyśl o jej gaży! Musi na nią zapracować!

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:17 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Poza tym spisujesz się na medal. Poważnie, dotychczasowy materiał jest fantastyczny. Naciskam tylko dlatego, że wiem, na co Cię stać – to może być wyjątkowy film. Kamień milowy w Twojej karierze. Możesz na nim wypłynąć.

Zasługujesz na to! ù:)

A w ogóle to dlaczego nie śpisz o tej porze?

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:18 czasu pacyficznego

Od: Grety Mueller

Do: Federiki Sosy

Zmiana czasu. Poza tym motel jest obleśny i ma cienkie ściany.

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:19 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Grety Mueller

Sąsiadom znowu zebrało się na amory?

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:20 czasu pacyficznego

Od: Grety Mueller

Do: Federiki Sosy

Dzisiaj akurat nie. Za to płacze jakieś dziecko. I chyba są tutaj szczury.

Czytałaś e-mail od nauczycielki A.? Myślisz, że warto pójść tym tropem?

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:22 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Grety Mueller

Fuj, szczury!!!! Chyba żartujesz?!!!!

Tak, myślę, że warto wstępnie z nią porozmawiać. Mamy już przecież komentarz dawnej nauczycielki Sadie – jak ona się nazywała? Berkley? Barclay? Mocna rzecz. Można by je ze sobą zestawić.

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:24 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

OK, umówię się z nią na Skypie i zorientuję, czy byłby z tego ciekawy materiał. Wysyłałam Ci już ten artykuł? [link usunięty] Ciekawy przypadek odwiedzin Człowieka z Lasu w Niemczech w 2010 roku. Tutaj niewiele się o tym pisało, bo cała sprawa zbiegła się w czasie ze śmiercią Dawn Brancheau w parku rozrywki SeaWorld.

Tak, szczury! Słyszę, jak biegają wewnątrz ściany. Ale to nic w porównaniu z tamtą norą w Teksasie, pamiętasz? Brrr.

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:25 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Chryste, kochana, brzmi fatalnie. Obiecuję, że przy następnym projekcie będziemy mieli wyższy budżet. Dzięki za linka. Naprawdę powinnaś się trochę przespać. Musisz jutro mocniej przycisnąć Amber – może przy okazji lunchu postaw jej drinka i spróbuj ją w ten sposób rozluźnić. Możesz zapytać, jak się czuła po dzisiejszym incydencie. Skoro uważasz, że jakoś nią wstrząsnął, można to wykorzystać, żeby wreszcie się do niej dostać. Właśnie gadam z Morrisem – mówi, że Amber koniecznie musi opowiedzieć

do kamery, co się wydarzyło tamtej nocy. Wszystko, ze szczegółami. Chcą, żebyśmy ją namówili na powrót do tamtego domu i to sfilmowali. To byłby materiał na wagę złota.

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:26 czasu pacyficznego

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Podpisując kontrakt, kategorycznie zapowiedziała, że tam nie wróci.

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:27 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Wiem, też przy tym byłam. Ale wierzę, że zdołamy ją przekonać.

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:28 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Tak czy inaczej, odpocznij trochę – na pewno jesteś skonana. Raz jeszcze przepraszam, że musisz sama wszystko ogarniać. Domyślałam się, że to dla Ciebie koszmar. Z samego rana zawiadom recepcję o tych szczurach! To niedopuszczalne.

Dzięki, że jesteś taka cudowna. Obiecuję, że nie pożałujesz x

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:30 czasu pacyficznego

Od: Grety Mueller

Do: Federiki Sosy

Nie ma sprawy. Jeśli mam być szczerą, to szczury mniej mi przeszkadzają (!) niż to dziecko. Biedactwo płacze bez przerwy. Zaczynam się zastanawiać, czy nie zostało bez opieki.

Chyba dam jeszcze szansę tutejszej gównianej kablówce i obejrzę coś w łóżku. Dobranoc x

Piątek, 18 maja 2018, godz. 03:31 czasu pacyficznego

Od: Federiki Sosy

Do: Grety Mueller

Polecam zatyczki do uszu, skarbie. Nigdzie się bez nich nie ruszam.

Zadzwonię jutro, jak już ustalę, co z tymi lotami.

2016

Miles siedział przy stole i przyglądał się, jak Amber kończy trzeci kawałek frittaty. Sadie poszła na górę; kac nadal ją męczył. Amber jadła, wpatrując się w leżący przed sobą iPad, przeglądając wiadomości o celebrytach, o których nie słyszał, na plotkarskim portalu, którego nie znosił. W ramach jednego z prowadzonych przez siebie kursów podyplomowych przedstawiał zagrożenia związane z tabloidyzacją życia: kulturę celebrycką, utożsamianie przez brukowce chudnięcia i tycia z sukcesem lub porażką. Mimo to pozwalał córce napawać się tym chłamem. Patrzył, jak jej palce przesuwają tekst na stronie, powiększają ujęcie umalowanego oka gwiazdy jakiegoś reality show albo cellulitu na udach innej. Przez cały ten czas miała twarz zupełnie pozbawioną wyrazu; ruchome było tylko spojrzenie, którym przebiegała ekran w tę i z powrotem.

Wyczuła, że na nią patrzy.

– Co będziesz dzisiaj robił, tatusiu? – spytała, jak zawsze.

– Mam trochę prac do sprawdzenia – odrzekł. Zebrał ze stołu oba talerze i odniósł je do zlewu. – Pomyślałem, że wieczorem mógłbym zamówić coś dobrego na kolację. Co ty na to?

– Przepraszam, tatku, ale nie mogę. Obiecałam pomóc Mice przy Milo.

Miles odwrócił głowę, żeby ukryć wyraz dezaprobaty. Uważał, że matka Miki, Marcie, zbyt często wychodzi z domu, zostawiając synka pod opieką swojej biednej córki.

– No cóż – powiedział – dam ci pieniądze, żebyście mogły zamówić sobie coś na wynos.

– Dzięki, jesteś kochany. – Amber zablokowała swój iPad i zawahała się.
– Tato... Z mamą wszystko w porządku, prawda?

Miles wytarł dłonie, nie odrywając wzroku od ogrodu za oknem.

– Chyba tak, córciu. Musimy jej pilnować, prawda?

Zwlekała przez chwilę, po czym czmychnęła na górę z iPadem przyciśniętym do piersi, zostawiając po sobie krzywo ustawione krzesło. Miles stał w kuchni i nasłuchiwał, dopóki w domu nie zapadła cisza, a on nareszcie mógł się odprężyć. Pamiętał czasy, gdy malutka Amber przesypiała większość dnia; popołudniami kładł ją do łóżeczka, po czym chodził z pokoju do pokoju i rozmyślał, od czego by tu zacząć. Często dzwonił do matki, która przysyłała ojca na pomoc; Miles kładł się wówczas na łóżku i patrzył w sufit, podczas gdy John krzątał się po kuchni, porządkując i uprzątając pozostałości z całego dnia. Nasłuchiwał echa pierwszych głośniejszych sapnięć dobiegających z głośniczka elektronicznej niani, pierwszych jękliwych oznak niezadowolenia. Próbował tłumić niepokój, który wzbudzała w nim każda myśl o Sadie i który przenikał go całego niczym prąd elektryczny. Starał się nie zastanawiać, co mógł zrobić, żeby wszystko inaczej się potoczyło.

Nigdy nie przestał o niej myśleć. Był ciekaw, czy o tym wiedziała.

Wkurzył się na siebie za wczorajszy wybuch. Owszem, postąpiła bezmyślnie i nieodpowiedzialnie, nie informując go, że wróci później do domu. Amber, jedyna – przynajmniej w teorii – nastolatka w tym domu, nigdy by się tak nie zachowała, nie pozwoliłaby, żeby się zamartwiał, powinien był jednak okazać Sadie więcej wyrozumiałości. Musiał się pogodzić z myślą, że dla nich wszystkich jest to wciąż okres przejściowy i że musi minąć trochę czasu, zanim odnajdą właściwą drogę. Wiedział, że on i Sadie są sobie pisani; zawsze był o tym przekonany, czuł, że tylko on jeden naprawdę ją rozumie. Wiedział przecież – nawet gdy dopuszczał do siebie coraz liczniejsze wątpliwości, i tak to wiedział – że pewnego dnia Sadie wróci do domu. Niektóre sprawy są przesądzone. Od pierwszego dnia, gdy tylko się poznali, jego zadaniem było się nią opiekować. Pojął, że Sadie dopiero teraz to sobie uświadamia. Tak długo żyła w samotności, że trudno

jej było się otworzyć. Dlatego musiał zachować cierpliwość.

Na piętrze cicho zamknęły się drzwi i tuż nad jego głową drobne krocuki przemknęły po drewnianych deskach podłogi – w ich pokoju. Przyszło mu na myśl, że to Amber zajrzała, żeby sprawdzić, co u Sadie, i poczuł przypływ zadowolenia. Gdzieś z daleka dobiegł go płacz niemowlęcia. Gdyby zamknął oczy, mógłby przenieść się do tamtych czasów, kiedy samotnie słuchał płaczu swojej córeczki, a świadomość, że jest jedyną osobą, która może zareagować, nieznośnie mu ciążyła.

Udał się na górę do gabinetu i zamknął za sobą drzwi, usiłując zostawić za nimi wspomnienia. Wiedział, że w niczym mu nie pomagają. Teraz musiał zapomnieć, zapomnieć o wszystkim, co każde z nich zrobiło. Spojrzał na komputer, na zdjęcie ich trojga, które ustawił jako wygaszacz ekranu, zrobione zaledwie kilka tygodni po powrocie Sadie. Wybrali się do miasta, do restauracji; Miles pamiętał, jak poprosił żonę i córkę, żeby się do siebie przysunęły, a następnie podał aparat kelnerce. Szeroko uśmiechnięty, wcisnął się pomiędzy obie i objął je ramionami. Kelnerka pstryknęła fotkę w momencie, gdy Amber akurat poruszyła głowę, i uwieczniła ją w niemal identycznej pozie co Sadie. Podobieństwo tych dwóch twarzy było uderzające. Miles zastanawiał się, czy byłoby mu trudniej, gdyby się pomylił, gdyby Sadie jednak nie wróciła do domu – gdyby musiał się przyglądać, jak dorastająca córka staje się lustrzanym odbiciem kobiety, która porzuciła ich oboje.

A jednak wróciła, tak jak przeczuwał.

Poruszył myszką; komputer przebudził się ze snu, a ich wspólna fotografia zniknęła. Miles spojrział na otwartą pracę – tę samą, którą przepuścił przez oprogramowanie antyplagiatowe TurnItIn, gdy przygotowywał lunch. Wynik: pięćdziesiąt cztery procent zostało skopiowane. W poniedziałek będzie musiał się rozmówić z kolejnym studentem. Poirytowany zamknął okno i otworzył pocztę, żeby wysłać winowajcy oficjalne wezwanie.

Najpierw jednak sprawdził nieprzeczytane wiadomości. Znów te same wewnętrznydziałowe apele o sprzątanie wspólnej lodówki i segregowanie śmieci w kuchennych pojemnikach. Spam z dwóch internetowych antykwariatów oraz biura matrymonialnego, do którego zapisał się przed trzema laty w nagłym przyпыlywie buntu. Wykasował te wiadomości, dorzucając elektroniczne rachunki za zamówienia na wynos i grupowy e-mail od dawnych kolegów szkolnych, którzy zamierzali zorganizować spotkanie. Nic z tego nie miało teraz znaczenia.

Pozostała mu do przeczytania korespondencja od studentów – po kilku latach w zawodzie był w stanie przewidzieć ich treść, znając na pamięć wszystkie możliwe uzasadnienia prósb o przedłużenie terminu oddania prac – oraz jedna wiadomość wysłana z nieznanego adresu. KtosWyjatkowy@gmail.com. Temat: „Wiem”.

Nadawca najwyraźniej chciał zwrócić uwagę odbiorcy na swój e-mail, dlatego właśnie Miles postanowił nie poświęcać mu zbyt dużo czasu. Był przekonany, że wie, co znajdzie w środku: reklamę kolejnego biura matrymonialnego albo jakąś durną, tandetną aplikację. „Wiem... gdzie znajdziesz bratnią duszę” albo może coś bardziej bezpośredniego: „Wiem, kogo przelecisz w następnej kolejności”. Kliknął zatem, wiedząc, że nie ma się czego obawiać.

Szybko zdał sobie sprawę, że bardzo się mylił.

2018

– Co o mnie myślisz? – pyta Amber, gdy Greta przegląda listę piosenek w telefonie podłączonym do odtwarzacza w wynajętym samochodzie. Wcześniej dziewczyna uparła się, żeby otworzyć dach, i Greta, która zapomniała związać włosy, usiłuje pokonać wjazd na autostradę z niesfornymi kosmykami w oczach.

Są we dwie, bo chłopcy kończą zdjęcia w plenerach z listy przesłanej im przez Federicę o trzeciej nad ranem czasu londyńskiego. To ich ostatni dzień pobytu w Los Angeles; miniony tydzień zlewa się w pamięci Grety w pasmo telewizyjnych występów Amber. Nic, tylko światła reflektorów i te same, padające z ust dziewczyny wyćwiczone odpowiedzi, najprawdopodobniej wymyślone przez amerykańską filię agencji artystycznej, która ją reprezentuje – Greta przypuszcza, że chodzi o wzbudzenie w Stanach Zjednoczonych jak największego zainteresowania zakupem praw do publikacji książki o najsłynniejszej brytyjskiej osiemnastolatce. Przed ich kamerami, na potrzeby ich filmu, Amber nie ma jednak do powiedzenia nic nowego. Greta liczy na to, że po powrocie do Londynu Federica zdoła prośbą i groźbą wydobyć z niej to, na czym jej zależy. Może gdyby Amber wiedziała, ile wysiłku Federica wkłada w badanie przeszłości Sadie Banner, zamiast się koncentrować wyłącznie na historii jej córki, skłoniłoby ją to, żeby trochę bardziej się otworzyć. Albowiem obsesja Federiki się nasila: plik gromadzonych na dysku wspólnym dokumentów puchnie w oczach, a lista osób, z którymi Federica chce zrobić wywiad, przez cały czas się wydłuża. Odwrotnie niż regularnie okrajana lista tematów, których zgodnie z postawionymi przez Amber warunkami mieli w ogóle nie poruszać.

Greta nie chce iść tą drogą. Tyle się naczytała o Człowieku z Lasu,

o dziewczynkach, które uważały się za jego wybranki, o zaginionych córkach, że nocami, zamiast spać, wypatruje cieni.

Kiedy więc Amber, uwolniona nareszcie od swoich publicznych zobowiązań, pyta, czy mogą się wybrać do Disneylandu, Greta od razu się zgadza. Co jak co, ale kraina Disneya musi być wolna od mroku.

– Co masz na myśli? – odpowiada pytaniem na pytanie, gdy udaje jej się bezpiecznie włączyć do ruchu.

– Czy mnie lubisz? – Amber opuszcza osłonę przeciwsłoneczną i poprawia makijaż w lusterku. Przesuwa palcem po wargach świeżo pokrytych błyszczkiem zwiększającym optycznie ich objętość. Włosy ma starannie uczesane w puszysty koński ogon, który kołysze się przy każdym ruchu. – Uważasz, że jestem złym człowiekiem?

Greta się zastanawia.

– Chyba nie wiem o tobie wystarczająco dużo, żeby cię lubić albo nie – mówi. – Ale nie, nie uważam cię za złego człowieka.

Nie jest pewna, czy odpowiedziała zgodnie z prawdą. Wczoraj przyglądała się zza kulis, jak Amber udziela kolejnego wywiadu w telewizji, tym razem do jednego z codziennych serwisów informacyjnych. Najpierw siedziała w poczekalni i kartkowała jakieś czasopismo, dopóki nie znalazła swojego zdjęcia, następnie przerzucała kolejne strony w poszukiwaniu innych wzmianek o sobie. Potem leniwym krokiem weszła do studia i rozsiadła się na jednym z dwóch identycznych foteli przygotowanych do wywiadu. Greta zauważyła (nie po raz pierwszy w tym tygodniu), że w takich momentach głos Amber zmienia się, staje się cichy, wręcz nieśmiały. A gdy dziennikarz zapytał ją: „Czy uważasz, że jesteś niewinna?”, oczy dziewczyny wypełniły się łzami. „Odebrałam jej życie i już zawsze będę musiała się z tym zmagać” – odpowiedziała, pozwalając jednej łzie spłynąć z gracją po policzku, po czym, gdy już wyłączono kamery, wróciła do poczekalni, gdzie zjadła zamówione na jej prośbę danie z KFC i ucięła sobie pogawędkę z aktorem znanym z filmów klasy B,

któremu bardzo zależało na tym, żeby poznać słynną Amber Banner.

– Nie chcę wracać – odzywa się nagle dziewczyna. – Podoba mi się tutaj.

– Serio? – Greta nie znosi Kalifornii. Nie cierpi ciągnących się bez końca zakorkowanych autostrad, centrów handlowych i uśmiechów olśniewających idealną bielą. A najbardziej nie cierpi Hollywood. Poprzedniego wieczoru, w drodze powrotnej do motelu, minęła kobietę siedzącą na krawężniku i zawzięcie oklepującą bosą stopę w poszukiwaniu żyły ukrytej pod siniakami i grubą warstwą brudu. Obok, stukając obcasami, obojętnie przeszła grupka dziewcząt w obcisłych dzinsach i przejechał autokar pełen turystów, podczas gdy w wielkim sklepie z pamiątkami na rogu dudnił wesoły rock and roll z lat pięćdziesiątych. Poza tym Greta ma wrażenie, że gdziekolwiek się ruszy, słyszy płacz niemowlęcia; w którąkolwiek stronę się zwróci, jakiś facet gapi się na nią z taksówki, z okna albo mijając się z nią na chodniku. Te spojrzenia mrozą jej skórę jak lód.

– Tak. – Amber uśmiecha się do swojego odbicia w lusterku i podnosi osłonę przeciwsłoneczną. Spogląda przez szybę na umykające w tył miasto. – Tutaj jestem, no wiesz, nowa. Rozumiesz, co mam na myśli? Nikt mnie nie zna, ale wszyscy się mną interesują.

– W Londynie też się tobą interesują – prostuje dla porządku Greta.

Amber prycha z pogardą.

– Daj spokój. Tam traktują mnie jak dziwadło. Zależy im tylko na tym, żeby pstryknąć mi fotkę, na której będę wyglądała jak wariatka. Chcieliby, żeby mi odwaliło i żebym zaczęła im rozwalać aparaty, więc podtykają mi je pod sam nos. Próbują zepchnąć z jezdni mój samochód. Tutaj starsi faceci przepuszczają mnie w drzwiach. Stawiają mi kawę w Starbucksie.

To prawda. W ciągu ostatnich czterech dni Greta nieraz była tego świadkiem. Amber nigdy w żaden sposób tego nie skomentowała, a teraz, jak na złość, w pobliżu nie ma Toma z włączoną kamerą.

– Dlatego zgodziłaś się nakręcić ten film? – pyta Greta. – Żeby ludzie mogli cię lepiej poznać?

– Nie. – Amber wzrusza ramionami. – Bo dobrze mi zapłacili. Ej, zwolnij!

Greta wciska hamulec, uświadamiając sobie jednocześnie, że – wyjątkowo – szosa przed nimi jest pusta. Amber wyciąga rękę z komórką ponad przednią szybę i strzela fotkę zawieszonemu nad jezdnią drogowskazowi z nazwą miasta Anaheim i sylwetką Myszki Miki. Niebo w tle jest pogodne i błękitne.

– Idealnie – stwierdza Amber i obejrzawszy zdjęcie, wchodzi na Instagram. – Kurczę, uwielbiam tę piosenkę.

Przez jakiś czas jadą w przyjemnym milczeniu; za oknami, pod ogromnym niebieskim sklepieniem rozciąga się zakurzony krajobraz. Greta stara się nie myśleć o planach na przyszły tydzień, wyszczególnionych przez Federicę w e-mailu; harmonogram wręcz pęka w szwach od zdjęć plenerowych, wywiadów i prac dokumentacyjnych. Stara się też nie myśleć o ostatnim esemesie od Federiki, wysłanym o czwartej nad ranem czasu Los Angeles: „Przeeeepraszaaam! Znowu nic z tego. Kompletna katastrofa. To już chyba naprawdę koniec. Pozamiatane. Nie wiem, co dalej robić”. Po minucie przyszedł następny: „Mogłabyś zasugerować Amber wizytę w szkole we wtorek? Wiem, że wcześniej nie bardzo chciała tam kręcić, ale to byłaby mocna scena – widzowie uświadomiliby sobie, jaka jest młoda”.

A siedem minut później: „xxx”.

Greta wyobraża sobie scenę, która rozegra się po ich powrocie do Londynu. Federica, nadąsana i z zapuchniętymi oczami, będzie bez końca gapić się w swój telefon. Włączy go rzecz jasna na użytek Amber, po czym załaduje jej walizkę na wózek (który po kilku minutach porzuci przed Gretą) i troskliwie odeskortuje dziewczynę przez halę lotniska do czekającego przed terminalem samochodu, nawijając coś bez przerwy i zostawiając Gretę, Toma oraz Lucę z tyłu. Potem, gdy Amber zostanie bezpiecznie odstawiona do zarezerwowanego dla niej pokoju hotelowego w mieście, przedstawienie dobiegnie końca. Wtedy zostaną tylko we dwie – chłopcy

naturalnie czym prędzej się ewakuują – i Federica przysunie sobie krzesło, żeby jej ciepły, ciężki oddech owionął Gretę. Z jej ust wyleje się potok słów, drobiazgowych informacji na temat tego, co Millie, najnowsza dziewczyna Federiki, odkryła albo zrobiła (to ostatnie jest mało prawdopodobne, to pierwsze – nieuniknione). Dziwnym sposobem jej monolog przerodzi się potem w dyskusję nad projektem i wyliczanie wszystkiego, co Greta mogła zrobić lepiej w danej sytuacji.

Wcześniej dwukrotnie ze sobą współpracowały; raz, gdy Greta skończyła studia i wujek jednego z jej znajomych, którego posiadłość w Hertfordshire stanowiła popularny (i dochodowy) plener zdjęciowy, załatwił jej posadę gońca na planie pewnego filmu kostiumowego. Federica była wówczas asystentką reżysera, onieśmielającego pięćdziesięciokilkulatka, który paradował po planie w ciemnych okularach, szepcząc coś do niej zjadliwie; z żadnym innym członkiem ekipy nie zamienił ani słowa. Federica dla odmiany, z bujnymi włosami spiętymi w kucyk u nasady karku i przytrzymywanymi od góry przez parę okularów przeciwsłonecznych, rozmawiała z każdym, kto tylko się nawinął. Z reguły były to wyrzucane z szybkością karabinu maszynowego najrozmaitsze pretensje, z którymi obnosiła się po wszystkich pokojach i namiotach. „Ty – co się dzieje z tym reflektorem?”; „Ty – co robi tutaj ten obraz?”; „Ty – nauczyłeś się wreszcie tekstu?”. Od razu polubiła Gretę, która błyskawicznie reagowała i nigdy nie pyskowała, więc gdy biedna pomocnica scenografa ponownie zawiesiła obraz na niewłaściwej ścianie, została natychmiast zwolniona i Greta – „Ty!”; wycelowany w jej stronę krótki palec nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości – zajęła jej miejsce.

Później, gdy miała już na koncie kilka podobnych albo lepszych zleceń, pewien producent, którego poznała i polubiła (raz nawet nierozważnie pozwoliła mu się pocałować w magazynie rekwizytów w Shoreditch; zapach kulek na mole drapał ją w gardle, a popsuta neonowa strzałka migotała słabiutko gdzieś w kącie) polecił ją Federice do pracy przy kolejnym filmie.

Federica zaprosiła ją do swojego biura w Soho, po czym, gdy Greta była dziesięć minut od celu, przesłała jej esemesa z informacją, że spotkanie odbędzie się jednak w kawiarni w Bethnal Green. Kiedy Greta dotarła tam pół godziny później, przepocona bluzka z cienkiego materiału w kwiaty lepiała się do jej pleców, a pasek dżinsów wrzynał boleśnie w ciało. Siedząca przy rozchwianym stoliku w kawiarnianym ogródku Federica po prostu się uśmiechnęła i upiła łyk kawy. Na nosie miała ciemne okulary, puszyste włosy tworzyły wokół jej głowy podświetloną słońcem aureolę.

– Jeszcze się nauczysz – powiedziała i rzeczywiście, Greta się nauczyła.

Niskobudżetowy film, który wówczas kręciła ich mała, sześćoosobowa ekipa (znaleźli się w niej także Tom i Luca), odniósł ogromny sukces. Nie stało się to bynajmniej z dnia na dzień; film był niszowy, lecz z czasem zyskiwał na popularności, aż pewnego wieczoru, ni z tego, ni z owego, Federica znalazła się na szklanej scenie i stojąc na przyozdobionym złotymi liśćmi podium, ścisnęła statuetkę w swoich szerokich, płaskich dłoniach. Dokument o cieszącym się ponurą sławą małżeństwie, które przez trzy lata mordowało w Teksasie autostopowiczów, zdobył uznanie krytyki głównie dzięki temu, że Federice udało się wyciągnąć nieznane dotychczas informacje od dzieci sprawców. Amber wyznała Grecie, że widziała go już trzykrotnie.

Ilekróć Greta wspomina komuś, że pracowała przy tym filmie – pierwotnie zatytułowanym *Dziwny mrok*, w nawiązaniu do czegoś, co najmłodszy syn małżeństwa zabójców powiedział w szczególnie wstrząsającej rozmowie (po tamtym nagraniu Greta zaciągnęła żaluzje w swoim pokoju hotelowym i położyła się do łóżka o trzeciej po południu, nakryta, pomimo koszmarnego skwaru, tyłoma kocami, ile tylko udało jej się znaleźć), następnie zaś za namową dystrybutora przemianowanym przez Federicę na *Moi rodzice to mordercy* – często słyszy od ludzi, jak bardzo się im podobał. „To całkiem jak horror – entuzjazmowała się jedna znajoma podczas imprezy zorganizowanej w ciasnym mieszkaniu w Camden – Tyle

że oparty na faktach!”. Zabrzmiało to jak komplement, inni zresztą powtarzali to samo. Tyle że ich tam nie było. Nie mieli o niczym pojęcia.

Niemowlę znowu płacze, Greta słyszy całkiem wyraźnie. Dopiero po chwili dociera do niej, że przecież znajdują się tylko we dwie, w dodatku na autostradzie. I że dobiegająca z głośników przenikliwa, zawodząca melodia to piosenka odtwarzana z telefonu Amber.

– Już niedaleko! – piszczy dziewczyna i wychyla się ponad drzwiami, żeby zrobić zdjęcie kolejnego drogowskazu. – Boże, ale jestem nakręcona!

Greta z zaskoczeniem stwierdza, że sama też odczuwa lekkie podekscytowanie. Czuje się trochę tak, jakby uciekły od czegoś we dwie, chociaż początkowo niepokoila ją myśl, że odciąższy podwójny balast w postaci Toma i Luki, zostanie z Amber sam na sam. Wspomina wakacyjny wypad z rodzicami do Ogrodów Tivoli, kiedy była mała – odwiedzali wtedy znajomych w Kopenhadze – oraz wirujące karuzele, uśmiechniętych ludzi i dotyk matczynej dłoni, ściskającej ją za rączkę.

Skręca w Disneyland Drive, zastanawiając się, co robi teraz Tom. Czy wspólnie z Lucą nadal realizują ujęcia z listy życzeń Federiki (na której znalazły się tak szczegółowe wytyczne jak „dziecko na plaży z balonem lub piłką, wiatr porywa balon/piłkę” oraz „nastolatki/młode dziewczyny pijące/śmiejące się w ciemnym barze, jak najwięcej neonów”), czy raczej dali sobie spokój i poszli na piwo? Mogłaby wysłać im esemesa z zaproszeniem, żeby do nich dołączyli – zdążyliby śmiało, pod warunkiem że natężenie ruchu na autostradzie się nie zwiększy. Miło byłoby mieć przy sobie Toma. Chyba.

Kiedy zatrzymuje auto na rozległym parkingu, Amber odwraca się do niej i błyskawicznym ruchem dotyka jej ramienia rozpaloną ręką.

– Bardzo ci dziękuję, że mnie tu przywiozłaś – mówi, nie odrywając od niej spojrzenia swoich zielonych, kocich oczu. – To bardzo miłe z twojej strony.

Zanim Greta zdąży odpowiedzieć, ręka znika, a żar dotyku powoli wyparowuje ze skóry. Amber wysiada z samochodu; wiatr szarpie końskim

ogonem, gdy dziewczyna rozgląda się po parkingu w poszukiwaniu przystanku, z którego kursujący regularnie autobus zawiezie je na miejsce.

Idą pod górę główną aleją. Z przodu majączy Zamek Śpiącej Królowy, Amber zaś pstryka telefonem fotki kolejnym budynkom i bohaterom słynnych kreskówek. Przed stoiskiem ze słodyczami pyta faceta przebranego za Aladyna, czy może zrobić sobie z nim selfie, a następnie zaskakuje Gretę, wciągając ją także w kadr. Stoją tak z twarzami obok siebie i Amber wyciąga rękę, żeby objąć całą trojkę; drugą ściska dłoń Grety.

– Zawsze uwielbiałam Aladyna – zwierza się, kiedy ruszają dalej. – To był mój ulubiony film. – Spogląda na zdjęcie, potem na Gretę. – Siadałam w domu na dywaniku i udawałam, że na nim latam. Żenada, nie?

Greta się uśmiecha.

– My z bratem odgrywaliśmy postaci z *Aryskotratów*.

Amber zamyśla się, mruży oczy.

– Nie wiedziałam, że masz brata.

– Mam. Mieszka na Bliskim Wschodzie i jest dziennikarzem.

– No proszę. Kupimy ciągutki?

Wybiera największe pudełko, a także śnieżną kulę z przycupniętą w środku miniaturką zamku. Potrząsa nią z całej siły i patrzy na opadające za szkłem migotliwe drobiny, po czym odchodzi, pozostawiając Grecie rachunek do uregulowania. Greta ma nadzieję, że jej karta kredytowa wytrzyma jeszcze przynajmniej jeden dzień; Federica prędzej czy później zawsze zwraca jej za wydatki, ale robi to od przypadku do przypadku – jednego dnia wręcza zwitek wygniecionych, zużytych banknotów, drugiego karmi ją mglistymi obietnicami przelewu bankowego. „To mi się opłaci” – powtarza sobie w duchu Greta, choć pomimo pracującej w sklepie klimatyzacji pot ją oblewa na myśl, że tymczasem będzie musiała zadzwonić do rodziców z prośbą o pożyczkę.

– Przejedźmy się – mówi Amber, gdy Greta wychodzi na zewnątrz. Słońce pnie się nieustępliwie po nieboskłonie, upał jest bezlitosny, wysusza

powietrze.

Greta z wahaniem się zgadza. Wędrują przez park rozrywki; Amber przetrząsa zawartość pudełka z ciągutkami owiniętymi w białe papierki.

– Wszystkie smakują tak samo – oznajmia po czwartym cukierku, miarowo ruszając szczęką. Podsuwa pudełko Grecie. – Kompletnie bez sensu.

Wahanie Grety słabnie w chwili, gdy mijają drogowskazy do „Domu Strachów” i kolejki górskiej „Wielki Grzmot”; Amber prze naprzód, tam, gdzie za Zamkiem Śpiącej Królowy mieści się spokojniejsza Kraina Fantazji. Jest jednak zaskoczona, gdy dziewczyna oświadcza ze śmiechem: – Tutaj – wskazując staroświeckie latające słoniki Dumbo. To karuzela dla dzieci: słoniki poruszają się powoli w górę i w dół przy wtórze sennej, pozytywkowej muzyczki. Mimo to Amber pstryka telefonem fotkę za fotką i ciągnie Gretę za sobą do kolejki.

– Śliczne są! – mówi. – Wiesz, że tę karuzelę pokazywali w reklamie Disneylandu, kiedy byłam mała?

Greta ani przez chwilę w to nie wątpi. Amber najwyraźniej ma fotograficzną pamięć; niczym technik kryminalistyki jest w stanie w okamgnieniu przywołać obraz nawet najmniej istotnych szczegółów. Myśli o zmrużonych oczach dziewczyny: „Nie wiedziałam, że masz brata”. Zastanawia się, jakie jeszcze informacje Amber przechowuje w swoim mentalnym folderze, opatrzonym etykietką „Greta”. Jest ciekawa, jak Sebastian, który relacjonował przebieg konfliktów zbrojnych na całym świecie, zareagowałby na wieść, że jego siostra zabrała nastoletnią morderczynię do Disneylandu, żeby zdobyć jej zaufanie.

Karuzela staje, a one sadowią się we wnętrzu słonika. Przed sobą mają matkę z marudzącym kilkulatkiem. Amber przegląda zawartość swojego smartfona i Greta chcąc nie chcąc zerka na wyświetlacz. 1350 powiadomień na Twitterze. Udaje jej się kilka z nich odczytać, gdy kciuk Amber kolejno przesuwają posty w dół.

Jesteś całkiem seksowna jak na wariatkę.

Amber, widziałam Cię w Good Morning America. Chcę Ci powiedzieć, że jesteś bardzo odważna.

Właśnie oglądam @amber_banner w TV. Nie do wiary. Co za chora suka.

Cześć, Amber, obserwuj mnie na Twitterze. ily

Amber Banner super wygląda na okładce dzisiejszego wydania Hollywood Reporter. Może i jest pokręcona jak cholera, ale podoba mi się jej styl.

Greta jest już znieczulona na tego typu teksty – przejrzała mnóstwo komentarzy pod artykułami poświęconymi sprawie Amber, ma kolumny aktywności na TweetDecku do śledzenia identyfikatora Amber na Twitterze oraz jej nazwiska (czasami ludzie chcą zwrócić uwagę Amber na to, co o niej wypisują, czasami nie). W trakcie procesu obserwowała, jak zmienia się nastawienie opinii publicznej wobec Amber: pisano, że ma serce z lodu, nazywano nastoletnią morderczynią o sadystycznych skłonnościach, postacią tragiczną, dzielną dziewczyną i twardzielką. Raz była gówniarą, która śmiała się w głos przed gmachem sądu, w którym toczył się jej proces w związku z potworną zbrodnią, innym razem dziewczątkiem, które łzawo opowiadało na sali rozpraw o Człowieku z Lasu i ostatecznie zostało uniewinnione. Nastolatką, która odzyskawszy wolność, z tajemniczym uśmiechem na ustach pozwalała się fotografować na schodach sądu. Świat z zapartym tchem obserwował ją przez cały ten czas, z fascynacją komentując kolejne makabryczne szczegóły. Greta pamięta artykuł opublikowany w MailOnline w trzydziestym czwartym dniu procesu, kiedy to w sprawie nastąpił zasadniczy zwrot. Drobiazgowej relacji z wystąpienia obrony towarzyszyło zdjęcie Amber opuszczającej budynek sądu, a w ramce poniżej znalazły się

wskazówki, jak osiągnąć taki sam „look”, oraz odnośniki do stron oferujących identyczne koszule. Tego samego dnia uwielbiany przez Gretę feministyczny blog zamieścił tekst po tytule „Amber Banner nie musi łzami udowadniać swojej niewinności. Twarz zimnej zołzy i medialne polowanie na czarownice”. Greta wszystko to przeczytała – każdy artykuł, felieton, komentarz i tweet. Nic już jej nie dziwiło.

Teraz przygląda się twarzy Amber, gdy ta przesuwając powiadomienia. Od czasu do czasu odnotowuje jakąś reakcję – drgnięcie brwi albo kącika warg. Zastanawia się, czy one także zostają utrwalone w fotograficznej pamięci dziewczyny: łagodne słowa opadają na dno, a te ostrzejsze przebijają się na powierzchnię. Amber nie daje niczego po sobie poznać, ale Greta nie wierzy w tę grę pozorów. Jeżeli pod tą fasadą naprawdę nic się nie kryje, ich film automatycznie straci sens. Myśli o słowach Toma na plaży: „Łatwo jest się pogubić, szukając tematu tam, gdzie go nie ma. Czasami ludzie okazują się po prostu źli”. Jeżeli Greta zacznie tak myśleć, równie dobrze może zacząć się pakować.

Karuzela rusza. Ich słońnik łagodnie sunie ku ziemi, po czym powoli pnie się ku górze. Amber wybucha tym swoim dziwnym, głuchym śmiechem. Robi kolejne zdjęcia: tłumy w dole, nieba nad nimi. Fotografuje się z razem Gretą, po czym zbliża twarz do jej twarzy i pstryka selfie. Po kilku okrążeniach nudzi się i odkłada telefon na kolana. Wygląda na zewnątrz, z dłonią o świeżo zrobionych, fioletowych, akrylowych paznokciach uczeponą krawędzi szarego wagonika. Pachnie perfumami, samoopalaczem i czymś metalicznym.

Greta również spogląda w dół na park rozrywki, ogarnia spojrzeniem niezliczone wózki spacerowe i balony z uszami Myszki Miki. Niosą się ku nim dźwięki pozytywkowej muzyczki zmieszanej ze śmiechem i przymilnymi dziecięcymi głosikami oraz zapach karmelu i kremu do opalania. Greta znów myśli o Tivoli, o brązach, błękitach i czerwieniach, ostrym powietrzu i szarpnięciach mechanicznych wagoników. Myśli

o swoim braciszku w spacerówce, śpiącym z tłąstą piąstką przyciśniętą do pulchnego policzka. Teraz jest wysoki, żylasty i przebywa daleko stąd.

– Ciężko cię rozgryźć – zagaduje ją Amber swobodnym tonem. – Nigdy nie wiem, o czym myślisz.

– Tak, już mi to mówiono.

Amber zerka na nią z ukosa.

– Właśnie to mi się w tobie podoba.

Greta przygląda się mężczyźnie, który bierze córeczkę na barana, żeby mogła zobaczyć przechodzącego obok Kopciuszka. Uświadamia sobie, że ktoś tutaj może rozpoznać Amber, nawet jeśli nie towarzyszy jej ekipa filmowa. Wspomina starszego człowieka, który kilka dni wcześniej odepchnął na bok ją i Lucę i zaczął wygrażać Amber palcem. „Czarci pomioście! Precz stąd, ty diablico!”.

Karuzela zwalnia, muzyka milknie. Opuszczają się na platformę i obsługa odblokowuje barierkę ochronną w wagoniku. Amber spogląda na Gretę.

– Chodźmy się czegoś napić – rzuca.

Siadają przed jedną z restauracji nad jeziorem. Na stoliku między nimi lądują dwa oszronione kufle piwa i plastikowy pojemnik z frytkami. Greta przechyla głowę i dotyka policzkiem barku; skórę ma rozgrzaną i napiętą. Chociaż przez tyle dni się pilnowała, słońce i tak ją poparzyło. Przesuwa się z krzesłem głębiej w cień, zerka na zegarek.

– Jutro o tej porze będziemy już w Londynie – zauważa.

Amber wyciąga rękę po frytkę i zanurza ją w kałuży keczupu na woskowanym papierze.

– Tak – mówi. – Na to wygląda.

– Masz tam jakichś znajomych?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Parę osób... Sama nie wiem. Znam różnych ludzi.

– Większość przyjaciół została w twoich rodzinnych stronach?

– Nie. Większość wyjechała na studia. Jenna została, ale o tym przecież

wiesz.

Greta upija łyk piwa, bąbelki szczypią ją w język.

– Ty też będziesz teraz studiować?

– Nie wiem. – Komórka Amber wibruje po przyjściu kolejnego powiadomienia i dziewczyna spogląda na wyświetlacz. Kręci się na krześle, po czym znów wbija spojrzenie w Gretę. – A co ty będziesz robiła, kiedy to się skończy?

Greta odwraca wzrok, patrzy na jezioro. Nos też ma spalony.

– Nie bardzo wiem. Trochę potrwa, zanim skończymy ten projekt, zmontujemy cały materiał.

– Co się stało z tamtymi dziećmi?

Greta spogląda na nią.

– Jakimi dziećmi?

– Z *Moi rodzice to mordercy*. Co się z nimi działo po premierze filmu?

Greta wraca pamięcią do tamtych trojga: Otisa, Danny’ego i Hayley. Hayley stale do niej wydzwaniała, minimum raz w tygodniu w słuchawce rozbrzmiewał jej schrypnięty, nieśmiały głos. Chłopcy od czasu do czasu do niej esemesowali albo pisali listy, przynajmniej na początku. Greta pamięta kartkę bożonarodzeniową od Otisa, potem od Otisa z żoną, wreszcie trzecią, ostatnią, od nich obojga wraz z dzieckiem.

– Chyba nadal mieszkają w Teksasie – odpowiada. – Wydaje mi się, że starają się żyć normalnie. Są szczęśliwi.

– Przecież są sławni. – Amber obraca kufel na papierowej podkładce. – Myślisz, że ludzie rozpoznają ich na ulicy i tak dalej?

– Nie wiem. Może. Ale... – Greta urywa i upija kolejny łyk piwa w nadziei, że zdławi ono pchające jej się na usta zdanie.

Amber unosi brew.

– Tak, wiem. To było co innego, prawda? W dodatku oni nie zrobili niczego złego. Nikogo nie zabili.

– Nie to chciałam powiedzieć. – (Właśnie to).

– Nie przejmuj się, Greto. – Amber odchyła się na oparcie krzesła i wystawia twarz do słońca. – Potrafię o siebie zadbać – dodaje z zamkniętymi oczami.

Greta przygląda się wielkiemu, rozkołysanemu parowcowi, który właśnie je mija; na pokładzie dwójka patykowatych dzieciaków macha jak szalona. Znów myśli o Otisie i Dannym, o „małych Millerach”; w pierwszym dniu zdjęciowym mieli odpowiednio piętnaście i trzynaście lat, patrzyli hardo, nieufnie. I o Hayley, z tą łagodną twarzyczką i mysimi ogonkami, których końce były zawsze wilgotne, bo zapamiętała je ssła, nieustannie przestępując z nogi na nogę w znoszonych białych sandałkach. Spoconą rączką zawsze szukała dłoni Danny’ego, a później, po tygodniu zdjęć – Greta.

– Podoba ci się Tom? – pyta nagle Amber. Pojedynczy obłoczek przesuwa się poniżej tarczy słonecznej, nie dając ani odrobiny cienia.

– Co?

Dziewczyna leniwie przekręca głowę w lewo, z uśmiechem rozchyła powieki.

– Daj spokój. Kooochasz go.

Oczyrna wyobraźni Greta widzi przed sobą Danny’ego Millera, jak nachyla się do niej na ganku na tyłach domu swoich rodziców; w kąciku warg smuga rozmazanej czekolady, czubek języka drażni rozchybotany ząb. „Jesteś bardzo ładna, Greto”. Otis i jego żona. Hayley ssąca kosmyk włosów.

– Nie martw się – dorzuca jeszcze Amber. – Ty też mu się podobasz. To widać.

Zasnął zaraz po tym, gdy przespali się ze sobą drugi raz. Amber ostrożnie usiadła, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Oczy miał zasłonięte przedramieniem (często sypiał z twarzą zakrytą w ten czy inny sposób), widać jednak było zaokrąglony zarys żuchwy ze śladem ciemnego zarostu i drobne zmarszczki biegnące w dół od nosa i warg. Na ich widok poczuła dziwne mrowienie w brzuchu. Starzał się. Był mężczyzną; bardzo podniecające.

Nie wiedziała, ile dokładnie ma lat. Kilka razy zagadywała go o wiek, lecz zawsze udawało mu się jakoś wykręcić od odpowiedzi. Mówił na przykład: „Wiek to tylko numerek, skarbie” albo „Słoneczko, facet ma tyle lat, co kobieta, której dotyka”. Przybierał wówczas obleśny ton zбочzonego wujka i całował ją, żeby na dobre zamknąć jej usta. W sumie niewiele ją to obchodziło. Miał co najmniej trzydziestkę, mógł wręcz zbliżać się do czterdziestki, ale jej to nie przeszkadzało. Trochę dziwnie się czuła na myśl, że może być starszy od jej taty, chociaż Miles wyglądał młodo, młodziej, niżby to wynikało z jego metryki – nawet biorąc pod uwagę to, że kiedy się urodziła, był tylko o cztery lata starszy niż Amber w tej chwili. Czasami w bezsenne noce usiłowała ujrzeć siebie w wyobraźni za cztery lata, trzymającą na rękach niemowlę. Nie potrafiła; to było zbyt nierealne. Nie mogła uwierzyć, że Miles dał sobie radę, w dodatku całkiem sam. Samotnie ją wychowywał, studiując jednocześnie. Nie była w stanie tego pojąć. Zrezygnował z własnego życia, żeby się nią zająć, dzięki czemu przez całe dzieciństwo odczuwała szczęście i ulgę. Teraz jednak, gdy była już dostatecznie duża, żeby zrozumieć, ile świat może człowiekowi zaoferować – i ile musiał poświęcić jej ojciec – przepełniało ją wyłącznie poczucie winy. Dlatego z szerokim uśmiechem wciąż godziła się na jego obciachowe pomysły, dlatego przestrzegała ustalonych godzin powrotu do domu i nigdy nie dała mu poznać, że jest pijana. Dlatego próbowała na wszelkie sposoby ułatwiać mu życie.

Teraz przynajmniej miał to, na co przez tyle lat czekał: Sadie. Nie mogła go tego pozbawiać.

Na szczęście miała Leo.

Spotkali się kilka tygodni wcześniej, w klubie w sąsiednim mieście, gdzie nikogo nie interesował wiek, o ile tylko pokazało się trochę ciała i przyszło odpowiednio wcześnie. Tandetny szyld na zewnątrz (wydrukowany czcionką Comic Sans) głosił „The Box”, lecz w całej okolicy powszechnie używano nazwy „Pox” – „Syfilis”. W środku podłogę pokrywała lepiała się z brudu wykładzina, ściany oklejono raufazą, a wokół parkietu biegła galeria, w związku z czym zawsze istniało ryzyko, że ten, kto pod nią stoi, oberwie w głowę butelką. Ale ceny były niskie, muzyka grała przez całą noc i zwykle można tam było spotkać przynajmniej kilku starszych chłopaków. Tego konkretnego wieczoru klientela raczej nie dopisała. Żaden problem – Amber przyprowadziła ze sobą Micę i Jennę, po drodze wypiły na spółkę butelkę wina, potem jeszcze parę kieliszków przy barze, więc tańczyły i wygłupiały się przy lepkiej metalowej rurze na środku parkietu.

W pewnym momencie go zauważyła; przyglądał się jej odbiciu w lustrzanej ścianie. Siedział sam przy stoliku, w jasnoniebieskiej koszuli rozpiętej pod szyją, a przed nim stała butelka piwa. Zorientował się, że Amber na niego patrzy, więc uśmiechnęła się, gdy wpadła na nią pijana Jenna.

Później zaszedł ją od tyłu i położył rękę na plecach. Był wyższy, niż się wydawał na siedząco, jego ciało okazało się długie i smukłe.

– Mogę postawić ci drinka?

Przy barze, ściskając szklaneczkę coli z wódką, którą kupił, pozwoliła mu wstukać do komórki swój numer telefonu i nacisnąć „połącz”.

– Mogę cię kiedyś gdzieś zaprosić? – zapytał, a ona posłała mu uśmiech, który znaczył tyle co „może”. Pod koniec wieczoru zgodziła się, żeby odebrał z szatni jej kurtkę, a następnie dała mu się pocałować, podczas gdy Mica i Jenna chichotały z tyłu na kanapie. Potem rozpląnął się w tłumie i zadzwonił dopiero jakiś tydzień później, żeby znienacka zaprosić ją na kolację.

Nie była to jej pierwsza randka, chociaż nie wiedziała, czy wypad do kina w sobotnie popołudnie w towarzystwie kuzyna Miki na pewno się liczy. Nie po raz pierwszy również poszła na całość, chociaż to całkiem co innego, gdy nie trzeba się zamykać w ciasnej łazience na imprezie ani szukać ustronnego miejsca w parku, podczas gdy przyjaciółki podśmiewają się na huśtawkach. Z początku martwiła się, że to nie jej liga – że nie będzie miała nad nim takiej władzy jak nad swoimi rówieśnikami. Przerazało ją to, lecz ze zdziwieniem stwierdziła, że i tak w to brnie.

Z pewnością nie był materiałem na idealnego chłopaka. Amber często odnosiła wrażenie, że Leo jej nie słucha, że myślimi jest gdzie indziej – dopóki, rzecz jasna, nie zdjęła ubrania. Wtedy nie odrywał od niej nieruchomego, chłodnego spojrzenia niebieskich oczu. Zapominał odpisywać na jej esemesy albo zwyczajnie to olewał, ilekroć zaś wspominała o Facebooku, Snapchacie czy Instagramie, zaraz przewracał gałami. Robił to zresztą bardzo często, kwitując w ten sposób większość tego, co mówiła. Raz nawet przycisnął jej palec do ust, aż umilkła, zszokowana. Mimo to jej się podobał. Prawie wcale nie sypiał i chociaż esemesowanie mu nie wychodziło, lubił do niej dzwonić i rozmawiać z nią szeptem, chociaż tylko ona musiała się ukrywać przed rodzicami. Lubiała go obserwować, gdy się poruszał, zwinnie przemieszczając się z pokoju do pokoju równym, lekkim krokiem. Podobało jej się, gdy zaskakująco delikatnie pieścił palcami jej skórę. I gdy powoli, starannie wybierał pałeczkami kawałki mięsa i podnosił je do swoich wąskich warg. A najbardziej podobało jej się to, że miał własne mieszkanie – co prawda małe i pozbawione charakteru, ale gdzie znów mogła dzierżyć stery.

Odwrócił się na bok. Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając jego bladą skórę i długi, smukły tułów. Amber delikatnie wsunęła dłoń pod poduszkę i wyciągnęła swoją komórkę. Dostała wiadomość od Billie: „I jak? Założyłaś tę nową bluzkę? Ja obejrzałam po kolei wszystkie trzy części *Toy Story* na DVD i zjadłam przy tym cały pojemnik lodów czekoladowych z piankami

i karmelemu”. Amber się skrzywiła. Żenada. Billie była jednak w tym wszystkim naprawdę urocza i Amber nawet się cieszyła, że ma taką przyboczną. Podobało jej się, że Billie spija z jej ust każde słowo, nie odczuwając jednocześnie lęku, jakim Amber zdawała się napełniać Jennę. Jenna oczywiście starała się go ukryć, lecz nieustannie jej towarzyszył, skryty tuż pod powierzchnią. Amber wyraźnie ją przerażała, ale nie sprawiało jej to już takiej frajdy jak kiedyś. Szczególnie że ostatnio wydawało się, że także inne koleżanki się od niej odsuwają.

„Kto by im się dziwił? – myślała z goryczą. – Moja matka słyszy głosy, a ja mogę być przeklęta. Świetny materiał na przyjaciółkę od serca, nie ma co!”.

Na ekranie telefonu wyświetliła się wiadomość od Jenny, zupełnie jakby Amber przywołała ją myślami. „Chcesz pożyczyć moją czarną kieckę na weekend? xxxx”.

W sumie może i warto być odrobinę przerażającą dziewczyną – jak widać, miało to swoje dobre strony. Amber czuła się w tej roli zdecydowanie lepiej niż ostatnimi czasy w towarzystwie Miki i Alisdaira. Lepiej być kimś, kogo inni się boją, niż nad kim się litują.

Dostała też esemesa od Milesa z pytaniem, o której wróci do domu. Od powrotu Sadie mniej ją kontrolował – nie dlatego, że przestała go obchodzić. A przynajmniej miała nadzieję, że nie z tego powodu. Mimo że w obliczu wielkiego romantycznego pojednania rodziców Amber czuła się zupełnie zbędna, ojciec wychodził ze skóry, żeby dać jej do zrozumienia, że wciąż jest dla niego ważna. Były to zwykle drobiazgi, takie jak tradycyjne już wypady na gorącą czekoladę i muffinki w niedzielne poranki. Czytając gazetę, odkładał dla niej dodatki specjalne. Prosił Amber o pomoc przy siekaniu warzyw na chińszczyznę, dodając, że nikt nie robi tego lepiej niż ona. Przez lata uzbierało się sporo rodzinnych zwyczajów i tradycji, które z upodobaniem we dwoje kultywowali i które czyniły z nich (dwuosobową) rodzinę. Zarazem udawało mu się zostawić w tym wszystkim trochę miejsca

dla Sadie, sprawić, by także miała swój udział w ich codziennych rytuałach. Prosił ją na przykład, żeby wspólnie z Amber wybrały się po jakiś dziwnym trafem zapomniany składnik niezbędny do przygotowania kolacji. Zasłaniał się pracą, żeby to Sadie musiała ją odwozić i przywozić. Robił, co w jego mocy, aby wszyscy czuli się w domu swobodnie, mieli swoje miejsce i swoją rolę do odegrania. Nie ustawał w staraniach, choć było całkiem jasne, że oboje – Amber i Miles – doskonale poradziliby sobie sami.

Nie chodziło więc o to, że nagle stała się ojcu niepotrzebna. Po prostu teraz mniej się o nią martwił. Amber uświadomiła sobie, że po odejściu Sadie myśl, iż Amber również mogłaby zniknąć bez śladu, musiała być dla Milesa torturą; wydawało się to całkiem możliwe, zważywszy na to, że jego żona jak gdyby nigdy nic pewnej nocy wstała z łóżka i wyszła z domu, nie zostawiając nawet listu pożegnalnego. Kiedy jednak Sadie wróciła, Miles poczuł, że znów może być optymistą jak dawniej; teraz ilekroć na horyzoncie zamajaczył potencjalny kryzys, zamiast się zamartwiać, przez okrągłą dobę widział szklanekę do połowy pełną. I chociaż w przeciwieństwie do niego Amber wcale nie była pewna, że Sadie z nimi zostanie, nie chciała być tą, która odbierze mu poczucie bezpieczeństwa.

Szybko wystukała odpowiedź – „Przed północą, słowo ù xxx” – ciekawa, czy upiecze jej się tak jawne pogwałcenie zasad dotyczących jej powrotów do domu (najpóźniej o jedenastej!). Wszystko zależy od tego, czy Sadie zdołała go przekonać, aby wspólnie opróżnili butelkę wina.

Leo poruszył się obok; zaczynał się budzić, więc Amber szybko położyła się na boku tak, żeby leżeli twarzą w twarz. Jego powieki drgnęły i otworzyły się, a ona uśmiechnęła się do niego, jakby też dopiero się obudziła.

– Która godzina? – spytał; śmierdziało mu z ust, ale cudownie było czuć na twarzy jego gorący oddech.

– Dziewiąta – odparła. – Niedługo będę musiała się zbierać.

Zrobił nadąsaną minę i przyciągnął ją do siebie.

– Nie.

– Niestety. – Wtuliła się w niego, chociaż wiedziała, że za moment wstanie. Wróci wcześniej do domu i zrobi Milesowi przyjemność. Będzie musiała powiedzieć Leo, że spotyka się z koleżanką; idą razem na drinka albo będą odrabiać lekcje – którekolwiek kłamstwo łatwiej jej przyjdzie.

Prawą dłonią przesunął wzdłuż jej boku, od barku po kolano i z powrotem. Przybliżył twarz do twarzy Amber.

– Jesteś niezwykła – wyszeptał, muskając jej szyję ciepłym oddechem. – Wyjątkowa.

Prawie mu współczuła.

W korytarzu pstryknął wyłącznik i zgasło światło, za drzwiami przemknęły szybkie kroki. Sadie przytuliła do piersi obcą poduszkę. Rodzice Helen i Marie w końcu położyli się spać. Justine wyciągnęła rękę i ścisnęła jej dłoń. Kiedy się odezwała, jej śpiwór zdawał się uciszać ją szelestem.

– Już prawie czas – powiedziała; w ciemnościach jej oddech był ciepły i słodki. – Jesteś gotowa?

– Tak – odparła Sadie. Ciemność jej nie przerażała. Wiedziała, że on jej tutaj nie odwiedzi, nie wtedy, gdy były wszystkie razem. Człowiek z Lasu miał swoje wybranki, które były wyjątkowe, i czas, który z nimi spędzał, również był wyjątkowy. Nie wolno im się było nim dzielić. Odnajdywał je, gdy nadchodziła odpowiednia pora i gdy były same. Obie z Justine o tym wiedziały. Nie ich wina, że inne nie były jeszcze na niego gotowe.

Sadie wymacała pod poduszką latarkę.

– A jeśli nas nakryją? – szepnęła Helen.

Marie była już na nogach i w skupieniu pakowała rzeczy do plecaka.

– Nie nakryją, jeśli będziesz cicho, głupia. I przestań tak dyszeć.

– Nie mam wpływu na to, jak głośno oddycham, Marie. Dlaczego jesteś taka wredna?

– Zamknij się. – Justine wciągnęła bluzę przez głowę. – Posłuchajcie mnie, bo to ważne. Musimy to zrobić jak trzeba.

– Jeżeli nas nakryją, to się nie pozbieramy. – Wbrew własnym obawom Helen także wstała z łóżka i naciągnęła grube skarpetki, wpuszczając w nie spodnie od piżamy.

– Nikt nas nie nakryje – stwierdziła Sadie. Wiedziała, że nic im nie grozi. Już on o nie zadba.

Otworzyły drzwi pokoju i przykucnęły w progu, nasłuchując. Zaskrzypiał materac, a potem nastąpiła cisza. Marie trąciła Helen w zębra.

– Znowu dyszysz – syknęła, lecz Sadie nie słyszała oddechu przyjaciółki, tylko własne przyspieszone tętno.

Zdawało im się, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie rozległo się gromkie chrapanie taty Helen i Marie.

Marie się wyprostowała.

– Dobra, idziemy. – Powiodła je za sobą na korytarz i na dół po schodach, pokazując najpierw, który stopień trzeszczy. Helen potknęła się i prawie spadła, próbując go ominąć. Sadie czuła, że coś w niej wzbiera na podobieństwo śmiechu – pragnienie, żeby krzyczeć albo śpiewać, wybiec z domu na dwór i kręcić piruety pod nocnym niebem. Nareszcie miały to zrobić. Szły do lasu, żeby go odszukać.

Po ciemku ulice wyglądały zupełnie inaczej. Domy stały uśpione, samochody drzemały cicho na podjazdach. Przekradły się przez obrzeża osiedla do ścieżki, która wiodła przez pola w stronę rzeki i lasu. Gdy tylko znalazły się pod osłoną drzew, zapaliły latarki i Sadie poczuła, że znów może swobodnie oddychać.

– Justine, powtórz jeszcze raz, co mamy robić. – Helen z trudem za nimi nadązała. Musiała włożyć szkolne trzewiki i jej ciepłe skarpetki z trudem się w nich mieściły; na piżamę naciągnęła bluzę swojego taty. Wyglądała jak dzieciak i Sadie było za nią wstyd.

– Czy to się uda? – Helen brakowało tchu, choć Sadie nie wiedziała, czy to wskutek podniecenia, strachu czy astmy.

– Uda się – zapewniła ją Marie, posyłając Justine wymowny uśmiech. – Syn sąsiadów babci Justine powiedział nam, jak się do tego zabrać.

Sadie widywała go. Miał piegi i włosy w kolorze piasku, nosił szeleszczące spodnie od dresu i brudne koszulki. Czasami, kiedy wstępowały po Justine, obserwował je przez szybę. Sadie nie cierpiała tamtego domu, zakurzonych, pożółkłych firanek w oknach i zapachu kapusty, który buchał w nos, ilekroć babcia Justine otwierała drzwi. Helen poinformowała ją, że Justine musi tam mieszkać, bo jej mama siedzi w więzieniu, ale Helen często przekręcała fakty, więc nie zawsze opłacało się jej słuchać.

– I naprawdę go zobaczymy? Zobaczymy Człowieka z Lasu? – Helen

potknęła się o leżący luzem kamień. Jej spocona ręka wyciągnęła się gwałtownie i zacisnęła na ramieniu Sadie. Drzewa dygotały na wietrze.

Sadie pomyślała o postaci widywanej w snach. Człowiek z Lasu pokazał jej do tej pory wszystkie swoje twarze. Czasami był dobry i delikatny, miał w oku błysk gwiazdora filmowego. Mówił jej, że jest wyjątkowa i że zawsze będzie ją chronił. Potem był zupełnie inny, krył się w mroku, skąd jego głos pełzł w stronę światła. Błada dłoń o długich, smukłych palcach wyciągała się i zaciskała na jej ręce.

– Słyszałam, że zabrał jedną dziewczynkę z Manchesteru – oznajmiła Justine. – Pewnej nocy po prostu zniknęła z łóżka.

– Myślisz, że nam ją pokaże? – zaciekała się Helen. – Tak jak tym dzieciakom z gazety?

Justine pokręciła głową.

– Jeszcze nie jesteśmy dostatecznie wyjątkowe. Dlatego musimy mu udowodnić, że na niego zasługujemy.

Dotarły na polanę, dokąd przychodziły składać swoje podarunki i palić listy adresowane do niego. Sadie pamiętała treść ostatniego, który napisała: „Chcę być wyjątkowa”. Przypomniała sobie, jak list Justine zajął się ogniem, a ona zerknęła na szybko czerniejący papier. „Zawsze przy mnie bądź”. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Justine jej się przygląda. Oczy koleżanki płonęły migotliwym, pomarańczowym blaskiem. Puściła płonący list, a ten sfrunął do nóg Sadie. Nie odrywając spojrzenia od jej twarzy, Justine podniosła stopę i zdeptała tłącą się kartkę.

Na niebie nie było żadnych gwiazd i w lesie panowały niemal egipskie ciemności. Światła latarek tańczyły na pniach drzew, ich oddechy gęstniały w powietrzu.

– Tutaj. – Justine czubkiem trampka nakreśliła na ziemi krąg. – Która to ma?

Marie przyklękała i rozpięła suwak plecaka, po czym wyjęła z niego zwiniętą bluzę.

– Helen, ty głąbie, poświeć w tę stronę. – Odwinęła najpierw jeden rękaw bluzy, potem drugi; ukazał się nóż, który ukradła z kuchni, podczas gdy jej tata w salonie nastawiał dla nich film na wideo. Sadie poczuła pierwsze ukłucie strachu. Aż podskoczyła, gdy Helen wzięła ją za rękę.

– Będzie bolało? – zapytała.

– Tak. – Justine wzruszyła ramionami. – Ale musimy mu coś dać, jeśli też czegoś od niego chcemy. – Wzięła od Marie nóż. – Która pierwsza?

Żadna się nie odezwała. Ale to i tak nie miało znaczenia – wzrok Justine padł na Sadie.

Wyciągnęła rękę i odwróciła dłoń wnętrzem do góry. Zamknęła oczy, gdy ostrze noża wbiło się w jej ciało. Wiatr szeptał jej do ucha.

2018

Światła w kabinie są wygaszone, plastikowe zasłonki opuszczone. Greta drzemie; niespokojny sen nie jest w stanie całkowicie zagłuszyć stłumionych odgłosów otoczenia (delikatnego pobrzękiwania wózka z napojami, szeptów personelu w przedniej części samolotu przeznaczonej dla załogi). Ma wyrzuty sumienia, że porzuciła Toma i Lucę w klasie ekonomicznej, choć gdy przeszła się tam godzinę po starcie, obaj twardo spali – Tom z głową opartą o ścianę samolotu, z kurtką zwiniętą między barkiem a policzkiem, Luca zsunięty na siedzeniu, z chudymi nogami wyciągniętymi pod fotelem z przodu i opaską podróżną nasuniętą głęboko na oczy. Greta czuje się w swojej jak w przebraniu; opaska drapie i przeszkadza, ciemność wydaje się w niej nienaturalna. Przypomina sobie e-mail od Federiki sprzed kilku dni: „Polecam zatyczki do uszu, skarbie. Nigdzie się bez nich nie ruszam”. Nie jest pewna, czy na cokolwiek by jej się teraz przydały.

W połowie drogi przez Atlantyk Greta czuje, że Amber porusza się obok niej na fotelu. Przesuwa opaskę na czoło i mruga; dziewczyna siedzi z twarzą tuż przy jej twarzy, oczy ma otwarte. Przez jakiś czas wpatrują się w siebie, wywietrzniki nad ich głowami nieprzerwanie pompują powietrze w zamkniętym obiegu. Potem Amber się odwraca i naciąga koc na ramię. Greta zdejmuje opaskę, kładzie się na wznak i patrzy na schowki bagażowe u góry.

Z Millerami było inaczej. Wtedy była tylko asystentką; chodziła na spotkania, przyjeżdżała na plan i zadawała pytania, które kazano jej zadawać, gdy się okazało, że zdobyła wreszcie zaufanie dzieciaków. Tym razem od początku angażowała się w projekt – uczestniczyła w przygotowywaniu dokumentacji, zbieraniu materiałów oraz ich selekcji,

w rozmowach z producentami, konsultacjach i pierwszych wywiadach. Pamięta, jak w dniu pierwszego spotkania z Amber – sam na sam, w barze w Soho – Federica wpadła do mieszkania z butelką szampana w ręce i uśmiechnęła się szeroko do Greta i Millie.

„Jest idealna – oznajmiła im. – To będzie strzał w dziesiątkę”. Potem Greta wielokrotnie wysłuchiwała historii Sadie i Amber Banner oraz prześladowających je upiórów; Federica opowiadała ją producentom, inwestorom, raz nawet grupie całkiem obcych ludzi w pubie.

Jednak to ona musi odnaleźć i poskładać poszczególne elementy układanki. To Greta przeszukuje archiwa policyjne, księgi wieczyste i spisy wyborców, ona nęka w mediach społecznościowych najróżniejsze osoby i wyciska z nich drugorzędne szczegóły, o których znaczeniu Federica zadecyduje na późniejszym etapie produkcji. To Greta miesiącami tropiła w kolejnych hrabstwach i krajach ulotną zjawę, po czym okazało się, że nie jest to wcale wysoki i chudy mężczyzna, tylko matka, wciąż uciekająca od swojej rodziny.

Bo to jej szukają, prawda?

Ponownie zerka na tył głowy Amber, na jej zmierzwione, rozjaśnione włosy. Usiłuje sobie wyobrazić, jak wyglądała zaraz po urodzeniu. Przekłete dziecko. Greta stara się sobie wyobrazić, co takiego zobaczyła Sadie Banner, spoglądając na maleńką twarzyczkę córki w wiklinowym koszyku i słysząc za sobą w ciemnościach oddech jeszcze jednej istoty. Myśli o pliku dźwiękowym, który ostatniej nocy Federica wrzuciła na dysk, z nagraniem rozmowy telefonicznej. Nie dołączyła żadnej informacji na temat tego, czy kobieta wiedziała, że jest nagrywana, gdzie ją znalazła ani czy zdołała potwierdzić jej zeznania. Odkąd rozeszła się wieść, że słynna Federica Sosa kręci kolejny film i w centrum jej zainteresowania znalazła się sprawa Bannerów, rozmaite oszołomy wyłażą z nor z niestworzonymi opowieściami. Niektórzy twierdzą, że Sadie Banner opętał diabeł, inni, że bawili się z nią we wczesnym dzieciństwie. Inni utrzymują, że Amber

Banner nie jest osobą, za którą się podaje, gdyż *prawdziwa* Amber Banner umarła w niemowlęctwie albo została porwana, a całe to gadanie o Człowieku z Lasu to jedna wielka ściema, bo prawda jest zupełnie inna.

Jednak tamta kobieta mówiła cicho i była zdenerwowana. Bez dodatkowych informacji trudno stwierdzić z całkowitą pewnością, ale nie brzmiała jak ktoś, kto sam się zgłosił – raczej jakby została wytropiona przez Federicę w czasie nagłego przyływu aktywności. Kiedy Millie była w łóżku albo w pracy, Federica, rozdygotana od nadmiaru kofeiny i zdeterminowana, żeby domknąć choć jedną z aktualnie rozpoczętych spraw, rzucała się w wir gorączkowych poszukiwań.

– W dwa tysiące piątym roku mieszkała pani w Wombleton – mówi Federica; w słuchawce rozlega się jej ciężki oddech, w głosie nie ma ani śladu pytania.

– Tak.

– A obok pani przez pół roku mieszkała kobieta o nazwisku Sadie Banner.

– Nie... To znaczy... Nic o tym nie wiedziałam. Kiedy pierwszy raz ją odwiedziłam, żeby się przywitać, kazała się nazywać Jane.

Federica milczy; zdenerwowanie zmusza jej rozmówczynię do przerwania krępującej ciszy.

– Ale faktycznie, kiedy teraz patrzę na zdjęcia od pani, te z gazet i w ogóle, widzę, że to była ona. Sadie.

– Często ze sobą rozmawiałyście?

– Nie. Nie była rozmowna, trzymała się raczej z boku. Nocami siedziała do późna, większość dnia przesypiała. O, tak to wyglądało.

– Pracowała gdzieś?

– Tu i tam. Przez jakiś czas sprzątała w pubie, potem przestała przychodzić. Kelnerowała też trochę w jednej knajpie w Pickering. Mówiła mi, że przed przeprowadzką robiła w fabryce na nocki, dlatego nie może spać jak normalny człowiek.

– Często się widywałyście?

– Nie. Poza tym jednym razem, zaraz jak się wprowadziła, prawie jej nie spotykałam.

– Nie wydawało się to pani dziwne?

– Nie, dobra z niej była sąsiadka. Żadnych hałasów, na ulicy zawsze grzecznie się ze mną witała.

– Więc nie sprawiała żadnych problemów?

– No...

Greta doskonale pamięta wahanie w głosie kobiety. Kiedy wychwyciła je w swoich słuchawkach w samochodzie jadącym na lotnisko, tętno jej przyśpieszyło. W tym wahaniu, w tym urwanym zdaniu kryła się jakaś nieopowiedziana historia. Federica była jak rekin krążący wokół klatki zanurzonej w wodzie; czekała na pierwsze słowo, które padnie z ust tamtej. Grecie udzieliła się jej żądza krwi – do tego stopnia, że podkreśliła głośność w telefonie, żeby niczego nie uronić. Teraz kusi ją, żeby podnieść oparcie samolotowego fotela i jeszcze raz odsłuchać nagranie, chociaż zna je przecież na pamięć.

– Parę razy zdarzyło się, że...

– Tak?

– Moje dzieciaki skarżyły się, że ktoś je obserwuje. Jej facet. Wychodził za dom do ogródka i gapił się na nie, kiedy się bawiły. Kiedy mówiły mu „dzień dobry”, nie machał do nich, tylko się uśmiechał. Tak, że ciarki chodziły po plecach.

– Pani też go widziała?

– Raz. Nocą, wyprowadzałam psa koło ich domu. Jakiś koleś zaciągał zasłony w sypialni.

– Nic w tym nadzwyczajnego.

Znowu to wahanie; kobieta oddycha ciężko, powoli. Ale skoro zaczęła, musi dokończyć. Nic jej teraz nie powstrzyma; woda wokół rekina zabarwiła się krwią.

– Było już późno – mówi. – Chciałam się położyć, ale pies – nasz mały kundel, cholerny wrzód na dupie – stał na chodniku i ani drgnął. Taki już był, że nie reagował na żadne „do nogi”, „siad” ani „zostań”. Robił, co chciał, a kiedy nie chciał się ruszyć, człowiek miał przechlapane. Sterczałam więc tam, odmrażając sobie tyłek i ciągnąc za smycz, a ten jakby wrósł w ziemię i gapił się na dom. Na dom Jane. Więc w końcu ja też popatrzyłam w tamtą stronę i zobaczyłam go stojącego w oknie.

– Jak by go pani opisała?

Tym razem pauza jest dłuższa; Greta odwraca się na bok i przez chwilę to analizuje. Kobieta nie zawahała się. Po prostu szukała odpowiedzi, która ostatecznie okazała się wymijająca.

– Był wysoki – odpowiedziała wreszcie z powątpiewaniem. – Światło latarni odbijało się w szybie, więc niewiele widziałam, a twarzy to już w ogóle. Akurat zaciągał zasłony, a kiedy spojrzałam, przerwał na moment i popatrzył na mnie. Jak już mówiłam, przez to światło nie mogłam przyjrzeć się jego twarzy. Po prostu tam stał, ja też stałam i mój przeklęty kundel również. Potem zaciągnął zasłony do końca, a ja z kolei zaciągnęłam psa do domu.

– Później już go pani nie widziała? Tego mężczyzny?

– Nie. – Kobieta zaczyna się niecierpliwić; ta historia musi zostać opowiedziana do końca. – Chodzi o to, że kiedy doszłam do furtki, obejrzałam się, mimo że teraz to pies ciągnął mnie, jakby chciał jak najszybciej znaleźć się w środku. Obejrzałam się i zobaczyłam...

Teraz Greta nie ma już wątpliwości: Federica nie przerywa milczenia, bo straciła zainteresowanie. Niewykluczone jednak, że właśnie owo milczenie skłania kobietę do powiedzenia tego, co mówi; gdyby lepiej się zastanowiła, musiałyby ugryźć się w język.

– Zobaczyłam, że okna w domu Jane wyglądają dokładnie tak jak wcześniej. Żadne nie było zasłonięte. W sypialni paliło się światło, chociaż wcześniej widziałam, jak zaciągał zasłony do końca. Teraz były odsłonięte,

facet zniknął, a mój pies warczał jak opętany. Przyznaję, że byłam podcięta, ale wszystko pamiętam. Człowiek zapamiętuje takie dziwne rzeczy.

– Rozumiem. – Federica starannie moduluje głos i nawet Grecie trudno stwierdzić, czy traktuje wypowiedź kobiety poważnie. – A co było potem?

– Następnego dnia dzieciaki znowu widziały, jak im się przyglądał. Było gorąco, więc latały ze szlauchem i bawiły się w baseniku, który dostały od kuzyna, a tamten koleś się na nie gapił.

– Widziała go pani wtedy?

– No... nie. Ale Gemma, moja najmłodsza, bardzo się zdenerwowała i do końca weekendu nie chciała wychodzić na dwór, poszłam więc do nich i powiedziałam Jane, że jej facet zapuszcza żurawia tam, gdzie nie powinien.

– Jak na to zareagowała?

– Niewiele powiedziała, jak zwykle zresztą. Stwierdziła, że jest jej przykro, że to się więcej nie powtórzy i tyle. A ja wróciłam do domu.

– I nie powtórzyło się?

– Nie. Nazajutrz zniknęła. Nie zauważyłam żadnej ciężarówki do przewożenia rzeczy ani nic. Zorientowaliśmy się dopiero, gdy moja kumpela, która pracuje w agencji nieruchomości w Pickering, powiedziała mi, że ma nowego najemcę na ten dom. Ale wtedy od dawna już jej nie było. Jane się wyprowadziła, a następni lokatorzy, mówię pani, to dopiero była banda dupków! Muzyka grała w dzień i w nocy, nic, tylko wrzaski i kłótnie. Zaczęłam doceniać, jaka cicha była nasza Jane.

– Kontaktowałyście się później ze sobą?

Kobieta odpowiada przecząco. Odtwarzane w myślach nagranie urywa się, lecz Greta ma już w głowie wszystko, co wie o Sadie Banner. Znane jej fakty ożywają, elementy układanki zyskują nowe kształty i wskakują na swoje miejsce. Wypełnia się kolejna luka, a oni są o krok bliżej prawdy.

Przewraca się na drugi bok, tyłem do Amber, i sen w końcu nadchodzi. A wraz z nim jak zwykle powraca wspomnienie dotyku wilgotnej rączki Hayley Miller, zaciskającej się na jej dłoni, i echo lamentu niemowlęcia,

które płacze i płacze i nie może przestać.

2016

W poniedziałek Sadie znowu została sama. Nie była to samotność, do której przywykła, ale przynajmniej nie czuła się już tak wielkim intruzem, Złotowłosą wyczekującą powrotu niedźwiedzi. Ostatni weekend ją wykończył; sobota upłynęła pod znakiem okrutnego kaca, w niedzielę rodzice Milesa jak w zegarku stawili się na tradycyjny już wspólny obiad. W kuchni Miles krzątał się przy pieczeniu i nacierał każdy ziemniak z osobna gęsim tłuszczem, Sadie bez końca przyrządzała dzin z tonikiem i poprawiała nakrycia. A w centrum tego wszystkiego była Amber, dowcipkująca z dziadkiem, pozwalająca matce Milesa odgarniać sobie włosy z twarzy, ujmować się za podbródek przyozdobionymi w liczne pierścionki palcami i przyglądać się sobie badawczo, zupełnie jakby babka wybierała towar w sklepie. Amber, inicjująca rozmowy przy stole, prześlizgująca się z gracją przez ciężkie milczenie, w którym zdawali się grzęznąć pozostali członkowie jej rodziny.

Teściowie odbyli już sześć takich wizyt i Sadie miała wrażenie, że powoli zaczyna się odnajdować w tym wąskim wycinku rodzinnego życia. Od początku, od tamtej pierwszej nocy, gdy Miles przywarł do niej całym ciałem, a jego łzy zmoczyły rękaw jej brudnego T-shirta – od momentu, gdy zaspana, potargana Amber zamarła z otwartymi ustami na dolnym schodku – Sadie wiedziała, że Frances i John Bannerowie okażą się tymi, których najtrudniej będzie jej do siebie przekonać. Zawsze tak było.

Kiedy po jej powrocie pierwszy raz ich odwiedzili, Frances przez co najmniej godzinę uciekała spojrzeniem na boki, a Sadie marzyła, żeby wtopić się w ścianę albo zwinąć w jakimś kącie – wszystko, byle nie pchać teściowej się przed oczy. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale od

czego niby miałyby zacząć? Ostatecznie zapadła krępująca cisza, przerywana wygłaszanymi ze sztuczną radością uwagami Johna i pustą gadaniną Milesa. Amber siedziała odchyłona na oparcie krzesła i przyglądała im się z tym swoim uśmiechem. Najwyraźniej świetnie się bawiła.

A teraz w końcu znów zaczynali się do siebie przyzwyczajać. Nadal zdarzały się niezręczne momenty – jak wtedy, gdy John, po trzecim dżinie z tonikiem, napoczął upieczony przez Sadie biszkopt (babeczki Amber jakoś się nie zmaterializowały) z pytaniem: „Dużo piekłaś, Sadie? Kiedy cię z nami nie było?” – lecz z reguły towarzyszył im ten rodzaj skrępowania, który zapamiętała z czasów, gdy ona i Miles byli jeszcze parą i musieli powiedzieć im o ciąży. Zanim to wszystko się wydarzyło.

No, może nie wszystko.

Wczoraj, po odjeździe dziadków, Amber weszła do kuchni, gdzie Sadie wkładała naczynia do zmywarki. Obok na blacie kuchennym stał jej niedopity dżin z tonikiem. Na widok córki wyprostowała się, niepewna, jak ma się zachować. Amber podeszła, wzięła ścierkę, którą Sadie miała przewieszoną przez ramię, i zaczęła wycierać stojące na ociekaczu kieliszki.

– Nie musisz tego robić – odezwała się zaskoczona Sadie, lecz Amber tylko wzruszyła ramionami.

– Ale chcę – odpowiedziała, podkreślając głośność w radiu – grali akurat Four Tops – i we dwie wspólnie dokończyły sprzątanie.

Siedząc teraz samotnie w gabinecie Milesa, raz za razem powracała do tego wspomnienia. Myślała o Frances i Amber stojących razem po obiedzie w jasnym świetle wpadającym przez otwarte drzwi na taras, a potem o nich trzech, kiedy zostały same w pokoju. Babka, matka i córka. Czy cokolwiek mogło być jeszcze takie proste?

Na biurku zawibrował jej telefon i serce Sadie niemal stanęło. Wiadomość od Leanny: „Masz ochotę na lunch w środę?”. Szybko odpisała i wyłączyła komórkę.

Nie potrafiła otrząsnąć się ze wspomnienia Amber, stojącej tak blisko niej. Zdejmującej ścierkę z jej ramienia, czubkami palców muskającej odsłoniętą skórę. Było gorąco, w kuchni panowała duchota. W brytfannie na blacie wciąż tkwiła resztką udźca jagnięcego, kawałki mięsa obsychały przy kości, w powietrzu wisiała woń tłuszczu. W umyśle Sadie ten widok nakładał się na obraz Justine, nachylającej się do niej w lesie; pamiętała jej mdły, słodki oddech i lepkie od cukru wargi. „Jeżeli go poprosicie, sprawi, że staniecie się wyjątkowe”. Justine, czubkiem buta kreśląca krąg na ziemi; Justine, siedząca na brzegu krawężnika, z kotem ocierającym się o jej łydki. Wbijająca kuchenny nóż we wnętrze dłoni Sadie; krew ściekała z jej palców i powoli skapywała na ziemię...

W sąsiednim pokoju skrzypnęła deska w podłodze. Sypialnia Amber. A przecież Amber kilka godzin wcześniej wyszła do szkoły.

Sadie wyprostowała się, wzięła głęboki oddech. Amber nie była taka jak Justine, nie była też taka jak ona, Sadie. Nie była jedną z nich – była bezpieczna. Musiała być. To wszystko nie mogło się wydarzyć na próżno; przecież Sadie odciągnęła Człowieka z Lasu od swojej córki, ocaliła ją. Mimo to nie mogła się pozbyć uczucia, że coś jest nie tak.

Kolejne skrzypnięcie, tym razem bliżej ściany; przez ułamek sekundy Sadie wydawało się, że słyszy załazek tamtego stłumionego śmiechu, który przed laty zostawiła za sobą. Zaczekała, aż odgłos przybrał na sile, zmieniając się w syrenę alarmową, wyjącą gdzieś w oddali. Dobiegały ją kolejne rozedrgane fale dźwięków.

Usiłowała wrócić do żmudnego i przerastającego ją zajęcia, którym było szukanie pracy. Jak to często bywało, dziwnie się czuła, robiąc coś, co robili wszyscy. Przeglądając kolorowe strony portali oferujących zatrudnienie, zamiast ukradkiem wypytywać ludzi, sprawdzać tablice ogłoszeniowe w witrynach podupadłych sklepików i najtańsze reklamy w lokalnych gazetach. W swoim czasie sprzątała, gotowała, pakowała, zawijała w folię i przeliczała. Za każdym razem sądziła, że znalazła miejsce, w którym zdoła

utrzymać cienie na dystans. I za każdym razem okazywało się, że nie miała racji. Pamiętała uczucie ulgi, jakie towarzyszyło jej w ciągu pierwszego roku po ucieczce, kiedy mieszkała w małym domku nieopodal Peterhead. Sprzątała w fabryce na nocną zmianę, kiedy robotnicy już wyszli. Była tam całkiem sama ze swoim mopem i tylko od czasu do czasu z ciemnych zakamarków dobiegał ją stłumiony chichot. Albo odgłos drobnych kroczków, niby echo jej własnych. Później fabrykę zamknięto i agencja zatrudnienia skierowała Sadie do szkoły. Pamiętała, jak wielkie przerażenie poczuła, kiedy jej o tym powiedziano. Jąkała się i zacinała, usiłując wymyślić powód, dla którego nie mogłaby pracować w miejscu, gdzie są dzieci. „Och, proszę się nie martwić – przerwała jej kobieta, chcąc czym prędzej się jej pozbyć. – To praca po godzinach, kiedy pani zacznie, dzieciaków dawno tam nie będzie”. I przynajmniej z początku rzeczywiście tak było. Sadie stopniowo zaczęła znów się rozluźniać, zastanawiała się nawet, czy na dobre się tamtych nie pozbyła. Jednak pewnego wieczoru, podłączony stary, rozklekotany odkurzacz do kontaktu, odwróciła się i zobaczyła, że drzwi klasy są otwarte. Jakaś dziewczynka z matką wróciły po lekcjach po zapomnianego ukochanego misia. Kiedy mała pobiegła po zabawkę, w uchu Sadie rozległ się szept Człowieka z Lasu. Ujrzała, jak jego dziewczynka wyłania się z cienia w swojej strasznej, splamionej krwią sukience i podchodzi do tamtej. Przysuwa do niej twarz i wpatruje się w nią z bliska, podczas gdy niczego nieświadoma matka paplała coś do Sadie.

Jeszcze tej samej nocy spakowała się i wyjechała z miasta, nie odebrawszy nawet ostatniej wypłaty.

Dlatego tak dziwnie się czuła, szukając znowu zajęcia. Na przestrzeni samotnych miesięcy i lat spędzonych na wyspie Skye, przed powrotem do domu, Sadie w miarę możliwości ograniczała swoje kontakty ze światem zewnętrznym. Na aukcjach internetowych kupowała używane meble, piaskowała je i malowała w pustym garażu, po czym odsprzedawała na podobnych aukcjach. Zakupy także robiła w sieci i odbierała o świcie

z paczkomatu. Skutecznie się przed nim ukryła, dzięki czemu w końcu stracił nią zainteresowanie.

A teraz znowu zaczęła wpuszczać ludzi do swojego życia. Otworzyła wyszukiwarkę internetową, lecz zamiast nowego okna, wyskoczyło poprzednie. I nie była to jej skrzynka pocztowa, tylko Milesa – jego konto służbowe, bo u góry wyświetliło się mnóstwo zakładek do strony uniwersytetu.

Sadie się zawahała. Pokusa była duża: tak niewiele wiedziała o pracy Milesa. Czasami przy kolacji opowiadał jej o swoich wykładach, przytaczał zabawne anegdoty o skacowanych studentach i nieprawdopodobnych wymówkach, jakie wymyślali, żeby uzasadnić nieoddanie pracy na czas. W skrzynce znajdowały się głównie wiadomości od współpracowników Milesa, jego kolegów, niektóre przyjacielskie w treści, inne neutralne. Sadie zaglądała tam nieproszona. Znowu była intruzem. To nie jej życie.

Zwróciła uwagę na e-mail mniej więcej w połowie strony, wysłany z nieznanego adresu: KtosWyjatkowy@gmail.com. Brak tytułu. Zaschło jej w ustach, serce zaczęło walić w piersiach jak oszalałe. Kliknęła na wiadomość.

„Spotkajmy się o 3.30 w The Bell, to nikomu nie powiem” – brzmiał e-mail. Poniżej ktoś dołączył uśmiechniętą buźkę. Z mrugającym oczkiem.

W porze lunchu Amber, Jenna oraz Billie siedziały na murku przed budynkiem naukowym i wspólnie zajadały sałatkę owocową, którą Leanna zapakowała dla swojej córki. Amber zerknęła na wiadomość, którą wysłała Mice w czasie ostatniej lekcji – została oznaczona jako „wysłana, nieprzeczytana”. Stukot obcasów Billie, uderzających od niechcenia o murek, sprawiał, że coś w niej coraz bardziej się zaciskało.

– Jake pytał wczoraj wieczorem o ciebie na WhatsAppie – rzuciła leniwie Jenna, przetrząsając zawartość plastikowego pojemnika w poszukiwaniu jeszcze jednej truskawki. – Po tej imprezie urodzinowej normalnie mu odbiło na twoim punkcie, nie?

Amber spojrzała na Billie. Policzki dziewczyny poróżwiały, obcasy mocniej uderzały o murek.

– Jake’owi podoba się Billie – odparła, łypiąc gniewnie na Jennę. – Co ty w ogóle wiesz o chłopakach?

Billie uśmiechnęła się do niej, lecz to coś w jej wnętrzu nie przestawało się zaciskać; czuła się tak, jakby ktoś zawiązał jej rozpalone wnętrzności na supeł. Czasami miała wrażenie, że gdzieś głęboko mieszka w niej inna Amber i pewnego dnia, jeśli nie będzie ostrożna, tamta druga może się wyrwać na wolność.

Nie potrafiła odpędzić od siebie niepokojącej myśli, że wyłącznie Sadie mogłaby to zrozumieć.

Po szkole poszła do Leo. Otworzył jej nagi do pasa, w spodniach od piżamy i przyciągnął ją do siebie, żeby pocałować. Drzwi zatrzęsły się za jej plecami.

Kiedy wreszcie ją puścił, poszła za nim do kuchni, gdzie czuć było spalenizną, chociaż wszystkie blaty były czyste, a naczynia uprzątnięte. Nigdy nie widziała, żeby cokolwiek jadł albo bałaganił, tak jakby przedmioty zmieniały położenie tylko w jej obecności. Patrzyła, jak mięśnie jego pleców się napinają, gdy napełniał czajnik i wyjmował kubki z wiszącej szafki.

– Jak ci minął dzień? – zapytał.

Wcześniej powiedziała mu, że studiuje na uniwersytecie, na którym wykłada Miles – choć pominęła fakt, że pracuje tam jej tata – i że dojeżdża z daleka, bo musi mieszkać w domu i opiekować się chorą matką. Po namyśle doszła do wniosku, że to ostatnie kłamstwo jest bliskie prawdy, więc jak najbardziej dopuszczalne.

– Całkiem nieźle. – Zdjęła kurtkę. Szkolny mundurek spoczywał starannie ukryty na dnie torby; rano zapakowała do niej swój obecny strój, po czym przebrała się w szkolnej toalecie, wygładzając zagniecenia materiału.

– Czego się dzisiaj uczyliście? – Oparty o blat kuchenny przyglądał się, jak Amber odwiesza kurtkę na oparcie krzesła. Żar jego spojrzenia przyprawił ją o przyjemny dreszcz.

To było zbyt łatwe, żeby mogło sprawić jej prawdziwą frajdę. Odkąd pamiętała, tata opowiadał jej o swoich wykładach, w związku z czym miała poczucie, że mogłaby się z nich doktoryzować.

– O resocjalizacji przestępców – odpowiedziała lekko, również opierając się o blat. – Co i jak zrobić, żeby znowu mogli być społecznie użyteczni.

Uśmiechnął się; w jego oczach rozbłysły wesołe ogniki. Amber starała się w nie zbyt długo nie wpatrywać, bo na ten widok zawsze zaczynało jej się robić ciepło w brzuchu.

– Ale mądra z ciebie dziewczynka – powiedział i wyciągnął rękę. – Chodź do mnie.

Pozwoliła mu się przytulić. Pozwoliła, by ją ze sobą zabrał.

Później, gdy leżeli wyciągnięci na sofie, zaczął leniwie owijać sobie wokół palców kosmyk jej włosów, to ciaśniej, to znów luźniej, w całkowitym milczeniu. Na nowym tynku rozlewała się powoli plama wilgoci – widocznie zbyt szybko zaszpachlowano poprzedni zaciek. W mieszkaniu dawało się zresztą co pewien czas wyczuć dziwny, błotnisty zapach, jakby cośgniło.

– Podoba ci się tutaj? – spytał.

– Masz na myśli miasto? – Wzruszyła ramionami; jej skóra przyklejała się do jego ciała i skórzanego obicia sofy. – Jest nudne. Nie ma tu za dużo do roboty, jak widzisz.

– Gdzie wcześniej mieszkali twoi rodzice?

– W Reading.

– Tam się poznali?

– Tak, na studiach. Włączymy telewizor?

Sięgnął po pilota, ale nie wycelował go w odbiornik. Drugą ręką nadal bawił się kosmykiem jej włosów, boleśnie naciągając skórę głowy.

– Reading. Jakim cudem trafili aż tutaj?

– Nie wiem. – Wyciągnęła rękę i zabrała mu pilota. Telewizor ożył i pokój wypełnił szczebiot prezenterki jakiegoś popołudniowego programu. Ubrana w jaskrawoczerwony kostium kobieta wprowadzała jakąś parę do koszmarnie wytapetowanej kuchni.

– A ty gdzie właściwie dorastałeś?

– Tu i tam.

Przewróciła oczami.

– I ty się tutaj nie nudzisz?

Znowu popatrzył na nią tymi swoimi roziskrzonymi oczami, z ustami zaciśniętymi w linijkę.

– Udaje mi się wynajdywać dla siebie różne rozrywki.

Żołądek podskoczył jej do gardła, lecz on tylko sięgnął po szklanę z mętną wodą, stojącą na stoliku do kawy. Upił łyk i drugi, głośno przełykając, po czym podsunął jej szklanę. Pokręciła głową. Para na ekranie telewizora uprzejmie wyrażała wątpliwości co do nowych szafek kuchennych.

– Jak się miewa twoja mama? – spytał, pociągając kolejny łyk. Trochę wody pociekło mu z kącika ust, ale jej nie wytarł.

Amber poruszyła się; skórzane obicie kanapy przyssało się do jej nagiego uda.

– Dobrze. Oczywiście na tyle, na ile to możliwe w jej sytuacji.

Chwycił w dłoń grube pasmo jej włosów, przepuścił sobie przez palce, po czym zaczesał je z powrotem, przeciągając paznokciami po skórze głowy Amber.

– Mówiłaś, że co jej dolega?

Kobieta w różowym kostiumie prezentowała małemu piegusowi nową sypialnię z niewykończoną garderobą.

– Ma omamy – wyjaśniła Amber. – Jest trochę, no wiesz, stuknięta. – Dotknęła palcem skroni i pokręciła nim w uniwersalnym geście

oznaczającym wszelkiej maści wariatów.

Od powrotu Sadie minęło już trochę czasu, a ona siłą rzeczy musiała sobie wypracować zestaw gotowych odpowiedzi, ucinających w zarodku ewentualne dalsze pytania. Nie żeby chciała ciągnąć dalej tę rozmowę, szczególnie w tym momencie, gdy czuła na sobie jego wzrok. Miała ochotę warknąć: „Nie lituj się nade mną”, bo na samą myśl, że mógłby jej współczuć, zbierało jej się na mdłości.

– Co robisz w weekend? – zapytała, żeby zmienić temat, i zauważyła, że twarz mu tężeje. Jakby zatrzasnął przed nią drzwi.

– Pewnie nie będzie mnie w domu – odparł. – Jestem już umówiony.

– Och. – Usiadła; nagle poczuła się obnażona. Zrobiło jej się zimno. Chciała, żeby Leo znowu jej dotknął, ale tego nie zrobił; dalej oglądał telewizję – kamera pokazywała panoramiczne ujęcia świeżo wyremontowanego domu, a na ekranie pojawiły się napisy końcowe. Amber chciała sama go dotknąć, lecz nie wiedzieć czemu nie potrafiła tego zrobić. Ręce zaczęły jej niespodziewanie ciążyć, nie była w stanie wykonać nimi żadnego ruchu.

– Ja też będę zajęta – oznajmiła. – Mam mnóstwo pracy i mnóstwo spotkań z różnymi ludźmi.

– Mhm. – Spojrzał na nią, nachylił się i szybko, jakby od niechcienia, cmoknął ją w policzek. – Lepiej już się zbieraj. Muszę się z kimś dzisiaj wieczorem zobaczyć.

– No tak. Jasne. – Czym prędzej wstała i podniosła dzinsy z podłogi. – I tak już miałam wychodzić.

Przyglądał się, gdy zaczerwieniona i drżąca wkładała ubranie. Powiedziała coś nie tak, coś nie tak zrobiła. Z rana pod prysznicem zbyt pośpiesznie ogoliła nogi – mogła przeoczyć kilka włosków. A może w trakcie wydała jakiś dziwny dźwięk? Może spociła się w drodze do niego? Najprawdopodobniej chodziło o litość – jakiego faceta kręci litość? Kiedy poszła do kuchni po torbę i botki, podążył za nią, jakby chciał się upewnić,

że naprawdę wychodzi. Żołądek jej się ścisnął, poczuła dreszcz paniki. Żeby wszystko wróciło do normy, musiała powiedzieć teraz to, co trzeba, zachować się jak należy – ale co? Jak? Gdyby tylko wiedziała.

– To cześć – mruknęła w drzwiach. Chciała go zapytać, czy jeszcze się zobaczą, ale to byłby przejaw desperacji, a ona przecież nie upadła tak nisko.

– Cześć. – Znowu nachylił się, żeby ją pocałować; tym razem trwało to nieco dłużej. Dobre i to, chociaż pocałunek nawet w połowie nie spełnił oczekiwań: nie było w nim ani krzty pasji, pożądania czy tęsknoty. – Zadzwoń.

Drzwi zaczęły się przed nią zamykać, więc nie miała innego wyjścia, jak się odwrócić. Zarzuciła sobie torbę na ramię i ciaśniej otuliła się kurtką – blade słońce wisiało nisko na niebie, wiatr bezkarnie hulał po ulicach.

Przez całą drogę na przystanek autobusowy, a potem do domu wmawiała sobie, że ma to gdzieś i że wcale nie chce jej się płakać. Od lat nie płakała.

2018

Samolot zaczyna się zniżać w kłębach wilgotnej szarości, które przesuwają się za oknami, podczas gdy na pokładzie składane są stoliki, a oparcia foteli podnoszone do pozycji pionowej. Greta czuje się chora i brudna, w ustach jej zaschło, w głowie tętni z niewyspania. Kiedy na krótką chwilę udało jej się zdrzemnąć, znów śniła o Teksasie i o małych Millerach, po czym zbudziła się gwałtownie jakieś trzy godziny temu i resztę lotu spędziła skulona pod kocem linii lotniczych, oglądając najbardziej durne filmy, jakie tylko udało jej się znaleźć. Amber dla odmiany otworzyła oczy dopiero, gdy podawano śniadanie. Zanim zdążyła przełknąć swój rogalik, już częstowała się nietkniętym rogalikiem Greta. Następnie spałaszowała jajecznicę o fakturze kory mózgowej, popijając ją haustami soku pomarańczowego.

– Prawdziwe sztuczce – zauważyła z podziwem, manewrując widelcem między ustami a talerzem; język miała oblepiony jajkiem. – I prawdziwe talerze. Tak to wygląda, kiedy jest się bogatym, prawda?

A teraz chyba znowu śpi przykryta kocem, z głową wciśniętą w zagłówek. „Tyle, jeśli chodzi o jej bezsenność” – myśli z przekąsem Greta, chociaż zauważa, że ciało dziewczyny jest dziwnie nieruchome, wręcz sztywne. Błyska myśl, że przez cały ten czas Amber leżała obok niej całkiem przytomna, z zaciśniętymi powiekami, i w reakcji nie może powstrzymać drżenia. Marzy jej się chwila, gdy wreszcie opuści tę wychłodzoną kabinę, pozostawiając za sobą niekończące się rzędy czerwonych foteli.

Samolot zniża się równomiernie; z części dla załogi dobiega pobrękiwanie chowanych na miejsce szklanek i kieliszków. Ostatni z oglądanych przez Gretę filmów zostaje przerwany, ekran miga i wyświetla

się na nim mapa z ich aktualnym położeniem, lecz Greta woli patrzeć przez okno. Rozciąga się za nim wiejski krajobraz, brunatno-zielona mozaika pól. Tę monotonię od czasu do czasu przerywa błękitna plamka basenu, domy wyrastają i oddalają się, rzędy szeregowców zbiegają się zygzakami w gęstniejące skupiska miejskie.

Ziemia śpieszy na ich spotkanie i Greta spogląda na Amber. Czas przekazać dziewczynę w inne ręce, mimo to nie potrafi oprzeć się wrażeniu, że to dopiero początek i że brzemię, które dźwiga, wcale nie będzie odtąd lżejsze.

Federica, w okularach przeciwsłonecznych i z kubkiem kawy w ręce, czeka na obrzeżach tłumu ożywionych rodzin i ludzi z tabliczkami w dłoniach. Podczas ich nieobecności znalazła czas, żeby pójść do fryzjera i teraz końcówki jej włosów ledwo sięgają barków. Wśród gęstych, kędzierzawych loków wiją się siwe nitki. Pomimo wysokiej temperatury jest ubrana w męski płaszcz; wolną rękę włożyła do kieszeni. Na stopach ma brzydkie chodaki z czarnej gumy, grube nogi ukryła w lnianych bojówkach. Umalowane na czerwono wąskie wargi wyginają się właśnie w lekkim uśmiechu na znak, że ich zobaczyła; wierzchnia warstwa szminki zdążyła przenieść się na wieczko kubka z kawą.

– Amber! – woła, po czym podchodzi w obłoku perfum Diora i całuje dziewczynę w oba policzki. Tom i Luca załadowali cały bagaż na dwa wózki i przez ułamek sekundy Federica wydaje się speszona; jej ręce jakby z własnej woli szukają czegoś, co mogłaby zrobić lub wziąć. Zaraz jednak odzyskuje nad nimi panowanie i ujmuje łokieć Amber. – Auto czeka na zewnątrz – mówi i pociąga za sobą dziewczynę, po czym odwraca się jeszcze i zaszczyca Gretę szybkim skinieniem głowy. Greta zauważa, jak stojąca obok nich kobieta trąca męża i ukradkiem pokazuje mu plecy oddalającej się Amber. Ich najstarszy syn, nastolatek, obraca się na pięcie z uniesionym smartfonem w ręce, gotów pstryknąć fotkę.

– To była ona? Boże, muszę jej zrobić zdjęcie! – Jego trzynasto- albo

czternastoletnia siostra jest rozczarowana. – Jakaś taka niska. Wcale nie wygląda strasznie.

– Chodźmy – odzywa się cicho Tom. – Spadajmy stąd, zanim inni się zorientują.

– I zbiegną się wilki – dodaje Luca. Rusza ku przesuwным drzwiom, jednocześnie wyciągając papierosa z kieszeni kurtki.

Federica i Amber stoją na chodniku przed wyjściem; reżyserka mówi coś z ożywieniem, zaciskając palce na ramieniu dziewczyny.

– Dobrana z nich para – mruczy Tom do Greta.

– Niepokoję się o nią. – Greta jest zmęczona; słowa wymykają jej się bezwiednie. – Jest taka młoda – wyjaśnia z rumieńcem na twarzy. – Chyba nie wie, w co się pakuje, dopuszczając do siebie media.

Tom zwalnia kroku, patrzy na nią z troską.

– Naprawdę załazła ci za skórę, co?

Luca obejmuje Gretę ramieniem i mierzwi jej włosy.

– Dobra, pocziwa Greta, miłosierne serce naszej bezwzględnej szajki. – Puszczą ją, żeby zapalić papierosa. – Nic się nie martw, ta mała doskonale wie, co robi. Ma łeb na karku.

Idą do samochodu, który z włączonym silnikiem czeka na nich kawałek dalej przy krawężniku.

Jest dziesiąta wieczorem, gdy Federica puka do drzwi Greta. W klaustrofobicznym hotelu panuje półmrok, nieliczne okrągłe okienka z matowymi szybami umieszczone są wysoko pod sufitem. Wykładzina w spiralne wzory sprawia, że Greta czuje się jak na rozbujanej łodzi, wyciąga się więc na wznak na łóżku. Żałuje, że nie wykazała większej stanowczości. Powinna była obstawać przy powrocie do domu, do Hetty i Lisette, zamiast przyjmować propozycję noclegu w najtańszym pokoju, który zamiast ryku fal wypełnia monotony szum z odległej autostrady M25. Federica stwierdziła jednak, że tak będzie łatwiej: Greta zaoszczędzi na czasie i kosztach dojazdu, zresztą na czas trwania zdjęć ekipa powinna

zachować gotowość (tak jakby to, że Greta spędzi noc o kilka przystanków metra stąd mogło w jakikolwiek sposób utrudnić im pracę). Wcześniej Federica obiecywała Grecie, że tak, oczywiście, dostanie wolne na urodzinową kolację Lisette; teraz zgodnie z zapowiedzią puka do drzwi, krótko i zdecydowanie.

Greta dźwiga się z łóżka. Między podeszwami jej nagich stóp a naelektryzowaną wykładziną przeskakują iskry. Otwiera drzwi i przez chwilę patrzy na siebie w zielonkawym świetle hotelowego korytarza. Okulary przeciwsłoneczne Federiki znajdują się teraz nad jej czołem, oczy ma zmęczone i nieumalowane, co z kolei równoważy nadmiar czerwonej szminki na wargach.

Siadają na łóżku (w pokoju brakuje krzeseł) i piją piwo z puszek, które przyniosła Federica (minibaru również brak).

– Opałaś się – zauważa.

Dłoń Greta automatycznie wędruje w kierunku ramienia, gdzie przesuszony naskórek schodzi drobnymi płatkami.

– Jak Amber, rozgościła się?

– Tak – śmieje się Federica i pociąga spory łyk piwa; jej odsłonięte gardło porusza się jak u ropuchy. – Mała wygodnicka, co?

Greta uśmiecha się, ale milczy.

– Dzięki, że mnie zastąpiłaś – mówi Federica, nie odrywając wzroku od opartej na kolanie puszek i swoich sękatych palców, całych w pierścionkach.

– Naprawdę to doceniam.

– Nie ma sprawy – mruczy Greta i w tym momencie nienawidzi samej siebie. – A co się tutaj działo? – Ogarnia ją panika na myśl, że jej pytanie może się wydać zbyt osobiste, i w ostatniej chwili dorzuca: – Prasa wciąż żyje wyrokiem?

Federica kiwa głową.

– Tak, brukowce prawie codziennie coś o tym piszą. Publikują zdjęcia Amber ze Stanów. Prawdę mówiąc, na kilka z nich też się załapałaś.

Greta czuje ukłucie przerażenia i stara się je zagłuszyć szybko nagrzewającym się piwem.

– W sumie odczucia są raczej pozytywne – ciągnie Federica. – Ludzie uważają, że słusznie uniknęła więzienia. Jeśli przejrzeć komentarze, widać, że nawet cynicy zaczynają się do niej przekonywać. W każdym razie większość z nich. – Podnosi puszkę do ust, ale się rozmyśla. – Okazuje się, że to jednak świetna historia.

– Wiem, że trochę poszperałaś.

– Tak. Natknęłam się na parę... ciekawostek. Wystarczy się wybrać do miejsc, w których pomieszkiwała Sadie Banner, żeby znaleźć sporo... dowodów. Rzucają nowe światło na całą sprawę. – Znowu posyła Grecie ten swój szeroki, sztuczny uśmiech.

– Zaczynasz w niego wierzyć? – Greta upija łyk piwa, większy, niż zamierzała, więc trochę płynu ścieka jej po brodzie. – W Człowieka z Lasu?

Federica wbija w nią twarde spojrzenie.

– Oczywiście, że nie. Sądzę po prostu, że to interesujące, jak ludzie „przypominają sobie” różne rzeczy, gdy te zostają nagłośnione. Rozumiesz? To coś jak zbiorowa sugestia. Można by zrobić o tym cały odcinek.

– Okej. Mogę przeprowadzić parę wywiadów z mieszkańcami Wombleton.

– Świetny pomysł. A potem pojedziesz na Skye i wszędzie tam, gdzie, jak wiemy, się ukrywała. Pogadasz z lokalsami. Na pewno znajdzie się wielu przekonanych, że coś widzieli.

– A co z Amber?

– Trzeba ją będzie mocniej przycisnąć. Kiedyś w końcu pęknie. Jestem przekonana, że coś ukrywa, niemal słyszę, jak jej umysł przez cały czas pracuje. – Federica bierze dwa duże hausty piwa, ociera usta wierzchem dłoni. – Złamiemy ją. Wiem, że dasz radę. Wyciągnij z niej coś więcej niż te głodne kawałki, które bez przerwy serwuje mediom. Prawnicy nieźle ją przeszkolili, trzeba im to przyznać. – Otwiera następną puszkę piwa; łóżko

trzeszczy pod jej ciężarem. – Zmuszę ją, żeby to z siebie wykrztusiła. Żeby przyznała przed kamerą, że wierzy w Człowieka z Lasu. Że to on ją do tego zmusił.

– Nie sądzę, żeby w niego wierzyła.

– Niewykluczone. Ale im więcej będziemy mówić o Sadie, o tym, gdzie mieszkała, przytaczać wypowiedzi wszystkich tych ludzi, którym wydaje się, że widzieli albo słyszeli coś dziwnego w związku z jej matką, może sama też w końcu w niego uwierzy.

Greta czuje mdłości, ale podnosi z podłogi drugie piwo. Pociąga solidny łyk i odwraca wzrok.

Federica nie zraża się jej milczeniem.

– No dobra – mówi. – Wyciągaj laptopa. Chcę przejrzeć chociaż część materiałów z Los Angeles.

Z dziennika Leanny Evans [fragment B]

Umówiliśmy się na lunch we włoskiej knajpce nad rzeką. Było jeszcze wcześniej i kiedy przyszedłam, lokal był pusty, jeśli nie liczyć dwóch pracowników polerujących kieliszki i zdejmujących folię spożywczą z rozstawionych na ladzie półmisek z ciastami.

Pomimo braku innych klientów wybrałam stolik w głębi restauracji, bez widoku na rzekę, za to gwarantujący większą prywatność. Uznałam, że tak byś wolała. Zamówiłam u kelnera wodę gazowaną z lodem i cytryną, a kiedy się zjawiałś, pięć minut spóźniona i zdenerwowana, powiedziałam Ci, że to dżin z tonikiem. Nie skusiłaś się jednak i kiedy podszedł kelner, poprosiłaś o dietetyczną colę.

Zapytałam, jak Ci mija tydzień. Źle wyglądałaś: pod oczami miałaś cienie, skóra błyszczała od potu. Wciąż omiatałaś salę rozbieganym spojrzeniem, które od czasu do czasu zatrzymywało się na wyświetlaczu Twojej komórki. W świetle dnia Twoja twarz wydała mi się ściągnięta i wychudzona, co nie rzucało się tak w oczy w korzystnym oświetleniu mojej kuchni. Wyglądałaś na starszą niż swoje trzydzieści sześć – albo siedem? – lat.

Podczas zwyczajowej wymiany uprzejmości zachowywałaś się nieco sztywno, Twój uśmiech był napięty, odpowiedzi mętne i wymijające. Przyłapałam się na tym, że mówiąc, bawię się pojedynczą kartą menu. Czułam się skrępowana, nie wiedziałam, co zrobić z rękami. W końcu zaczęłam paplać o swoim tygodniu, o gruntownych porządkach w łazience i o tym, że zaczęłam uprzątać ze strychu rzeczy po poprzednim lokatorze.

Słyszając to, poderwałaś głowę, jakby coś przykuło Twoją uwagę.

– Robię to samo – powiedziałaś i z ust wyrwał Ci się taki dziwny śmiech, dokładnie to pamiętam. Nieharmonijny, jak brzęk tłuczonego szkła w cichym pokoju albo obniżona o pół tonu nuta w kantacie. A potem

powiedziałaś: – Na naszym są nietoperze – i musiała minąć chwila, zanim się zorientowałam, że nadal mówisz o strychu.

Upiłam łyk wody i szczerze mówiąc, pożałowałam, że to jednak nie dżin z tonikiem. Twoje słowa wydały mi się dziwne, a może po prostu niedbałe, jakby wyfrunęły Ci z ust mimowolnie, jakbyś w ogóle ich nie przemyślała czy wręcz nie angażowała się świadomie w naszą wymianę zdań. Tym razem byłaś inna; przyszło mi do głowy, że mogłam popełnić błąd. Znowu pochyliłaś się nad kartą dań, więc zrobiłam to samo. Znajdowało się w niej tylko dziewięć pozycji: trzy przystawki, trzy dania główne i trzy desery. Tym bardziej ucieszył mnie Twój wybór: sugerował szczerą, prostotę, otwartość. Żadnego ściemniania, żadnej asekuracji. Na myśl, że zaproponowałaś właśnie ten lokal, poczułam do Ciebie większy szacunek.

Przez minutę albo dwie milczałyśmy. W końcu spytałam, co zamierzasz zamówić. Zabawne, że wcześniej cisza nigdy mi nie przeszkadzała; teraz często nie mogę jej znieść. Zdziwiłam się, słysząc własną odpowiedź, zanim Ty zdążyłaś sformułować swoją – zaczęłam się głośno wahać pomiędzy penne all'arrabiata a pizzettą. Pomimo wszelkich starań denerwowałam się, a Ty zdawałaś się przyjmować to ze zrozumieniem. Uśmiechnęłaś się do mnie, a mnie na nowo ogarnął spokój.

Kiedy wrócił kelner, zamówiłam sałatkę z mozzarelli i pomidorów oraz penne. Jak na siebie wykazałam się niezwykłym zdecydowaniem, co mnie ucieszyło. Niewykluczone, że to zauważyłaś. Czułam, że panuję nad sytuacją i wprost tryskam energią. Jeśli mam być całkiem szczerą – a obiecałam sobie, że nie będę niczego ukrywać – to miałam wrażenie, że wysysam z Ciebie tę energię, podczas gdy Ty coraz bardziej zapadasz się w sobie. Potrzebowałaś sporo czasu, żeby złożyć zamówienie: ostatecznie wybrałaś koktajl z krewetek i spaghetti alla puttanesca. Te dania w ogóle do siebie nie pasowały i miałam ochotę zainterweniować, jakby moim obowiązkiem było Ci matkować.

Zamiast tego spróbowałam odwrócić Twoją uwagę od podłogi, ku której

raz za razem kierowałaś wzrok, jakby oczy Ci ciążyły, a Tobie brakowało sił, aby je podnieść. Zapytałam, jak Ci minął weekend, czy robiliście we trójkę coś ciekawego. Ciekawa byłam twoich relacji z Amber – prawdę mówiąc, zgoła mnie fascynowały. Odnosiło się wrażenie, że kiedy przebywacie razem, nie jesteście pewne, jak się do siebie nawzajem odnosić: z ożywieniem, od niechcienia czy raczej z rezerwą. W rezultacie te i inne emocje odbijały się na waszych twarzach, lecz żadna nie zagościła tam na dłużej. Dlatego tak często odwracałyście od siebie wzrok, jakbyście były nieznanymi mijającymi się na ulicy. To, co się działo w Twoim domu, było dziwne i nienaturalne, a ja nie mogłam przejść obok tego obojętnie.

W tym momencie Twój wzrok padł na telefon, jakby moje pytanie przypomniało Ci o jego istnieniu.

– Nic szczególnego – odparłaś. – Rodzice Milesa wpadli z wizytą.

Pamiętam, że wyciągnęłam rękę i delikatnie dotknęłam Twojej dłoni. A potem zapytałam, czy coś się stało.

Pokręciłaś głową nieco zbyt energicznie, aż Twoje włosy zakołysały się gwałtownie z boku na bok.

– Wszystko w porządku – zapewniłaś. – A co u ciebie?

Odpowiedziałam chyba, że mam się dobrze. Byłam rozkojarzona; przed naszym spotkaniem nałożyłam na usta pomadkę ochronną, a teraz zobaczyłam odcisk swoich warg na krawędzi szklanki. Przeciągnęłam po niej kciukiem, żeby usunąć tłusty ślad, a Ty niemal natychmiast straciłaś zainteresowanie rozmową. Kelner przyniósł zamówione dania, więc zaczęłam jeść, podczas gdy Ty pustym wzrokiem wpatrywałaś się w swój talerz.

– Apetycznie to wygląda – zauważyłaś wreszcie z nutą entuzjazmu w głosie. Wzięłaś widelec i zaczęłaś się bawić przywiedłym liściem sałaty.

Potrzebowałam chwili, aby przełknąć – może zauważyłaś, że nie od razu Ci odpowiedziałam. To, w jaki sposób mnie ignorowałaś, doprowadzało mnie do szału; miałam ochotę wyrwać Ci widelec z ręki, strącić talerz ze

stolika. Musiałam się opanować.

– Moje jest znakomite – powiedziałam i wtedy w końcu podniosłaś widelec do ust.

Przez co najmniej minutę albo dwie jadłyśmy w milczeniu, a ja stwierdziłam, że jednak jestem w stanie znieść ciszę. W istocie to Ty pierwsza odczułaś potrzebę, żeby ją przerwać.

– Co u Billie? – zapytałaś. – Podoba jej się w szkole?

Poczułam zadowolenie. Starannie nabiłam następną porcję sałatki na widelec, dbając o zachowanie równowagi obu składników. Ta pauza była mi potrzebna – chciałam się nacieszyć tą chwilą, jak najdłużej ją smakować.

– Wygląda na to, że dobrze się w niej odnalazła – odparłam. – To chyba miejsce w sam raz dla niej.

– Wydaje się, że to dobra dziewczyna – zauważyłaś, co mnie zdumiało.

– Dziękuję – bąknęłam zaskoczona. – Tak jak Amber, naturalnie.

Zaśmiałaś się, a mnie ciarki przeszły po plecach. Nagle znalazłaś się w zupełnie innym miejscu, chociaż wciąż siedziałaś naprzeciwko mnie. Znowu dopuściłaś do siebie cienie.

– Ona kłamie – stwierdziłaś po prostu. Nie patrzyłaś na mnie, tylko obracałaś nóż wpatrzona w wąski pasek odbitego światła, tańczący na przeciwległej ścianie.

– Wiem – wyszeptałam, lecz ostro na mnie spojrzełaś, a ja zdałam sobie sprawę, że ani na moment się ode mnie nie oddaliłaś. Jednak Tobą nie zawładnęły.

– Billie wspominała, że Amber ma nowego przyjaciela – rzuciłam, odzyskując pewność siebie i przybierając zmieszany wyraz twarzy, jakbym nie była pewna, czy powinnam Ci o tym mówić. Na widok lęku, który przemknął przez Twoją twarz, poczułam dreszcz podniecenia. – Mężczyznę. Billie... chyba trochę się go boi.

Nasze spojrzenia się spotkały i byłam ciekawa, co zobaczyłaś w moich oczach. Kogoś równie udręczonego jak Ty? Dostatecznie zdesperowanego,

żeby zrobić to, na co Ciebie nie było stać? Zadawałam sobie pytanie, czy ujrzałaś we mnie to, co ja w Tobie. Było tak, jakbym patrzyła na własny cień, widywany niemal każdego dnia – te Twoje charakterystyczne ruchy głowy, kiedy zacięłaś się, szukając odpowiednich słów. Może dostrzegałam to tylko dlatego, że uważnie na Ciebie patrzyłam, wiedziałam, czego szukam. I gdzie to znaleźć.

Potarłaś czoło; Twoja dłoń zsunęła się bezwładnie na oko, a potem na policzek i dalej w dół na blat, z którego chwyciłaś widelec. Od niechcenia, jakbyś nie miała nic innego do roboty, włożyłaś sobie wreszcie do ust kolejny kęs. Potem popatrzyłaś na mnie, a ja uśmiechnęłam się uprzejmie, czując, jak narasta we mnie coś potężnego.

– Dziękuję ci – powiedziałaś. – Doceniam, że mi o tym mówisz.

Zbyłam to ruchem ręki, jak dobra przyjaciółka.

– Nie jest łatwo mieć córki. Pamiętasz ten cytat z *Króla Leara*?

– „Hieny, nie córki” ^[1] – odparłaś bez śladu uśmiechu. Znowu mnie zaskoczyłaś; nie spodziewałam się, że będziesz to znała.

– Właśnie. – Roześmiałam się, żeby ukryć zdziwienie, i napiłam się wody. – Teraz, gdy dorastają, brzmi to jeszcze bardziej prawdziwie, zgodzisz się ze mną?

Przytaknęłaś i znowu zapadłaś się w siebie. Pokonana, odłożyłaś widelec.

– Też taka byłam – stwierdziłaś, a ja poczułam, że to właściwy moment, aby Cię przycisnąć.

– Serio?

– Tak. Okropnie traktowałam swoich rodziców. Wciąż się spóźniałam, wracałam do domu pijana w sztok. Pewnie los mnie za to pokarał.

Przełknęłam łyczek wody i zabrałam się za makaron, myśląc sobie: „Jeszcze niedostatecznie”.

Wtorek, 22 maja 2018, godz. 23:31 czasu Greenwich

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Nie zrozum mnie źle, ale kiedy przed chwilą rozmawialiśmy, odbierałam od Ciebie same negatywne wibracje. Obawiam się, że nie jesteś stuprocentowo zaangażowana w to, co tutaj robimy.

Wtorek, 22 maja 2018, godz. 23:35 czasu Greenwich

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Przykro mi, jeśli tak to odczułaś. Jestem zmęczona, to wszystko. To był ciężki tydzień.

Wtorek, 22 maja 2018, godz. 23:36 czasu Greenwich

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Zdaję sobie z tego sprawę i jestem Ci wdzięczna, że mnie zastąpiłaś, ale musisz też zrozumieć, że daję Ci wielką szansę. Miło byłoby widzieć choć trochę entuzjazmu.

Wtorek, 22 maja 2018, godz. 23:38 czasu Greenwich

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Federico, podchodzę entuzjastycznie do naszego projektu i jestem Ci bardzo wdzięczna za to, że mogę w nim uczestniczyć. Trudno się jednak ekscytować tym, że robimy coś za plecami osiemnastolatki, kimkolwiek ona jest. Czasem mówisz takie rzeczy, że czuję się trochę nieswojo.

Wtorek, 22 maja 2018, godz. 23:39 czasu Greenwich

Od: Federiki Sosy

Do: Grety Mueller

Tylko znowu nie zaczynaj, do cholery! Chyba wiesz, co ona zrobiła? Nie wydaje mi się, aby potrzebowała w swoim życiu kolejnej matki, a gdyby nawet, to nie sądzę, abyś temu podołała. Przykro mi, jeżeli szansa, którą Ci dałam, sprawia, że czujesz się „nieswojo”!!!

Wtorek, 22 maja 2018, godz. 23:41 czasu Greenwich

Od: Grety Mueller

Do: Federiki Sosy

Nie próbuję jej matkować, zależy mi po prostu na tym, żebyśmy postępowali wobec niej etycznie i uczciwie. Podpisaliśmy kontrakt, a ona nam ufa.

Wtorek, 22 maja 2018, godz. 23:43 czasu Greenwich

Od: Grety Mueller

Do: Federiki Sosy

Jest późno i chyba dlatego nie możemy się dogadać. Muszę się trochę przespać. Przepraszam, jeśli dziś wieczorem w jakikolwiek sposób Cię obraziłam – wierz mi, nie miałam takiego zamiaru. Naprawdę doceniam szansę, którą od Ciebie dostałam.

Wtorek, 22 maja 2018, godz. 23:47 czasu Greenwich

Od: Greta Mueller

Do: Federiki Sosy

Czy to Ty właśnie zapukałaś do moich drzwi? Nie śpię, ale chyba nie dość szybko je otworzyłam.

Środa, 23 maja 2018, godz. 01:59 czasu Greenwich

Od: Federiki Sosy

Do: Greta Mueller

Wybacz, skarbie, zdrzemnęłam się. Jestem totalnie wykończona. Przepraszam, jeśli to, co napisałam wcześniej, zabrzmiało brutalnie. Po prostu wiem, że masz ogromny talent, G, i chcę, żebyś wypłynęła na tym projekcie.

Do zobaczenia na śniadaniu x

PS. To nie ja, chyba masz jakiegoś nocnego wielbiciela;)

2016

Po lunchu Leanna i Sadie wybrały się na wspólny spacer po miasteczku. Leanna szczebiotała o pogodzie i dziewczynkach, dotrzymując kroku Sadie, która nigdy nie potrafiła chodzić wolno. Teraz też chciała czym prędzej uciec. Mogła myśleć wyłącznie o znalezionym w skrzynce odbiorczej Milesa e-mailu: „To nikomu nie powiem”.

Dotarły do wylotu głównej ulicy, gdzie ich drogi w naturalny sposób się rozdzieliły. Leanna uściskała Sadie na pożegnanie, muskając jej policzek swoimi jedwabistymi włosami i roztaczając wokół ostry aromat cytrusów.

– Dzięki za lunch – powiedziała Sadie, gdyż Leanna wymogła na niej, że za nie zapłaci. Spaghetti Sadie było przesolone i zalegało jej w żołądku oleistą papką.

– Musimy to kiedyś powtórzyć. – Leanna zmarszczyła brwi w słabym popołudniowym słońcu. – Trzymaj się. – Odwróciła się na pięcie i odeszła. W pewnym momencie zerknęła za siebie i dyskretnie jej pomachała; na przegubie ręki zabrzczały dwie wąskie srebrne bransoletki.

Umysł Sadie był już zajęty ponownym roztrząsaniem znaczenia niepokojącej wiadomości. Analizowała jej treść pod każdym możliwym kątem. Miles mógł mieć romans – kto by go zresztą winił po tym wszystkim? „KtośWyjątkowy” mógł być kolegą z pracy albo którymś ze studentów (albo i nie). Sadie zakładała, że w jakimś momencie na przestrzeni minionych szesnastu lat Miles uprawiał z kimś seks, choć zważywszy na jego patologiczną wręcz wierność, ciężko jej było to sobie wyobrazić. Pamiętała, jak jej otworzył, a na jego twarzy, poza zaskoczeniem, odmalowała się ulga, takie swoiste „Wiedziałem!”. Wierzył i jego wiara została nagrodzona.

Mimo wszystko nie mogła całkiem wykluczyć tego, że coś go z kimś łączyło. Przelotny romans albo przyjaźń, więcej albo mniej. Byłoby to zupełnie zrozumiałe, nawet normalne – o ile cokolwiek z tego, co się między nimi dwojgiem wydarzyło, można nazwać normalnością. Przypuszczała, że jak każdy dorosły mężczyzna miał swoje potrzeby, chociaż po jej powrocie minęło aż kilka miesięcy, zanim znowu się do niej zbliżył. Nawet teraz bywał niepewny i frustrująco delikatny, kiedy jej dotykał, jakby jej wcześniejsza nieobecność była spowodowana wyniszczającą chorobą albo poważnym urazem. Może jednak wynikało to z faktu, że w poprzednich latach był związany z kimś innym i zapomniał, jak to jest być z nią, w jaki sposób lubi być dotykana. Chociaż na samą myśl skręcało ją z zazdrości, uznała, że dałaby radę to przełknąć.

E-mail zawierał jednak znamienny fragment: „To nikomu nie powiem”. Szantaż mógł wskazywać na któregoś ze studentów, pomyślała (po raz piętnasty lub szesnasty), dochodząc do stacji i wspinając się po stopniach na peron. Niestrawionemu spaghetti śpieszno było wydostać się z powrotem na zewnątrz.

Jednocześnie przez cały czas słyszała dobiegający gdzieś z trzewi głos, szepczący: „Miles ma sekret. I ktoś to odkrył”. Ktoś Wyjątkowy wiedział. To słowo ją poraziło, kiedy po raz pierwszy przeczytała wiadomość: „wyjątkowy”. Nadawca oznajmiał z dumą, kim jest, choć Miles mógł nie wiedzieć, co to oznacza ani czym grozi. „Czy aby na pewno?” – pytała ta cząstka Sadie, którą tak często usiłowała w sobie zagłuszyć. Bądź co bądź teraz to on coś przed nią ukrywał.

(Wiedziała, że zaczyna gonić w piętę; to było niebezpieczne).

Zajęła miejsce w wagonie, tyłem do kierunku jazdy, i patrzyła, jak miasto powoli umyka za oknami. Żeby zająć myśli czymś innym, skupiła się na ostrzeżeniu Leanny. Amber miała „nowego przyjaciela”. Sadie wyobraziła sobie mężczyznę wyłaniającego się z mroków nocy, który ujmuje za rękę jej córkę. Niemal słyszała, jak szepcze jej do ucha, widziała sunący po policzku

palec. Mówił jej, że może być wyjątkowa.

To wcale nie musiało tak wyglądać. W ogóle nie musiało się tak zdarzyć, poprawiła się w duchu. Przecież odciągnęła go od córki, odsunęła od niej niebezpieczeństwo.

Oczywiście istniały inne zagrożenia. Nie całe zło tego świata kryło się pośród cieni i Sadie dobrze o tym wiedziała. Ale jeśli coś istotnie było na rzeczy, byłoby czymś okropnym widzieć Amber zranioną, z sercem złamanym przez nieodpowiedzialnego, starszego od niej faceta. Sadie nie była pewna, lecz dla dziewcząt w tym wieku mógł to być swego rodzaju rytuał przejścia. Przed poznaniem Milesa nie miała żadnych koleżanek, z którymi mogłaby się wymieniać takimi doświadczeniami. Jedyna dziewczynka stale obecna w jej życiu była mała i lubiła szeptać do niej w ciemności. Jej sukienkę niczym klejnoty zdobiły krwawe krople, z tyłu głowy miała potworną dziurę, skąd dolatywała woń gnijącego ciała. Po tym, jak zeszli się z Milesem, cienie opuściły Sadie, może więc miłość, pożądanie czy cokolwiek to było raz na zawsze ocali Amber, sprawi, że dziewczyna nie usłyszy szeptów dobiegających z głębi mroku? Nawet gdyby sam Człowiek z Lasu do niej przemówił.

Sadie upomniała się w myślach, że Amber nie jest taka jak ona – krucha, pozbawiona instynktu samozachowawczego. Skąd pomysł, że jakikolwiek mężczyzna mógłby ją skrzywdzić? Może ten nowy przyjaciel, kimkolwiek był, zwyczajnie się w niej zakochał, a ona pozwalała mu się adorować? Może wraz z Billie podśmiewały się z biednego, nieporadnego koleśka, który obsypywał ją prezentami i rzucił jej do stóp swoje serce? Tak też mogło być, prawda? Naturalnie Sadie będzie musiała poinformować o wszystkim Milesa, bo to on najlepiej znał Amber. Miles będzie wiedział, co robić. Jak zawsze.

Oparła czoło o chłodną szybę i wyobraziła go sobie, że codziennie podróżuje tą samą trasą. Z łatwością przywołała obraz Milesa, siedzącego w wagonie, pochłoniętego myślami o Amber i tak powszednich problemach

jak nieodpowiedni chłopak córki.

Teraz ona także miała swoje powszednie zmartwienie: wyobrażała sobie, jak jej mąż wymienia e-maile z „kimś wyjątkowym”. Bezgłośnie wypowiedziała ostatnie słowo, waząc na języku każdą sylabę. Układało się w jej ustach tak znajomo, że poczuła w sercu kolejne ukłucie strachu.

Nie mogła nic na to poradzić: ilekroć wracała do tamtej wiadomości („To nikomu nie powiem”) – zanim zdążyła powstrzymać natrętą myśl niczym cierpliwy albo raczej zrezygnowany strażnik graniczny – oczyma wyobraźni widziała wciąż ten sam obraz: niemowlę leżące w koszyku obok łóżka. „Człowiek z Lasu zabiera córki. Ale czasami potrzebuje pomocy”.

Nie. Zamknęła oczy i odepchnęła od siebie wspomnienie. „Amber jest moją córką i nic jej nie grozi. Mogę zaufać Milesowi”.

Ciekawa sprawa z tym zaufaniem – stale potrzebuje zapominania, wymazywania. Sadie знаła to aż nazbyt dobrze.

Nieustannie dręczyły ją koszmary. Dotyk ciepłej rączki w jej dłoni. Delikatny ruch w powoli zaokrąglającym się brzuchu. Droga przez las przy wtórze śpiewu ptaków. Co noc budziła się zlna potem, jakby wraz z nim wszystkimi porami skóry pozbywała się swoich złych myśli.

Teraz też się pociła.

Otworzyła oczy i spojrzała na przesuwające się na zewnątrz pola. Kilka siedzeń przed nią ktoś wstał i opuścił szybę, wpuszczając do środka gwałtowny podmuch powietrza. Sadie przyjrzała się zamglonemu odbiciu własnej twarzy w oknie wagonu. Wyglądała jak duch. Czasami, kiedy na siebie patrzyła, trudno jej było uwierzyć, że jest dorosłą kobietą. Ostatnio tak często myślała o Amber i sobie samej w jej wieku, że różnica między nimi zatarła się w jej umyśle. Tym bardziej czuła się wytrącona z równowagi, ilekroć uświadamiała sobie, że twarz Amber nie jest jej twarzą.

Pociąg wjechał do tunelu i w wagonie z hukiem otworzyły się kolejne okna. Szyba przed nią poczerniała.

Obok odbicia Sadie pojawiła się blada twarz. Wykrzywione usta rozwarły

się do krzyku.

A potem wagon znów wypełnił się jasnym światłem dnia i sąsiednie okno zatrzasnęło się z hukiem. Sadie oderwała twarz od szyby, odwróciła się i spojrzała na siedzenie obok. Było puste. Z dłonią przyciśniętą do piersi zastanawiała się, czy ból, jaki czuje w sercu, to oznaka strachu czy rozczarowania.

Pociąg zaczął zwalniać; zbliżała się jej stacja. Nie wolno jej było wpadać w panikę. Przynajmniej tyle się nauczyła.

Widok zabudowań uniwersyteckich przywołał wspomnienie pierwszego roku studiów i dnia, w którym poznała Milesa. Uderzającego do głowy, wszechogarniającego uniesienia na myśl, że oto wreszcie porzuciła wieś i może oddychać miejskim powietrzem, rozmawiać, z kim tylko zechce, o wszystkim. Towarzyszyło jej ono przez co najmniej dwa dni, dopóki do jej serca znów nie zaczął się wkradać lęk, a ona co ranka znów nie zaczęła zostawiać w oknie zaciągniętych zasłon. Kiedy się poznali – dwa tygodnie po jej przeprowadzce do pokoju w akademiku – Sadie już myślała o tym, żeby odejść. Bo wyjazd z domu wcale nie znaczył, że zostawiła tamto za sobą. Bez względu na to, co mówiła o sobie nowym współlokatorom, wciąż była dawną Sadie. Już wtedy, gdy leżała na wąskim łóżku z materacem w plastikowej osłonie, w pachnącej domem pościeli, dręczyły ją koszmary – pomimo wstrętnego, jaskrawego blasku świetlóвки, który rozjaśniał każdy kąt pokoju z jakże pożądaną, prosektoryjną intensywnością. Nie miała innego wyjścia, jak czekać. Czekala więc, aż wśród cieni zmaterializuje się znajoma twarz i zacznie pełznąć ku niej po ścianie, a dziewczęce paluszki spletną się z jej palcami.

Bardzo szybko podjęła decyzję, że nie będzie miała przyjaciół. Że ludziom nie można ufać, więcej, nie można ich potrzebować.

Miles podchodził do życia całkiem inaczej.

Zawsze utrzymywał, że po raz pierwszy zauważył ją podczas tygodnia integracyjnego, równo siedem dni przed tym, jak oficjalnie się poznali.

Twierdził, że zwrócił na nią uwagę, ponieważ – w tym miejscu następowała pauza dla wzmocnienia efektu dramatycznego, a słuchający go uśmiechali się uprzejmie – była jedyną studentką pierwszego roku, która nie wzięła udziału w tygodniu integracyjnym. Podczas gdy jej koleżanki kręciły się między stoiskami na dziedzińcu, poprawiając fryzury i strzelając oczami na boki, ona po prostu minęła wszystkich zdecydowanym krokiem, taszcząc cotygodniowe zakupy w foliowych siatkach.

Opowieść ta stanowiła kamień węgielny ich wspólnej legendy – do tego stopnia, że Sadie zaczęła ją traktować jak własne wspomnienie. Niemal widziała, jak tamtego popołudnia dźwiga smakujący plastikiem ser, pół bochenka chleba, pięć paczek makaronu błyskawicznego i puszkę napoju energetycznego z logo supermarketu. Miles tak często o tym wspominał, że uznała tamto wydarzenie za fakt, co obecnie napawało ją lękiem.

Do ich pierwszego spotkania twarzą w twarz doszło w kanapkarni związku studentów, obskurnym miejscu z białą ladą i lepiącymi się do stolików napoczętymi saszetkami z majonezem. Sadie wpadła tam w przerwie między wykładami i właśnie stała w kolejce, czując, że trzymany pod pachą nowy segregator wrzyna jej się w biodro, gdy ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się i ujrzała go za sobą.

– Cześć.

– Hm... cześć. – Z powrotem skupiła uwagę na ladzie; przed nią w kolejce czekały już tylko dwie osoby. Nie miała ochoty na rozmowę.

– Jestem Miles – przedstawił się, niezrażony.

– Sadie – odparła z czymś w rodzaju wrodzonej grzeczności, nie odwracając nawet za bardzo głowy w jego stronę. Przełożyła segregator do przodu i przycisnęła go do siebie.

– Miło cię poznać, Sadie – powiedział i chociaż wyczuła uśmiech w jego głosie, nic więcej nie dodał.

Wracając do tej historii, Miles często podkreślał, że miał ochotę zapisać swój numer telefonu na serwetce i wsunąć ją do torby Sadie albo do jej

zawiniętej w papier kanapki. Sadie zaś tradycyjnie marginalizowała to, że jego zachowanie miało mniej wspólnego z uroczą zagrywką, a więcej z tandetnym podrywem; nigdy też nie wspominała o tym, jak wracała do akademika po wykładzie, gotując się w środku na myśl, że jakiś rozczochrany chłopak ośmielił się jej dotknąć (nadal się bała, że otwarszy drzwi pokoju, zastanie w nim skuloną na podłodze drobną postać).

Później jednak okazało się, że przydzielono im tego samego opiekuna, ten zaś, wyznaczając im termin pierwszego spotkania, umówił ich jedno po drugim. W rezultacie pewnego ciepłego dnia spotkali się ponownie w dusznym korytarzu i Milesowi jakimś sposobem – do dziś Sadie nie była pewna, co właściwie przeważyło – udało się namówić ją na drinka. Od tamtej pory stał się jedynym gościem w jej pokoju. Nareszcie była wolna.

Przynajmniej chwilowo.

A teraz jakaś inna kobieta (być może) proponowała drinka jemu. Znała jego sekrety, chociaż Sadie zawsze uważała, że czyta w nim jak w otwartej księdze. Z wahaniem zatrzymała się przed pubem. Czy w ogóle miała prawo wtrącać się w jego sprawy?

W pierwszych latach znajomości nigdy jej o nic nie wypytywał. Instynktownie zdawał się wiedzieć, że przyjechała na studia, żeby przed czymś uciec: zapomnieć o farmie, o miejscu, w którym dorastała, i tym, co się tam wydarzyło („Człowiek z Lasu sprawił, że stałyśmy się wyjątkowe”). Zamiast zadawać pytania, częstował ją najróżniejszymi faktami naukowymi: podawał prędkość poruszania się jakiejś gwiazdy albo głębokość oceanu. Dzielił się z nią tymi fascynującymi rzeczami, wszystkim, co go pasjonowało. Z czasem zaczęła mu ufać, otwierać się w jego ciepło, z początku tylko odrobinę. Stopniowo coraz częściej udawało mu się ją namówić na różne wyjścia: do klubów, knajp i na imprezy. Pokazał jej, że trzy lata spędzone na uczelni nie muszą być czymś, co trzeba jakoś znieść – można się nimi cieszyć, można się w nich rozsmakować, dostrzec to, czym naprawdę były: szansą, żeby zacząć od nowa, stać się, kimkolwiek się

zechce.

Cofnęła się teraz, przestraszona własnym zachowaniem. Wystarczył jeden sygnał, że coś jest nie tak, by wskoczyła do pociągu; czy nie taki sam błąd popełniała w życiu za każdym razem, stając na rozstaju dróg? („A może – drażył podstępny głos w jej głowie – była to jedyna słuszna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła?”).

Co takiego spodziewała się znaleźć w tym nijakim pubie na terenie kampusu uniwersyteckiego, gdzie, jak okiem sięgnąć, nie kryły się żadne cienie? Pomiędzy nią a Milesem pozostały niewyjaśnione sprawy i niejedna tajemnica, ale może to było po prostu nieuniknione? Może to kolejna rzecz, której nie powinna ruszać, tylko pozwolić, aby życie samo ją pogrzebało pod warstwami codziennych zdarzeń? Miles nigdy jej nie wypytywał. Ważne, by o tym pamiętała.

Odwróciła się i szybko odeszła, żeby się przypadkiem nie rozmyślić. Zła na siebie wędrowała przez kampus, a w głowie kręciło jej się od wspomnień: ona i Miles na jej wąskim łóżku, z ubraniami i ustami lepкими od cydru, zapach jego skóry na pościeli. Przypomniała sobie, jak urwała się z wykładu i znalazła go opartego o ścianę audytorium, z podeszwą buta przyciśniętą do ceglanego muru i rękami w kieszeniach.

Kiedy na chodniku przed nią wyrosła grupka studentek, niemal spodziewała się zobaczyć znajome twarze – zaraz jednak uświadomiła sobie, że minęło prawie dwadzieścia lat, a tym dziewczynom bliżej wiekiem do jej córki niż do niej.

Amber. Myśl o Amber była jak uderzenie w odsłonięty nerw: wszystko znów do niej wróciło. „To nikomu nie powiem”. Co takiego zrobił Miles?

– Kto prowadzi ten wykład? Śmieszek Dave? – zapytała jedna z dziewcząt; Sadie owionął dym z palonego przez nią skręta.

– Dzięki Bogu nie – odparła inna, po czym odwróciła się i posłała koleżance krzywy uśmiezek. – Magiczny Miles.

– Tak jest! – Pięść dziewczyny z papierosem wzniosła się do góry

w triumfalnym geście. – Nie ma to jak zajęcia z Bannerem.

Serce Sadie ścisnęło się boleśnie. Studentki Milesa. Wysokie, smukłe, ubrane w obcisłe dzinsy i balerinki, z burzą splątanych włosów opadającą na plecy. Tego rodzaju dziewczyny, które mogłyby zakończyć napisaną przez siebie wiadomość mrugającą buźką.

Zanim się zorientowała, zawędrowała za nimi aż do jednej z sal wykładowych, świeżo wyremontowanej, pachnącej plastikiem i farbą. Sala była większa, niż Sadie pamiętała, z niezliczonymi siedzeniami opadającymi kaskadą ku dołowi. Podest wydawał się tak bardzo oddalony i tyłu studentów wypełniało rzędy wolnych miejsc, że w imieniu Milesa ogarnęło ją zdenerwowanie. Naprawdę robił to codziennie?

Ciekawość okazała się jednak silniejsza i Sadie przycupnęła w kącie pod ścianą, ukryta za plecami grupki roześmianych chłopaków. Obserwowała, jak stopniowo zajmują miejsca, wyjmują z toreb notatniki, otwierają laptopy, manipulują przy swoich smartfonach. Jako że był to ostatni wykład tego dnia, nikt nie tłumił ziewania.

A potem zjawił się Miles. Zaskoczył ją, wchodząc na salę od góry, tak jak studenci – spodziewała się, że wparuje wprost na scenę niczym gwiazdor rocka – a następnie zbiegł z tupotem po schodach, odrzucając przy tym do tyłu bujne włosy. Przestraszona Sadie skuliła się na siedzeniu, lecz Miles pokonywał po kilka stopni naraz, po czym jednym susem dopadł pulpitu, ściskając pod pachą plik papierów, z torbą objającą mu się o biodro. Wszystkie oczy skierowały się na niego. Rozmowy nie ucichły, lecz spojrzenia studentów śledziły każdy ruch Milesa, gdy zdejmował torbę z ramienia i porządkował swoje rzeczy. Usta mimowolnie rozciągały się w uśmiechu, spojrzenia podążały za Milesem przez cały czas. Usta Sadie pozostały wysuszone i zaciśnięte.

Naraz Miles uniósł do góry dłoń i zapadła cisza. On zaś po prostu stał nieruchomo jakiś metr od pulpitu i uśmiechał się do słuchaczy.

– To mi się nigdy nie znudzi – odezwał się; jego głos zabrzmiał gromko,

dziwnie zniekształcony przez mikrofony umieszczone na skraju podestu. – A zatem zbliżamy się do końca pierwszego roku waszych studiów. Pierwszego etapu waszej długiej kariery socjologów, mam rację?

Sztuczność głosu Milesa nie była wyłącznie zasługą nagłośnienia, uświadomiła sobie Sadie. Stojąc na mównicy, zachowywał się nienaturalnie, wręcz teatralnie. To był Miles gotów dotknąć ramienia dziewczyny w kanapkarni, skłonny, ot tak sobie, przedstawić się, żeby nawiązać rozmowę. Wydawał się Sadie jednocześnie znajomy i obcy. Zarazem nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerkać w głąb sceny, gdzie światła rzucały na ścianę jego wydłużony cień.

– No to zaczynamy – rzekł, odsuwając się o krok dalej od pulpitu i posyłając publiczności szeroki uśmiech. – Porozmawiajmy o dewiacjach. Wiem, że o niczym innym nie marzycie.

Fala uprzejmego śmiechu przetoczyła się przez audytorium, a gdy się wznosiła, Sadie to poczuła: oddech na swoim karku, wolny, równomierny. Zimny. Ciężar dłoni na swoim ramieniu – choć nie odwróciła głowy, aby sprawdzić, czy rzeczywiście tam jest.

Czekała. Zawsze czekała.

Głos – kiedy się rozległ – zabrzmiał tak znajomo, aż zabolowało. Był cichy i miękki, każde słowo stawiało włoski na jej skórze na sztorc. Oczy Sadie napęłniły się łzami.

– Mogę sprawić, że staniesz się wyjątkowa – powiedział. – Wystarczy poprosić.

2018

Jest siódma rano, gdy dzwoni do niej Federica; telefon wibruje na szklanym blacie nocnej szafki w rytm smętnego pobekiwania budzika. Greta odbiera i gwałtownie siada na łóżku, obciągając dół koszulki, żeby zakryć miękkie fałdki na brzuchu. Zbyt wiele pączków na śniadanie i piw wypitych na dobranoc w pokojach hotelowych; za mało czasu na spacer. Federica nie zawraca sobie głowy grzecznościami – przekazuje jej kluczową informację i rozłącza się, by Greta samotnie ją przetrawiła, walcząc jednocześnie z budzikiem.

Miles Banner zgodził się z nimi porozmawiać.

Dwie godziny później są już w jego mieszkaniu na trzecim piętrze ponurego wysokościowca na terenie niepopularnego osiedla w Battersea. Obładowani sprzętem, Federica, Greta i Tom tłoczą się we trójkę w wąskim holu; Amber z nimi nie ma, tego ranka udziela wywiadu do specjalnego dodatku niedzielnej gazety i wszelkie inne kamery mają zakaz wstępu. Wcześniej, w windzie, Federica ze zmarszczonymi brwiami przegląda swoje notatki. Pomimo pochmurnego dnia, na czubku głowy ma jak zwykle okulary przeciwsłoneczne przytrzymujące włosy.

– To nie będzie łatwe – stwierdza po raz trzeci albo czwarty tego ranka. – Widzieliście go przed salą rozpraw. To wrak człowieka.

Tom parska z niedowierzaniem.

– Chyba nic dziwnego?

– Owszem, ale dla nas to akurat minus. Chcę, żeby się rozkleił i powiedział nam coś autentycznego. Jeśli całkiem się wypalił, będzie bezużyteczny. Mówię wam, widziałam, jak zeznawał. Był pusty jak

wydmuszka. Nudny. W filmie to się nie sprzedaje. – Wzrusza ramionami. –
Chociaż może wypadnie ciekawie.

– Amber wie, że Miles zmienił zdanie? – pyta ją Greta.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Mógł jej powiedzieć. A może to ona go przekonała? Nie wiem.

– Mam wrażenie, że rzadko ze sobą rozmawiają.

Federica rzuca jej czujne spojrzenie.

– Wiesz to od niej?

– Właściwie nie.

– Warto by ją o to spytać przed kamerą. Może to ją ruszy. Ostatecznie
była chyba córeczką tatusia, nie? Na pewno. Koniecznie trzeba zagrać tą
kartą.

Tom odwraca się z uniesionymi brwiami i sprawdza coś w telefonie.
Federica ciągnie, nieświadoma jego miny:

– Wydaje mi się, że wreszcie zdołałam ją przekonać do pomysłu
sfilmowania scen w budynku szkoły. Zrobimy to przy okazji wywiadu z tą
nauczycielką. Zaplanowaliśmy to na czwartek, prawda, Greto?

– Tak. Mamy się z nią spotkać po lekcjach.

– Świetnie. Już widzę te puste sale i korytarze, po których spaceruje
Amber, wspominając swoje dawne życie. Wszystko, co się wydarzyło przed
tamtym, rozumiecie? Jeżeli zaczekamy do zmierzchu, powinno wyjść
znakomicie.

– Trzeba będzie wynająć lepsze oświetlenie – wtrąca Tom.

– Jasne, załatwi się wszystko, co trzeba. Amber powiemy, że ponieważ
kręcimy w nocy, może mieć wolne popołudnie albo coś w tym rodzaju. Żeby
ją ugłaskać.

– Okej. – Greta zapisuje to sobie w notesie. – Porozmawiam ze szkołą,
żeby wpuścili nas po godzinach. No i o kosztach.

Tom patrzy na nią.

– Czy w ten czwartek nie miałaś być przypadkiem na urodzinach

koleżanki?

– Hm. No tak. – Greta zerka na Federicę. – W zasadzie...

Winda zatrzymuje się ze szczękiem, drzwi hałaśliwie się rozsuwają.

– Dobra, za mną – zarządza Federica, wychodząc na korytarz i zostawiając im obojgu dźwiganie ciężkich toreb.

– W czwartek bierzesz wolny wieczór – szepcze Tom do Grety. – Masz się jej postawić.

Greta posyła mu uśmiech.

– Tak jest, sir!

Federica puka do drzwi w głębi korytarza.

– Już się boję – mruczy Tom, a Greta przytakuje. Ona też nie tęskni za spotkaniem z Milesem, nieważne, wrak człowieka czy nie wrak.

Ale oto on we własnej osobie otwiera im drzwi i pozwala Federice ucałować się w oba policzki. Potem odsuwa się na bok, żeby ich wpuścić do środka. Człowiek, którego Greta widywała na miejscu dla świadków i na zdjęciach w prasie (choć te zawsze były nieduże, upchnięte gdzieś pod koniec artykułu, podczas gdy tuż pod nagłówkami zamieszczano fotografie jego nieszczęsnej żony i zepsutej córki), uśmiecha się do niej uprzejmie i dziękuje za przyjście. Proponuje nawet, że weźmie od niej którąś z toreb.

– Nie trzeba – odpowiada Greta. – Dziękuję.

– Okej – mówi on. – Oczywiście. – Zamyka za nimi i przez chwilę stoi zwrócony twarzą do drzwi wejściowych, jakby miał nadzieję, że gdy się odwróci, ich trojga już nie będzie: znikną w magiczny sposób. Greta cofa się i podąża za Tomem w głąb mieszkania.

Wnętrze jest ciemne i obskurne: widok z okien przesłania sąsiedni blok, zresztą w większości żaluzje i tak są opuszczone, a w powietrzu unosi się silny zapach krochmalu, jakby ktoś gotował makaron albo prasował koszule. Korytarz mija łazienkę z otwartymi drzwiami, w których tkwi wzorzysta, matowa szyba; pomieszczenie w głębi jest niewielkie i lśni czystością.

W salonie żaluzje podciągnięte są do połowy, dwie niedopasowane

kanapy stoją pod kątem prostym do pary wąskich okien. Na jednej z nich siada Miles, obok niego zapada się w poduszki Federica; jej kolana stukają o siebie. Tom ustawia kamerę i sprawdza oświetlenie, podczas gdy Greta, czując łaskotanie w brzuchu, gmera przy laptopie. Miles nie jest taki, jak oczekiwała; wydaje się jakby drobniejszy. Z dala od błysków fleszy fotoreporterów jego skóra ma żółtawy odcień, oczy są małe i zażawione.

– Bardzo dziękujemy, że zgodził się pan nas przyjąć – zaczyna Federica, obracając na palcu wskazującym gruby pierścień z brązowym kamieniem. – Wiem, że to nie była dla pana łatwa decyzja.

Miles uśmiecha się blado. Kiwa głową.

– Przykro mi, że nie mogłem wcześniej się z państwem spotkać. Było mi ciężko... Zainteresowanie mediów... – Urywa, zerka na Gretę i Toma. – Może ktoś chce kawy?

– Nie, dziękujemy, Miles – odpowiada Federica za wszystkich. – Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zaczniemy nagrywać? Jak wspomniałam przez telefon, chodzi nam o osiągnięcie naturalnego efektu, więc nie musi pan patrzeć w kamerę, chociaż nic się nie stanie, jeśli pan w nią spojrzy. Proszę się po prostu odprężyć. To pana szansa, żeby przedstawić swoją wersję wydarzeń obok wersji Amber.

Miles oblizuje wargi, rozbieranym spojrzeniem omiata pokój, szukając jakiegoś punktu, na którym mógłby skupić wzrok. Wygląda na zdenerwowanego i Greta wie, że Federice się to spodoba. Lubi długie pauzy i komentarze rzucane, zanim rozmówca zdąży się zorientować, że kamera ruszyła. Rzadko też przycina materiał. W *Moi rodzice to mordercy* pełno było takich ujęć – internetowi komentatorzy często zachwycają się sceną, w której Danny, zagadnięty o dzień nalotu policji na ich dom, gdy przyjechały koparki i zaczęły rozorywać trawnik, na którym stała jego huśtawka, przerywa w pół zdania ze wzrokiem wbitym w podolek. Zza kadru słychać pytanie Greta: „Chcesz zrobić sobie przerwę, Danny?”. Chłopak podnosi głowę, omija spojrzeniem obiektyw, patrzy na nią

i przytakuje, a po policzkach spływają mu pierwsze ciche łzy. Rozmawiają później o tej scenie z najbliższą sąsiadką Millerów, posiwiąłą starszą kobietą, która udziela wywiadu, siedząc na swoim ganku, wpatrzona w tamten dom. Tą samą, która widziała, jak funkcjonariusze wyciągają z pylistej ziemi pierwszą odciętą kończynę i która na pytanie Federiki „Czy kiedykolwiek zauważyła pani, żeby Millerowie byli jacyś inni? Że mogło się tam wydarzyć coś strasznego?”, odparła po prostu: „Nie. Byli normalnymi ludźmi”. Po tych słowach przez kilka sekund patrzyła w kamerę nieruchomym wzrokiem. Następnie jej pomarszczone wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

Greta nie przypuszcza, aby Miles miał ich czymkolwiek zaskoczyć. Razem z Federicą słyszała, jak zeznawał w sądzie; głos miał niski i opanowany, ręce trzymał złożone przed sobą. W przeciwieństwie do szefowej nie opisałaby go jako nudnego, zgadza się jednak, że wydawał się pusty w środku. Wówczas na jego widok przyszło jej do głowy jedno słowo: „wyczerpany”. Patrzyła, jak opuszcza gmach sądu, a jakaś kobieta w zapiętej pod szyję budrysówce przedziera się przez tłum fotoreporterów i ciska mu w twarz jednorazowym kubkiem z kawą; płyn chlusnął łukiem na jasny chodnik. Jego mimika ani na moment się nie zmieniła, spojrzenie przez cały czas miało utkwione w dal. Dopiero dziś, po raz pierwszy, Greta jest świadkiem tego, jak Miles Banner traci nad sobą panowanie: ucieka oczami na boki, oblizuje wargi.

– Dobrze, wobec tego zacznijmy od początku – mówi Federica. – Może opowie nam pan, jaka była Amber, kiedy dorastała?

Miles patrzy w dół na swoje dłonie.

– Była... bystra. Cicha, nawet jako bardzo małe dziecko. Jak się można domyślić, spędzaliśmy razem sporo czasu.

– No tak. Musiało wam być ciężko.

– To był... burzliwy okres. Dla nas obojga. Ale Amber jest bardzo odporna.

Federica marszczy brwi.

– Czyżby?

Miles odkaśluje.

– Miała trudne dzieciństwo. Nic dziwnego: musiałem pracować i samodzielnie się nią zajmować. Mimo to dobrze sobie radziła w szkole, znalazła przyjaciół. Chyba nawet sądziłem, że mi się udało.

Jego słowa na moment zawisają w powietrzu. Miles kręci się na kanapie, zerka w kamerę i odwraca wzrok.

– A Sadie? – podsuwa Federica, gdy pauza jest już wystarczająco długa. Imię żony Milesa pada z jej ust tak naturalnie, że nawet Greta traci dech z wrażenia. – Może mógłby pan nam powiedzieć, jak to było, kiedy wróciła do domu. Musiał pan przeżyć spory szok, gdy tak po prostu się pojawiła?

Miles mruga powiekami.

– Oczywiście. Oczywiście, że to był szok.

Greta usiłuje to sobie wyobrazić. Dom późnym wieczorem i Sadie Banner, z zadartą głową, wpatrzona w jego okna. Unosi dłoń, żeby zapukać do drzwi, ale jeszcze się waha. Rozważa, czy powinna wracać do swojego dawnego życia. Czy to na pewno bezpieczne.

„Przestań – upomina się w duchu. – Amber nic nie groziło. Przynajmniej nie w tym sensie, o którym myślała Sadie”.

Lecz nie potrafi opanować drżenia, wyobraziwszy sobie Sadie wtedy na progu. Drzwi otwierają się i staje w nich Miles; wpuszcza ją do środka, a wraz z nią wszystko, co ze sobą przyniosła.

– Byłem szczęśliwy – mówi mężczyzna, bardziej do siebie niż do Federiki. Zamyka oczy. – To było jak sen.

– Domyślam się. – Głos Federiki jest teraz bardzo łagodny. – Ale chyba musiało minąć trochę czasu, zanim się pan przystosował do nowej sytuacji?

– Jakoś sobie radziliśmy. Znowu byliśmy rodziną.

Greta zauważa, że Federica ściąga wargi. Nie tego oczekiwała. Naprawdę spróbuje go przycisnąć i złamać, chociaż jest jasne, że się spóźnili.

– Opowiadała panu, gdzie wcześniej mieszkała?

Miles wzdryga się.

– Naturalnie ją o to pytałem. Czasami... czasami, kiedy się upiła, wymieniała nazwę jakiegoś miejsca, w którym pracowała. Jednak najczęściej prosiła, żebym jej nie wypytywał.

– I nie wypytywał pan? Nie ciekawiło to pana? Nie było jej prawie szesnaście lat.

Miles wolno odrywa wzrok od podłogi.

– Bywają takie sytuacje – mówi, wbijając w Federicę spojrzenie swoich zaczerwienionych oczu – w których człowiek uczy się doceniać to, co ma. I nie rozgrzebywać przeszłości.

Gretę znowu przechodzi dreszcz, bo ku jej zdumieniu teraz to Federica pierwsza odwraca wzrok. Ją samą też to chyba zaskakuje, bo policzki oblewa jej rumieniec i następne pytanie zadaje już znacznie ostrzejszym tonem.

– Jestem pewna – mówi – że musiał pan mieć do niej kilka pytań w związku z jej wcześniejszymi obawami. Twierdziła przecież, że na waszej nowo narodzonej córeczce ciąży klątwa.

Miles znowu zwilża językiem wargi.

– Tak, zapytałem ją o to. Odpowiedziała, że się pomyliła.

– Czyli nie wierzyła już w Człowieka z Lasu?

Mężczyzna odchrząkuje, raz, potem drugi.

– Tak, chcę myśleć, że tak właśnie było... Trudno mi teraz o tym mówić... Z perspektywy czasu...

Federica czeka cierpliwie. Milczenie się przedłuża. Przykucnięta nad laptopem Greta czuje, że zaczynają jej drętwieć stopy, mimo to ani drgnie. Jeżeli się poruszy, ściągnie na siebie uwagę Milesa, przypomni mu o ich obecności w mieszkaniu – o tym, że filmuje go kamera, a on nie musi nic więcej mówić – i Federica się wścieknie. Tom też siedzi nieruchomo; Greta, najwolniej, jak się da, przechyla głowę w bok i zerka na niego. Jego twarz,

zwrócona w stronę monitora, na którym widnieje Miles, jest nieruchoma, tylko kącik ust drga nerwowo. Przygląda się ojcu Amber z taką miną, jakby ostatkiem sił się powstrzymywał, żeby nie podejść i mu nie przyłożyć; ten widok sprawia, że Greta naprawdę zaczyna się bać.

Cisza i obietnice, jakie ze sobą niesie, zaczynają im nieznośnie ciążyć. W mieszkaniu jakby nagle zabrakło tlenu, chociaż od któregoś z okien mocno ciągnie. Z zewnątrz dobiega ich wycie alarmu samochodowego.

– Proszę mi opowiedzieć o procesie – ugina się w końcu Federica. – O tym, jak się pan czuł po odczytaniu wyroku. W sądzie zeznawał pan na korzyść Amber.

Miles patrzy na nią pustym wzrokiem.

– Oczywiście. To moje dziecko.

– A jednak to zrobiła – przypomina mu Federica. – Pan bardziej niż ktokolwiek inny rozumie chyba, jaką cenę przyjdzie jej zapłacić.

Miles znowu spogląda na swoje dłonie.

– Żadne z nas nie było bez winy – stwierdza. – Jeżeli przez ostatnie miesiące cokolwiek zrozumiałem, to właśnie tyle.

Greta dostrzega na twarzy Federiki znudzenie. Jej frustracja sprawia, że powietrze w pokoju jeszcze bardziej gęstnieje. Wie, co teraz nastąpi, przed czym Federica nie zdoła się powstrzymać. Nie odrywając wzroku od monitora, poprawia się na kanapie.

– Więc wini pan siebie? Za to, że wszystko pan stracił?

– Federica... – mimowolnie wyrywa się Grecie. Dopiero po chwili dociera do niej, że w ogóle się odezwała. Głos ma zachrypnięty z niewyspania i od klimatyzacji, lecz ani Federica, ani Miles nie patrzą w jej stronę.

– Przecież stracił pan żonę – ciągnie Federica i nawet nie usiłuje powstrzymać uśmiechu, który pcha się jej na usta. – A zarazem stracił pan też Amber. Mam rację?

Greta jednak się pomyliła. Miles Banner ją zaskakuje. Wybucha płaczem.

2016

Słońce wślizgiwało się do pokoju przez szybę za plecami Milesa. Z tyłu głowy i na karku czuł jego parzący dotyk, przepocona koszula lepiała się do skórzanego obicia fotela. To było jego ostatnie seminarium tego dnia – dla studentów trzeciego roku kryminologii – a on miał już serdecznie dosyć. Ich długie nogi i ręce, prostackie spory, niekończące się wywody – wszystko to wydało mu się nagle nazbyt przytłaczające jak na ten pokój; hałaśliwa, nieposkromiona młodość ciążyła mu niczym dręczący ból głowy.

– Co za uproszczenie – perorował właśnie piegowaty rudzielec imieniem Declan, skrzyżowawszy ramiona na piersi. – Wybacz, Deepti, bez urazy, ale to, co mówisz, jest absurdalne. Ograniczona poczytalność to jedno, a pogrywanie z wymiarem sprawiedliwości to coś całkiem innego.

Deepti – zasadniczo ulubienica Milesa – zachłysnęła się i wychyliła naprzód, gotowa do natychmiastowego odwetu. Miles zaskoczył nie tylko studentów, ale i samego siebie: gwałtownie odsunął fotel od biurka i klasnął w dłonie.

– Wiecie co – rzekł, sięgając po skuwkę pióra (gest, który doskonale znali; zanim przestał mówić, już zdążyli się spakować i pozbierać papiery) – chyba na dzisiaj skończymy. Idźcie nacieszyć się słońcem.

Niechętnie wstawali z miejsc, przeciągali się i ziewali. Declan wyraźnie się dąsał. Wychodzili małymi grupkami, żegnając się i życząc Milesowi miłego wieczoru – ciekawe, że takie rzeczy słyszał tylko od studentów trzeciego roku; dystans między nimi coraz bardziej się skracał. Pomachał im na do widzenia, myśląc, kiedy będzie mógł wreszcie wrócić do domu.

Emily podniosła się jako ostatnia; powoli pakowała rzeczy do torby, udając, że sprawdza coś w telefonie. Kiedy zostali sami, podeszła do jego

biurka.

– Dzięki za ciekawe zajęcia – powiedziała. – To jeden z moich ulubionych kursów. Serio.

– Miło mi to słyszeć. – Skrzyżował ramiona na piersi w żalostnej próbie samoobrony.

Emily wykonała półobrót, lecz jej stopy zostały na miejscu, palce wciąż dotykały blatu. – Mam trochę problemów z pracą zaliczeniową. Jest szansa, żebym wpadła do pana któregoś popołudnia i pokazała, co już napisałam?

Miles starał się (i częściowo mu się to udało) zachować neutralny ton głosu.

– Naturalnie. Moje godziny urzędowania są wywieszane na drzwiach.

Emily uśmiechnęła się słodko.

– Dzięki Miles. Życzę udanego wieczoru. – Drzwi zamknęły się za nią cicho, ale najpierw z korytarza wpadł do biura powiew cudownie rześkiego powietrza.

Nie pierwszy raz studentka próbowała go uwodzić, chociaż Emily była bardziej wytrwała niż większość z nich.

Nie po raz pierwszy też Miles odczuwał pokusę. I nie zawsze równie łatwo było się jej oprzeć. Mimo to zawsze się opierał i teraz też nie zamierzał ulegać. Kochał Sadie i wierzył w złożoną jej przysięgę przez wszystkie te lata, kiedy jej nie było. Wiedział, że kiedyś do niego wróci i że musi na nią czekać. Powtarzał to sobie każdego dnia.

Co nie zmienia faktu, że nieraz go kusiło.

Teraz jednak miał rodzinę, na której musiał się skoncentrować. Wrócił myślami do poprzedniego wieczoru, do Amber oglądającej w łóżku jakiś film z laptopa, podczas gdy na dole on i Sadie gapili się na coś innego w telewizorze. Ależ mu było dobrze, gdy czuł przy sobie jej stopy w skarpetkach, a na dnie ich kieliszków została już tylko resztką wina – chociaż Sadie była milcząca i coś stale odrywało jej uwagę od ekranu. Miles nie mógł się powstrzymać, żeby nie wspominać tamtego strasznego poranka,

gdy malutka Amber płakała, leżąc w ich łóżku, a jego świeżo poślubiona żona wpatrywała się w coś w kącie, co tylko ona jedna widziała. Pociągnął łyk wina i odstawiwszy na bok kieliszek, położył sobie stopy Sadie na kolanach, a następnie zaczął je masować, zdeterminowany tym razem ją przy sobie zatrzymać.

– Jak ci się udał lunch? – zagadnął i to wystarczyło.

Spojrzała na niego i też napiła się wina.

– Martwię się o Amber – odparła, po czym opowiedziała mu wszystko o Leannie, Billie i tajemniczym starszym mężczyźnie, z którym rzekomo przyjaźniła się ich córka. Miles uznał, że to nie może być prawda. Coś by przecież wiedział. Amber nie ukryłaby przed nim czegoś takiego.

Obrócił się na fotelu i uruchomił komputer znajdujący się w trybie hibernacji. Pot perlił mu się na karku, gdy czekał, aż urządzenie wznowi pracę. Gdzieś z głębi korytarza dolatywało wycie odkurzacza – to sprzątaczką robiła rundę po pustych gabinetach – lecz poza tym w całym gmachu panowała cisza. Ciężka mu, zupełnie jakby ktoś znajdujący się razem z nim w pokoju wstrzymywał oddech.

Miles, zaciskający w napięciu palce na komputerowej myszce, uświadomił sobie, że sam jest tą osobą, i zmusił się, żeby wypuścić powietrze z płuc, kiedy ekran wreszcie się załadował.

Tak jak się spodziewał, w skrzynce odbiorczej czekała na niego kolejna wiadomość.

Tym razem groźba była znacznie mniej zawoalowana.

Daj spokój. Wiesz, że tego chcesz. Znam Twoje sekrety. Nie ryzykuj, bo je ujawnię x

Pomimo upału przeszedł go dreszcz. Jak zwykle natychmiast pomyślał o Sadie. Wróciła. Liczył na to, marzył, że tak się stanie, szeptał zaklęcia – i oto wróciła.

„Za jaką cenę?” – zapytał irytujący głos w jego głowie i Miles ponownie

odczytał e-mail. „Wiesz, że tego chcesz”.

Nie odpowiadając na wiadomość, czym prędzej ją skasował. Tak jak poprzednim razem, uspokajał się w duchu, że nadawca – kimkolwiek jest – nie może wiedzieć wszystkiego. To było po prostu niemożliwe (nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłoby być inaczej).

Dlatego nie zamierzał nigdzie chodzić i z nikim się spotykać. Będzie milczał, a ten ktoś niczego nie ujawni. Bo nie było żadnych dowodów. Miles nie miał co do tego wątpliwości.

Czy aby na pewno?

Komputer powiadomił go piknięciem o nadejściu kolejnego e-maila. Miles nie otworzył go, tylko zdecydowanym ruchem zamknął pocztę.

Pora wracać do domu.

Z dziennika Leanny Evans [fragment C]

Dni, kiedy się nie widziałyśmy, upłynęły mi na robieniu rzeczy, o których Ci opowiadałam. Uprzątnęłam ze strychu rzeczy należące do poprzedniego lokatora – zakurzone pudła pełne najróżniejszych szpargałów, nic szczególnie wartościowego. Pracując, wyobrażałam sobie, że robisz to samo. Byłam ciekawa, czy półmrok wciąż cię przeraża, czy zrobiłaś już pierwsze kroki na drodze powrotnej do krainy cieni. Ja sama nigdy się ich nie bałam. Oczyszczając jedną ścianę po drugiej, śpiewałam, a kiedy skończyłam, z zadowoleniem rozejrzałam się po opróżnionej przestrzeni.

Trudziłam się samotnie, jak zwykle zresztą. Co rusz wynajdowałam sobie nowe zajęcia – uszczelniłam prysznic, potem szczoteczką do mycia zębów zaatakowałam wyciąg kuchenny. Wymagające skupienia i czasu czynności, dzięki którym popadałam w letarg i drętwotę. Zwykle tego rodzaju zadania dają mi poczucie sprawczości, lecz już wtedy wiedziałam, że to nie jest miejsce dla mnie. Przestałam szukać pracy. Wiedziałam, że nie będę jej potrzebowała.

Zamiast tego cały dzień spędziłam na jeżdżeniu bez celu po okolicy. Zostawiłam za sobą miasteczko i mknęłam przez pola, pozwalając, by droga rozpościerała się za mną niczym rozwinięta wstążka. Chciałam sprawdzić, w jaki nastrój mnie to wprawi. Kiedy w końcu zmusiłam się do powrotu, zbliżał się czas ostatniego dzwonka, zajechałam więc przed szkołę i czekałam na parkingu, szczęśliwa, że mogę przynajmniej podrzucić Billie do domu. Może to głupie z mojej strony, że zamartwiam się, ilekroć pokonuje pieszo piętnastominutowy odcinek drogi dzielący ją od naszej furtki, ale nic na to nie poradzę. Na pewno mnie rozumiesz. Często wynajduję różne wymówki, żeby po nią przyjechać, powody, dlaczego mogę „przypadkowo” znaleźć się w okolicy szkoły.

Tym razem dodatkowo mi się poszczęściło, bo była z nią Amber.

Patrzyłam, jak idą we dwie przez boisko z pochylonymi głowami, oglądając coś w telefonie Amber. Kiedy się zbliżyły, zatrąbiłam klaksonem, a one podniosły wzrok i uśmiechnęły się na mój widok.

– Czy Amber może się z nami zabrać? – spytała Billie, a ja skinęłam głową, czując, jak rozwiewają się wszystkie moje obawy.

No, może nie wszystkie. Ten lęk nigdy całkiem nas nie opuszcza, prawda?

Prowadząc samochód, słuchałam ich paplaniny i nie mogłam się nadziwić, że po całym dniu lekcji nadal nie brakuje im tematów do rozmowy. Moja córka zawsze była gadułą, lecz Amber różniła się od jej poprzednich koleżanek, które prędko się nudziły i zagadywały Billie, wchodząc jej w zdanie i lekceważąc to, co miała im do powiedzenia. W przeciwieństwie do nich Amber spokojnie słuchała i udzielała przemyślanych odpowiedzi. Po raz kolejny mnie zaskoczyła.

Może dlatego zgodziłam się, gdy Billie zapytała, czy może pójść w sobotę na imprezę. Ich radość była tak zaraźliwa; trudno mi było zignorować promienne uśmiechy słane z tylnego siedzenia. Czułam się lekka, wcześniejszy zły nastrój zniknął bez śladu.

Zgodziłam się. Wiedziałam, że na tej imprezie będą chłopcy i zapewne również alkohol. Mimo to powiedziałam „tak”, bo nagle ogarnęła mnie pewność, że w towarzystwie Amber Billie będzie bezpieczna. Wiedziałam, że nadszedł czas, bym choć odrobinę pozwoliła jej się od siebie oddalić i ponownie skupiła się na własnym życiu – na tym, po co tu przyjechałam i co musiałam zrobić.

Miałam też nadzieję, że znowu Cię zobaczę, Sadie. Liczyłam, że w końcu zdołam Ci pomóc.

2016

W piątek po południu Amber urwała się z lekcji, żeby odwiedzić Leo. Zaczęła już myśleć, że więcej się nie zobaczą. Wysłany przez nią esemes pozostał bez odpowiedzi, podobnie jak następny (ależ się nienawidziła za to, że napisała do niego po raz drugi!), ona zaś bez ustanku wspominała dzień, w którym tak nieoczekiwanie wyprosił ją za drzwi, i wzrok, jakim ją zmierzył, zanim się od niej odwrócił.

Teraz jednak to wszystko nie miało już znaczenia, bo w końcu zadzwonił. Zadzwonił, a potem okazał jej tyle czułości, obejmując ją ramieniem, kiedy wspólnie oglądali końcówkę wybranego przez nią filmu, muskając palcem nagą skórę poniżej jej barku. Przyciągnął ją do siebie i szeptał jej do ucha, że jest piękna i że za nią tęsknił. Zazwyczaj za tym nie przepadała – za taką bliskością i tak otwarcie wyrażanym pożądaniem – ale z nim było inaczej. Wyjątkowo. Przysunęła się bliżej i wdychała jego zapach, woń ziemi i dymu, podczas gdy plama wilgoci na ścianie za ich plecami ciągle się powiększała.

Film dobiegł końca i pojawiły się napisy końcowe, lecz zaraz znieruchomiały w połowie swojej wędrówki w górę ekranu, gdy Leo nacisnął guzik pilota.

– Powinienem się zbierać – oznajmił. Nachylił się i złożył na jej skroni braterski pocałunek. – Niedługo będę musiał wyjść.

Poczuła rozczarowanie, ale i zadowolenie, że nie spóźni się na kolację i nie będzie musiała wybierać kolejnej wymówki z długiej listy, żeby wysłać Milesowi esemesa z przeprosinami. Choć w sumie i tak by go to nie obeszło: był teraz taki zajęty pilnowaniem Sadie, że nie wiadomo, czy w ogóle zauważyłby jej nieobecność. Nasłuchiwała kroków Leo, gdy szedł do

łazienki, a następnie huku strumienia wody z prysznicą uderzającego o ścianki wanny. Potem drzwi się zamknęły i wszystko ucichło, gdy woda zaczęła spływać po jego skórze.

Amber wstała. Kręciła się po pokoju, nadal spragniona jego dotyku. Było w nim coś niedostępnego, co ją przerażało; sprawiało, że jeszcze bardziej za nim tęskniła. Czuła się całkiem odmieniona; miała wrażenie, że w jej piersi ziele nienasycona dziura. Dlatego szukała. Nagle, ku swojemu zdumieniu, pomyślała o Sadie. Pewnego dnia późnym wieczorem matka zajrzała do pokoju Amber po tym, jak Miles położył się już do łóżka. W jej gorącym oddechu czuć było wino. Z pociemniałymi wargami usiadła na krawędzi materaca i poprosiła Amber, żeby była ostrożna. Najwyraźniej Billie wypaplała Leannie o Leo, co w zasadzie nie było szczególnie zaskakujące. Tym, co naprawdę zdziwiło Amber, była pogadanka o pszczołkach i kwiatkach, którą próbowała jej zaserwować Sadie, bo chyba o to jej chodziło. Amber nie miała co do tego pewności. Była zbyt skrupowana i zaślepiona, żeby zrobić coś innego poza jak najszybszym zakończeniem niewygodnej rozmowy. Teraz jednak wróciły do niej słowa matki: „Musisz przy nim uważać”.

Nie mogła odpędzić myśli, że akurat w tej kwestii Sadie miała rację. Dlatego szukała.

Nie znalazła nic ciekawego w tym ciasnym mieszkaniu, z wykładziną, która trzeszczała jej pod stopami, wśród mebli, których drewnopodobna okleina zdążyła zżółknąć przez lata. Pusty kubek trzymał samotną wartę na nocnej szafce, lecz na jego krawędzi nie zauważyła zdradzieckiego odcisku uszminkowanych warg. W szufladzie poniżej leżało kieszonkowe wydanie *Carrie* z obszarpaną okładką i pożółkłymi stronami.

Przesunęła dłonią po pościeli i podeszła do biurka. W rogu blatu lakier się łuszczył, odsłaniając płytę wiórową. Pośrodku stał laptop, wiedziała jednak, że jest chroniony hasłem. Chociaż była w tym całkiem biegła, nie zdołała podejrzeć, gdy Leo je wpisywał – zawsze tak ustawiał klawiaturę, żeby

znajdowała się poza zasięgiem jej wzroku. Oprócz tego na biurku leżały jeszcze dwie książki w miękkich okładkach: *Dziewczyna, która kochała Toma Gordona* i stary, sfatygowany przewodnik po okolicy (Amber nie wyobrażała sobie, jakim cudem autorowi udało się zapełnić aż tyle stron).

Wysunęła pierwszą szufladę od góry – w środku znajdował się pojedynczy blok papieru. Obok turlały się dwa ogryzione długopisy. Szybko wysunęła dwie kolejne: obie okazały się puste. Pachniały ołówkami i kurzem.

Chociaż... Amber przykucnęła i ponownie otworzyła dolną szufladę, zamykając ją raz wolniej, raz szybciej. Bingo: w środku coś grzechotało. Jakby jakiś przedmiot przesuwiał się w tę i z powrotem, chociaż przecież niczego takiego nie zauważyła.

Wstała i przez chwilę nasłuchiwała. Z łazienki nadal dobiegał szum wody i stłumiony odgłos namydlanych włosów. Raz jeszcze ostrożnie wysunęła szufladę do końca i omiotła palcami jej wnętrze, dopóki nie namacała krawędzi luźno osadzonego dna. Uniosła je, odsłaniając metalowe prowadnice, które skojarzyły jej się ze ścięgna. Pomiędzy nimi znajdował się cienki dyktafon cyfrowy, podobny do tego, którego Miles używał czasami do nagrywania swoich wykładów albo przemyśleń, kiedy przygotowywał jakiś artykuł lub oceniał prace studentów. Wiedziała, że to wyłącznie wyraz afektacji ze strony ojca – równie dobrze mógłby korzystać ze swojego smartfona.

Wyjęła dyktafon, czując, jak jej ramiona pokrywają się gęsią skórą. Pod nim leżała tekturowa teczka na dokumenty w tym samym wstrętnym odcieniu beżu co szuflada. Palce Amber dotknęły wierzchu teczki i dziewczyna poczuła nieoczekiwany lęk przed jej otwarciem.

Dlatego odszukała na dyktafonie przycisk odtwarzania i kciukiem maksymalnie zmniejszyła głośność.

Jego głos brzmiał na nagraniu mniej pociągająco niż na żywo. Był wyższy, a słowom brakowało zwykłej, starannie dawkowanej rozwlekłości.

„Środa piętnastego – mówił zdenerwowanym tonem. W tle słychać było odgłosy ulicy. – Miles zagadnięty przed budynkiem biblioteki przez nieznaną kobietę. Po krótkiej rozmowie zaprowadził ją do swojego gabinetu”.

Amber musiała się przytrzymać krawędzi biurka. Miles. Tata. Dlaczego Leo mówił o jej ojcu – dlaczego go obserwuje? Na nagraniu rozległ się głośny klakson, lecz to nie dlatego nagle zabrakło jej tchu, a serce ścisnęła panika.

Woda w łazience przestała szumieć.

Kiedy dokładnie umilkł prysznic? Amber chciała obejrzeć się za siebie, ale zwyczajnie skamieniała, czując na karku zimny przeciąg, pewna, że jeśli się odwróci, ujrzy go stojącego w progu.

Usłyszała szum spłukiwanej toalety i gwałtownie wypuściła powietrze z płuc. Wyłączyła dyktafon i wsunęła go na miejsce. Ręce jej się trzęsły, gdy pośpiesznie opuszczała dno szuflady. Kiedy drzwi łazienki otwierały się z cichym szcęknięciem zamka, na paluszkach przekradła się z powrotem do salonu, gdzie na ekranie telewizora wciąż widniały znieruchomiałe napisy końcowe.

Przełączyła na teleturniej i siłą woli próbowała zmusić serce, aby zwolniło szaleńczy bieg. „Miles zagadnięty przed budynkiem biblioteki przez nieznaną kobietę”.

Zanim Leo wszedł do pokoju (z mokrymi włosami i postawionym kołnierzykiem koszulki), Amber zdążyła złożyć koc i umieścić go w rogu kanapy. Następnie, całkiem już zrelaksowana, usiadła na swoim zwykłym miejscu, podciągnęła nogi pod siebie i od niechcienia zaczęła bawić się swoimi włosami.

– Chryste, potrzebowałem tego – rzucił, uśmiechając się do niej, a ona, z sercem trzepoczącym w jej piersi, odwzajemniła uśmiech.

2018

Greta źle spała, dręczona gorączkowymi wizjami teksańskiego podwórka i kopiącego w nim dziecka o twarzy i dłoniach wysmarowanych ziemią. Śniło jej się płaczące niemowlę i ciemny, mroczny las. Oraz Amber, z twarzą przyklejoną do szyby samochodu, patrząca prosto na nią. Roześmiana. Wrzeszcząca. W ubraniu czarnym od krwi. Obudziła się – a raczej tak jej się wydawało – czując chłód ręki zaciskającej się na jej szyi. Nad nią pochylał się jakiś cień... Kiedy jednak otrząsnęła się z resztek snu, pokój był pusty, a na nocnej szafce wibrowała komórka. Kolejne dziesięć minut upłynęło Grecie na gapieniu się w sufit i zastanawianiu, dlaczego tak bardzo wali jej serce.

Tego dnia mieli filmować Amber, jak udziela wywiadu gospodarzowi południowego programu plotkarskiego, ale w ostatniej chwili producenci zrezygnowali z niej na rzecz gwiazdy jakiejś opery mydlanej, o której ostatnio było głośno z powodu ciąży, bo ojcem miał być jej żonaty partner z planu zdjęciowego. W czasie śniadania w hotelowej restauracji Federica była niespotykanie milcząca, wymknęła się zresztą na górę do pokoju, zanim obsługa zdążyła uprzątnąć talerze ze stołu. Wkrótce po tym Greta odebrała od niej esemesa.

Musiałam wyjść. Później pogadamy. Zajmiesz się dzisiaj A?

Minutę później przyszły kolejne:

Przydałyby się dodatkowe ujęcia. Wypełniacze. Np. jak po prostu ze sobą rozmawiacie

Zabierz Toma

A po trzech minutach:

Niech weźmie lustrzanekę i tak filmuje, żeby nie zwracać na was niczyjej uwagi xxx

Amber, która nie zauważyła wyjścia Federiki ani tego, że Greta robi miny do telefonu, nabiła na widelec kolejną cząstkę mandarynki w syropie i zapytała:

– Czy skoro nie ma dzisiaj wywiadu, możemy iść na zakupy?

Greta zwróciła uwagę na to „my”. Nie „ja”, tylko „my”. Wcześniej kilka razy je wychwyciła, ale dopiero teraz zaczęło jej przeszkadzać. Tak jakby Amber spod opieki ojca przeszła pod opiekę państwa, a obecnie ich, swojej rodziny zastępczej. Zdawała się nie dostrzegać, że jest już dorosła (przynajmniej z punktu widzenia prawa) i może robić, co chce i kiedy chce.

Zamiast jednak zwyczajnie ją zbyć, Greta odparła krótko:

– Dobrze.

Luca też sobie poszedł, prawdopodobnie żeby połączyć się przez Skype'a ze swoją ciężarną dziewczyną w Cardiff, więc ona, Tom i Amber wrócili do pokoi po rzeczy, a następnie spotkali się w podziemnym betonowym lobby, gdzie czekała już na nich taksówka.

Teraz, w jaskrawym oświetleniu centrum handlowego Westfield, Greta czuje się obnażona jak nigdy dotąd. Amber snuje się między stoiskami, gada coś od niechcienia i sprawdza wiadomości w telefonie, odprężona tak samo jak wtedy, gdy były we dwie w Disneylandzie, chociaż obiektyw cyfrówki Toma jest w nią bez przerwy wycelowany. Łądują w sklepie na pierwszym piętrze, w powodzi ostrego światła, gdzie ściany są podświetlone na fioletowo, a na oślepiającej białej posadzce stoją okrągłe wieszaki i manekiny.

– Chryste, co za zboki! – mówi ze śmiechem Amber i wymachuje komórką, żeby Tom (i jego aparat) niczego nie przeoczył. – Czy oni

naprawdę myślą, że umówię się z nieznanym kolesiem, który wysłał mi obłe wiadomości na priva? Hello! Serio? Chyba wiadomo, że nie ufam facetom.

Ogląda biżuterię na obrotowym stojaku, zawieszona na haczykach ciężkie naszyjniki pbrzękują metalicznie.

– Naprawdę? – pyta Greta.

– To chyba jasne. – Znudzona Amber przesuwa się do kolejnego stojaka.

– Kiedy ostatni raz ktoś naprawdę mi się spodobał, okazało się, że bardziej niż ja interesuje go mój tata. – Spogląda na nich. – Pójdziemy coś zjeść? Umieram z głodu. – I nie czekając na odpowiedź, rusza przed siebie.

– Jak się z tym czułaś? – nie odpuszcza Greta, idąc za nią. – Z tym, co robił Leo?

– Pytasz, jak się czułam z tym, że mój chłopak szpiegował moich rodziców? – Amber przykłada do siebie wiązany na szyi top bez rękawów uszyty z luźno splecionych pasków jedwabistego białego szyfonu. Przegląda się w lustrze. – Daj spokój, Gee, co to za pytanie? – Zerka na Gretę, po czym wzdycha i rzuca top na wieszak. – Beznadziejnie, oczywiście. Wiedziałam, że ze mną pogrywa, tylko nie rozumiałam dlaczego.

Ogląda ubrania na wieszaku, podchodzi do następnego.

– Wciąż do tego wracałam, wiesz? „Nieznajoma kobieta”. Chciałam wiedzieć, kim jest i dlaczego była dla niego taka ważna, że nagrał tę informację. Musiałam się tego dowiedzieć. Musiałam się dowiedzieć, co jest w tej teczce. Pewnie się dziwisz, dlaczego po prostu jej stamtąd nie wyjęłam i nie zabrałam ze sobą, prawda?

– Albo go o nią nie zapytałaś – podsuwa Greta.

Amber, zajęta kręceniem piruetów ze szkarłatną aksamitną sukienką na ramiączkach przyciśniętą do ciała, zatrzymuje się w pół obrotu. Patrzy na Gretę, powoli mrużąc powieki, po czym odwraca się tyłem. Greta domyśla się, że ją zawiodła. Złamała niepisany pakt, z którego zawarcia nawet nie zdawała sobie sprawy.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – pyta dziewczyna, zwijając sukienkę w kłęb i ciskając ją na stertę, która rośnie u stóp Toma. – Miałam podejść do niego i zapytać: „Słuchaj, dlaczego łazisz za moim tatą?”? Myślisz, że by mi odpowiedział?

Brew Toma unosi się odruchowo i Greta wie, co mężczyzna myśli: „Tak, właśnie to mogłaś zrobić”. Próbuje ściągnąć na siebie jego wzrok, pokazać, że się z nim zgadza. Ponad wszystko pragnie choć na sekundę wyrwać się z pola grawitacyjnego Amber.

Ta zaś wzrusza ramionami i ponownie skupia się na ubraniach.

– Musiałam być sprytna – mówi, wybierając stylowo obszarpany T-shirt i odkładając go na stertę. Spogląda w obiektyw. – Wiem, że nie brzmi to zbyt wiarygodnie – dodaje, popatrując to na Toma, to na Gretę. Znowu wzrusza ramionami i kieruje wzrok na stertę ciuchów. – Chyba powinnam za nie zapłacić. Słuchajcie, co powiecie na lunch w Nando’s?

Czekając w kolejce do kasy, zdejmuje z wieszaka niebieską sukienkę.

– Świetnie byś w niej wyglądała, Greto – mówi i przysuwa się, żeby przyłożyć do niej kieckę. Zielone oczy z nakrapianymi tęczęwkami szybko omiatają ciało Grety. Raz za razem zagląda jej w twarz. Stoi tak blisko, że Greta czuje w oddechu dziewczyny dym z papierosów i ledwie wyczuwalny aromat mandarynek. A potem Amber równie szybko się odsuwa, podając jej zawieszoną na palcu sukienkę.

Greta zaś ją przyjmuje, zaskakując tym samą siebie.

Siedzą w narożnym boksie; Greta niespokojnie skubie skrzydełko, podczas gdy Amber wgryza się łapczywie w kolbę kukurydzy, aż masło ścieka jej po rękę. Tom, który jest wegetarianinem, dojada ryż Grety, popijając drugim z kolei piwem. Odnaleźli właśnie z Amber wspólny temat – oboje uwielbiają *Grę o tron* – więc rozmowa zmienia się we wzajemną żonglerkę cytatami, rzucanymi między jednym kęsem a drugim. Aparat leży na stole z wycelowanym w nich obiektywem, choć zapewne ich twarze to pojawiają się w kadrze, to z niego znikają, w miarę jak każde pochyła się nad swoim

talerzem.

– Powiedz mi, Amber – mówi naraz Tom, kończąc piwo – co zamierzasz teraz robić?

Amber przestaje przeżuwać i patrzy na niego z wyrzutem, tak jak wcześniej na Gretę, jakby Tom ją zdradził. Greta również zerka na Toma, lecz jego twarz jest spokojna, a zainteresowanie autentyczne. Przygląda się trzymanej w dłoni pustej butelce, po czym odstawia ją na stół.

– Nie wiem – odpowiada Amber i odkłada kukurydzę na talerz, obok kości utyłanych w pomarańczowym sosie. – W sumie jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

– Ale chyba masz jakiś plan? – drąży Tom. – Kim na przykład chciałaś być jako dziecko?

– Milionerką – rzuca Amber, grzebiąc paznokciem w przerwie między zębami. – I wygląda na to, że to marzenie już odhaczyłam.

Tom kręci głową.

– Przecież bystra z ciebie dziewczyna. Musisz wiedzieć, że sława nie trwa długo. Ludzie zapominają, a życie toczy się dalej. Ty też będziesz musiała z czegoś żyć. – Przygląda się kurzemu korpusowi na jej talerzu. – Samymi wywiadami się nie najesz.

Amber śmieje się.

– Dzięki, Tom, ale nie musisz się o mnie martwić. Jak powiedziałeś, jestem bystra. Gee, skarbie, będziesz jadła te frytki?

Greta zaprzecza ruchem głowy i podsuwa jej swoją miseczkę.

– Chyba powinniśmy już iść – stwierdza i przez chwilę łudzi się, że to wybije tamtych dwoje z rytmu, pomoże rozładować atmosferę. Jednak gdy Amber przesuwając palcem zakończonym spiczastym paznokciem po dnie miseczki, zbierając opuszką resztę słonego tłuszczu, Tom odzywa się cicho:

– Wiesz, nigdy się od tego nie uwolnisz. To, co się teraz dzieje, nie będzie trwało wiecznie, ale to, co zrobiłaś, zostanie z tobą do końca życia.

Greta podrywa głowę do góry i otwiera usta, lecz nie wydobywa się

z nich żaden dźwięk. Wygląda to tak, jakby chciała połączyć słowa Toma, nim te dotrą do Amber.

Amber wstaje i w milczeniu wychodzi z restauracji, ani razu nie oglądając się za siebie. Greta i Tom odprowadzają ją wzrokiem.

Spotkały się po szkole, choć zima była za progiem: powietrze się wyostrzyło, mrok zapadał przed ostatnim dzwonkiem. Obok szkoły znajdował się plac zabaw dla dzieci. Sadie i Helen czekały przy ogrodzeniu, obserwując bawiące się w środku maluchy, podczas gdy ich rodzice wyglądali swoich starszych pociech, które lada moment miały się pojawić w bramie. Sadie ciekawiło, czy któraś z tych małych dziewczynek wyrośnie na wyjątkową, czy któraś zostanie przez niego zabrana. Rana po wewnętrznej stronie jej dłoni niemal się zagoiła; swędziała ją ściągnięta skóra wokół bielejącej blizny. Spojrzała na dłoń Helen, lecz ta miała rękawiczki, a do tego szalik owinięty ciasno wokół szyi i czapkę z pomponem naciągniętą głęboko na uszy w nadziei na uniknięcie pierwszego z licznych przeziębień, które niewątpliwie czekały ją tej zimy.

„U niej to było tylko draśnięcie” – pomyślała niezycliwie, choć gdy Justine wbijała nóż, Helen rzeczywiście cofnęła rękę, a jej oczy wypełniły się łzami. „To chyba za mało, żeby stać się wyjątkową” – uznała Sadie, która nigdy nie wierzyła, że Helen na serio mogłaby być wybrana.

Marie wyszła ze szkoły jako pierwsza, wydmuchując balon jaskrawożółtej gumy, który pękł z trzaskiem, gdy się zbliżała. Do krawędzi szkolnej torby miała przypiętego walkmana, słuchawki opasywały jej szyję na podobieństwo naszyjnika, mimo że w ich szkole, o czym dobrze wiedziała Sadie, słuchanie muzyki było zabronione. Marie jednak zawsze uważała się za wyjątkową, zanim jeszcze pierwszy raz usłyszała o Człowieku z Lasu.

– Cześć, frajerki – powitała je, opierając się o ogrodzenie obok Sadie.

– Cześć – odparła Sadie. Marie już jej nie onieśmiewała.

W przeciwieństwie do Justine. Mimo to czekały na nią, dopóki droga nie opustoszała i pierwsze gwiazdy nie zaczęły się pojawiać na szaroburym niebie. Ale Justine się nie zjawiła.

Tej samej nocy Sadie siedziała na łóżku i nasłuchiwała cichnących odgłosów

domu. Jej rodzice od dawna spali, światła u sąsiadów także już pogasły i tylko od czasu do czasu na ścianę padało migotliwe światło reflektorów aut przejeżdżających w oddali. Wiedziała, że to odpowiednia pora. Nie mogła pozwolić, żeby Justine była tą jedyną.

Raz za razem przesuwała palcem po bliźnie we wnętrzu dłoni. Potem zamknęła oczy i pomyślała o lesie. „Chcę być wyjątkowa” – powtarzała w duchu, ilekroć dotykała opuszką blizny.

Pokój wypełniły szmery, jakby coś skrobało w ściany.

Sadie pomyślała o Justine z nożem w ręce, o Helen, kucającej i zasypującej piaskiem fotografię swoją i Marie, wciskającej zdjęcie głębiej w ziemię. „Spraw, proszę, żebym była wyjątkowa”.

Sprężyny materaca zajęczały, gdy ugiął się pod niespodziewanym ciężarem. Do oddechu Sadie dołączył szelest dwóch innych. Jego oddech był chłodny i głęboki, pachniał drzewami, ziemią i popiołem.

Sadie otworzyła oczy.

2016

Po dwóch dniach ogólnej szarzyzny i mżawki wyszło słońce, w sam raz na imprezę nad basenem u Jamiego. Przebiło się przez poszarpane jak wata chmury, zaś wiatr rozwiął ich resztki, dzięki czemu światło mogło znów odbijać się swobodnie od karoserii samochodów i igrać w szybach okien. Dzieciaki śmigały ulicami na rowerach, śmiejąc się w głos, a nastolatki zapuszczaly się na łąki, wystawiając bladą skórę na działanie ciepłych promieni słonecznych.

Amber szykowała się na imprezę u Billie. Właśnie kręciła włosy i przy jej lewym uchu dymiła elektryczna lokówka. Co do sekundy wiedziała, w którym momencie ją wyjąć, żeby nie spalić loków. Przesuwała nią po pasmach włosów w taki sam sposób, w jaki jej babcia za pomocą ostrza nożyczek podkręcała wstążkę, kiedy Amber była mała. W lustrze widziała Billie stojącą z tyłu. Koleżanka spojrzała w dół, na łóżko, gdzie obok siebie leżały ich komórki.

– Leo do ciebie dzwoni – oznajmiła z uśmiechem.

Amber wzruszyła ramionami.

– Niech zadzwoni później – mruknęła i puściła w lustrze oko do Billie, chociaż wcale nie była w nastroju do żartów. Czuła się pusta w środku.

Billie zaśmiała się i pochyliła nad poplamionym lusterkiem znajdującym się wewnątrz należącej do Amber paletki z cieniami do powiek, podejmując przerwana próbę usunięcia pryszczka z podbródka. Po chwili zerknęła na Amber, która nawijała kolejne pasmo włosów na jedną z grzałek lokówki.

– Myślisz, że powinnam podkręcić włosy? – spytała niepewnie. – Czy loki nie opadną, jeśli zmoczę włosy w basenie?

– Pewnie tak – odparła Amber, przeciągając kosmyk przez syczącą

lokówkę. – Ale ja nie mam zamiaru się moczyć. Będę siedziała w słońcu i doprawiała alkoholem poncz mamy Jamiego. – „I rozmyślała o tym, że mój tata jest śledzony – dodała w myślach. – O Leo, który podgląda go z ukrycia”. Nie, nie powinna zawracać sobie tym głowy. Przecież sobie obiecała. Tego dnia miała się zrelaksować, zapomnieć, że rodzice i popełnione przez nich błędy zatruwają jej życie, myśli i uczucia. Tata był śledzony? To jego problem. Mamie znowu zaczynało odbijać? Spoko. Amber miała to gdzieś. Chciała się tylko dobrze bawić, jak to szesnastolatka, i niczym się nie przejmować.

Jednak Leo nie przestawał do niej wydzwaniać i prędzej czy później będzie musiała odebrać. Nie chciała, żeby się domyślił, że coś jest nie tak. Albo, co gorsza, zrezygnował ze swoich planów, zanim Amber zdąży je rozpracować.

– Teraz dzwoni Jenna – zameldowała Billie, znowu spoglądając na telefony.

– Więc odbierz – odparła poirytowana Amber, starając się, żeby zabrzmiało to jak wyróżnienie. Przywilej: wolno ci odebrać telefon w moim imieniu. Wejść w moją skórę. Stać się mną.

W ostatniej chwili dodała jeszcze bezgłośnie:

– Powiedz, że jestem zajęta.

Przejęta Billie pokiwała głową.

– Cześć Jen! – odezwała się, zeskakując z łóżka i podchodząc do okna. Amber zauważyła, że kiedy Billie rozmawia przez komórkę, często chodzi w tę i z powrotem. Jak Miles, kiedy czuł się skrępowany telefonem od kogoś z pracy.

– Amber...? Hm, nie może teraz podejść – ciągnęła podekscytowana Billie, rumieniąc się z powodu swojego kłamstewka. – Tak, wpadła do mnie przed imprezą, żeby się przygotować.

Amber wyobraziła sobie minę Jenny w momencie przetrawiania tej informacji.

– Ams, jakie buty zakładasz? – spytała Billie, podchodząc i stając tak blisko, że Amber mogła poczuć zapach balsamu dla niemowląt firmy Johnson, którym posmarowała nogi.

– Po prostu klapki – odparła, nie wspominając jednak, że są to klapki na koturnie, dzięki czemu jej nogi wyglądały na dłuższe i smuklejsze. Jenna może sobie przyjść w zwykłych japonkach.

– Po prostu klapki – zaćwierkała do telefonu Billie. W podskokach dopadła szafy i zaczęła przetrząsać jej zawartość.

Jedynymi ludźmi (poza Milesem), których Amber widywała z dyktafonem w ręku, byli bohaterowie filmów z lat osiemdziesiątych oraz dziennikarze.

Na uniwersytecie Milesa zdarzył się kiedyś skandal: jeden z wykładowców przespał się ze swoją studentką. A dokładnie z dwiema, dlatego zresztą wpadł. Dziewczyny dowiedziały się o sobie nawzajem i postanowiły się zemścić – całkiem rozsądny ruch, gdyby ktoś chciał znać zdanie Amber. Opowiedziały prasie ze szczegółami o zboczonemu profesorku i o tym, jak przyciskając swoje obślinione wargi do szyi jednej, a potem drugiej studentki, obiecywał im dobre oceny, zaś jego puste obietnice wsiąkały w ich włosy.

Amber uznała wówczas tę historię za zabawną; na zdjęciach w gazetach skompromitowany wykładowca wyglądał na starego, spoconego i zawstydzonego ramola. Teraz jednak dręczyło ją pytanie, czy tata nie popełnił przypadkiem takiego samego błędu. Może tamta tajemnicza nieznajoma była studentką, a Leo dziennikarzem, który zwęszył sensacyjny temat? Czy naprawdę Miles byłby do tego zdolny? Amber kochała ojca, ale już dawno porzuciła myśl, że jest chodzącym ideałem. Wiedziała, że to taki sam człowiek jak inni, a bądź co bądź przez ostatnie lata Sadie nie zaspokajała jego naturalnych potrzeb.

Chryste, Amber, tylko nie płacz, na litość boską! Ile ty masz lat, dziesięć?! Przeciągnęła ostatnie pasmo włosów przez lokówkę, szarpiąc

mocniej, niż to było konieczne, rozkoszując się ukłuciami setek cieniutkich igiełek wbijających się w skórę jej głowy. Nie rozbeczała się. Nigdy nie płakała. Płacz niczego nie zmieniał; był dobry dla słabych niemowląt, a ona nie zamierzała okazywać słabości.

– No to paaa! – rzuciła Billie. Rozłączyła się i cisnęła aparat na łóżko. – Jenna będzie o drugiej – zaraportowała.

– Super. – Amber uwolniła ostatni kosmyk z lokówki i wyłączyła urządzenie. Koniec, kropka. Nie myśl już o tym. – Twoja mama na pewno może nas podrzucić?

– Jasne! – Billie pokazała jej sięgający połowy uda T-shirt w czerwone i białe pasy. – Myślisz, że to się nada?

– Bardzo ładny. – Rzeczywiście był ładny i serce Amber ścisnęło się boleśnie, gdy to sobie uświadomiła. – W jakim kolorze masz kostium?

Billie uniosła bluzkę i zaprezentowała górę od bikini. Granatową, z białą wstążeczką pośrodku. Uroczą. Amber uśmiechnęła się do koleżanki.

– Jest idealny.

Odwróciła się do lustra i raz jeszcze przyjrzała swojemu odbiciu. Pomarańczowa sukienka w kwiatki, bardzo obcisła, tak jak lubiła. Pod spodem bikini złożone z trójkącików czarnego materiału, które podprowadziła Sadie (najwyraźniej tam, gdzie matka przebywała po odejściu z domu, w którymś momencie potrzebowała kostiumu kąpielowego, rozumowała Amber, więc nie mogło jej być aż tak źle). Dół na troczki był na nią nieco zbyt obszerny, ale po prostu związała je ciaśniej po bokach. Wyszła z domu bardzo zadowolona ze swojego stroju, lecz teraz nie była już tego taka pewna. Nie potrafiła określić, co jest z nim nie tak, ale kiedy się sobie przyglądała, do głowy przyszedł jej przymiotnik „tandetny”. Było to jedno z tych określeń, których mogłaby użyć Sadie albo Leanna – Leanna na sto procent – ale nie Amber. Nigdy nawet nie myślała w takich kategoriach, a jednak takie było jej pierwsze skojarzenie. W dodatku pasowało jak ulał. Ubiór Billie był doskonale skompletowany, niczym

z katalogu. Jej własny (wcześniej z pozoru tak perfekcyjny) wyglądał jak wybrany pośpiesznie na wyprzedaży.

– Jesteś taka seksowna – zauważyła melancholijnie Billie za jej plecami.
– Też chciałabym tak wyglądać.

Amber ponownie uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze i nałożyła na usta ostatnią warstwę błyszczycy.

– Chodź – powiedziała. – Idziemy.

Dom Jamiego znajdował się po przeciwnej stronie miasteczka, w szerokim zaułku, skąd długie podjazdy ciągnęły się aż po obramowane kolumnkami drzwi wejściowe. Zaparkowane tam samochody lśniły, podobnie jak szyby w oknach i oślepiająco białe ściany budynków. Wszelkie inne odgłosy z ulicy zagłuszała muzyka taneczna dudniąca w ogrodzie na tyłach domu państwa Donnollych.

– Dajcie mi znać, jak będziecie chciały wracać do domu, dobrze? – poprosiła Leanna, nerwowo zerkając na budynek, z którego okien słońce czyniło lustra weneckie.

– Dzięki, mamó. – Billie nachyliła się i pocałowała matkę w policzek – po dziecinnemu głośny całus, aż siedząca z tyłu Amber przewróciła oczami. Jednocześnie w jej piersi pojawiło się uczucie podejrzenia podobne do zazdrości. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, czy ona też całowałaby tak Sadie?

Wysiadła z auta w nadziei, że to dziwne wrażenie się rozwieje.

– Dzięki, Leanna! – zawołała, zatraskując drzwi z głośnym szczękiem i pozwalając, by słońce ogrzało jej skórę. Fioletowy lakier, którym dzisiejszego ranka starannie pomalowała paznokcie u nóg, był już w kilku miejscach uszkodzony.

Leanna nie od razu odjechała. Silnik samochodu pracował na jałowym biegu, ona zaś odprowadziła wzrokiem znikające za domem dziewczyny. Amber się nie obejrzała, a przechodząc przez wiodącą do ogrodu furtkę, wzięła Billie pod rękę.

Rodziców Jamiego nie było, co do tego okłamała Leannę. Wyjechali na cały dzień z wizytą do rodziny, zabrawszy ze sobą młodszego syna, i w ciągu kilku godzin kameralne spotkanie, na które wyrazili zgodę, rozrosło się (co było do przewidzenia) i całkowicie wymknęło spod kontroli. Basen wypełniał ochlapujący się, roześmiany, popijający drinki tłum. Dziewczyny wdrapywały się na ramiona chłopców, ci podtapiali się nawzajem, a wokół, na brzegu, z nogami zanurzonymi w wodzie, siedziały obok siebie nastolatki w bikini i czekały, żeby od czasu do czasu jakiś kolega podszedł i wciągnął je do basenu przy akompaniamencie głośnych pisków i plusku. Muhammed, którego Amber знаła z zajęć matematycznych, przyniósł ze sobą sprzęt didżejski, który rozstawił na stole piknikowym nieopodal domu; ilekroć włączały się basy, olbrzymie głośniki wibrowały, wprawiając w dygot leżące na blacie plastikowe sztucce. Ludzie tańczyli na trawniku, rozlewając dookoła drinki, wyciągnięte z domu fotele i krzesła tkwiły porzucone w trawie, z nóżkami zapadniętymi w ziemię. Dwaj kolesie urządzili sobie bitwę na keczup i musztardę z plastikowych butelek, posyłając w powietrze żółto-czerwone strumienie, które opadały łukiem na dół i rozpryskiwały się na jasnych kamiennych płytach tarasu.

Wielki chromowany grill Donnollych został zaanektowany przez dwóch chłopaków z klasy Amber, Kenny'ego Wu i Justina Stanilanda; Ona Fitzgerald wraz z Casey Lafountain z zajęć angielskiego przyglądały im się i krytykowały ich każdy gest, chwiejąc się na swoich koturnach.

– Cześć, dziewczyny – rzucił Kenny na widok Billie i Amber, podnosząc głowę znad grilla. Dym kłębił się wokół jego twarzy, okulary przeciwsłoneczne miał całe zaparowane. – Kiełbaskę?

– Kto by chciał twoją kiełbaskę, Kenny – wtrącił Justin, szturchając go łokciem.

– Miękką i soczystą – zachęcał je Kenny, poruszając brwiami w górę i w dół.

– Chyba dziękuję – stwierdziła Amber. – Wyglądają mi na surowe. Od

surowej wieprzowiny można dostać tasiemca, nie? – Rzuciła okiem na niedojedzoną kielbasę w ręku Casey. Casey kwiknęła i natychmiast ją upuściła.

– Mam ogromną ochotę na hamburgera – odezwała się zza jej ramienia Billie. – Od nich też się dostaje tasiemca?

– Skąd. – Amber przyjrzała się zwęglonym, dymiącym resztkom hamburgerów. – Te chyba są w sam raz.

Justin wetknął jeden do sflaczałej bułki i podał Billie z szelmowskim mrugnięciem. Podobała mu się, Amber wyraźnie to widziała, lecz Billie tylko się zaczerwieniła i odwróciła wzrok. Ciekawe, czy rozgląda się za Jakiem. Zapomniała zapytać, czy odpowiedział na wiadomość, którą za namową Amber wysłała mu Billie, chociaż szczerze w to wątpiła. Pewnie był zbyt zajęty głowieniem się, czemu Amber nie odpowiada na wiadomości.

– Co tam? – zagadnęła chłopaków, usiłując dojrzeć odbicie swojej fryzury w soczewkach ciemnych okularów Kenny’ego. – Faj! Co to za jedna? – Zza ogrodowej szopy wyszła jakaś dziewczyna i zatoczyła się na ogrodzenie. Najpierw jednak zwymiotowała, obryzgując je strumieniem czegoś pomarańczowego.

– Kuzynka Deeny Jordan – wyjaśnił Kenny. – Ktoś doprawił poncz.

– Ahaaa... – Amber ponownie omiotła spojrzeniem ogród i wypatrzyła szklaną misę pełną mętneho różowopomarańczowego płynu. – Chodź, Bill.

Obeszły razem basen, uważając, żeby nie znaleźć się w zasięgu chlapiących i wciągających. Billie nadgryzła swojego hamburgera i skrzywiła się.

– Jest przypalony.

– Taaa? Co ty nie powiesz, Sherlocku?

– Dziewczyny! – Z tłumu wyłoniła się Jenna. – Tutaj jesteście! – Po czym na tym samym oddechu dodała: – O mój Boże, Billie, masz precudną sukienkę! Ślicznie wyglądasz!

– Dzięki! – Billie znów się zarumieniła i szarpnęła skraj sukienki jak dziecko, chociaż Amber wyczuła, że w ustach Jenny to wcale nie miał być komplement. Olała ją i przepchnęła się przez ścisk bliżej stołu. Z bliska poncz wyglądał jeszcze mniej zachęcająco – na wierzchu pływało kilka źdźbeł trawy – mimo to nalała trochę do dwóch plastikowych kubków. Wcisnęła jeden Billie, która przyjrzała mu się podejrzliwie. Trzymała go nieporadnie przed sobą wraz z hamburgerem, nie śmiejąc podnieść żadnego do ust. Amber wlała w siebie potężny haust. Pomimo swojego zabarwienia poncz smakował tylko wódką i sokiem pomarańczowym, niczym więcej. Upiła jeszcze łyk i uświadomiła sobie (choć w ogóle jej to nie obeszło), że zapomniała nalać Jennie. Okazało się to jednak bez znaczenia – Jenna już chwiała się na nogach, wodząc dokoła szklanym wzrokiem.

– Ale super – oznajmiła i odgarnęła włosy z twarzy. Amber uśmiechnęła się; wcale nie sądziła, że impreza jest super, w istocie była raczej męcząca. Zbyt głośna, dobra dla dzieciaków. I ten syf... Spróbowała sobie wyobrazić, co pomyślałby Leo, gdyby tutaj był, a potem przypomniała sobie, że zdanie Leo na jakikolwiek temat nic a nic ją nie obchodzi (bujda!). Westchnęła i dopiła poncz. To miał być idealny dzień: Amber miała się upić i wygłupiac w swoim bikini, a oczy wszystkich miały być w niej utkwione. Jak w teledysku: słońce, muzyka, zabawa. Zamiast tego na tarasie były plamy z keczupu i trawa w ponczu, bekający chłopcy i ciągłe eksplozje chlorowanej wody, gdy kolejna osoba wpadała z impetem do basenu. Samego Jamiego nigdzie nie było widać – pewnie zwiął na górę z Katie Barrow, swoją niby-dziewczyną. W sumie szkoda, bo Amber zawsze była ciekawa, jak by to było go pocałować.

Wróciła do stołu i ponownie napełniła kubek, akceptując dolewkę przezroczystego płynu z rąk Kenny'ego, który najwyraźniej porzucił swój posterunek przy grillu.

– Zajebista kiecka, Banner – stwierdził, gapiąc się na nią, a ona zorientowała się, że jest porządnie wstawiony. Podobnie jak większość

chłopaków z jej rocznika, Kenny traktował Amber niczym słońce: jakby była zbyt niebezpieczna, żeby spoglądać wprost na nią. Lubił jej towarzystwo, ale bał się poparzyć.

– Dzięki.

Obejrzała się na koleżanki. Billie nadal wpatrywała się z niepokojem w zawartość swojego kubka. Roześmiana Jenna objęła ją ramieniem i mówiła coś tym swoim natarczywym, piskliwym głosem, dopóki Billie nie zmarszczyła nosa, nie podniosła kubka do ust i nie wypłała wszystkiego jednym haustem. Jenna wydała z siebie okrzyk triumfu i odwróciła się, całkowicie tracąc zainteresowanie Billie.

Amber nalała ponczu do drugiego kubka i podeszła do nich.

– Na drugą nóżkę? – zwróciła się do Billie, podając jej kubek, i tym razem Jenna spojrzała na nią nadąsana.

– A dla mnie?

Amber wzruszyła ramionami.

– Masz nogi. A ja tylko dwie ręce. Sama sobie przynieś.

Jenna łypnęła na nią spode łba i twarz jej stężała, Amber zaś poczuła, że coś w niej drgnęło. Nie potrafiła stwierdzić, czy to strach czy podniecenie, lecz dawno już się przekonała, że oba te uczucia są do siebie wystarczająco podobne, aby nie miało to większego znaczenia.

– Co cię ugryzło? – spytała po chwili Jenna, krzywiąc wargi i psując Amber całą przyjemność. Nie tak to miało wyglądać. Tymczasem z pijanych ust Jenny płynęły kolejne bełkotliwe słowa: – Od paru miesięcy zachowujesz się jak skończona zdzira.

Amber nie straciła kamiennego wyrazu twarzy.

– Zawsze byłam zdzirą, Jen. Dopiero teraz to zauważyłaś?

Jenna roześmiała się – zbyt głośno, zbyt ostro, aż ludzie wokół nich zaczęli się oglądać. Billie zrobiła krok do tyłu.

– Chryste, ależ ja mam ciebie dosyć! – oznajmiła naraz Jenna jeszcze głośniejszym tonem, chuchając na nie gorącym oddechem o zapachu

drożdży. – Lepiej na nią uważaj, Billie. Teraz jesteś jej ulubienicą, ale niedługo cię przeżuje i wypluje. Nie przetrwasz nawet tygodnia.

– Upiłaś się – powiedziała cicho Billie. – Może już nic nie mów. – Amber naprawdę ją za to pokochała.

Ale Jenna znów wybuchnęła śmiechem.

– To zdzira! – wrzasnęła. – Zobaczysz! Pieprzona wariatka i zdzira, tak samo jak jej matka!

Teraz już wszyscy na nie patrzyli; muzyka nie przestała dudnić, a woda wciąż chlupała o brzegi basenu, lecz wszystkie rozmowy ustały. Amber, której zaćmiło się w oczach, doszła do wniosku, że wcale nie musi stać beczynną. Zmiała plastikowy kubek i cisnęła go na bok, po czym zdzieliła Jennę pięścią w sam środek twarzy. Nie zabolęło jej, gdy knykcie miażdżyły chrząstkę nosa, ani później, gdy ręka zrobiła się czerwona i zaczęła puchnąć. Coś w niej śpiewało ze szczęścia, kiedy patrzyła, jak Jenna zatacza się do tyłu i broczy krwią na upaprany musztardą taras. Zachwiała się i bezmyślnie zagapiła na Amber.

Nikt nie zareagował.

Nikt nic nie zrobił.

2018

Amber nie odchodzi daleko. Greta, wyrwana ze stanu osłupienia, w którym tkwiła jak sparaliżowana, biegnie za nią przez tłum, zdjeta paniką (wyobrażając sobie, co powie Federica, jeżeli wrócą do hotelu bez swojej gwiazdy). Niepotrzebnie się denerwuje: dziewczyna, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, siedzi nieopodal na krawędzi olbrzymiej kamiennej donicy i patrzy na nią. W dłoni ściska komórkę.

– Przepraszam cię – mówi Greta, podchodząc bliżej. Amber wstaje i odrzuca włosy do tyłu. Spogląda ponad ramieniem Grety na Toma, który właśnie się z nią zrównał i mówi po prostu:

– Chodźmy. – Na szyi ma zawieszony aparat, jak paparazzi, z których żaden na szczęście dotychczas ich nie namierzył.

Dopiero kiedy taksówka zatrzymuje się przed hotelem, Greta przypomina sobie, że pod stolikiem w restauracji została torba z jej nową niebieską sukienką.

Amber nie schodzi na kolację, a gdy Greta puka do drzwi jej pokoju, otwiera ubrana w szlafrok. Ze środka bucha zaduch jedzenia na wynos, gdzieś w głębi gra telewizor. Kupione tego dnia ciuchy leżą bezładnie rozrzucone na łóżku, na nocnej szafce stoi wielki tekturowy kubek, obok poniewierają się opakowania po keczupie.

– Bez urazy – mówi Amber; kosmyki włosów wymykają się z koczka na czubku jej głowy – ale chcę być sama.

Więc Greta wraca na dół do hotelowej restauracji, pustej, jeśli nie liczyć pary Amerykanów w szortach i koszulkach z Pałacem Buckingham. Już ma usiąść, ale zmienia zdanie i zamiast tego kieruje się do małego, dusznego

baru. To kolejne pozbawione okien pomieszczenie; kilka żarówek domaga się wymiany, choć trzeba przyznać, że w ich przytłumionym świetle łuszcząca się tapeta w niby to aksamitne pasy oraz obite skajem pufy w kształcie sześciątów wypadają całkiem korzystnie.

Greta zamawia kieliszek wina i zajmuje miejsce w kącie. W lśniącym blacie jej stolika odbija się poświata włączonego telewizora ze ściszym dźwiękiem. Wino ma lekko metaliczny posmak, ale jest schłodzone i Greta szybko je wypija ze wzrokiem wbitym w ekran, na którym reporterzy bezgłośnie prezentują najnowsze wiadomości. Stara się nie myśleć o przebywającej na górze Amber. Niedługo zdjęcia dobiegną końca i będzie mogła się rozejrzeć za jakąś nową pracą. Sama wybierze historie, które zechce opowiedzieć – takie, dla których zawsze chciała kręcić filmy. Wspomina dzień, w którym się dowiedziała, że zaczyna studia w Goldsmiths i przeprowadza się do Londynu. Była wówczas pewna, że będzie pracować przy fabułach; pamięta, jak przechwalała się przed przyjaciółmi ze szkoły, że kiedyś jej filmy będą zmieniały ludzi i świat. Pamięta, jak zadzwoniła do swojego chłopaka Marca, żeby mu o tym powiedzieć: zasypała go lawiną słów, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać. „Udało się – powtarzała. – Zamieszkać w Londynie”. Dopiero jego milczenie uświadomiło jej, że przecież go opuści. Wcześniej, odkąd przeczytała e-mail, ta myśl w ogóle nie powstała w jej głowie. Przed rokiem Marc dodał ją do grona swoich znajomych na Facebooku i Greta mogła obejrzeć jego ślubne zdjęcia oraz fotki dwóch małych synków. „Tak się cieszę, że znowu jesteśmy w kontakcie – napisał, kiedy już wymienili między sobą kilka wiadomości. – A co u Ciebie? Wygląda na to, że robisz karierę”.

Jeszcze nie jest za późno, upomina się w duchu. Ostatnio zauważyła na Facebooku post dotyczący zajęć ze scenopisarstwa – jedną z tych spersonalizowanych reklam – i sama się zdziwiła, jak bardzo ją zainteresował. Może powinna to uznać za znak. Może tak naprawdę wolałaby opowiadać własne historie.

Zarazem wyobraża sobie ludzi na przyjęciach, którzy rozpływają się nad ich filmem, zachwycają się „tym fragmentem”, gdzie Miles płacze albo Amber śmieje się złowieszczo. Na pewno będą wypytywali Gretę, jak się czuła, mogąc poznać ich osobiście, a ona wspomni bezsenne noce, rozbrzmiewające w jej uszach echo płaczu niemowlęcia i muśnięcie oddechu na karku, chociaż nikogo przy niej nie było. „Wierzysz, że Człowiek z Lasu naprawdę istnieje?” – będą ją pytali, a ona być może nie będzie już wtedy miała ochoty przytaknąć.

Kończy wino i zamawia następne. Jakiś biznesmen, z marynarką przewieszoną przez ramię, zajmuje miejsce przy stoliku w przeciwległym kącie baru, stawia przed sobą półlitrowy kufel piwa i rozkłada gazetę. Barman nie przestaje polerować kieliszków, mając w zasięgu ręki własny kufelek. Greta pije i stara się nie myśleć o Millerach, Bannerach ani o kałuży krwi na polanie w lesie.

– Masz ochotę na powtórkę? – Unosi głowę i widzi Toma stojącego przy kontuarze. Mężczyzna wskazuje jej pusty kieliszek, jakby spędzili razem cały wieczór. Jakby to było jeszcze jedno tradycyjne piątkowe wyjście do pubu. Greta ma ochotę na powtórkę, więc bez słowa kiwa głową.

– Sprawileś jej przykrość – mówi, gdy Tom przynosi jej wino.

On przyciąga sobie stołek, siada naprzeciwko niej i stawia swój dzin z tonikiem na papierowej podkładce.

– Wiem – stwierdza po prostu. – Nie powinienem był tego robić. Przepraszam.

– Mogłam ją sama filmować – ciągnie Greta; język jej się płacze przy niektórych słowach. – Nie musiałeś w ogóle z nami iść. – Upija łyk wina i dodaje rozdrażniona: – Wiem, że jej nie lubisz.

Tom zastanawia się nad tym przez chwilę, wpatrzony w prezentera wiadomości na ekranie ponad głową Grety.

– Nie lubię – przyznaje w końcu, a potem parafrazuje jej własne pytanie sprzed tygodnia: – A muszę?

– To tylko dzieciak – odpowiada ona. – Dlaczego musiałeś jej tak dopiec? Dlaczego tylko ja jedna dostrzegam, jak bardzo jest jej z tym źle? Dlaczego tylko ja widzę, że trudno jej ze sobą wytrzymać?

– Może dlatego, że tylko ty jedna chcesz to dostrzec. – Jego głos brzmi łagodnie, co tylko jeszcze bardziej ją denerwuje.

– No właśnie! – Odstawia kieliszek na blat stolika. – Wszyscy chcą w niej widzieć wiedźmę, bo to im pasuje do reszty tej historii.

– Wcale jej nie uważam za wiedźmę. Co nie znaczy, że mogę udawać, że dostrzegam w niej choćby okruczeństwo.

– Zdajesz sobie w ogóle sprawę, jakie to bezduszne, co mówisz? Zwłaszcza w odniesieniu do nastolatki, która miała taki... popierdolony start w życiu. – Ależ dobrze jest przekląć. Ciekawe, dlaczego częściej tego nie robi?

– W tym właśnie rzecz, Greto. Owszem, żadne z nas nigdy nie pojmie, przez co musiała przejść, ani nie zrozumie, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Ale ty stosujesz projekcję: wyobrażasz sobie, jak byś się czuła na jej miejscu. Tyle że ona jest inna. W niczym ciebie nie przypomina. Ani małych Millerów, skoro już o tym mowa.

Greta milczy.

– Zauważyłem, że za bardzo zaczynasz jej współczuć, koleżanko.

Ból głowy rozsadza jej skronie.

– Nie chcę o tym rozmawiać – rzuca.

Tom uśmiecha się ze smutkiem i przytakuje.

– A o czym chcesz?

Greta wlewa w siebie kolejny łyk wina. Biznesmen dopija piwo i wstaje; na ściankach jego kufła zostaje osad z piany.

– O tobie – oznajmia Greta. Patrzy na Toma. – Porozmawiajmy o tobie.

Śmiech.

– Zgoda. Co chciałabyś wiedzieć?

– Poznałeś Federicę na planie *Samotni*, prawda? – Wino dodaje jej

pewności siebie, słowa same przychodzą do głowy.

– Tak. Ale wcześniej poznałem Millie. Pracowałem jako asystent operatora przy jakimś strasznym reality show o tygodniu integracyjnym studentów pierwszego roku, a ona robiła akurat dokumentację do którejś ze swoich książek. To było, zanim Federica ją poderwała. – Podnosi kieliszek do ust; brzęczą kostki lodu. – Byłem w zasadzie jedyną osobą, która z nią rozmawiała, reszta ekipy okazała się skończonymi dupkami. Kiedy po *Samotni* przedstawiłem Millie Federice, zyskałem serdeczną przyjaciółkę.

Greta kiwa głową.

– Tak, teraz sobie przypominam, że mi o tym wspominała. Że Millie cię polubiła.

– Wiesz, co się z nimi dzieje?

– Pytasz o Millie? Nie. Ale tym razem wygląda mi to na coś poważnego.

– W Cannes była pewna kobieta...

Greta przełyka kolejny łyk wina, zaskoczona, jak niewiele zostało go w kieliszku.

– Chyba zawsze były jakieś kobiety. Nie wiem. Nie rozumiem ich związku. Millie nie jest taka.

Milknie; policzki jej płoną. Ma wyrzuty sumienia, że rozmawia w ten sposób z Tomem o Federice.

– Podziękowała ci w ogóle, że ogarnęłaś za nią sprawy w Los Angeles? – pyta on, dopijając drinka.

– Tak. W pewnym sensie. Chyba powinno mi pochwlebiać, że ma do mnie zaufanie.

– Myślę, że w tym przypadku pomiędzy „zaufaniem” a „wykorzystywaniem” przebiega bardzo cienka granica.

Greta ignoruje tę uwagę i wskazuje na jego niemal pusty kieliszek.

– Jeszcze po jednym? – Wstaje od stolika, zanim Tom zdąży zareagować. Nie chce myśleć, na ile sposobów Federica Sosa i Amber Banner zapewne ją wykorzystują. I na ile sposobów okazują jej zaufanie.

Przy kontuarze sprawdza swój telefon – przez cały dzień Federica nie przysłała jej żadnej wiadomości, Luca też się nie odzywał. Greta rozważa, czy powinna wysłać esemesa do Amber, stara się ułożyć w myślach zdanie, które brzmiałoby swobodnie i życzliwie, coś, co nie oznaczałoby automatycznie: „Tylko sprawdzam, czy ciągle siedzisz zamknięta w swoim pokoju”. Ostatecznie przegląda pocztę, wraca do wiadomości, które przeczytała, lecz na które zapomniała odpowiedzieć: zbiorowego e-maila z propozycją kolacji albo drinka od dawnych znajomych ze studiów oraz pytania Lisette, czy Hetty i Greta też uważają, że dobrze byłoby zmienić dostawcę internetu. Znowu jest tak samo, jak było z Millerami – jej życie schodzi na drugi plan, zaczyna przypominać fikcję, banał. „Opowieść jest wszystkim” – lubi powtarzać Federica i tego Greta boi się najbardziej.

Zanosi dzin z tonikiem Tomowi, który w tym czasie także sprawdza w telefonie wiadomości.

– Ani słowa od Luki – oznajmia, kiedy Greta siada. – Ciekawe, gdzie się podziewał przez cały dzień.

– Mam nadzieję, że u Elke wszystko dobrze – mówi Greta. – Niedługo ma termin, prawda?

– Chyba za miesiąc. – Tom odchyła głowę do tyłu i dopija resztkę pierwszego drinka. Greta podnosi wzrok na ekran telewizora; wiadomości się skończyły i pogodynka wymachuje rękami, zataczając nimi kręgi nad jakimś fragmentem wybrzeża.

– Co będziesz robić później? – pyta ją Tom. – Jak już skończymy to tutaj?

– Chciałabym spędzić trochę czasu z rodzicami. – Greta przechyła kieliszek i patrzy na przelewające się w środku wino, po czym unosi go do ust. Odwleka ten moment. – A potem chciałabym wrócić do kręcenia filmów fabularnych – dodaje, odstawiając ostrożnie kieliszek na blat. – Przez jakiś czas chyba wolałabym odpocząć od dokumentów.

Tom kiwa głową.

– Rozumiem. Czyli wracasz do Stanów?

– Niewykluczone. – Usiłuje sobie wyobrazić samą siebie z powrotem w Dearborn, z mężem i dwoma synkami. – Ale chciałabym też przez jakiś czas podróżować. A ty?

– Prawdę mówiąc, również myślę o wyjeździe. – Tom wpatruje się w głąb swojego kieliszka. – Zaoszczędziłem trochę pieniędzy. Wiem oczywiście, że służbowo bywamy w fantastycznych miejscach, ale chciałbym dla odmiany zobaczyć świat na własne oczy, nie przez obiektyw kamery.

Greta spogląda na niego.

– Tak. Nareszcie móc tylko patrzeć. Tak mi obrzydło wyszukiwanie odpowiednich lokalizacji, ciekawych tematów, że wreszcie chcę po prostu patrzeć. Cieszyć się tym, co widzę, i nie zawracać sobie głowy, pod jakim kątem najlepiej ustawić kamerę. – Jest bardziej pijana, niż sądziła; własna szczerłość wprawia ją w zażenowanie.

Tom uśmiecha się do niej i wznosi toast.

– Za ucieczkę – mówi i oboje wpatrują się w siebie nawzajem.

Na blacie z poodpryskiwanym lakierem wibruje komórka Grety. Dzwoni Federica.

Głos ma zachrypnięty, a przez opuszczoną szybę w oknie jej samochodu wlewa się do środka ryk silników, dlatego z początku Greta nie rozumie wypowiedzianych słów (wino też nie pomaga).

A potem słyszy. Wszystko do niej dociera.

– Sadie – mówi Federica. – Sadie zgodziła się na rozmowę z nami.

Z dziennika Leanny Evans [fragment D]

O dziewiątej wieczorem odebrałam dziewczynki z imprezy, tak jak się umówiliśmy. Czekały na mnie przy krawężniku przed domem, w miejscu, gdzie je wysadziłam, chociaż słysząc było, że impreza nadal trwa – muzyka dudniła, dzieciaki pokrzykiwały przez okna, a na trawniku przed domem całowała się jakaś para. Zastanawiałam się, jacy rodzice godzą się na takie rzeczy w swoim domu, i cieszyłam się, że nasze dziewczynki są inne. W samochodzie milczały; Billie zapytała tylko, czy możemy posłuchać muzyki, zaś Amber na tylnym siedzeniu oglądała swoje dłonie. Przyszło mi do głowy, że źle się bawiły, i pogratulowałam sobie pomysłu, żeby po nie przyjechać.

W domu przebrały się w piżamy (Amber włożyła piżamę Billie), a potem usiadłyśmy razem w salonie i zastanawiałyśmy się, jaki film obejrzeć. Wyjęłam z szafy koce – pomimo słonecznego dnia noc była chłodna i miło było nareszcie znaleźć się w zaciszu domu. Przyniosłam z kuchni przyrządzoną przez siebie lasagne z kromkami chrupiącego chleba, po czym zjadłyśmy ją przed telewizorem, przykryte kocami. Później przygotowałam gorącą czekoladę, jak to robiłam, kiedy Billie była mała: z przelewającą się przez krawędzie kubka czapą bitej śmietany i cukrowymi piankami na wierzchu.

Spędziłam wspaniały wieczór, podobnie jak wcześniej, ilekroć nocowała u nas Amber. Lubię dźwięk ich śmiechu, który wypełnia dom, lubię znowu mieć dla kogo gotować. Nie sądzę, aby Billie pamiętała, jak wyglądało nasze życie przed odejściem Ralpha, ale ja cieszę się, mogąc posadzić przy stole trzecią osobę. Jest tak, jak być powinno. Coś mi mówi, że Ty nigdy tak tego nie odbierałaś; że nawet teraz jakaś część Ciebie – może nieświadomie? – tęskni za czasami, kiedy byliście z Milesem tylko we dwoje.

Ty. Mój umysł nie może się od Ciebie uwolnić: nieustannie analizuje, jak

wyglądałaś, kiedy się ostatnio widziałyśmy, co i jak wtedy mówiłaś. Wiem, że coś się zmieniło, ale co? Nie potrafię znieść tej niepewności. Kiedy film się skończył i wyświetliły się napisy końcowe, znowu o Tobie pomyślałam. Zastanawiałam się, czy siedzisz z mężem przed swoim telewizorem, czy raczej sama, w jakimś mrocznym zakątku, wśród cieni.

Próbowałam przywołać się do porządku: bądź co bądź staranne planowanie doprowadziło mnie aż tutaj. Musiałam sobie przypomnieć, że to ja jestem prawdziwie wyjątkowa. Odnalazłam Ciebie i Amber, zdałam egzamin, podczas gdy Ty potrafiłaś jedynie uciekać od tego, co Twoje. Całując nasze dziewczynki na dobranoc, powtarzałam sobie, że nie muszę się niczym martwić. Myślałam o Tobie, całkiem samej, i wiedziałam, że niedługo nadejdzie właściwy moment. Kiedy gasiłam światło, ani trochę się nie bałam.

2016

Przed domem stał człowiek (Człowiek z Lasu, Człowiek z Lasu). Sadie wiedziała, że to nie jest złudzenie. Wyjrzała, żeby się upewnić, dokonała chłodnej kalkulacji i doszła do jedyne­go możliwego wniosku: to on. Z twarzą ukrytą w cieniu obserwował ich dom.

Podeszła do okna sypialni i jeszcze raz ostrożnie wyjrzała, na wpół ukryta za zasłonką. Wmawiała sobie, że wyobraźnia płata jej figle, jak wtedy, podczas wykładu Milesa, gdy jej strach wyczarował z nicości jego głos oraz dotyk.

Nadal tam stał. Sadie nabrała powietrza i ciasniej otuliła się swetrem.

Tym, co najbardziej ją przerażało, była ukryta pod strachem potrzeba (czy raczej nadzieja). Wróciła myślami do wspomnienia dotyku lodowatych palców na swoim ramieniu, oddechu wędrującego po skórze. Czy naprawdę tak źle byłoby wśliznąć się na powrót w bezpieczne objęcia cienia?

Pierwszy raz zauważyła go, kiedy schodziła ze schodów z koszem rzeczy do prania pod pachą. Ubrania Amber pachniały słodko dymem papierosowym, kołnierzyki nosiły ślady makijażu. Przystanęła wówczas, bo jej uwagę przyciągnął zaciek na szybie, błyszczący ślad nawilżającego samoopalacza Amber, który zasechł i zbrązowiał. Sadie zatrzymała się, żeby go zetrzeć rękawem (jeszcze bardziej go rozmazując) i z okna zobaczyła stojącą na dole sylwetkę.

Nie zawsze tak było. Zwykle nie miał takich oporów. Przed laty zaprosiła go do swojego świata, a on całkiem go zawłasczył. Swobodnie przechadzał się po jej domu i szeptał jej do ucha spokojne słowa tchnące chłodem. Raz już od niej odszedł, zabierając ze sobą swoje cienie, i chociaż zawsze wracał, nigdy się z nią nie droczył. Nie w taki sposób.

Tyle że teraz była jeszcze Amber.

Nie na Sadie teraz czekał.

Odsunęła się od okna i przycisnęła czoło do ściany. Jak zawsze starała się nie pamiętać uczucia, które towarzyszyło jej, gdy szarozielonym świtem wymykała się z ich ciasnego mieszkania w bloku, porzucając nowo narodzoną córeczkę. Szła szybko, a nieduża torba, którą ze sobą zabrała, obijała się boleśnie o jej udo. Bolały ją pełne mleka piersi i jak zawsze – jak zawsze – czuła za plecami czyjąś obecność. Muśnięcia oddechu na karku.

Kiedy tylko dziewczynka powróciła, rozsiewając wokół siebie zatęchły, metaliczny zapach, Sadie od razu wiedziała, że nie może dłużej zwlekać. Dopiero później, po wielu godzinach marszu i męczącej podróży autobusem, znalazła czas, aby dokładniej przeanalizować ten moment.

Dziewczynka ją ostrzegła. Kiedy mówiła, obok niej nie było Człowieka z Lasu.

Nigdy przedtem tak się nie zdarzyło.

Tamta dziewczynka, odebrana rodzicom córka, miała większą moc, niż Sadie przypuszczała.

Teraz znów o tym myślała, czując odbijający się od ściany własny oddech. Serce biło jej jak oszalałe. Czy to możliwe, że wszystkie córki muszą z nim odejść? Może jest jeszcze jakaś nadzieja?

Tamtą pierwszą noc – trzecią, jeżeli liczyć godziny spędzone z zamkniętymi powiekami i twarzą wciśniętą w zrolowaną kurtkę przy oknie autobusu – spędziła w Aberdeen, w pokoju gościnnym u dawnego znajomego. Wiedziała, że może mu zaufać. Nie znał Milesa, poza tym nie wydałby Sadie, nawet gdyby jej mąż jakimś cudem zdołał do niego dotrzeć. Oprócz tego miała własne powody, aby unikać niewygodnych pytań. Sadie dobrze pamiętała cuchnącą pleśnią poduszkę i płacz niemowlęcia o północy. Czuła się winna na myśl, że odciągnęła Człowieka z Lasu od jednego niemowlęcia tylko po to, żeby doprowadzić go do innego. Ale miała ograniczone możliwości. Przekonywała się, że w tych okolicznościach musi

być taką matką, jaką zawsze pragnęła być. Lwicą.

Przez kolejne lata zaczytywała się w artykułach, których unikała wcześniej, gdy w grę wchodziła jej własna przyszłość. Przeglądała wpisy na forach internetowych i pytania zamieszczane anonimowo na stronach poświęconych Człowiekowi z Lasu, a dotyczące ludzi, w których życiu on się pojawił. Chłoneła zawartość tablic ogłoszeniowych w internecie, fanart, doniesienia prasowe i prace naukowe. Godzinami studiowała sprzeczne teorie wyjaśniające, w jaki sposób ludzie stawali się wyjątkowi dzięki niemu. Z postów wynikało, że tylko dzieci są wystarczająco czyste i mają prawdziwy potencjał, aby stać się wyjątkowymi. Bohater żadnej z opowieści o Człowieku z Lasu nie spotkał się z nim po raz pierwszy jako dorosła osoba. Jego fani wierzyli, że wtedy jest już za późno: brama się zamykała, a Człowiek z Lasu tracił zainteresowanie kimś takim. Dlatego Sadie odczuwała tak wielką ulgę – była przekonana, że swoim odejściem naprawdę ocaliła Amber. Rozchwiane cienie, choć się ociągały i nigdy nie podchodziły zbyt blisko, podążały za nią, dokądkolwiek się udała, dzięki czemu jej córka mogła żyć w pełnym świetle. Aż w końcu opuściły również Sadie.

Teraz jednak wróciła do domu i on także powrócił. „Uważaj, czego pragniesz...”. Sadie podeszła do okna, żeby jeszcze raz wyjrzeć na zewnątrz. Ciągle tam stał i w ciemności patrzył prosto na nią. Później wycofał się i noc go połknęła.

Kiedy rano się obudziły, Leanna jak zwykle była już na nogach. Stała przy kuchence, a obok czekało gotowe ciasto naleśnikowe. Amber w ogóle nie miała kaca – działanie alkoholu zneutralizował sen i lasagne, którą poprzedniego wieczoru nakarmiła ich Leanna, więc zapach skwierczącego na patelni pierwszego naleśnika sprawił, że pociekła jej ślinka. Zajęła swoje zwykłe miejsce przy stole i zaczęła nieśpiesznie podjadać przekrojone na pół i pozbawione szypulek truskawki, które Leanna postawiła w salaterce na środku blatu. Dłoń miała spuchniętą, skóra między knykami była rozcięta.

Myślała o Jennie – o tym, jak tamta stała przed nią, a krew płynęła jej po twarzy. O tym, jak później się odwróciła i wybiegła z imprezy, a nikt się nie ruszył, żeby za nią pójść. Amber spokojnie upiła łyżeczek ponczu i wzięła Billie pod rękę.

Pochylona nad patelnią Leanna nuciła coś pod nosem. Naraz odwróciła się ze szpatułką do ciasta w dłoni i uśmiechnęła się szeroko.

– Słuchajcie – powiedziała – mam świetny pomysł. Siadaj, Billie, nie stój tak.

Dziewczyna przecierała oczy jak zaspany dzieciak, potargane włosy sterczały jej z boku głowy.

– O co chodzi?

– Mam ochotę na wycieczkę. Może wybrałybyśmy się do Szkocji? Do naszego ulubionego domku? – Przewróciła naleśnik na drugą stronę i znów odwróciła się twarzą do dziewczynek. – Oczywiście też jesteś zaproszona, Amber. Jeżeli tylko masz ochotę z nami pojechać.

– Och... – Zaskoczona Amber zamrugła powiekami. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że – chociaż sam pomysł był obciachowy – naprawdę ma ochotę na wypad.

– Tak! Tak! – Billie najwyraźniej nie uważała propozycji matki za obciachową. – Możemy jechać już dzisiaj? Och, Ammie, zobaczysz, spodoba ci się!

– Myślałam o jutrze – odparła Leanna, wylewając na patelnię kolejną porcję ciasta. – Ponieważ w przyszłym tygodniu wypada przerwa semestralna, doszłam do wniosku, że mogłybyśmy spędzić tam kilka dni. Rzecz jasna, najpierw musimy spytać o zgodę twoich rodziców, Amber.

Tak jakby cokolwiek ich to obchodziło. Amber, grając na zwłokę, włożyła do ust następną truskawkę. Na pewno istniały ciekawsze zajęcia, którymi mogłaby wypełnić najbliższy tydzień. Tyle że akurat w tym momencie nic konkretnego nie przychodziło jej do głowy.

– Zadzwoń do nich, Am! – Billie, całkiem już rozbudzona, patrzyła

wyczekująco z przeciwnej strony stołu. Leanna roześmiała się.

– Daj jej szansę, kochanie. Może wcale nie chce tłuc się z nami tak daleko.

Amber przyłapała się na tym, że wzrusza ramionami.

– Czemu nie. Brzmi wspaniale. Dziękuję, Leanno. – Owszem, w Szkocji będzie najprawdopodobniej zimno i nudno, ale przynajmniej tym dwóm szczerze zależało na jej towarzystwie.

Więc z nimi pojedzie. Bardzo z siebie zadowolona zjadła jeszcze jedną truskawkę.

A kiedy Leanna zsuwała naleśniki na talerz, ścisnęła ramię Amber, zupełnie jakby mówiła: „Dziękuję”.

2018

Greta budzi się trzynaście minut po czwartej nad ranem, czując na nagiej skórze drapanie hotelowej narzuty. W skroni pulsuje ból, w ustach czuć suchość i niesmak. Próbuje przekręcić się na bok i naciągnąć na siebie kołdrę, ale okazuje się, że na niej leży, ubrana w stanik i nic poza tym. Z trudem dźwiga się do pozycji siedzącej. Lampy w pokoju są zapalone. Mruga powiekami w ich ostrym świetle, zasłania oko dłonią. Sięga do nocnej szafki (w nadziei znalezienia wody) i zauważa dwa plastikowe kubki oraz na wpół opróżnioną butelkę whisky.

Z wolna powracają wspomnienia z minionej nocy – mgliste, bo mgliste, ale jednak. Wargi Toma na jej ustach; plecy wciskające się z impetem w drzwi, potem w ścianę, wreszcie w materac; zrucane w pośpiechu ubrania; wychylana bez tchu whisky, plamy alkoholu na śliskiej kołdrze. W miarę jak Greta to sobie przypomina, narasta w niej panika. Pamięta, jak z gardłem wypalonym alkoholem poprosiła o lód, a on posłusznie po niego podreptał, wcisnąwszy się w dżinsy i T-shirt. Ile czasu minęło od tamtej chwili? Odnajduje swoją komórkę – dwadzieścia dwa nieodebrane połączenia, wszystkie od niego – i już wie, że musiało minąć wiele godzin, a Tom w końcu przestał się do niej dobijać i wrócił do swojego pokoju. Żar oblewa jej policzki i Greta nieporadnie zaczyna zbierać z podłogi swoją zmiętą bieliznę. Sięga po koszulkę. Idzie do łazienki, płucze pod kranem jeden z kubków, nalewa do niego wody i wypija do dna. Musi przytrzymać się umywalki, żeby od razu wszystkiego nie zwymiotować, a gdy opanowuje mdłości, ponownie napełnia trzymany w drżącej dłoni kubek i wraca z nim do pokoju. Wsuwa się pod kołdrę i na próżno stara się nie dopuścić do siebie strzępków wspomnień: dotyku jego rąk na swoim ciele, jęków wydawanych

z ustami przy jego wilgotnej piersi, zębów wbijających się w jego skórę.

Ostatecznie udaje jej się odpłynąć w niespokojną drzemkę; taśma zacina się, przed oczami Greta przesuwają się urywane kadry. Jawa miesza się ze snem, dlatego w pierwszej chwili pukanie do drzwi wydaje jej się nierealne. Śni jej się, że otwiera i widzi Toma, który całuje ją i popycha z powrotem do pokoju. Ale pukanie nie ustaje, więc Greta wzdryga się i gwałtownie otwiera oczy.

– Tom? – Siada na łóżku wyprostowana, czując ucisk w żołądku. Wstaje i obciąga koszulkę, żeby zakrywała jej uda. Oddech ma ciężki, nieświeży, ręce nadal jej się trzęsą. Każdy ruch powoduje, że ból głowy jeszcze bardziej się wzmacnia. Ktoś z uporem dobija się do jej drzwi.

To nie Tom, tylko Amber. Z przesuniętego na bok głowy, skołtunionego kucyka wyslizgują się pasma włosów. Makijaż wokół oczu ma rozmazany, na koszulce bez rękawów widnieje plama z keczupu.

– Tak nie wolno – syczy i wpycha się do pokoju, a zdezorientowana Greta podąża za nią, czerwona za wstydu, świadoma tego, że cuchnie potem.

– Amber, ja...

Dziewczyna obraca się na pięcie i dźga ją palcem.

– Powiedziałam: „nie”. Pamiętam, że przy tym byłaś. Powiedziałam: „Tylko nie ona”. Nie moja matka.

Do Greta dociera, o czym Amber mówi. Roztrzęsiona, sięga do szafy i zdejmuje z wieszaka szlafrok.

– Wiem. Przykro mi.

– Od początku wam powtarzałam! Zgodziłam się pod warunkiem, że nie będzie miała z tym nic wspólnego!

Greta rozgorączkowana przytakuje.

– Wiem. Wiem. Próbowałam tłumaczyć Federice...

– Myślała, że się nie dowiem? Że to przede mną ukryje? – Amber wpatruje się w Gretę, która nie potrafi jej odpowiedzieć. – Miała z nią nie rozmawiać!

– Wiem. – Greta ostrożnie przysuwa się do Amber i delikatnie dotyka jej ramienia. Sadza dziewczynę na łóżku, sama przysiadła obok. – Amber, Federica działa pod ogromną presją ze strony stacji. Musi zadbać o to, żeby mieć wystarczającą ilość materiału i żeby przedstawić jak najwięcej wersji twojej historii. Wiem, że nie tak się umawialiśmy.

– Nie zgadzam się – oświadcza Amber z urazą w głosie. – Jeżeli chce ją mieć, straci mnie. Rano stąd znikam. Zatrzymam się u znajomych, gdzie mnie nie znajdzie.

Pojadę z tobą, myśli Greta, lecz głośno mówi:

– Podpisałaś kontrakt. Zapłacili ci. Jeżeli teraz wyjedziesz, będziesz musiała zwrócić te pieniądze. Możesz to zrobić?

Amber wydaje jęk frustracji, uderza gołymi piętami o podstawę łóżka, które wydaje głuchy odgłos.

– Jasne, że nie.

– Przykro mi. – Greta mówi prawdę. Nie pierwszy raz musi przeproszać za Federicę.

Oczy Amber zwężają się, dziewczyna zagryza dolną wargę.

– Dobra – rzuca. Podrywa głowę i spogląda na Gretę. – W porządku. Zrobię to, co ona chce. Zgodzę się, o ile nie będzie mieszać do tego mojej matki. Wrócę tam.

– Przecież mówiłaś...

– Mam gdzieś, co mówiłam. Wszystko mam już gdzieś. Zadzwoń do niej, Greto, i powiedz, że jedziemy do Szkocji. Nakręci mnie w tym pieprzonym domu, a ja opowiem, co się tam wydarzyło.

2016

Telefony zaczęły się w sobotę wczesnym rankiem, gdy Sadie jeszcze spała. Za pierwszym i drugim razem Miles nie odebrał. Siedział i patrzył, jak jego komórka wibruje na kuchennym stole, a wyświetlacz to się zapala, to gaśnie. Bezgłośny alarm.

Ktoś dzwonił z nieznanego numeru – mógł to być automat z nagraniem reklamą ubezpieczenia spłaty kredytu albo handlowiec na chybił trafił szukający klienta, ale Miles wiedział swoje. Wiedział, że dzwoniący jest tą samą osobą, która przysłała mu tamte e-maile. Podpisującą się „KtośWyjątkowy”.

Dlatego wyłączył telefon. Na pewien czas zdało to egzamin. Miles pozmywał naczynia po wczorajszej kolacji i wyszorował przypalone naczynie do zapiekaneek. Sadie tymczasem wstała. Ledwo usłyszał jej kroki nad sobą, od razu nastawił kawę. Zawsze tak funkcjonował: odhaczał kolejne zadania z listy. To był jedyny sposób: żyć normalnie, zbudować wokół siebie mur normalności.

Ale każdy mur można sforsować.

Kiedy Sadie, ze ściągniętą, pobladłą twarzą, zeszła na dół, Miles podał jej kubek z kawą. Własny uśmiech wydał mu się nienaturalny, poczuł więc ulgę, kiedy się odwróciła i usiadła, a on mógł wreszcie przestać się uśmiechać.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała, bardziej do siebie niż do niego. Spojrzał na jej zgarbioną sylwetkę przy stole i już wiedział. Pozwolił, aby to trwało – pozwolił jej odejść, na litość boską! – zamiast zdjąć z niej to brzemień i wszystko jej wytłumaczyć. Teraz nie było już ucieczki. Ten czas dawno minął. Prześladowujące ich upiory nie dały się uciszyć.

Zrobił więc żonie śniadanie. Skosił trawnik, posprzątał w szopie ogrodowej, wypielili rabaty. Kiedy splukiwał z dłoni ziemię pod kuchennym kranem, ręce trzęsły mu się niepoohamowanie. Nie potrafił się zmusić, żeby spojrzeć na swoje odbicie w oknie. A gdy Sadie stanęła za nim i niepewnie dotknęła jego pleców, nie zdołał powstrzymać wzdrygnięcia.

Kiedy nie zostało już nic więcej do uprzątnięcia ani naprawienia, Miles zamknął się w swoim gabinecie i oparł plecami o drzwi. Wciągnął w nozdrza lekki zapach drewna licząc, że doda mu on sił. Nie mogąc dłużej wytrzymać, włączył komórkę. Przez minutę panowała cudowna cisza, po czym aparat zawibrował w jego dłoni – raz, drugi. Esemes od Amber z prośbą, żeby ją odebrał od Billie. Oraz wiadomość głosowa.

Miles miał ochotę natychmiast ją skasować, ale jaki byłby tego sens? Ten ktoś zostawiłby następną.

Kliknął na ikonkę i przyłożył telefon do ucha. Z bijącym sercem czekał na połączenie z pocztą głosową. „Masz jedną nową wiadomość” – powiedział automat i Miles ponownie wytarł pot z karku.

– Miles, to ja. – Głos miała spokojny, chłodny i melodyjny jak szmer przelewającej się po kamieniach wody. Zmyliła go jej łagodność. Nie tego się spodziewał. – Naprawdę chciałbym porozmawiać. Ja... – Zniżyła głos; rozległ się trzask zamykanych drzwi, słychać było dziewczęcą paplaninę z telewizora grającego w tle. – Ja wszystko wiem. – Żołądek mu się ścisnął, połówka zjedzonej na śniadanie kanapki podeszła mu do gardła. Z wrażenia niemal umknęło mu ostatnie, dodane szeptem zdanie: – Chcę dać ci szansę, żebyś się wytłumaczył.

Drżącymi palcami skasował wiadomość i spróbował sklecić odpowiedź do Amber, ale głos kobiety rozbrzmiewał echem w jego głowie. „Chcę dać ci szansę, żebyś się wytłumaczył”. Jakby to było takie proste.

Opadł na fotel i zrozpaczony spojrzał na komputer. Gdyby tylko nie otrzymał tamtego e-maila. Gdyby mógł cofnąć się do tamtych pierwszych tygodni po powrocie Sadie do domu, gdy w pracy dobrze mu szło i nic

(nareszcie!) im nie zagrażało. Nikt nie próbował sforsować muru.

Za jego plecami rozległo się pukanie do drzwi, co przyprawilo go o jeszcze szybsze bicie serca. Przeciagnął palcami po włosach, usiłując przywołać neutralny wyraz twarzy, wygładzić zmarszczki wywołane zmartwieniem. Sadie nacisnęła klamkę, a gdy drzwi mimo to się nie otworzyły, poruszyła nią gwałtownie w górę i w dół.

– Miles? Co ty tam robisz?

Wziął głęboki oddech i wpuścił ją do środka.

– Wybacz. Klamka czasami się zacina. Już dawno miałem ją zdjąć i sprawdzić, o co chodzi.

Spojrzała na niego, a on poczuł przemożne pragnienie, aby chwycić ją za rękę, wrzucić trochę rzeczy do torby i po prostu wyjechać. Mknąć przed siebie, byle dalej stąd. Tak daleko, jak tylko się da.

Naturalnie było to nierealne, bo mieli jeszcze Amber.

Objął więc żonę ramionami i przycisnął do piersi. Mocno – zbyt mocno; poczuł, jak przytulone do niego ciało Sadie sztywnieje. Wdychał zapach jej włosów i czuł nierówne uderzenia jej serca przy swoim.

Odsunęła się od niego i spojrzała mu prosto w oczy.

– Co się dzieje? Co ci jest?

– Nic. – Potarł twarz dłonią, żałując, że nie może się nią zasłonić ani za nią ukryć. – Przepraszam. Jestem zmęczony.

Całkiem oderwała się od niego i podeszła do okna.

– Ciągle tam jest – wymamrotała. – Co on wyprawia?

– Kto? – Miles wyjrzał ponad jej ramieniem na drogę przed domem, czując narastającą panikę. – Nikogo tam nie ma, Sadie.

Wcale nie był tego taki pewien. Teraz istotnie nikogo nie było, ale czy chwilę wcześniej nie mignęła mu czyjaś sylwetka? Pot znowu pokrył mu kark kłującymi igiełkami, perlił się nad górną wargą. Zanim zdołał się powstrzymać, poczuł przyływ dobrze znanej furii.

– Powinnaś się umówić na wizytę do innego lekarza, Sadie. Wbrew temu,

co stwierdził poprzedni, najwyraźniej znowu ci odbija.

Szarpnęła się do tyłu, jakby ją spoliczkował. Ogarnęło go zadowolenie. Ostatecznie to ona była wszystkiemu winna.

Amber czekała na niego, przysiadłszy na niskim murku wytyczającym granicę parku. Głowę miała jak zwykle pochyloną nad ścisną w ręce komórką. Za jej plecami świeciło słońce, bezlitosne niebo porażało błękitem. Miles zatrzymał samochód przy krawężniku i zatrąbił, żeby przyciągnąć jej uwagę. Patrząc, jak zsuwa się z murku i biegnie do niego w podskokach, przypomniał ją sobie w wieku pięciu lat, kiedy szalała na placu zabaw, aż jej fruwały kucyki. Wtedy też się tak uśmiechała: dziwnie, jakby ukradkowo. Poczul w piersi wielki ciężar i z trudem powstrzymał łzy.

– Cześć, tato. – Z westchnieniem padła na siedzenie pasażera i zatrasnęła za sobą drzwi. Nie była jeszcze taka wysoka jak Sadie, lecz jej nogi wydawały się nienaturalnie długie, a całe ciało dziwnie wyciągnięte.

Usłyszał własny głos mówiący:

– Cześć, córeczko. – Zmusił się do przełknięcia dławiącej go w gardle guli. – Odebrałbym cię z domu Billie. Nie musiałaś tutaj czekać.

Wzruszyła ramionami.

– Musiały gdzieś wyjść.

– Aha. Rozumiem.

– À propos – rzuciła Amber, blokując swój telefon. – Mogę pojechać z nimi na krótkie wakacje?

Jakiś samochód zwolnił na skrzyżowaniu, mijając ich. W szybie mignęła blada twarz i Milesa przeszył nagły strach. Gula w gardle znowu urosła, groziła uduszeniem. Jednym uchem słuchał tego, co mówiła Amber.

– Nie wiem. Kiedy?

– No, jutro. – Amber parsknęła zażenowanym śmiechem. – Jadą na kilka dni do Szkocji. Mamy teraz przerwę semestralną, zapomniałeś? To co, mogę?

– Hm... – Miles starał się skoncentrować na słowach córki, ale zdawały

się należeć do świata, którego częścią właśnie przestał być – świata wakacyjnych wyjazdów, wolnego od zjaw i upiorów. Nie mógł pozwolić, żeby Amber to zauważyła. – Tak, oczywiście. Czemu nie? To brzmi bardzo ciekawie.

– Serio? – zdziwiła się. Najwyraźniej nie oczekiwała, że tak łatwo jej pójdzie.

– Pewnie. Dam ci trochę pieniędzy, żebyś mogła sama płacić za napoje, jedzenie i tym podobne rzeczy.

– Ekstra. – Z jakiegoś powodu, którego nie pojmował, wyczuł w jej głosie rozczarowanie; może liczyła na sprzeczkę? – Dzięki, tato.

– Nie ma za co. Zasłużyłaś na odpoczynek. Ciężko pracowałaś w tym semestrze.

Nie wiedział, czy faktycznie tak było. Nie potrafił sobie teraz przypomnieć niczego, co mówiła mu o szkole, nie wiedział nawet, czy w ogóle ją o to pytał. W tym konkretnym momencie zależało mu jedynie na tym, żeby Amber znalazła się jak najdalej stąd, jak najdalej od domu, od niego, od Sadie. Chciał tylko, żeby jego córka była bezpieczna.

2018

Wyruszają nazajutrz wynajętym minivanem, który Federica zdołała jakimś czarodziejskim sposobem podstawić o świcie pod hotel. Reżyserka, ubrana na podróż w legginsy i za dużą bluzę, wita ich promiennym uśmiechem na podziemnym parkingu. Amber kompletnie ją ignoruje; na głowę naciągnęła kaptur, ręce wbiła w kieszenie. Greta większość energii wciąż musi poświęcać na powstrzymywanie wymiotów. Tom, w czapce z daszkiem opuszczonym nisko na oczy, ładuje sprzęt do bagażnika. Grecie ścisza się żołądek, gdy myśli o jego dłoniach na swoim ciele, o swoim obnażonym brzuchu i starym, wypłowiałym biustonoszu. A kiedy Tom odwraca się i zauważa, że nadchodzą – Amber guzdrze się z tyłu – Greta ma ochotę odwrócić się na pięcie i uciec.

Udaje jej się jednak podnieść rękę w geście powitania i wymamrotać ogólne „dzień dobry”. Całą siłą woli stara się nie rumienić. Próbuje nie myśleć o ich pierwszym pocałunku przy stoliku w barze, o tym, że przysunęła krzesło, żeby być bliżej niego. O jego palcach na swojej twarzy, jego klatce piersiowej i udach. O tym, jak całowała się z nim w windzie, czując pod plecami zimne lustro. Jej żołądek po raz kolejny wywija fikołka, gdy Tom odwzajemnia pozdrowienie ruchem uniesionej ręki, a potem odwraca się do nich tyłem.

Amber, która właśnie bierze ją pod rękę, nie pozwala jej się skupić. Grecie przypominają się czasy, gdy miała trzynaście lat, a jej rówieśnice przechadzały się w ten sposób podczas dużej przerwy. Krążyły po boisku niczym pary wiktoriańskich narzeczonych, bardzo z siebie zadowolone, podczas gdy inne dziewczęta (w tym Greta) dreptały samotnie za nimi. Chude ramię Amber wydaje się zaskakująco mocne, ostry łokieć dźga Grete

w bok. Dziewczyna zaciska dłoń na przedramieniu Grety, napięta skóra na jej knykciach jest biała i popękana, między drugim a trzecim palcem widnieje cienka, jasna blizna. Z bliska Amber pachnie dymem z papierosów, żelem pod prysznic i dietetyczną colą.

– Dzień dobry, dziewczęta! – Federica podchodzi do nich z wyciągniętą ręką, jakby chciała objąć plecy Amber, lecz w ostatniej chwili rezygnuje. Uśmiech nie schodzi z jej twarzy. Gestem zaprasza je do auta. – Wsiadajcie i ruszamy.

– Już się nie mogę doczekać – mamrocze Amber, puszcza Gretę i ponownie wbija ręce w kieszenie.

Wnętrze minivana również czuć papierosami, szare pokrowce na siedzeniach są przetarte i noszą ślady końcówki ręcznego odkurzacza. Greta wsuwa się na tylne siedzenie, żałując, że wzorem Amber nie wzięła ciemnych okularów. W samochodzie jest mnóstwo wolnych miejsc, lecz dziewczyna wybiera środkowy fotel z tyłu, tuż obok Grety. Naciąga kaptur na czoło i garbi się, opierając stopy o umieszczony przed sobą uchwyt na kubek. W trampkach ma błyszczące jaskraworóżowe sznurówki, krawędzie jej podeszew są brudne i poplamione.

Luca zajmuje siedzenie przed nimi i podnosi oparcie fotela, odgradzając Gretę i Amber od pozostałych.

– Jest za wcześnie – jęczy i kładzie się w poprzek na rozłożonym środkowym siedzeniu.

– Nie przeszkadzaj sobie, Luc – rzuca Tom i zasuwa boczne drzwi. Siada z przodu na fotelu pasażera i zatrząskuje drzwiczki po swojej stronie. Greta stara się nie myśleć o tym, jak zataczając się, wypadli z windy na korytarz, a ona nieporadnie rozpięła pasek przy jego spodniach.

– No to w drogę! – Federica przekręca kluczyk w stacyjce. – Czeka nas dłuższa przejażdżka. Ktoś ma jakieś życzenia, jeśli chodzi o muzykę?

– Żadnej muzyki. Jest za wcześnie. – Luca zrzuca buty na podłogę i układa się na wznak. Zanim zdążą zjechać z północnej obwodnicy, on już

(głośno) chrapie. Amber odwraca się bokiem do Greta i milczy; też próbuje zasnąć albo udaje. Greta opiera głowę o szybę i obserwuje, jak jednostajnie szare niebo powoli jaśnieje, a chmury zaczynają przepuszczać słońce.

Podczas robienia dokumentacji widziała zdjęcie tego domu – prawdę mówiąc, setki zdjęć. Miesiącami siedziała w swoim małym biurze w wynajętym mieszkaniu Millie i Federiki, przeglądając nieostre fotki prasowe, stare ogłoszenia internetowe, fotografie, które przedstawiono w sądzie jako dowód. Greta czuje się inaczej niż wtedy w Teksasie, gdy po raz pierwszy jechała z hotelu do domu Millerów – w dusznym upale, z mocno bijącym sercem. Miejscowi nazywali tamto miejsce Domem Zbrodni; podwórko zostało rozkopane i na ziemi wciąż poniewierały się fragmenty taśmy policyjnej. Nikt nie wiedział, co zrobić z budynkiem oznaczonym zbrodnią. Rok po zakończeniu zdjęć, w trakcie jednej z cotygodniowych rozmów telefonicznych z Hayley, Greta dowiedziała się, że został zburzony, a teren wokół zalany betonem. Powstał tam później parking dla reszty wymarłej ulicy, z jej ruderami o pustych gankach i powybijanych oknach. W ostatecznej wersji filmu *Moi rodzice to mordercy* znalazło się mnóstwo ujęć tamtych chałup, odwróconych tyłem do znajdującego się u wylotu ulicy domu Millerów. Koślawo rosnące drzewa i kolczasty żywopłot skrywały podwórko i wszystko, co się na nim działo. Greta pamięta puste pokoje i tabliczki z numerkami pozostawione na zakurzonej podłodze przez policyjnych fotografów. Deski wymieniono, lecz ich sekrety zdążyły wcześniej wyjść na jaw.

Nie, tym razem jest całkiem inaczej, gdy jadą na północ, do domku w Szkocji, w którym Amber Banner została morderczynią. Greta odczuwa jedynie smutek.

Dlatego gdy godzinę później Federica zajeżdża na stację benzynową po trzecią tego ranka kawę, tak bardzo ją tym zaskakuje, że nagle brak jej powietrza i musi natychmiast wysiąść z samochodu. A potem, odwrócona plecami do auta, wymiotuje na spłachetek szorstkiej trawy za dystrybutorami

paliwa.

Z dziennika Leanny Evans [fragment E]

Wstałyśmy o świcie, żeby móc już przed szóstą wstąpić po Amber. Billie marudziła; nigdy nie należała do rannych ptaszków, a ja niestety byłam zbyt spięta i zdenerwowana, żeby tolerować jej lamentsy. Tego dnia jak nigdy dotąd byłyśmy o krok od kłótni i chyba obie odetchnęłyśmy z ulgą, gdy w końcu ruszyłyśmy sprzed waszego domu. Stałaś w drzwiach, żeby pomachać nam na pożegnanie, z ziemistą, ściągniętą twarzą, w starej, znoszonej podomce. Wyglądałaś fatalnie. Żałośnie. Przykro mi, że mówię to tak otwarcie. Wydawałaś się udręczona, pokonana. Jakbyś najchętniej się położyła i czekała na to, co ma się wydarzyć. Jakbyś już się z tym pogodziła.

Mogłam poczekać, aż Amber wsiądzie, a potem od razu odjechać. Jestem pewna, że właśnie na to liczyłaś; wczesny ranek to niekoniecznie odpowiedni czas na wymianę uprzejmości i towarzyskie pogawędki. Wiedziałam jednak, że to może być nasze ostatnie spotkanie, dlatego wysiadłam z samochodu i przeszłam po krótkim podjeździe, ani na moment nie odrywając od Ciebie oczu.

Zabawne, że Ty też nie spuszczałaś ze mnie wzroku, Sadie.

Uśmiechnęłam się. Ty również. Poczułam się niemal tak, jakbyśmy wreszcie przestały udawać i dotarły do kresu. Ale nie byłaś jeszcze całkiem gotowa. Powiedziałaś:

– Bardzo ci dziękuję, Leanno, że zaproponowałaś Amber wspólny wyjazd. Jest taka podekscytowana.

Postanowiłam grać według Twoich reguł. Odparłam:

– Nie ma za co. My też się cieszymy, że z nami jedzie.

Mówiłam prawdę. A zarazem każde moje słowo było kłamstwem.

Pamiętam, że usiłowałaś wcisnąć mi pieniądze. Napełniło mnie to wstrętem; może nawet się zorientowałaś, bo ledwo wyciągnęłaś rękę, zaraz przycisnęłaś banknoty z powrotem do piersi, zanim ich zwitek zdołał

pokonać połowę dzielącej nas odległości.

– Weź je, proszę – próbowałaś jeszcze nalegać słabym, niepewnym głosem. – Na jedzenie i benzynę.

– To nie jest konieczne – odrzekłam lodowato. Wiem, jak to zabrzmiało, bo dostrzegłam zmianę w wyrazie Twojej twarzy. Ale poczułam się zraniona, Sadie, bo podeszłaś do naszej rozmowy tak prozaicznie, bez żadnego polotu. Jakby tego rodzaju dług można było spłacić pieniędzmi.

– No cóż, w takim razie jeszcze raz dziękuję – powiedziałaś takim tonem, jakbyś mówiła zupełnie szczerze. Zupełnie nie mogłam tego pojąć. Naprawdę wydawałaś się być wdzięczna; było jasne, że tego właśnie chcesz. Że jesteś gotowa znowu zostać sama.

Wróciłam do samochodu. Z czubka głowy zdjęłam okulary przeciwsłoneczne i wsunęłam je na nos. Podkręciłam radio i ruszyliśmy w drogę. Obserwowałam Cię w lusterku wstecznym: nawet nie odprowadziłaś nas wzrokiem. Drzwi zamknęły się za Tobą, zasłony w oknach Twojego domu pozostały zaciągnięte.

I tyle.

Tak łatwo było zabrać Ci córkę, Sadie. Człowiek z Lasu musi być ze mnie dumny.

Po dziesięciu minutach jazdy obie dziewczynki już spały, z głowami pochylonymi ku sobie i ramionami przykrytymi kocem. Cóż to był za piękny widok, Sadie. Żałuję, że nie zrobiłam im zdjęcia, bo mogłabyś sama się przekonać. Żałuję, że nie mogę otworzyć Ci oczu.

Spały tak przez kilka godzin, jak to nastolatki. Postanowiłam ich nie budzić, dopóki nie znajdziemy się bliżej Glasgow. Te samotne godziny za kółkiem były absolutnie wyjątkowe. Łagodne wzgórza przede mną i dwie dziewczynki o gładkich buziach, których sen zdawał się nie mieć końca. Kiedy przekroczyłyśmy granicę Szkocji, odczułam to niemal fizycznie: jak akt separacji. Zostawiłam za sobą „Leanne”, stając się – nie dawną mną, ale kimś podobnym. Zrzuciłam z siebie, niczym starą skórę, wszystkie te

miesiące i lata. Mogłam odbudować to, co straciłam. Zacząć od początku.

Najchętniej jechałabym tak jak najdłużej, przez całą wieczność, ale wiedziałam, że byłoby nie fair pozwolić im spać. Tak samo jak ja stanowiły część tej historii i powinny być jej świadkami. Dlatego je obudziłam, bardzo łagodnie. Ściszyłam radio i zawołałam je po imieniu. Cztery sylaby, w parach po dwie, zsunęły się z mojego języka jak jedwab. Billie. Amber. Jak dwie pary skrzydeł. Moje dziewczynki-motyle.

Poruszyły się. Zgodzisz się ze mną, że to za każdym razem wyjątkowe przeżycie: patrzeć, jak dziecko budzi się ze snu. Rozluźniona po spoczynku twarz zmienia się, gdy z wolna powraca świadomość, rysy przeistaczają się i nabierają ostrości, aż wreszcie powoli, powolutku rozchylają się powieki. Obserwowanie tego nigdy mnie nie znudzi.

Ty naturalnie nigdy tego nie widziałaś, prawda? Nie tuliłaś dziecka i nie patrzyłaś, jak się budzi. Naprawdę, żal mi Ciebie, Sadie. Chyba nie wiedziałaś wtedy, z czego w istocie rezygnujesz.

– Jesteśmy na miejscu? – spytała Billie; nie otworzyła jeszcze oczu. Amber, która tymczasem dźwignęła się do pozycji siedzącej, roześmiała się, ziewając jednocześnie. Odparłam, że przed nami jeszcze jakieś pół godziny drogi i że zatrzymamy się wkrótce, żeby coś przekąsić.

Amber poruszyła szyją, żeby rozciągnąć mięśnie karku i raz jeszcze ziewnęła, łowiąc moje spojrzenie w lusterku wstecznym. Dostrzegłam uśmiech w jej oczach, w policzkach utworzyły się małe dołeczki. Może ponosi mnie wyobraźnia, ale poczułam się tak, jakbyśmy były cichymi współpracownikami. Zupełnie jakby na to czekała; jakby wiedziała, że tak właśnie ma być. Że wszystko jest tak, jak należy.

W przydrożnej restauracji zamówiła pełne śniadanie, podczas gdy Billie, jak to ostatnio zwykle bywało, wybrała naleśniki. Ja poprosiłam o czarną kawę i sałatkę owocową, którą podano w wyszczerbionej salaterce. Dziobałam ją od niechcienia widelcem, zbyt podekscytowana, żeby jeść. Zachowywałam się jak dziecko, które aż ściska w dołku z podniecenia

i które nie może się skupić. Oczywiście robiłam co w mojej mocy, żeby to ukryć.

– Spodoba ci się w domku, Am – odezwała się Billie, nabijając na widelec trzy kawałki naleśnika naraz i zanurzając je w kałuży syropu klonowego. – To najpiękniejsze miejsce pod słońcem.

Moment wydał mi się właściwy, aby przekazać im nowiny. Oznajmiłam, że domek, który zwykle wynajmowałyśmy, jest zajęty, ale znalazłam coś znacznie lepszego. Żadna nie miała zastrzeżeń. Zakręciło mi się w głowie, miałam ochotę śmiać się jak głupia. Czułam się wolna. Patrzyłam na łagodne zielone wzgórza po drugiej stronie drogi i nareszcie – nareszcie! – mogłam swobodnie oddychać.

Dojechałyśmy na miejsce jakieś dwie godziny później, z czego przez ostatnie trzydzieści minut telepałyśmy się wyboistą gruntową drogą okrążającą cudowne, błyszczące w słońcu Loch Earn. Na widok jego piękna obie dziewczynki dosłownie oniemiały; przypuszczam, że tkwiąc tyle czasu w samochodzie, musiały być też zmęczone i rozdrażnione, lecz wydaje mi się, że naprawdę podziałała na nie magia jeziora. Trzeba by je zobaczyć na własne oczy, Sadie, żeby uwierzyć, iż coś równie wspaniałego faktycznie istnieje. Choć jestem pewna, że Ciebie akurat nie muszę o tym przekonywać. Szczęście ogarniało mnie, ilekroć wyobrażałam sobie, jak stoisz na brzegu, obejmujesz spojrzeniem bezmiar srebrzystych fal i rozmyślasz. Wypatrujesz. Szukasz nas tak, jak ja szukałam Ciebie.

Dom stał na szczycie stromego podjazdu, ukryty przed naszym wzrokiem przez zwisające nisko gałęzie drzew i rozpleniony wiciokrzew. Żeby do niego trafić, musiałam maksymalnie zwolnić. Bałam się, że coś pomyliłam, jeśli chodzi o trasę, po czym pokonałam zakręt i oto był: maleńki, idealny, z bielonymi ścianami. Odetchnęłam z ulgą i znów napotkałam w lusterku utkwiony we mnie wzrok Amber. Nie była chyba pod takim wrażeniem jak ja, ale nie szkodzi. Wiedziałam, że z czasem wszystko zrozumie.

Wysiadłyśmy z samochodu, całe zeszywniałe, i rozejrzałyśmy się

dokoła. Teren wokół domu obniżał się stromo, porośnięty janowcem i niskimi krzewinkami. W dole rozciągało się olbrzymie, wzburzone jezioro otoczone górami.

Billie wdrapała się na niewielki rozchwiany ganek z boku domu i wychyliła przez poręcz, żeby mieć lepszy widok. Amber stanęła obok niej. Możesz sobie wyobrazić, jak się przeraziłam. Wiem, że krzyknęłam: – Ostrożnie! – patrząc z walącym sercem na złamaną poręcz i morze janowca poniżej, na co obie tylko przewróciły oczami. Wiedziałam, że muszę opanować strach, swoją potrzebę, aby je chronić. Odwróciłam się i zajęłam poszukiwaniem klucza – właściciel zapowiedział, że schowa go od frontu pod doniczką, których było tutaj całe mnóstwo. Wielkich, ceramicznych i bardzo ciężkich. Zanim odnalazłam tę właściwą, dziewczynki zeszły z tarasu i niebezpieczeństwo minęło. Znowu mogłam odetchnąć.

Podeszłam do wejścia i włożyłam klucz do zamka. Dziewczynki deptały mi po piętach. Drzwi otworzyły się gładko; powitało nas tchnienie świeżego, zimnego powietrza, zapach suchego drewna na opał i czystej pościeli. Zatrzymałyśmy się w progu, żeby wzrok przyzwyczał się do ciemności. W półmroku majaczyły kamienne płyty podłogi i schody z poręczą z ciemnego drewna, niski sufit i przykurzone na pierwszy rzut oka dywaniki. Jednak gdy weszłyśmy dalej do środka, okazało się, że z okna w salonie roztacza się fantastyczny widok na jezioro z łodziami niczym białe kropeczki, zaś kuchnia jest czysta i dobrze wyposażona. Otworzywszy lodówkę, znalazłam na półce w drzwiczkach butelkę chardonnay i – to Ci się spodoba, Sadie, sama zrobiłabyś dokładnie to samo – pomyślałam: „Czemu nie?”. Wyjęłam butelkę i nalałam wina do jednego z tanich małych kieliszków, które znalazłam w szafce. Piętro wyżej dziewczynki skakały po drewnianych deskach podłogi. Rozległ się łomot upuszczanej torby, a potem pisk, gdy któraś z nich padła na jedno z dwóch łóżek w przeznaczony dla nich sypialni – urocze dźwięki, normalne odgłosy rodzinnego domu. Każda cząstka mojego ciała śpiewała z radości.

Wzięłam kieliszek, wróciłam do salonu i raz jeszcze wyrzałam przez okno na wody jeziora. Było takie ogromne. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. A do tego ciemne i głębokie; mówią, że jego głębokość równa się szerokości. Aż trudno to sobie wyobrazić.

To miejsce wydawało się wręcz idealne, Sadie.

Zrobiłam zapiekankę pasterską, wykorzystując pozostawione specjalnie dla nas w lodówce mielone mięso i kilka mączystych ziemniaków. Wewnątrz były jeszcze dwa czerwone wina; zanim nakryłam do kolacji, zdążyłam opróżnić butelkę białego i byłam gotowa na więcej. Przypuszczam, że Tobie moje zachowanie może się wydać normalne czy wręcz naturalne, ale dla mnie to była nowość. Za bardzo dawałam się ponieść podnieceniu, dzieliłam skórę na niedźwiedziu, jak to mówią. Było to niebezpieczne, mimo to od lat nie czułam się równie odprężona. W nagrodę nalałam obu dziewczynkom po kieliszku.

– Nastaw jakąś muzykę, Amber – poprosiłam, a ona podłączyła swój telefon do wieży w kącie i zaskoczyła mnie, wybierając zamiast jakiegoś nowego hitu kawałek Frankie Valli and the Four Seasons.

Usiadłam u szczytu stołu i tłumiąc czkawkę, zaproponowałam, żeby Billie nas obsłużyła. Byłam pijana – zbyt pijana. Ale niczym nie ryzykowałam. Po raz pierwszy od dawna czułam się bezpieczna.

Billie wstała i – nagle onieśmielona – zaczęła ostrożnie kroić zapiekankę pod ostrzałem naszych bacznych spojrzeń. Zdradzały ją takie oznaki zażenowania jak nagłe wykwity czerwieni rozlewające się po policzkach, drżący i łamiący się nieoczekiwanie głos. Najbardziej w niej kocham właśnie tę czystość, brak jakiegokolwiek udawania. Billie ujęła chochlę i nieporadnie spróbowała nabrać pierwszy, nierówno ucięty kawałek zapiekanki.

– Uważaj – powiedziała Amber; w porę zauważyła zagrożenie i przysunęła talerz, żeby przechwycić zsuwającą się z chochli porcję. – Wielkie dzięki, Leanno. Wygląda wspaniale.

Uśmiechnęłam się do niej, po prostu. Upajałam się tym rozkosznym poczuciem bliskości, swobodną atmosferą, niezwykłą urodą tego miejsca. Wrażeniem, że coś się kończy, a zarazem zaczyna. Jej miejsce jest tutaj, wszystkie tu przynależymy. I oto jesteśmy.

Dziewczynki zasiadły nad pełnymi talerzami, a ja upiłam łyk wina. Straciłam apetyt, ale to mi nie przeszkadzało. Rozgarniałam widelcem zapiekankę, z rzadka podnosząc do ust jakiś kąsek. Pozwalałam, aby ich nieskomplikowana, nudna paplanina o muzyce i najnowszych plotkach spływała po mnie niczym woda z rozkołysanego jeziora.

Popełniłam błąd, Sadie. Wiem, że to może Cię zdziwić. Byłam za bardzo zrelaksowana, dopuściłam, by granica pomiędzy tym, co myślę, a tym, co mówię, zatarła się do tego stopnia, że przestałam kontrolować słowa wydobywające się z moich ust.

Nazwałam ją Anną, Sadie. Nie uważałam, zajęta myślami o Tobie i o tym, co wydarzyło się przed laty, a kiedy się ocknęłam, dotarło do mnie, że padło jakieś pytanie. Zobaczyłam, że dziewczynki patrzą na mnie wyczekująco, i zanim się obejrzałam, wymknęło mi się:

– Wybacz, Anno, o co pytałaś?

Amber tylko dziwnie na mnie spojrzała, zbyt dobrze wychowana, żeby coś powiedzieć; za to Billie zapiszczała:

– Mamo! Przecież to nie Anna, tylko Amber!

Obróciłam wszystko w żart, tłumacząc, że zmęczyła mnie długa podróż. Amber przyjęła moje wyjaśnienie ze spokojem i wyrozumiałością. Przypuszczam, że widok pijanej matki nie jest dla niej niczym nadzwyczajnym – zgodzisz się ze mną, prawda? Billie dla odmiany nie przestawała mi się przyglądać, wyraźnie wytrącona z równowagi. Amber ponownie próbowała wciągnąć ją do rozmowy, lecz atmosfera już się zmieniła, ledwo dostrzegalnie, ale jednak. Staralam się to naprawić, przywrócić poprzedni beztroski nastrój. Mówiłam o tym, co możemy razem robić, o wycieczkach, na które mogłybyśmy się wybrać. Nie spodziewałabyś

się zapewne, że to je zainteresuje, ale zainteresowało. Tam, nad jeziorem, jakby na nowo stały się dziećmi. Cieszyły się, że są w domku, w pięknej okolicy, traktowały to jak wspaniałą przygodę. Zaczęłam się znowu rozluźniać.

Muzyka umilkła i Amber wstała, żeby nastawić coś innego. Spojrzałam na Billie, żeby ją uspokoić; widziałam, że wciąż gnębi ją moje przejęzyczenie. Usłyszałam okrzyk Amber – Ups! – a gdy się odwróciłam, moja torebka leżała przewrócona na podłodze, z rozsypaną zawartością. W całym zamieszaniu musiałam ją zostawić na kuchennym blacie. Umysł miałam zamroczony winem, dlatego widząc, że Amber schyla się, żeby pozbierać moje rzeczy, nie ruszyłam się z miejsca. Siedziałam, uśmiechając się do muzyki, którą wybrała – tym razem był to przebój Madness. Nie sądzę, abyście słuchali go z Milesem w waszym domu; to byłoby chyba zbyt bolesne. Na myśl o Tobie znów ogarnęło mnie współczucie i rozlało się po moich rozgrzanych alkoholem wnętrznościach.

A potem zrozumiałam, Sadie. Wszystko do mnie dotarło.

Zerwałam się z krzesła, czując, że nogi się pode mną uginają, i odepchnęłam ją na bok. Chyba krzyknęłam też: – Zostaw to! – chociaż nie jestem pewna. Za bardzo mi zależało, żeby przechwycić to, co się wysypało i wepchnąć z powrotem do torebki. Ochłonęłam dopiero, gdy Billie powiedziała: – Mamo. – Gapiła się na mnie z szeroko otwartą buzią. Przyciskając do piersi torebkę, zerknęłam na Amber. Ona też mi się przyglądała, lecz wyraz twarzy miała obojętny; może była nieco zaciekawiona, ale z pewnością się nie bała.

Niełatwo ją przestraszyć, prawda?

Przeprosiłam i rzuciłam jakiś naiwny tekst o niespodziance, którą dla nich szykuję. Billie od razu dała się nabrać i ponownie skupiła się na jedzeniu. Amber natomiast wróciła na swoje miejsce i dalej mi się przyglądała. Czujna, daleka od lęku. Ona mnie widzi, Sadie. Widzi mnie, jest tutaj i wszystko potoczy się tak, jak powinno.

2016

Billie od kilku godzin spała jak suseł, wyciągnięta płasko na wznak. W domku dawno ucichły wszelkie odgłosy, stłumione skrzypnięcia oraz postukiwania i Amber, całkowicie rozbudzona, w głębi ducha cieszyła się z chrapania koleżanki. Ta cisza przyprawiała ją o dreszcze. Była tak totalna, że aż nie do zniesienia. Ciężka niczym głąz. Uświadamiała Amber, jak daleko jest stąd do najbliższego miasteczka, do najbliższych zabudowań.

Sadie mieszkała kiedyś na podobnym odludziu – pewnego wieczoru, pijana, wspomniała o tym Amber, gdy musiała ją poprosić o ponowne podłączenie jej komórki do sieci wi-fi. „Nie nawykłam do takich luksusów – wyjaśniła. – Przyzwyczaiłam się do mieszkania w miejscu, do którego autobus dojeżdżał trzy razy w tygodniu”.

Choć nie zabrzmiało to jak przechwałka, Amber zapamiętała, że poczuła się urażona, jakby Sadie próbowała jej udowodnić, jaka jest niezależna i jak to nie potrzebuje żadnych gadżetów ani towarzystwa, żeby przeżyć.

Wmawiała sobie, że w podobnej sytuacji poradziłaby sobie równie dobrze jak Sadie, a nawet lepiej – teraz jednak, znalazłszy się na pustkowiu, bała się ciemności i ciszy.

Nie była córką swojej matki.

Spod poduszki wyjęła telefon, który w chwili obecnej nie spełniał swojej podstawowej funkcji – nadal brakowało zasięgu, działały wyłącznie połączenia alarmowe. Amber zaczęła wiercić się niespokojnie; raz jeszcze sprawdziła, czy na liście dostępnych sieci nie pojawiło się przypadkiem w magiczny sposób jakieś darmowe wi-fi. Ostatnim razem znalazła w pobliżu tylko jedną sieć: Ardvorlich01, niestety zabezpieczoną hasłem. Przypomniała sobie, że jakąś milę albo dwie w dół gruntowej drogi mijały

rzeźbioną drewnianą tablicę z nazwą Ardvorlich House; podejrzenie wyglądająca kręta dróżka wiodła stamtąd w gęstwinę drzew. Jutro będzie musiała wybrać się na spacer w tamtym kierunku i spróbuje złapać zasięg. Miles pewnie odchodzi od zmysłów, bo nie wysłała mu esemesa z informacją, że dotarły na miejsce, chociaż są gdzie indziej, niż planowały. Amber poczuła wyrzuty sumienia, że dopiero teraz przyszło jej to do głowy; nie pomyślała, żeby wcześniej przypomnieć o tym Leannie. W dodatku aż do tej pory zamartwiała się wyłącznie tym, że Leo może chcieć się z nią skontaktować.

Leo. Na samo wspomnienie poczuła, że zalewa ją znajoma, lodowata fala przerażenia. Ten głos z dyktafonu: „Miles zagadnięty przed budynkiem biblioteki przez nieznaną kobietę”; zupełnie jakby Leo był Davidem Attenborough, obserwującym jakiś nudny, lecz zagrożony gatunek ptaka. A ona w żaden sposób nie zareagowała. Co Leo porabiał pod jej nieobecność? Czy znowu śledził jej tatę – może nawet w tym momencie? Na myśl o nim, stojącym przed ich domem, zagląającym w ciemne okna, przeszedł ją dreszcz. Instynktownie wyczuwała, że popełniła błąd i ta podświadoma pewność nagle ją przytłoczyła. Coś było nie w porządku, a ona nic nie zrobiła, żeby temu zapobiec.

Poza tym martwiła się Leanną. Matka Billie zachowywała się... inaczej, tylko tak to można było opisać. Nie chodziło o to, że przestała być miła – przeciwnie, była bardziej przyjazna i zrelaksowana niż zwykle. Amber nigdy nie widziała jej pijącej alkohol, a co dopiero mówić o dwóch butelkach wina, które Leanna opróżniła do kolacji. Rzecz w tym, że w jej zachowaniu było coś niepokojącego – w tym, jak uśmiechała się do nich nieprzerwanie, uśmiechała się i patrzyła, ogarniając to jedną, to drugą rozognionym, błędnym wzrokiem, którego Amber nie potrafiła rozszyfrować. Przypomniało jej się, jak nazwała ją „Anną”. Niby nic wielkiego, ostatecznie „Anna” i „Amber” brzmią całkiem podobnie, jednak Billie zareagowała niemal histerycznie; w całej tej sprawie było coś, co przeraziło Amber,

choć nie potrafiła precyzyjnie określić, co by to mogło być. A potem, kiedy Leanna rzuciła się przez pół pokoju, żeby podnieść zrzuconą z blatu torebkę, z jej twarzy na moment opadła maska uśmiechniętej, wstawionej gospodyni domowej. Amber nie miała wątpliwości, co się pod nią kryło: panika.

Zawsze potrafiła się zorientować, kiedy ktoś coś przed nią ukrywa.

Im więcej teraz o tym myślała, tym większych nabierała podejrzeń. Od początku coś jej nie pasowało – od dnia, w którym Billie pojawiła się w ich szkole i wybrała sobie Amber na przyjaciółkę, by włączyć się za nią krok w krok niczym wierny szczeniak. Leanna okazała się równie skora do tego, by zaprzyjaźnić się z jej dziwną matką, choć każdy, kto spędził choćby pięć minut w towarzystwie Sadie, od razu się orientował, że nie należy ona do kobiet, które chadzą na lunch; była też ostatnią osobą, którą można by zaprosić na koktajl i wymieniać się z nią przepisami kulinarnymi.

W dodatku Amber zobaczyła coś w stercie drobiazgów, które tak dogodnie wysypały się z przewróconej torebki Leanny. To oczywiste – nie lubiła niespodzianek, więc starała się, jak mogła, żeby nikt jej nie zaskoczył. Zawsze była dobra w wypatrywaniu tego, co inni próbowali ukryć. Miała fotograficzną pamięć i ze skrupulatnością technika kryminalistyki potrafiła przetrząsać jej zasoby tak, jak przeglądała zawartość Instagrama, wiedząc, gdzie i na co zwrócić uwagę. Nic więc dziwnego, że zapamiętała grubą kopertę, która wysliznęła się z modnej torebki Leanny wraz z eleganckim adresownikiem, kluczami oraz schludnie spiętymi kuponami wyciętymi z miejscowej gazety, złożoną kartkę z rezerwacją domku i jakimś paragonem. Zwróciła na nią uwagę, podobnie jak na to, że Leanna ścisnęła ją kurczowo, wkładając z powrotem do torebki.

Najważniejsze jednak, że udało jej się dostrzec pierwszą linijkę adresu na kopercie i nazwisko Sadie Banner. Siłą rzeczy musiała zadać sobie pytanie, dlaczego Leanna nosi w torebce list adresowany do jej matki, skoro raptem poprzedniego dnia się widziały.

Podniosła się ostrożnie i usiadła; sprężyny łóżka zaskrzypiały zdradziecko. Billie wymamrotała coś przez sen i Amber zamarła, czując, jak przeciąg owiewa jej nagie kostki. Kiedy Billie przekręciła się na bok i znieruchomiała, Amber wstała powoli, delikatnie stawiając stopy na podłodze. Czekwała, aż jej wzrok przywyknie do mroku.

Próbowała strofować się w myślach, że zachowuje się niepoważnie. Że powinna wrócić do łóżka i postarać się zasnąć. Lecz coś ją przynaglało, zupełnie jakby jakieś zwierzę tłuło się w jej piersi niczym w klatce. Ten list. Gruba koperta z czymś sztywnym i twardym w środku. Kto dzisiaj wysyła listy? Po co pisać epistoły do kogoś, kogo prawie się nie zna i z kim raz na tydzień jada się nudne lunche?

Pozbawiony okna podest schodów tonął w egipskich ciemnościach. Nie docierała tu ani odrobina księżycowej poświaty, która wydobywała z mroku zarysy mebli w ich sypialni. Przekraczając go, Amber czuła się tak, jakby robiła krok w przepaść i lada moment miała runąć w dół. Przystanęła na chwilę, nasłuchując własnego oddechu. W rękę ścisnęła komórkę, ale za bardzo się bała, żeby skorzystać z funkcji latarki.

Bała się, ale czego? Znów pomyślała o Sadie. O tym, co jej matka widywała w ciemnościach. O klątwie, którą została naznaczona i którą przekazała Amber. Czy tam, w kącie, gdzie zalegał najgęstszy cień, nie dostrzegła przed sekundą profilu mężczyzny? Czy przy schodach nie przykucnęła aby jakaś drobna postać? Kołysze się na piętach, wyciąga do niej rączki...

„Nie – przywołała się do porządku Amber. – Nie jesteś córką swojej matki”. Zwierzę w jej piersi przynaglało ją do pośpiechu. Zanurzyła się w ciemną paszczę korytarza. Deski podłogi milczały pod jej stopami i Amber czuła się nieważka, jakby to wszystko było tylko snem.

Drzwi pokoju Leanny zastała uchylone. Sączyło się przez nie światło nocnej lampki, rozpraszając wreszcie czerń nocy. Amber zawahała się, zdjęta nagłym lękiem, który ugodził ją w serce niczym sztylet. Instynkt ją

ostrzegał, a ona dawno nauczyła się mu ufać. Znieruchomiała. Czyżby właśnie poczuła na karku chłodne muśnięcie czyjegoś oddechu?

To tylko przeciąg – powietrze owiewało ją skądś, zewsząd. Powoli ruszyła naprzód, tak wolno, że plama światła zdawała się majaczyć nieskończenie daleko przed nią, zanim wreszcie do niej dotarła. Dłoń Amber odnalazła klamkę.

Teraz wyraźnie to usłyszała i jej tętno zwolniło: chrapliwy, jakby lekko wilgotny dźwięk, który równomiernie wznosił się i opadał. Jaka matka, taka córka – Leanna chrapała. Czując, że wraca jej pewność siebie, Amber ostrożnie popchnęła drzwi. Zapalona lampka stała na nocnej szafce, zielonkawy abażur rzucał blade światło na zasłony i falbany kapy. Leanna, całkowicie ubrana, leżała na łóżku na wznak. Jej gustowna bluzka podjechała do góry, odsłaniając fragment brzucha, zaczerwienionej skóry odgniecionej od paska dżinsów. Stopy miała białe, palce u nóg pomalowane na perłowy odcień różu. Stojąca w progu Amber przyglądała jej się przez chwilę. Potem jej wzrok przesunął się na skraj kapy, gdzie, zwrócona wnętrzem ku górze i z zagiętymi palcami, niczym przewrócony na grzbiet pajak, spoczywała dłoń Leanny, a pod nią biała koperta z uniesionym górnym skrzydełkiem. Obok leżał porzucony długopis.

Dzieliło je dziesięć kroków, może siedem. Amber przyjrzała się deskom podłogi, niepewna, czy jej nie zawiodą, a potem rozluźnionej twarzy Leanny. Mniej więcej co minutę z ust kobiety wydobywał się znajomy odgłos chrapania. W ciągu ostatniego półroczka Amber wielokrotnie widywała Sadie w podobnej pozycji (sama zresztą też nieraz ją zaliczyła). Wiedziała, że Leanna się nie obudzi. Mowy nie ma. Najprawdopodobniej przeleży tak aż do rana.

Zrobiła krok w głąb pokoju, potem jeszcze jeden. Nieoczekiwanie zdobycie tego listu stało się dla niej najważniejszą sprawą na świecie; musiała poczuć w rękach gruby papier koperty, obejrzeć jej zawartość i zrozumieć. Stała nad łóżkiem – tak blisko, że widziała wachlarz

niebieskich żyłek na szyi Leanny i drobinki zaschniętego tuszu do rzęs pod jej oczami. Powietrze wypełniał kwaśny, sfermentowany zapach, tłumiąc naturalną w tym miejscu woń pleśni i drewna. Nagle coś się zmieniło i Amber potrzebowała chwili, żeby uświadomić sobie, że w pokoju zapadła cisza.

Chrapanie ustało.

Oderwała wzrok od koperty i spojrzała w oczy Leanny, pewna, że będą otwarte, a ona ujrzy w nich nieme pytanie: „Co ty tu, kurwa, robisz?”.

Ale Leanna miała zamknięte powieki i rozchylone usta. Nastąpiła długa sekunda ciszy i całkowitego bezruchu, po czym kobieta chrząknęła, zachłysnęła się, jakby zapomniała o oddechu, i chrapanie rozbrzmiało od nowa.

Jednak wówczas list był już w ręku Amber. Ogarnęło ją głupie rozczarowanie, jakby oczekiwała, że to będzie trudniejsze. Co właściwie spodziewała się znaleźć w tej kopercie? Zaniepokoiła się, że to może być miłosne wyznanie albo jakiś prezent, w każdym razie coś bardzo osobistego. Sekret Sadie, który choć raz dla odmiany nie miał nic wspólnego z nią, Amber. Za późno – list tkwił już w jej dłoni. Palcami wyczuła w środku ten sam twardy kształt co wcześniej, nieduży i gruby. Chciała się dowiedzieć. Coś jej mówiło, że musi się dowiedzieć.

Dopiero na podeście schodów ośmieliła się głębiej odetchnąć. Z początku planowała zejść na dół, jak najdalej od Leanny i Billie, ale kiedy udało jej się dotrzeć bezszelestnie do najwyższego stopnia, tak się uradowała, że usiadła. Znajdowała się blisko obu sypialni słyszała jednocześnie matkę i córkę.

Oparła się o poręcz i wyjęła z koperty tajemniczy przedmiot. Namacała swoją komórkę i kciukiem włączyła latarkę. W jej ręku tkwił notes, lekko wygięty ze starości, z miękką skórzaną okładką. Pośrodku widniały wytłoczone złote cyferki: 2016. Dziennik. Amber otworzyła go i zaczęła czytać. W ustach zaschło jej ze strachu.

Strony dziennika wypełniało gęste, staranne pismo, które czasami dziwnie się rozjeżdżało. Podczas zapisywania niektórych zdań długopis musiał być mocno przyciśnięty do kartki, bo litery w tych miejscach pociemniały i wryły się głęboko w papier. Z początku Amber była zdezorientowana. Z całą pewnością miała przed sobą dziennik, lecz zaadresowany do swojej matki. Ze szczegółami relacjonowano w nim najbardziej błahe sytuacje, w których losy Sadie krzyżowały się z losami piszącej. Kto zadałby sobie tyle trudu, żeby to wszystko odnotowywać? Rozpisywać się o sprawach, które nie były ani ważne, ani wyjątkowe?

Nagle, jak wtedy, gdy chmura zasłania tarczę słoneczną, spłynął na nią zawarty w tych słowach mrok. Bijąca z każdego zdania nienawiść wżarła się w papier, wykoślawiała stawiane blisko siebie, pochyłe litery. Zanim Amber dotarła do opisu minionego wieczoru, drżała już na całym ciele. Ostatnie trzy słowa (nagryzmołone wskutek wypitego wina) – „Ona mnie widzi” – wbiły się w nią niczym ostrze. Przewróciła kartkę, lecz w tym miejscu kończyła się opowieść Leanny.

Dalej mówił już ktoś inny.

– Wczoraj znowu przemówił do mnie Człowiek z Lasu – oznajmiła Justine.

Siedziały na swoim zwykłym miejscu nad rzeką. Poza nimi nikogo tam nie było, wiatr kęsał ich twarze, nisko zawieszone słońce było prawie niewidoczne na rozbielonym niebie. Sadie bawiła się metalową podkówką ściskającą czubek jej ucha, którą kupiła i od razu założyła.

– Powiedział, że to wszystko za mało – dodała Justine. Poderwała się z ławki i w kilku skokach dopadła brzegu rzeki, po czym usiadła na niskim murku twarzą do nich, z dłońmi wsuniętymi pod uda. – Chce zabrać jedną z nas.

Sadie przeszył strach. Człowiek z Lasu nie powiedział jej nic podobnego, kiedy odwiedzał ją w snach. Czy to ją zamierzał zabrać? A może tylko Justine była wyjątkowa. Zacisnęła pięść, rozluźniła palce i przesunęła nimi po bliźnie tkwiącej we wnętrzu jej dłoni niczym pilnie strzeżony sekret.

– Co jeszcze możemy zrobić? – zapytała Marie. Chociaż starała się zachować obojętność, zerknęła z ukosa na Helen. Sadie zauważyła, że od jakiegoś czasu Marie nie jest już tak entuzjastycznie nastawiona jak dawniej do tego, żeby się stać wyjątkową.

– Pora, żebyśmy dowiodły swojej wartości – oświadczyła Justine, wstając. – Musimy mu dać to, czego chce. A teraz chodźcie za mną.

Noga za nogą powlokły się w głąb lasu. Polanę pokrywała sucha ściółka o żelazistym zapachu. Sadie pomyślała o listach, które napisała do Człowieka z Lasu, które każda z nich pisała i paliła w tym miejscu. Pod wpływem ognia ich słowa zmieniały się w srebrzyste strzępki i ulatywały w górę, rozwiewane przez wiatr. Jak widać, to mu nie wystarczało. Pomyślała o kocie łaszącym się do nóg Justine i o dźwięku, jaki wydał, kiedy chwyciła go za łeppek.

Na karku poczuła delikatne drapanie palców, które niemal natychmiast ustało. Był tutaj, z nimi – z nią – jak zwykle w chwilach, gdy ogarniało ją zwątpienie lub lęk. Na tę myśl Sadie poczuła falę ciepła. Zapragnęła nagle

zejść z polany i zniknąć w objęciach cieni. Poczuć jego rękę w swojej dłoni. Usłyszeć w uchu głos mówiący, że jest wyjątkowa.

A jeśli przyszedł tutaj po Justine, jeśli to ją uczynił wyjątkową? Może porzuci teraz Sadie, zostawi ją samą? Podobny los wydał jej się teraz gorszy od bycia przez niego zabraną. Spojrzała w głąb lasu i wydało jej się, że zauważyła tam jakiś ruch.

– Dawno temu Człowiek z Lasu zabił własną córkę – zaczęła Justine. Opowiadanie tego fragmentu zawsze sprawiało jej największą frajdę. – Chociaż była jeszcze malutka, on wiedział, że jest bardzo zła.

– Nie chcę tego robić – stwierdziła nieoczekiwanie Marie, krzyżując ręce na piersi.

– Musimy! – Rozgorączkowana Helen popatrywała to na Justine, to na Sadie. – Powiedzcie jej!

Justine podeszła bliżej do Marie. Przyjrzała się jej twarzy.

– Mówił, że jesteś słaba – wyszeptala. – Wiesz, że cię zabierze? Kiedy będziesz spała w nocy, całkiem sama... – Strzeliła palcami przed nosem Marie, aż Sadie podskoczyła i ścisnęło ją w dołku ze strachu. – Pstryk! Znikniesz.

Z gałęzi drzewa z przenikliwym skrzeczeniem poderwał się jakiś ptak, bijąc skrzydłami powietrze. Helen również wrzasnęła, a jej palce zacisnęły się na dłoni Marie.

– Musisz to zrobić – błagała. – Proszę cię, Marie, on zabiera tylko te złe. Musimy się stać wyjątkowe.

– Wcale nie. – Marie wyrwała rękę i ponownie skrzyżowała ramiona na piersi. – Wracajmy lepiej do domu.

– Na twoim miejscu zostałabym razem z nami, Hel – stwierdziła Justine; wciąż przyglądała się Marie. – Twoja siostra bardzo go rozgniewała. Teraz on ją ukarze.

– Zamknij się, Justine – warknęła Marie, lecz w oczach miała łzy i głos jej się łamał. – Nie ukarze.

Justine uśmiechnęła się, zerkając ponad ramieniem Marie w ciemność pomiędzy drzewami. A potem zrobiła jeszcze jeden krok w stronę koleżanki, aż ich twarze niemal się ze sobą zetknęły.

– Chcesz się założyć? – szepnęła i jej spojrzenie ponownie uciekło w stronę drzew.

Marie obróciła się na pięcie i przez ułamek sekundy Sadie wydawało się, że znów dostrzega w lesie cień, spowitą mrokiem wysoką sylwetkę.

– Boisz się już? – szepnęła Justine do ucha Marie i pchnęła ją z całej siły. Marie jak długa runęła na ziemię na skraju polany.

– Ej... – Helen zrobiła krok naprzód, lecz Sadie szybko chwyciła ją za rękę i przytrzymała na miejscu. Oczy miała utkwione w ciemnej sylwetce, której Marie najwyraźniej nie dostrzegała. Wstała i obejrzała swoje zadrapanie, krwawiące kolano. Po policzku spłynęła jej łza. Sadie poczuła rozczarowanie. Marie wcale nie była wyjątkowa, tylko słaba.

– Lepiej stąd zmykaj, Marie – powiedziała Justine, ani na moment nie przestając się uśmiechać. – A wieczorem zamknij drzwi swojego pokoju na klucz, jeśli myślisz, że to cię uratuje.

Marie nie zamierzała się z nią spierać. Odwróciła się i pobiegła, wzbijając z ziemi fontanny suchych liści.

Justine tymczasem odwróciła się do Helen oraz Sadie i wzruszyła ramionami.

– Nie wszystkie możemy być wyjątkowe. – Z kieszeni wyjęła nóż. – Musimy mu dać to, czego chce. – Popatrzyła na Sadie. – Znam odpowiednie miejsce.

– Czy Człowiek z Lasu zabierze Marie? – spytała płaczkliwym głosem Helen.

Justine znów wzruszyła ramionami.

– Nie jest już wyjątkowa. – Spojrzała na obie koleżanki, po czym znów utkwiała wzrok w twarzy Sadie. – Człowiek z Lasu zabiera córki – powiedziała; Sadie mimowolnie poruszała ustami razem z nią. – Ale czasami

potrzebuje pomocy.

Ruszyły między drzewa, liście szeleściły głośno pod ich stopami. Z głębi lasu niósł się ku nim śmiech dziecka.

2016

Pierwsza strona składała się z wyciętych zdań i akapitów, gazetowy papier zaczynał już żółknąć. Tworzyły istny kolaż, zachodząc na siebie tak gęsto, że w jaskrawobiałym świetle komórki ten widok przyprawił Amber o zawroty głowy.

...pozostawiając nieutulonych w żalu rodziców, Debbie i Davida Weatherallów, oraz starszą siostrę Lucy...

...Lucy Weatherall, siostra zamordowanej dziewczynki...

...stawili się w sądzie wraz z nastoletnią siostrą ofiary, Lucy...

...najmłodsza Stacey Frederick trzymała dziecko za rączkę i śpiewała...

...nie można ich nazwać inaczej: to dzieciobójczynie...

Odwróciła kartkę. Bała się i nic z tego nie rozumiała, więc po prostu odwróciła kartkę.

Znalazła artykuł, starannie wycięty i przyklejony do stronicy dziennika.

Morderczynie *Anny Lou* znów na wolności

W wygłoszonym dziś oświadczeniu przedstawiciel Koronnej Służby Prokuratorskiej oznajmił, że tak zwane Wiedźmy z Westborough otrzymają nową tożsamość. Pięć lat temu trzy nastolatki zostały uznane za winne morderstwa dziecka.

W 1990 roku dwuletnią Annę Louise Weatherall znaleziono martwą w lesie nieopodal jej domu w Westborough po tym, jak zaginęła z pobliskiego placu zabaw. Na jej ciele stwierdzono dwadzieścia siedem ran kłutych, czaszka została zgruchotana. Nagrania z monitoringu doprowadziły policję do trzech mieszkających

w okolicy dziewcząt w wieku od 10 do 13 lat.

Po przeszukaniu ich domów odnaleziono należącą do ofiary zakrwawioną skarpetkę oraz spinkę do włosów z plastikową stokrotką. Dziewczęta twierdziły, że „tylko bawiły się” z dwulatką, lecz ich szkolna koleżanka, której nazwiska nie ujawniamy, zeznała w sądzie, że cała grupa „miała obsesję” na punkcie pewnej legendy, w której mowa o składaniu ofiar postaci utożsamianej z szatanem. Ława przysięgłych zapoznała się z materiałem dowodowym w formie zdjęć porzuconego na szkolnym boisku kota, na którym został wykonany podobny „rytuał”.

Wezwany na świadka policyjny psycholog opisał najstarszą z oskarżonych, Justine Jones, jako „pełną gniewu manipulatorkę, obdarzoną wysokim ilorazem inteligencji”. Dla odmiany najmłodsza Stacey została scharakteryzowana jako „marzycielka, uległa i wysoce podatna na wpływy, a zarazem mocna osobowość, z dużą umiejętnością przekonywania”.

„The Sun” jako jedyny dziennik ujawnia, że cała trójka została zwolniona z aresztu i przekazana rodzicom. Dziewczęta otrzymały też nową tożsamość, aby chronić ich prywatność.

Tymczasem Debbie i David Weatherall wraz ze starszą córką Lucy przybyli dziś do Manchesteru, aby wygłosić oświadczenie dla prasy. Stwierdzili, że „obrzydzeniem napawa ich fakt, iż morderczynie dostały szansę na nowe życie”, podczas gdy ich córeczce „taką szansę odebrano”.

Obok tekstu widniało zdjęcie i Amber nachyliła się bliżej, niemal dotykając komórką gazetowego wycinka. Mężczyzna i kobieta, oboje udręczeni i ubrani na czarno, a obok nich naburmuszona jasnowłosa nastolatka z dziwną fryzurą „na garnek”. Wyglądała całkiem inaczej – na pewno zoperowała sobie nos, chociaż Amber przypuszczała, że nie tylko to: zabieg musiał być poważniejszy, zastosowano też chyba rozmaite wypełniacze, bo teraz jej twarz była bardziej szlachetna i proporcjonalna. Mimo to dało się ją rozpoznać po oczach; wciąż kryło się w nich to coś, co tak bardzo przerażało i odstręczało Amber. Teraz zrozumiała, co to było: desperacja i rozpacz spowodowana stratą.

Leanna. Leanna to Lucy Weatherall, siostra biednej zamordowanej Anny Louise.

Kiedy Amber przewracała kartkę, jej ręce lepiły się od potu. Były tam, tak jak się spodziewała: starannie zaaranżowany tryptyk wyblakłych zdjęć. Pierwsze przedstawiało pyzată dwulatkę z włoskami odgarniętymi z czoła i spiętymi wsuwką z plastikową stokrotką. Z niepewnym uśmiechem na buzi tłustymi rączkami przyciskała do brzuszka lalkę. Poniżej znajdowała się wycięta z gazety fotka rozciągniętego na trawie martwego kota. Czarno-białe zdjęcie było ziarniste, mimo to wyraźnie ukazano te miejsca, gdzie krew wsiąkła w ziemię i gdzie nóż wyrwał dziury w sierści.

Wreszcie ostatnie zdjęcie, stara polaroidowa odbitka. Cztery chude dziewczynki obejmowały się ramionami i szczyrzyły zęby do obiektywu, ubrane w welurowe sukienki i martensy. Rozbłysk flesza sprawił, że ich twarze były nieco rozbielone, fotografia wyblakła zresztą od słońca, lecz uwagę Amber przyciągnęła najmniejsza i najmłodsza z nich. Jej twarz wydawała się taka beztroska. I taka znajoma. Stacey.

Sadie.

Mama.

Amber poczuła oddech na karku. Dopiero potem skrzypnęła deska w podłodze.

– To ostatnie wkleiłam specjalnie dla ciebie – powiedziała Leanna.

2018

Do Szkocji docierają tuż po lunchu. Amber, która przez większą część drogi zdawała się drzemać – choć Greta nie jest już niczego pewna, jeśli chodzi o tę dziewczynę – nagle budzi się, prostuje i siada na skrzyżowanych nogach, postukując stopą o siedzenie. Cały czas ma na nosie okulary przeciwsłoneczne. Nie zdejmując ich, zaczyna przeglądać zawartość swojego smartfona. Greta zerka na nią ukradkiem i zauważa, że głowa dziewczyny raz za razem odwraca się w stronę okna. Cieszy się, że nie widać jej oczu – jeżeli Federica się zorientuje, jak nerwowo ich podopieczna reaguje na coraz mniejszą odległość dzielącą ich od domku, z całą pewnością zażąda, aby Tom włączył kamerę.

Grecie koniec końców również udało się zdrzemnąć, lecz spała niespokojnie, dręczona wizjami samej siebie, nagiej od pasa w dół, i mężczyzny, który wyłaniał się z cienia, by dotykać jej zimnymi palcami. Długie, brudne paznokcie wbijały się w jej skórę, wyszarpując kawałki ciała. Przez cały ten czas Hayley Miller trzymała ją za rękę, a obok, na hotelowym fotelu, siedziała mała dziewczynka, machając nóżkami. Z mroku wyłaniał się Tom, pukał do drzwi pokoju...

Wołał ją po imieniu.

Drgnęła, obudziła się i zobaczyła, że Tom podaje jej komórkę, pozostawioną do naładowania na desce rozdzielczej.

– Dzwoni twój tata.

Nie zdążyła w porę odebrać i musiała odsłuchać nagrany chłodnym tonem wiadomość: „Szkoda, że nie możesz rozmawiać. Wychodzimy teraz na kolację, ale może mogłabyś zadzwonić do nas jutro. Chcielibyśmy cię usłyszeć”. Może dzieje się tak za sprawą kaca i kwaśnego posmaku

w ustach, lecz na dźwięk tego głosu łyzy napływają Grecie do oczu. Podąża za spojrzeniem Amber, patrzy na umykające w tył pola i góry i stara się nie myśleć o tym, jak jej rodzice zareagują na ten film. Dobrze pamięta Boże Narodzenie przed dwoma laty, gdy po raz pierwszy, odkąd Sebastian skończył studia, oboje mieli czas, żeby przyjechać na święta do Dearborn. Któregoś dnia Greta weszła do salonu – nigdy nieużywanego, jako że rodzinne posiłki i oglądanie telewizji odbywały się w przebudowanej przez rodziców piwnicy, która awansowała na gabinet – by wśród oprawionych w ramki relacji prasowych jej brata, nadsyłanych z Kabulu, Bagdadu oraz Damaszku, znaleźć recenzję filmu *Moi rodzice to mordercy* ze strony internetowej „The Washington Post”. Wydrukowana i naklejona na kawałek dykty umieszczonej za szybką, wisiała dumnie w grubej srebrnej ramie na honorowym miejscu nad kominkiem. W ich domu salon był przeznaczony do podejmowania gości i Greta wzruszyła się, widząc osiągnięcia swoje i brata, wystawione na pokaz niczym rzadkie skarby, jakby rodzice nie mogli uwierzyć, że los okazał się dla nich tak łaskawy.

Federica nachyla się nad kierownicą, samochód zwalania.

– To ten skręt?

Tom sprawdza w telefonie.

– Nie mogę zaktualizować mapy. Nie mam zasięgu.

– Tak, ten. – Stopa Amber coraz szybciej stuka o siedzenie. – Jeszcze jakąś milę pod górę tą drogą.

Rodzice Grety nigdy nie obejrżeli *Moi rodzice to mordercy*. Jej brat, jeżeli nawet widział film, to nie zająknął się o nim ani słowem.

– Wszystko gra, Amber? – Głos Federiki ocieka sztuczną troską. Jednocześnie reżyserka patrzy z ukosa na Toma, sprawdzając, czy ma przy sobie kamerę lub aparat fotograficzny.

Greta przypomina sobie telefon odebrany przed mniej więcej rokiem od Danny’ego Millera; słysząc było, że pił. „Kazałaś mi mówić te wszystkie rzeczy – bełkotał. – Lubilem cię, a ty kazałaś mi mówić to, czego nie

chciałem. Teraz wszyscy wszędzie znają moją twarz, wiedzą o mamie i tacie i o tym, co zrobili. Traktują mnie jak jakiegoś odmieńca. Jak ja mam teraz znaleźć pracę, Greta? Jak mam się od tego uwolnić?”.

Samochód telepie się na wybojach. Drzewa otaczają ich ciasnym kręgiem, przesłaniając słońce. Głowa Amber opada w bok, wzrok śledzi przesuwaną się za szybą las.

– Tak – odpowiada wreszcie. – Wszystko gra. – Greta jest ciekawa, czy tylko ona jedna słyszy drzenie w głosie dziewczyny.

Ponownie wraca myślami do Toma i minionego wieczoru. „Zauważyłem, że za bardzo zaczynasz jej współczuć”. Później, po czwartym kieliszku wina, a przed pierwszym pocałunkiem, poirytowana i przestraszona, przypomniała mu te słowa. „Dlaczego tak bardzo przeszkadzają ci uczucia? Czy nie dzięki nim kręci się wielkie filmy? Z pasji?”. Tom pokręcił głową i odwrócił wzrok. „Nie filmem się martwię, tylko tym, jak to na ciebie wpływa”. A potem spojrzał jej prosto w oczy. „To niebezpieczna rodzina. Oni nie są tacy jak Millerowie. Tutaj nie ma już czego ratować”.

Samochód zwalnia i Greta spogląda na Amber. Federica klnie, usiłując pokonać stromą dróżkę odchodzącą w bok od głównego traktu. Przecenia możliwości auta i próbuje zredukować bieg; silnik głośno wyje. Amber nadal wpatruje się w las za szybą, zagryza dolną wargę tak mocno, aż ta bieleje. „Tutaj nie ma już czego ratować. Martwię się tym, jak to na ciebie wpływa”.

„Człowiek z Lasu zabiera córki”.

– Ja też nie mam zasięgu – odzywa się Luca, wymachując komórką nad głową. Federica zwalania i samochód staje. – Cholera, mam nadzieję, że Elke nie będzie musiała się ze mną skontaktować. Jest tu jakieś wi-fi?

– W lesie są miejsca, gdzie można znaleźć słaby sygnał – odpowiada Amber, nie odrywając wzroku od okna. – Jeśli się wejdzie dość głęboko.

Luca zerka na nią nerwowo.

– Hm. No tak.

Kiedy Federica wyłącza silnik, on szybko otwiera przesuwne drzwi i z komórką w uniesionej ręce przechodzi na tyły minivana, szukając zasięgu. Plecami odwraca się do lasu.

Tom opuszcza siedzenie z przodu, żeby zrobić przejście, i gdy Amber przeciska się obok niego, spojrzenie Toma napotyka wzrok Greta.

– Dobrze się czujesz? – pyta, a ona przytakuje.

– A ty?

– Bywało lepiej. – Wyszczерza zęby w uśmiechu. – Przynajmniej wcześniej się położyłem, nie?

Greta oblewa się rumieńcem; zerka na Amber, która idzie przed nimi zwirowym podjazdem.

– Wiem... Słuchaj, przepraszam za...

– Greta. – Tom wchodzi jej w słowo. Połowę jego twarzy przesłania gęsty cień daszka czapki. Słońce praży niemiłosiernie. – Niczym się nie przejmuj. Oboje byliśmy nawaleni.

– Fakt. – Ona próbuje się uśmiechnąć, stara się nie pamiętać o jego rękach zsuwających z niej dzinsy i o tym, jak materiał koszulki zahaczył o zęby Toma, gdy próbowała go rozebrać. Usiłuje nie wyobrażać sobie, jak by to było obudzić się dziś rano obok niego, wolna od oparów whisky, w świetle dziennym uwidaczniającym wszystkie jej niedostatki.

Chwilę później, kiedy pokonuje ostry zakręt podjazdu, jej oczom po raz pierwszy ukazuje się słynne już miejsce. Jezioro jest rozległe i spokojne, na dalekim brzegu majaczy kilka zabudowań. Po tej stronie jest tylko głusza; drzewa i zarośla janowca tworzą zbitą gęstwinię, po wysmaganych wiatrem ścianach domku pną się winorośle. Greta czytała gdzieś, że od dawna nikt go nie wynajmuje, a właściciele nie są w stanie go sprzedać. Nie tyle z powodu popełnionej tu zbrodni – dla pewnego rodzaju nabywców to wręcz dodatkowa gratka – ile ze względu na sytuację na rynku nieruchomości. Mimowolnie przechodzi jej przez myśl, że chciałaby tutaj zamieszkać, z dala od wszystkiego. Z czasem ceglane mury zapadłyby się w ziemię i domek

zarósłby do reszty.

A potem jej wzrok pada na Amber, która też się w niego wpatruje. Stoisztynna, nieruchoma – Greta przypuszcza, że gdyby jej teraz dotknęła, poczułaby pod palcami stal. Zaciśnięte pięści dziewczyna trzyma po bokach, zagryza wargi, ciemne okulary skrywają większą część jej twarzy. Federica wolno ją okrąża, niczym tygrys podchodzący zdobycz, a gdy zza zakrętu wyłania się Tom z kamerą, reżyserka zwinnie usuwa się z kadru. Żwir chrzęści pod jej stopami, słońce odbija się od obiektywu kamery.

Przez minutę albo dwie Amber przypatruje się domkowi, po czym przesuwa ciemne okulary na czubek głowy, spogląda na kamerę i na Gretę stojącą za Tomem.

– Jest mniejszy, niż pamiętałam – mówi. Następnie odwraca się na pięcie i wchodzi do środka.

2016

– To ostatnie wkleiłam specjalnie dla ciebie.

Amber cofnęła się gwałtownie, byle dalej od tych słów, od kwaśnego oddechu na swoim policzku. Straciła równowagę, chwyciła się poręczy schodów i ześliznęła z kilku stopni. Dopiero wtedy odwróciła się i spojrzała w twarz Leanny.

– Co to jest? – Własny głos brzmiał dziwnie w jej uszach: lękliwie, po dziecinnemu. Łapiąc za poręcz, wypuściła z rąk dziennik, który z hałasem potoczył się na dół. Usłyszała jeszcze, jak sunie po kamiennej posadzce.

– Byłam pewna, że zechcesz poznać prawdę. – Leanna, nadal klęcząc na najwyższym stopniu, zacisnęła dłonie przed sobą. – Jesteś taka bystra, Amber. I taka podejrzliwa. Nie spodziewałam się tego po tobie.

– To była pani – powiedziała Amber. – To była pani, tam, na zdjęciu. To pani siostrę...

– Tak, niestety.

Amber nie czekała na ciąg dalszy. Zerwała się na nogi i zbiegła po schodach; bosa stopy ślizgały się po drewnie.

– Amber, stój!

Lecz dziewczyna ani myślała usłuchać, nie odwróciła się nawet, żeby spojrzeć na biegnącą w ślad za nią Leannę. Dotarła do holu, dopadła drzwi. Szarpnęła zabezpieczający je łańcuch – tak mocno, że złamała paznokiec – i otworzyła drzwi w momencie, gdy Leanna ją dogoniła i zacisnęła palce na jej koszulce.

– Amber, proszę...

Amber uwolniła się, rozdzierając koszulkę, i wybiegła w noc.

Miles nie mógł spać; w ogóle nie zmrużył oka. Siedział na kanapie na swoim zwykłym miejscu, nasłuchując kroków Sadie piętro wyżej, błagając ją w myślach, żeby się położyła. Przycisnąwszy czubki palców do zamkniętych powiek, usiłował opanować pulsujący w głębi ból głowy.

Ktoś go śledził. Sadie miała rację, a Miles wiedział, że nie powinien być tym zaskoczony.

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy wstał i po raz dwudziesty albo trzydziesty podszedł do okna. Deszcz nie przestawał bębnić o szybę. Tamten dalej tam tkwił – stał teraz bliżej kręgu bursztynowego światła z ulicznej latarni i naprawdę niewiele brakowało, aby Miles dostrzegł rysy twarzy ukrytej w cieniu kaptura. Potem znowu zniknął, wtopił się w noc.

Zdumiało go (zawsze go to zdumiewało), że po godzinach wypełnionych niepokojem i lękiem zalała go nagle fala wściekłości. Zanim zdążył się zorientować, stopy same poniosły go do wyjścia. W głębi gardła płonął gniew. Miles rozejrzał się jeszcze za jakąś bronią – czymś znanym z filmów i solidnym, kijem bejsbolowym albo pogrzebaczem, nie miał jednak ani jednego, ani drugiego – i już był w holu, podchodził do drzwi. Otworzył je jednym szarpnięciem i wypadł na oświetloną księżycem jezdnię.

Nie był sobą. On nigdy nie zachowywał się w ten sposób. Mimo to dobrze się czuł z tą furią – jakby po długiej nieobecności nareszcie wrócił do domu.

Zanurkował w mrok między ulicznymi latarniami – tam, gdzie wcześniej w głębi czaszki pulsował ból głowy, teraz w szalonym tempie biło tętno – i chwycił w garść tkaninę, fragment ciała, zaskakując tym samego siebie. Przycisnął ciemną postać do zaparkowanego obok, poza kręgiem światła, samochodu. Słyszał urywany oddech, ale nie miał pewności czyj – swój czy tamtego.

Ściągnął mu kaptur.

Mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, z ciemnymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu i nierównym zarostem podkreślającym zarys

szczęki. Oczy miał rozbiegane, wystraszone spojrzenie padało to na twarz Milesa, to na opustoszałą ulicę.

– Puszczaj – stęknął.

Wściekłość nadal buzowała w Milesie, gdy pytał przez zaciśnięte zęby:

– Kim jesteś?

– Możesz mi mówić Leo. Powiedziałem, żebyś mnie puścił.

– Obserwujesz mój dom. Moją żonę. – Mimo to Miles puścił go; trzęsły mu się ręce.

– No. – Leo wyprostował się, wygładził T-shirt. – Obserwuję.

– Dlaczego?

– Bo mnie o to poproszono.

Serce Miles wrzuciło piąty bieg, w uszach huczała mu krew.

– Kto?

Leo uśmiechnął się kątem warg.

– Chyba już wiesz. Przecież do ciebie pisała.

„KtośWyjątkowy”. Miles wyciągnął rękę i oparł się o dach samochodu. Wściekłość opuściła go nie wiadomo kiedy. Zmusił się do zadania kolejnego pytania.

– Kim ona jest? Czego chce ode mnie? Od nas? – Czuł, że to koniec. Wszystko się zawaliło. Mur runął, upiory wdzierały się do środka.

– Nie chodzi o to, czego chce, tylko co ma. – Leo znowu się rozejrzał i naciągnął kaptur na głowę. – Nie przyszedłem tu, żeby zrobić wam krzywdę, tylko żeby was ostrzec. Amber... grozi niebezpieczeństwo.

Miles znów poczuł przyływ adrenaliny, ulica zaczęła wirować wokół niego.

– Co zrobiłeś mojej córce?

– Nic. Nic. Kazała mi ją śledzić, wszystkiego się o niej dowiedzieć. O waszej rodzinie. Nie sądziłem, że to zajdzie aż tak daleko. Myślałem, że chodzi jej o Sadie, nigdy bym nie przypuszczał, że zrobi coś Amber.

– Amber tutaj nie ma. – Odrętwiałymi dłońmi w panice przetrząsnął

kieszenie w poszukiwaniu komórki. Musi zadzwonić na policję i do swojej córki.

– Nic nie rozumiesz. – Leo zrobił krok naprzód; jego oddech czuć było wczorajszą słodową whisky. – Amber jest z nią. Ona ją ma. Rano przysłała mi wiadomość, że już mnie nie potrzebuje. Że sprawa jest już prawie załatwiona. – Pokręcił głową. – I że dług zostanie wkrótce spłacony.

W jednej sekundzie Miles wszystko zrozumiał; to było jak dźgnięcie noża.

– Leanna? To ona stoi za tym wszystkim?

Leo zaczął się cofać.

– Musisz odnaleźć Amber. Musisz ją ostrzec.

– Kim ona jest? – Miles znowu go pochwycił i przygwoździł na miejscu w nagłej obawie, że tamten zniknie, wtopi się w ciemność. – To jedna z nich? Jedna z dziewcząt z Westborough?

– Wiedziałeś. – Leo wyszarpnął mu się z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – Myślała, że nie wiesz, ale ja byłem innego zdania. – Wypluwał z siebie słowa. – Jak mogłeś poślubić to coś?

– Nie znasz jej. – Miles zdziwił się, że mówi tak opanowanym tonem. Stopniowo tracił nadzieję. – Ona taka nie jest. Przestała być tamtą Stacey. – Chciał dodać: „Myślałem, że ją ocaliłem. Że potrafię ją ocalić”. Wielki Miles Banner ze swoimi tytułami naukowymi, publikacjami na temat dewiacji oraz ich przyczyn, na temat resocjalizacji przestępców. Ze swoją młodą żoną, swoją pierwszą prawdziwą miłością. Pierwszym przypadkiem, jaki zbadał.

– Odszukaj córkę, Miles. Nie zasłużyła na to. – Po tych słowach jego rozmówca odwrócił się i odbiegł w mrok.

Miles obejrzał się na dom i zobaczył stojącą przed sobą Sadie.

Amber dotarła na skraj lasu nad jeziorem. Jej bosa stopy krwawiły, wiatr szarpał podartą koszulkę. Cienie wyciągnęły ramiona, żeby ją pochłonąć, lecz Leanna deptała jej po piętach. Zagłębiła się w las w ślad za nią.

2018

Amber siada na najwyższym stopniu schodów, a oni gromadzą się u dołu. Federica i Tom stoją najbliżej, z twarzami zwróconymi ku niej niczym wyznawcy na jakimś renesansowym malowidle. Luca wyciąga się, żeby ustawić tyczkę z mikrofonem pod odpowiednim kątem, Greta zaś, stojąca na samym dole, kieruje na dziewczynę strumień światła z reflektora. Amber płacze, a oni udają, że tego nie widzą. Ona płacze, oni robią swoje.

– Czyli uciekłaś – mówi Federica. – Kiedy się zorientowałaś, że kobieta, którą znałaś jako Leannę, jest tuż za tobą... – Zerka (wszyscy zerkają) na przepastną ciemność, która czai się tuż za kręgiem światła z reflektora. – Pobiegnęłaś do lasu.

Amber przytakuje.

– W dzienniku była jeszcze jedna kartka, prawda? – pyta Federica; jej głos jest nieznośnie łagodny, słowa osadzają się w mroku jak muł na dnie rzeki. – Wiedziałaś o tym?

– Nie przeczytałam jej. Może cię to zdziwi, ale bardziej zależało mi na ratowaniu własnej skóry.

– Mam tutaj odblask. – Federica teatralnym ruchem podsuwa jej złożoną kartkę wydobytą z którejś kieszeni. Greta ma wrażenie, że krew zamarza jej w żyłach. Skąd ona to wygrzebała? Przez pewien czas uważano, że dziennik zaginął – jego brak stanowił jedną z najgroźniejszych luk w linii obrony Amber, aż dosłownie w ostatnim momencie jej prawnikom udało się odkryć, gdzie został schowany: tutaj, w tych lasach. Strzegł go ten naznaczony śmiercią dom, wraz z resztą swoich sekretów. I oto teraz objawia im się kluczowa strona dziennika, skopiowana i pozyskana przez Federicę Bóg wie od kogo.

Skopiowana, pozyskana i wystawiona do kamery jak za sprawą magicznej sztuczki. A może to rzeczywiście tylko sztuczka, myśli Greta, brudna sztuczka Federiki, obliczona na wywołanie jakiejś reakcji. Na zmanipulowanie Amber. Wykorzystanie jej. Greta czuje, że jej usta się otwierają, płuca zasysają powietrze. Nie musi tak być. Nie dopuści do tego...

Lecz kartka nie robi na Amber równie piorunującego wrażenia jak na niej. Dziewczyna schyla się i bierze odbitkę do ręki. Chociaż jej policzki wciąż noszą ślady rozmazanego łzami makijażu, oczy rozszerzają się łakomie na widok wydrukowanych tam słów.

– Możesz nam to przeczytać na głos? – prosi Federica. Ona też spogląda łakomie. Greta ma ochotę cisnąć reflektorem o ścianę. Chce stąd wyjść.

Chce się także dowiedzieć, co zawiera kartka.

2016

Ciemność w lesie była inna od tej w domku. Żyła, cienie poruszały się i oddychały wokół biegnącej, gałęzie i gałązki wyciągały się, żeby chłostać jej skórę, wciągać coraz dalej w głąb. Leśna ściółka była wilgotna i Amber przemarzła do kości – do tego stopnia, że nie myślała już o korzeniach i kamieniach raniących jej stopy.

Teren nieubłaganie piał się pod górę, drzewa tłoczyły się wokół niej. Za plecami słyszała chrapliwy oddech Leanny i trzaskanie gałęzi, na które następowała kobieta.

– Musisz iść ze mną, Amber! – zawołała, gdy Amber wbiegała do lasu. – Musisz zrozumieć, że to jedyne wyjście.

Lecz dla niej jedynym wyjściem w tamtym momencie było pisać się wyżej i wyżej, pomiędzy cienie.

Billie stała w otwartym oknie sypialni i słuchała dobiegających z lasu odgłosów pościgu. Wiedziała, że powinna pomóc.

Zaskakiwał ją jej własny spokój. Czowała, że jest gotowa do działania. Na stopach miała już ciepłe skarpetki, więc szybko włożyła buty stojące w nogach łóżka i je zasznurowała. Wciągnęła na piżamę jeszcze jedną bluzę i odszukała latarkę. Następnie powoli zeszła po schodach i przekroczyła próg otwartych drzwi.

Od początku знаła historię Anny Louise; kiedy była mała, ta opowieść miała dla niej coś z baśni, szeptanej w różowym świetle nocnej lampki i pieczętowanej pocałunkiem w czoło. Anna-Lou i wiedźmy. Anna-Lou i jej mścicielki. Billie pamiętała, jak pewnej nocy, gdy z szeroko otwartymi oczami leżała pod kołdrą w poszwie z wizerunkiem Mulan, uświadomiła

sobie, że jej także wyznaczono rolę w tej historii – rolę córki, która, gdy dorośnie, u boku swojej matki zabije złe wiedźmy.

Wiedziała, że matka uważa ją za głupią. W najlepszym razie naiwną. Wiedziała też, że jej matka nie jest sobą, że czegoś jej brakuje. Nie rozumowała jak inni ludzie. Miała obsesję – tak, to było właściwe słowo. Billie zdawała sobie też sprawę, że z tego powodu Leanna nigdy jej nie doceniała, przekonana, że córka rozumie mniej, niż w istocie pojmowała. Co za tym idzie, nigdy nie przyszło jej do głowy, że Billie może mieć własne pomysły na to, jak ugasić ogień, który płonie w jej matce dłużej niż ona, Billie, żyła na tym świecie.

Noc była chłodna, ale nie zimna – zwłaszcza gdy się zadba o odpowiedni strój. Zapaliła latarkę i skierowała snop światła na drzewa. Rozległ się trzask, potem krzyk i głośny szelest, jakby ktoś zsuwał się ze zbocza.

Billie weszła do lasu. Wiedziała, że musi to przerwać.

A przede wszystkim wiedziała, że zakończenie historii może się zmieniać w miarę rozwoju fabuły, lecz ostatecznie zawsze nadchodzi.

Sadie stała i patrzyła na męża tak, jakby widziała go po raz pierwszy. Przyglądała się, jak bezskutecznie próbuje dodzwonić się do Amber, rezygnuje i łączy się z policją. Obserwowała, jak nie rozłączając się z dyspozytorem, szuka w telefonie wiadomości, a potem podaje mu adres domku, przesłany przez Leannę. Kiedy wreszcie się rozłączył i spojrzał na nią, twarz miał bladą i udręczoną.

– Wiedziałaś – stwierdziła po prostu, a on skinął głową. – Od jak dawna?

– Sadie... – Miles wyciągnął do niej rękę, a ona cofnęła się gwałtownie z walącym sercem i suchością w ustach.

– Odpowiedz.

Bezradnie pokiwał głową.

– To nie dlatego, Sadie, przysięgam. Naprawdę cię kochałem. Pokochałem cię od razu, czułem, że coś ukrywasz, i chciałem cię lepiej poznać. Wszystkiego się o tobie dowiedzieć. Dlatego... – Przesunął dłonią

po włosach i odwrócił wzrok. – Zdarzało mi się przeglądać twoje rzeczy. Kiedy brałaś prysznic albo zostawiałaś mnie samego w swoim pokoju i szłaś na wykłady. Chciałem cię poznać. Do końca.

– Grzebałeś w mojej przeszłości.

– Ja... – Najwyraźniej sam tak by tego nie ujął. – Owszem. Znalazłem starą kartkę z życzeniami urodzinowymi. „Dla Stacey od mamy i taty”. A kiedy kilka tygodni później się upiłaś i wspomniałaś, że dorastałaś w Westborough, wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Popatrzył na nią błagalnie, oczy miał rozszerzone i mokre od łez.

– Miałem nadzieję, że w końcu sama mi powiesz. Liczyłem, że nauczysz się mi ufać. – Wyglądał tak, jakby znów chciał ją przytulić, ale odwrócił wzrok, gdy Sadie zrobiła jeszcze jeden krok w tył, czując, że skręca ją w środku. – A potem zaszłaś w ciążę i ta wiedza stała się dla mnie czymś wyjątkowym. To było jak... sam nie wiem. Jakbyś chroniła mnie przed swoją tajemnicą, a ja chroniłem ciebie, nie zdradzając ci, że o niej wiem. Rozumiesz? Połączyła nas niezwykła więź, Sadie. Dzięki temu staliśmy się sobie jeszcze bliżsi.

– Jak mogłeś chcieć mieć ze mną dziecko? Wiedząc, co...

Nagle to wszystko zwyczajnie ją przerosło. Spuściła wzrok i znów stała się Sadie, niewyciężoną jedenastolatką. Spojrzała w dół, a przy niej była tamta dziewczynka, Anna. Sadie ścisnęła w dłoni jej rączkę. Przyklękła i asfalt zmienił się w trawę. Wielkie błękitne oczy otoczone jasnymi rzęsami patrzyły prosto na nią. Główka była nietknięta, sukienka znowu czysta.

„Człowiek z Lasu zabiera córki”. Szept dziecka, muśnięcie oddechu na karku Sadie, chociaż dziewczynka stała spokojnie obok niej, wpatrzona w nią szeroko otwartymi oczami i uśmiechnięta. Pod bezwietrznym niebem nad ich głowami szybował ptak i Sadie wskazywała go małej dopóty, dopóki dziewczynka się nie rozweseliła. Potem wstała i zaprowadziła ją do lasu, gdzie czekały pozostałe. I gdzie śmiech Justine wypłoszył spośród drzew

więcej ptaków.

Drobne, zimne paluszki wysliznęły się z ręki Sadie. Została sama. Poczowała zaciskającą się na swoim ramieniu dłoń Milesa.

– Śmiałam się – powiedziała. – Pogładziłam ją po buzi i wybuchnęłam śmiechem, gdy ugodził ją nóż.

– Nie zabiłaś jej, Sadie – rzekł Miles, choć oboje zdawali sobie sprawę, że jest to żałosne kłamstwo. Spojrzał na swój telefon. – Powinienem jeszcze raz zadzwonić na policję.

Sadie znów była sobą, nową sobą, nie dawną Stacey. Zimna obręcz zaciskała się wokół jej serca, panika mroziła krew w żyłach.

– Dlaczego miałyby ci podać właściwy adres? – zapytała i wydało jej się, że słyszy jakiś dźwięk. Dobiegający z mroku cichuteńki dziewczęcy chichot.

2018

Już czas, Sadie. Nie mogę dłużej czekać. Nie chcę. Jestem gotowa.

Tak dobrze wszystko pamiętam. A Ty? To, że końcówki rzęs miała niemal białe. To, jak ściągała usta w dzióbek, kiedy spała, jakby we śnie wciąż rozdawała te swoje słodkie buziaczki. Uczucie, kiedy trzymałam ją za rączkę. Ciekawe, czy Ty też to pamiętasz. Biedna Anna, prowadzona przez Ciebie w głąb lasu.

Wiem, że nie byłaś jedyna. Szukałam was wszystkich. Chciałam was odnaleźć, sprawdzić, co się stało z dziewczynami, które zabiły moją siostrę i zniszczyły moich rodziców. Bo właśnie to zrobiłyście – zniszczyłyście ich. Nigdy nie przeboleli śmierci Anny, nigdy nie przestali myśleć o tym, coście jej zrobiły. Mój ojciec krzyczał później każdej nocy, dręczony przez koszmary, które nie dawały żyć nam wszystkim. Matka odnajdywała sen tylko na dnię butelki, a po alkoholu widziała na jawie rzeczy, których żaden człowiek nie powinien widywać. Ja zaś przez całe życie byłam córką, która nie potrafiła im tego zrekompensować, siostrą, która nie zdołała ochronić jedynej osoby powierzonej jej opiece. Siostrą, która pewnego popołudnia na moment się odwróciła i to wystarczyło, abyś Ty zakradła się do naszego życia i je zrujnowała. A wszystko dlatego, że wasza trójka tak bardzo chciała wierzyć w jakąś podwórkową bujdę.

Odnalazłam was. Przyłożyłam się do tego jak do każdej pracy domowej, której odrabianie tak dobrze szło mi w szkole. Latami wyszukiwałam kolejne tropy. List przesłany na nowy adres, jakiś sklerotyczny wiekowy krewny. Dawna znajoma. Ostatecznie okazało się to bardzo łatwe. Chcesz wiedzieć, co Człowiek z Lasu zrobił z Twoimi koleżankami, Sadie? Co dostały w nagrodę za życie mojej siostry? Dziewczyna, którą znałaś jako Helen,

mieszka w komunalnej klitce, cierpi na patologiczne zbieractwo i skrajną agorafobię. Jej siostra Marie dwukrotnie się rozwiodła i w wieku trzydziestu ośmiu lat jest alkoholiczką. A ta, którą nazywałyście Justine i której tak bardzo się bałaś, zmarła po przedawkowaniu heroiny jako dwudziestodwulatka.

Ale Ty – Ty próbowałaś normalnie żyć. Znalazłaś miłość, urodziłaś dziecko, chociaż wiedziałaś, jaka w Tobie mieszka zgnilizna. Zrobiłaś coś tak nikczemnie samolubnego, że nawet Twoi rodzice się Ciebie wyrzekli. Ta zbrodnia nie mogła ujść Ci płazem.

I oto jesteśmy teraz tutaj, w tym idealnym domku w samej głębi lasu. Wyjmę z torebki nóż. Nie jest to może najczystszy sposób załatwienia sprawy, ale z pewnością pozwoli w pewnym sensie przywrócić równowagę.

Myślę, że przez cały czas właśnie tego szukałaś. Wiedziałaś, że tamtego dnia przed laty w najpotworniejszy możliwy sposób przechyliłaś szalę i od tamtej pory w swoim pokręconym umyśle codziennie starałaś się to naprawić, spłacić tamten dług. Zamęczałaś się tym bardziej jak Makbet niż Lear. Jako córka byłaś z pewnością hieną, Sadie, lecz teraz jesteś tylko kobietą z dłońmi już na zawsze splamionymi krwią.

Sęk w tym, że jesteś tak niewiarygodnie, żałośnie słaba, że zasługujesz wyłącznie na pogardę. Zawsze taka byłaś. Mała Stacey owieczka. Mała Stacey, która chciała być wyjątkowa. Nigdy nie zdołałabyś spłacić swojego długu ani naprawić zła, które wyrządziłaś.

Ja mogę to zrobić.

Zwrócę Ci wolność, Sadie. Odbiorę Ci to, co Ty nam odebrałaś, i będziesz wolna. Mam nadzieję, że czytając te słowa, już to sobie uświadomiłaś. Ten koniec będzie początkiem dla nas wszystkich. Uwierzyłaś kiedyś w Człowieka z Lasu, ale on nie zabiera córek. Ty to zrobiłaś. I ja też to zrobię.

A zatem czas odłożyć długopis i wziąć do ręki nóż. Piszę to, żebyś wszystko dobrze zrozumiała, żebyś wiedziała, bez cienia wątpliwości, iż

śmierć Twojej córki to Twoja wina. Akt przywrócenia równowagi.

Odtąd już obie będziemy wolne.

Zdania z dziennika rozbrzmiewają echem w domku, gdy Greta przechadza się między ciemnymi pokojami. Waha się, czy zapalić światło. Choć znała wcześniej wszystkie fakty i była w stanie samodzielnie wypełnić luki, czuje się zatruta tym, czego wysłuchała. Bijąca z tych słów nienawiść napawała ją mniejszym obrzydzeniem niż obserwowanie, jak padają z ust Amber, jak bieleją jej knykcie, a dłoń zaciska się na krawędzi skserowanej kartki. Zaciśnięte na poręczy schodów palce Federiki także zbieleły – z trudem powstrzymywała uciechę – Tom zaś tylko opuścił lekko kąciki ust, z uprzejmym, obojętnym wyrazem twarzy, jak ktoś, komu podano na przyjęciu nieświeżą potrawę.

Greta staje w drzwiach jednej z sypialni i nasłuchuje. Amber przeprosiła ich i wyszła przed dom, żeby zatelefonować, lecz Greta widziała, jak trzęsły jej się ręce, gdy próbowała otworzyć drzwi. Słyszy dobiegające z dołu odgłosy parzenia herbaty; pobrzękiwanie czajnika, ściszony głos Federiki, mówiącej coś z ożywieniem. Jest z siebie bardzo zadowolona z powodu tego numeru z listem. Amber, czytająca słowa kobiety, która zamierzała ją zamordować, w miejscu, gdzie niemal do tego doszło – Greta zdaje sobie sprawę, że to będzie jedna z najszerzej komentowanych scen ich filmu, jedna z tych, które najbardziej pokochają i znienawidzą recenzenci, którą będą najchętniej udostępniać w internecie. Luca pomrukami wyraża zgodę na coś, co proponuje mu Federica; rozlega się szcęk łyżki i skrzypienie drzwi lodówki. A na górze skrzypi i postępuje dom. Niespodziewany podmuch chłodnego powietrza owiewa Grecie kark, szepcze coś do ucha. Greta kładzie się na łóżku, w którym dwa lata wcześniej leżała bezsennie Amber, i wbija wzrok w sufit.

Nie potrafi się otrząsnąć ze wspomnienia miny Federiki, gdy ta wyciągnęła z kieszeni list. „Niespodzianka!”. Mimowolnie wracają do niej słowa Toma, wypowiedziane na plaży w Los Angeles, gdy wokół skrzeczały

mewy: „Wiesz, co będzie dalej. Federica zrobi coś, po czym ta mała już się nie podniesie. Zawsze wsadza bohaterów na jakąś minę. Nieraz to przerabiałaś”.

I robi to – Greta nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Federica nie dopuści, aby Sadie Banner pozostała bezpieczna w cieniu; nie spocznie, dopóki nie wyciągnie jej na światło dzienne i nie przeanalizuje pod każdym możliwym kątem. W przeciwieństwie do Grety nie rozumie, że Amber stara się chronić matkę w zamian za otrzymaną od niej ochronę. Dzięki temu, że Sadie zrezygnowała ze swojej anonimowości – sama zgłosiła się do brukowców – świat poznał straszliwą prawdę o brutalnym morderstwie i jego związku z Wiedźmami z Westborough. Zaś nastawienie opinii publicznej zmieniło się z obrzydzenia w coś w rodzaju współczucia dla Amber Banner zwanej „księżniczką z lodu”. Rezygnując z szansy na drugie życie, otrzymanej w wieku trzynastu lat, gdy jeszcze miała na imię Stacey, Sadie Banner podarowała taką samą szansę własnej córce.

Na korytarzu trzeszczy deska w podłodze, odgłosy tamtych czworga niosą się ku górze, gdy wychodzą z herbatą przed dom. Federica parska śmiechem w reakcji na coś, co powiedział Luca. Greta słyszy chrapliwy głos Toma, ale nie jest w stanie zrozumieć słów. Wszystko toczy się zwykłym rytmem. Podmuch chłodnego powietrza znów liże jej skórę.

Myśli o e-mailu, który pięć minut wcześniej przekazała jej Federica. Nic nie zostało powiedziane na głos – reżyserka nacisnęła „wyślij”, nawet nie przerywając rozmowy. Nieznany adres, nadawca podający się za mężczyznę znanego Amber jako Leo. Za odpowiednią kwotę chętnie z nimi porozmawia, o ile nie pokażą jego twarzy. Zadaniem Grety będzie sprawdzić jego wiarygodność, potwierdzić, że to na pewno on sypiał z szesnastolatką i śledził jej rodzinę za pieniądze. Jego powiązania z Leanną nigdy nie zostały udowodnione, choć w trakcie procesu dziennikarze jednego z brukowców twierdzili, że udało im się go zidentyfikować jako trzydziestosiedmioletniego Lee Mitchella, poszukiwanego przez policję

w związku z zarzutami napadu z bronią w rękę i napaści na tle seksualnym, który pracował niegdyś w warsztacie samochodowym należącym do ojca Leanny, Davida Weatheralla. Teraz poszukiwano go także jako potencjalnego świadka w związku ze sprawą Bannerów. Greta jest ciekawa, czy gdyby nadawca e-maila rzeczywiście okazał się tym, za kogo się podaje, Federica poinformowałaby policję czy raczej najpierw przeprowadziła z nim wywiad.

Wstaje i podchodzi do okna, odciąga na bok cienką zasłonkę. Stąd nie widać jeziora, tylko posępne lasy i wyrwane z ziemi drzewo z korzeniami porośniętymi mchem. Lasy zdają się ciągnąć bez końca, słońce nie dociera do białych pni drzew, panuje cisza i bezruch.

Greta opiera głowę o szybę, myśląc – starając się nie myśleć – o drżącym głosie Amber, gdy dziewczyna czytała ostatnią kartkę adresowanego do siebie i matki listu, ostatnie słowa Leanny do Sadie. „Odtąd już obie będziemy wolne”. Patrzy na skradającą się wśród drzew postać, która to pojawia się w słabym świetle, to znowu znika w mroku, i zastanawia się, czy to jest w ogóle możliwe.

2016

Amber próbowała rękawem zakryć jarzący się w ciemności wyświetlacz swojego smartfona, lecz palce za bardzo jej drżały i nie zdążyła zrobić tego wystarczająco szybko. Wcześniej słyszała odgłos upadku Leanny, lecz kobieta musiała się podnieść i dostrzec błysk światła, ponieważ teraz wspinała się po zboczu przy akompaniamencie gałązek trzaskających głośno w mroku. Amber przedzierała się więc coraz głębiej i głębiej w las. Jej bose stopy z trudem pokonywały stromiznę, kciukiem na oślep dziobała w wyświetlacz. Nie wiedziała, czy udało jej się nawiązać połączenie, ale nie ośmielała się odezwać. Przesuwając się po omacku, wpadła na konar i rozcięła sobie czoło oraz policzek; w kolejnych dniach fioletowy siniec rozleje się na całe oko niczym chmura burzowa, po czym zniknie. Blizna zostanie na dłużej.

Za plecami wciąż słyszała kroki.

– Daj spokój, Amber! – zawołała figlarnie Billie. – Jest za ciemno, żeby bawić się w chowanego. Nie boisz się?

Mało brakowało, a ześlizgnęłyby się w dół rozpadliny, która niespodziewanie się przed nią otworzyła. Zatrzymała się jak wryta, młóćąc ramionami w ciemności. Billie. Głupiutka, niezdarna Billie jej szukała. Do sennego koszmaru wdarła się rzeczywistość i Amber pojęła, że musi się obudzić. Mogłaby zawrócić, wezwać pomocy...

– Ammmmer! – Głos Billie był dziwnie napięty, a kroki uspokoiły się i stały cichsze, jakby Billie nasłuchiwała Amber, starała się ją wytropić. To już nie była tamta głupiutka dziewczynka; opadła kolejna maska.

Oddychając nierówno, wysunęła stopę poza krawędź. Rozpadlina była głęboka, wionęło z niej chłodne powietrze. Pobliskie zarośla zaszeleściły

pod stopami Billie i Amber przykucnęła, przywierając ciałem do krawędzi skarpy. Wymacała jakąś twardą nierówność – korzenie drzewa. Miała wrażenie, że dotyka suchych kości. Dalej była pustka, parów wydrążony przez spływającą ku jezioru wodę. Amber wcisnęła się w jego ścianę, w szczelinę pomiędzy dwoma szerokimi korzeniami i skuliła się w ich twardych objęciach, czując na stopach dotyk lodowatej wody. Zerknęła na telefon, lecz połączenie, o ile w ogóle udało się je nawiązać, zostało przerwane.

Z góry dobiegł szelest – tamte były bliżej, niż myślała, i strach niby ostry nóż przeszył ją na wylot. Ze skarpy na jej głowę i ramiona posypała się ziemia. Billie. Amber poznała ją po chrapliwym oddechu i ciężkim kroku.

– Wiem, że tu jesteś, Am – powiedziała cicho. – Powinnaś przestać się chować.

Rozległ się metaliczny, skrobiący dźwięk, jakby paznokci po tablicy (albo ostrza trącego o korę). Amber ani drgnęła, przestała w ogóle oddychać. Wokół niej liście zaczęły szeptać, lecz Billie najwyraźniej ich nie słyszała.

– Chcesz usłyszeć pewną historię, Am? Jest naprawdę dobra. Wydarzyła się dawno temu, kiedy dwie dziewczynki weszły do lasu podobnego do tego. Jedna z nich była trochę młodsza od nas, druga miała tylko dwa latka. – Znów ten skrobiący dźwięk, okruszki kory sypały się cicho jak popiół. – Weszły razem do lasu, trzymając się za ręce, lecz wyszła tylko jedna. Chyba wiesz która, Am, bo kilka lat później wyszłaś z niej ty, dobrze mówię?

Amber przesunęła palcami po wilgotnej ziemi pod sobą, szukając czegoś ostrego albo przynajmniej ciężkiego. Mech, drobne kamyczki oraz coś jakby wilgotne pierze; nic, czym mogłaby się posłużyć. Mimo to czuła, że coś w niej narasta, coś głośniejszego i potężniejszego od strachu. To coś uspokoiło jej drżące dłonie; wydawało się nowe i znajome zarazem. Nienazwane wyczekiwanie.

Wiatr syczał w koronach drzew. Z dołu zbocza dobiegł trzask łamanej gałęzi i Billie zrobiła krok albo dwa w tamtą stronę po stromiźnie; podeszwy

jej butów mlaskały na wilgotnej ziemi. Cisza zdawała się nie mieć końca. Amber wciąż nie mogła oddychać.

– Nie – powiedziała Billie, włącząc z tupotem na górę. – Tak łatwo się nie wywiniesz, Amber. Muszę wbić ci ten nóż. Tak ma wyglądać zakończenie. W ten sposób zwrócę jej wolność. – Zrobiła kolejny krok przed siebie i zachwiała się na krawędzi skarpy; skruszona ziemia osypała się w dół rozpadliny.

Amber wyprostowała się i zacisnęła dłoń na kostce Billie.

– Tylko spróbuj – powiedziała.

I pociągnęła Billie za sobą w głąb parowu.

2018

Greta znajduje ją siedzącą na brzegu parowu; cień gałęzi drzewa rozpościera swoje palce na plecach dziewczyny. Powietrze pachnie wilgocią i agresywną, niepowstrzymaną roślinnością, a gdzieś wysoko w koronach drzew ćwierka nieśmiało jakiś ptak.

– Kiedyś żyły tu wilki – odzywa się Amber, nie oglądając się za siebie. – Tata mi opowiadał.

Greta siada obok.

– Kiepsko sypiam – ciągnie Amber. – Mówiłam ci już o tym, nie? Pewnie po tym, co się stało, on też nie mógł spać. Dzwonił do mnie i całe noce gadaliśmy. – Spogląda w dół zбочa, na dom. – Dawniej, kiedy w końcu udało mi się zasnąć, męczyły mnie koszmary o tym miejscu. – Wzrusza ramionami. – Nie wiem, jak miało mi w tym pomóc to całe gadanie o wilkach. Co on sobie wyobrażał?

Greta uśmiecha się.

– Wtedy już nie mieszkaliście razem?

– Nie. – Do ptaka dołącza drugi, bardziej natarczywy i o mniej melodyjnym głosie. – Powiedziała, że już wystarczająco go skrzywdziła. Ale chyba po prostu nie potrafiła mu wybaczyć – dodaje Amber. – Tego, że nigdy się nie przyznał, że wie, i nie pomógł jej stawić temu czoła. Nie uświadomił, że to, co widywała w ciemności, nie mogło zrobić jej krzywdy. Zresztą czy ja wiem?

– A ty mu wybaczyłaś?

Amber zaciska wargi, mruży oczy, zastanawia się nad pytaniem Grety.

– Tak myślę – odpowiada w końcu. Oboje to spieprzyli. Jak w tym wierszu, nie?

– Larkina?

– Nie wiem, chyba tak ^[2]. – Amber opiera się plecami o pień drzewa i spogląda na Gretę. – Wiesz, że nigdy nie dam ci tego, czego chcesz?

– A czego według ciebie chcę?

– Łez. Chcesz usłyszeć, że moja mamusia była niedobra, a tatuś wołał uważać ją za wariatkę i że oboje do spółki zniszczyli mi życie. Chcesz, żebym przed tobą grała. Ale wiesz co, Greto? Tutaj nie ma żadnych kamer, a ty nie dowiesz się, czy żałuję, czy jest mi smutno, i nie poczujesz się lepiej, jeśli chodzi o ten cały bajzel.

Greta wstaje i przygląda się z bliska drzewu, o które opiera się Amber. Jego pień znaczą cienkie blizny, krzyżujące się na wysokości jej ramienia; przesuwa po nich palcem. Pora stąd wyjechać, myśli. Może do Niemiec. Albo do Jordanii, jeżeli brat ją tam przyjmie. Na Fidzi. Do Hongkongu. Gdziekolwiek, byle dalej od tych wstrętnych lasów i cuchnącego strumienia w gliniastym parowie.

– Nie musiałam jej zabijać – mówi Amber, patrząc w głąb rozpadliny. Kiedy Greta nie odpowiada, dziewczyna spogląda na nią i znowu mruży oczy. – Nie musiałam. Billie była niezdarna i nawiedzona. Nie zrobiłaby mi krzywdy. Mogłam ją tylko ściągnąć w dół i uciec. Nie goniłaby mnie.

– Tego nie wiesz.

Amber uśmiecha się.

– Daj spokój, Greto, widziałaś raport koronera. Wiem, że tak. Słyszałaś, co prokurator mówił w sądzie. Wyglądało ci to na samoobronę?

Greta tłumi chęć, aby zamknąć oczy, odepchnąć od siebie wspomnienie zbliżeń posiniaczonej skóry Billie naznaczonej dwudziestoma siedmioma sinymi ranami od noża.

– Myślę – odzywa się – że zrobiłabyś wszystko, byle nie stać się ofiarą, Amber.

Dziewczyna śmieje się bez przekonania i echo tego śmiechu rozbrzmiewa w lesie.

– Może jednak mnie znasz, Gee.

Palce Grety znowu muskają blizny na pniu drzewa; wyobraża sobie Billie, stojącą w tym miejscu przed dwoma laty, w ostatnich minutach swojego życia.

– Odwiedziłam ją – oznajmia Amber. – Lucy. W więzieniu.

– Po co?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Chyba po prostu chciałam się z nią zobaczyć. W cztery oczy. W sądzie pełnym ludzi to jednak nie to samo.

– Chciała cię zabić.

– Ale nie zabiła.

– Bo upadła i złamała nogę w dwóch miejscach.

Amber kręci głową.

– Brzmi to tak, jakbyś była po mojej stronie, Gee.

– I co ci powiedziała? Lucy.

Wiatr świszczy w gałęziach, liście dygoczą. Amber unosi głowę i patrzy na konary nad sobą. Palcami dotyka nerwowo brzegu kaptura bluzy.

– Zapytała, czy jestem teraz wyjątkowa – odpowiada. Wyżej na zboczu jakiś ptak nawołuje z drzewa; szczebiotliwy trzel brzmi jak radosny śmiech.

– Greta! – Z oddali, sprzed domu, dobiega je wołanie Federiki. Amber podnosi się, wyciera dłonie o dzinsy.

– Chodźmy – mówi. – Lepiej mieć to już za sobą, nie? Zresztą umieram z głodu.

Greta schodzi razem z Amber ze zbocza. Gdy ptak znów się odzywa, ogląda się za siebie, na las z jego plamami ciemności.

Zza pnia drzewa wygląda dziewczęca sylwetka.

Z cienia wyłania się dłoń, delikatnie dotyka jej główki.

Wciąga ją z powrotem w mrok.

2016

O wschodzie słońca znaleźli ją na brzegu jeziora. W piźamie przesiąkniętej krwią, stała w wodzie na płyciźnie. Chlupoczące fale omywały jej stopy i powoli zabarwiały się na czerwono. W zaciśniętej ręce trzymała nóż. Stała tyłem i nie odwróciła się, gdy jeden z funkcjonariuszy otrzymał polecenie przeszukania lasu. Ani gdy dwadzieścia minut później wybiegł stamtąd, potykając się o własne nogi, i zwymiotował na gruntowy trakt.

Leannę znaleziono w innej rozpadlinie kawałek dalej w dół zbocza; stercząca złamana kość bieląca na tle zakrwawionej nogawki dżinsów. Twarz miała ściągniętą i poszarzałą, puls słaby. Otulili je obie srebrną folią i umieścili w osobnych pojazdach, podczas gdy migające koguty spowijały drzewa błękitną poświatą, a jaśniejące niebo pokrywało się pasmami fioletu i różu.

Trzaskały drzwi, rozmawiano przez krótkofalówki, kordon samochodów otaczał jezioro, błyskając ostrymi, neonowymi światłami. Z kamienistego brzegu obserwował ich samotny rybak. W telefonie miał zdjęcie dziewczyny w czarnej od krwi piźamie, z rękami wyciągniętymi przed sobą, skuwaną kajdankami przez policjanta.

Auta zawracały jedno po drugim na główną drogę, zostawiając za sobą dziurawy gruntowy trakt. Kiedy przyśpieszyły, kierując się w stronę Crieff, na wyświetlaczu komórki wciąż ściskanej przez Amber kurczowo w brudnej, zakrwawionej dłoni pojawiła się najpierw jedna, a potem dwie kreski. Telefon ożył i skrzynka głosowa wypełniła się wiadomościami.

Mama.

Mama.

Mama.

Kiedy ją zwolniono, Miles i Sadie czekali na posterunku policji. Jechali całą noc, wyruszyli na długo przed odebraniem pierwszego telefonu. Amber została rozebrana do naga, pobrano od niej próbkę DNA, jej palce zamoczono w tuszu i dociśnięto do jakiegoś oficjalnego formularza. A potem kazano jej czekać. Podczas gdy domek był przeczesywany w poszukiwaniu dowodów, na prowincjonalnym posterunku zapadła pełna napięcia cisza.

Na widok wchodzących rodziców Amber wstała i Sadie po raz pierwszy od dłuższego czasu stwierdziła, że jej córce brakuje pewności siebie.

– Moja mała dziewczynka – powiedział płacząco Miles, lecz Amber nie podeszła do niego. Przez chwilę, która zdawała się nie mieć końca, wpatrywała się w matkę.

A potem zbliżyła się do Sadie i objęła ją ramionami.

– Zrobiłam coś złego – powiedziała.

Sadie zaprzeczyła ruchem głowy. Sama również ostrożnie objęła córkę i przysunęła wargi do jej ucha. Wyszepiała, że Amber nawet nie wie, czym jest prawdziwe zło.

Dziewczyna oparła czoło o głowę matki, jej chłodny, aksamitny oddech owionął skórę Sadie.

– Oddałam mu ją, mamó – szepnęła. – Oddałam mu Billie.

Tak więc zostały we dwie. Sadie ujęła dziecko za rękę i wyszła na światło dnia.

Razem ruszyły w kierunku drzew.

Przypisy końcowe

[1] William Szekspir, *Król Lear*, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

[2] Chodzi o wiersz Philipa Larkina *This Be The Verse* ze słynnym fragmentem: „They fuck you up, your mum and dad” – „Pieprzą ci życie – ojciec, matka” (przypis tłumaczki, polski przekład autorstwa Agaty Ch. zaczerpnięty z forum.mlingua.pl).